

T.A. COTTERELL

Jak daleko się posunie,
żeby ocalić niewiernego męża?



STRAŻNICZKA KŁAMSTWA


AMBER



T.A. COTTERELL

Jak daleko się posunie,
żeby ocalić niewiernego męża?



**STRAŻNICZKA
KŁAMSTWA**


AMBER



T.A. COTTERELL

**STRAŻNICZKA
KŁAMSTWA**

Przekład
**IRENA KOŁODZIEJ
PIOTR RACHTAN**



Redaktor serii
Małgorzata Cebo-Foniok

Korekta
Halina Lisińska
Barbara Cywińska

Zdjęcie na okładce
© Yuriy Seleznyov/Fotolia

Tytuł oryginału
What Alice Knew

Copyright © T.A. Cotterell, 2016.
First published as 'What Alice Knew' by Transworld Publishers,
a division of The Random House Group Ltd.

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2017 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6374-8

Warszawa 2017. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Mojej rodzinie

1

Portret to pogoń za prawdą. Nie oszczędza nikogo.

Malowałam portret Julie Applegarth. Siedziała w fotelu o wysokim oparciu, pokrytym szkarłatnym gniecionym aksamitem, w salonie rezydencji Applegarth Park. Julie miała złote pasemka, przejrzyste zielone oczy bezpańskiego kota i urodę już nie dziewczyny, ale jeszcze nie kobiety pięknej i zadbanej. Sukienka była zbyt obcisła, włosy za długie i w nieładzie, a karmelowa opalenizna przywoływała na myśl Monako i Karaiby, choć sama Julie była raczej z Harlow niż z Hollywood.

Nie była to łatwa sesja. Miałam nadzieję, że przed herbatą skończymy, ale demon czas postępował zbyt szybko. Julie się starała, ale koncentracja nie była jej mocną stroną, nie przywykła też, żeby jej mówiono, co ma robić, a przynajmniej by mówił jej ktoś oprócz męża. Z pewnością nie inna kobieta, zwłaszcza że byłam tylko siłą najemną – bo czymże innym jest portrecista, jeśli nie dosłownie siłą najemną? Nie potrafiła usiedzieć bez ruchu dłużej, niż zajęłaby depilacja nóg, do chwili, gdy złapałaby za telefon i zadzwoniła do przyjaciółki albo do fryzjera, żeby umówić się na wizytę. Kręciła się i wierciła. Przybierała pozy aktorki tragiczki. Próbowwała stwarzać wrażenie, że ma do przemyślenia ważne sprawy biznesowe, ale to była fikcja. Julia bawiła się w biznes, tak samo jak bawiła się w arystokratkę i właścicielkę posiadłości, nieustannie się wahając, niczym w jo-jo, pomiędzy zarozumiałą pewnością, że ma wszelkie prawa do tytułu, a lękiem, że zostanie zdemaskowana.

Pozowała tak w fotelu o wysokim oparciu od prawie pięciu dni z przerwami. A ja od prawie pięciu dni stałam przed sztalugą, patrząc na nią, myśląc o jej sprawach i próbując uchwycić jej istotę. Moje zadanie, patrząc z pewnego dystansu, było ciekawsze. Wymagało pełnej koncentracji. Nie lubię rozmawiać podczas pracy. Wszystko, co potrzebuję wiedzieć, wyciągam z

modela podczas przerw i spotkań przed rozpoczęciem pracy. Zawsze są one bardziej użyteczne, kiedy pozuje kobieta. Mężczyźni z reguły przybierają pozy, udają kogoś, kim w rzeczywistości nie są, na przykład kogoś sympatyczniejszego, z większym gestem, większą kulturą, lepszymi koneksjami. No i muszą flirtować, to kwestia władzy. Wszystko to przenika do obrazu.

Kiedy zbliżyliśmy się do końca piątego dnia, z niezaplanowanym, lecz niezbędnym przedłużeniem na sobotę, Julie sprawiała wrażenie znudzonej. Przeszła już wszystkie stadia: początkowa ekscytacja, delectowanie się tym, że jest ośrodkiem uwagi, udawanie, że konieczność pozowania to kolejna niedogodność w jej zapracowanym życiu. Po czym wyczerpało się wrażenie nowości i obsesja na własnym punkcie i zaczęła się harówka pozowania, kiedy jedyne, co można robić, to myśleć. Mimo to czasem skupiała się na nowo, koncentrowała na uwadze, jaką się ją otacza, i pławała w glorii tej, której urodę za niebagatelną sumę ma uchwycić czujne oko artystki – dla potomności i dla męża.

W odległym krańcu pokoju otworzyły się dwuskrzydłowe drzwi. Były w osłabiającym ducha kolorze musztardy, który mógł wybrać wyłącznie bardzo drogi projektant wewnątrz. Staralam się na nie nie patrzeć, choć nie do końca skutecznie. Wszedł sir Raymond Applegarth – „Mów mi Ray, złotko” – z miną mężczyzny, który ma w zasięgu ręki dwie damy i szafkę pełną napojów wyskokowych.

– Ach, tu jesteście obie. I jak idzie, Jules?

Jakimś cudem udało mu się powiedzieć to tak, jakby był zaskoczony, że znalazł nas tu, gdzie przebywałyśmy już niemal tydzień. Może spodziewał się, że pstryknę jej tylko zdjęcie i zniknę, albo że dokończę malowanie w plenerze niczym jakiś współczesny Monet? Ray miał lśniąca czaszkę obramowaną półpiersiemi siwych włosów, otaczającym jego głowę niczym wyszczerbiona aureola, i absorbujące światło oczy. Pomimo przekroczonej sześćdziesiątki ciało nadal miał twarde i nabite pod bojówkami w ochronnym kolorze i koszulką w kolorze pszenicy. Większość osób w wieku powyżej lat ośmiu, noszących bojówki, to dzieci prezenterów telewizyjnych albo samotni rewolwerowcy – a sir Raymond nie był synem telewizyjnego prezentera. Szeroki nos miał złamany, co – jak mi powiedział – było rezultatem uprawiania rugby w parku w południowym Ipswich, gdzie w każdą niedzielę rano, aż do skończenia czterdziestu paru lat, spotykał się z ludźmi, którzy nie wierzyli w zasady.

Julie skrzyła pasmo włosów w sznur. Jej łydki, wyćwiczone za duże pieniądze na siłowni i basenie, zwęzły się ekspresyjnie ku kostkom.

– Chyba już skończyłyśmy?...

Głos na użytek męża miała o oktawę wyższy niż na użytek przyjaciółek, z którymi plotkowała podczas przerw. Powiedziała mu to, co chciał usłyszeć, przechylając głowę i uśmiechając się kokieteryjnie. Raymond skinął energicznie głową i spojrzał na mnie. Zerknęłam na paletę. Ochra wymagała uzupełnienia. Portret był Julie, ale reputacja moja. Dla Julii tego świata sztuka niewiele różniła się od dekoracji, była wyrazem zamożności i pozycji, nabytego poziomu kultury. Popatrzyłam na tuby z farbą na wózku.

– Jeszcze do końca dnia, jeśli to naprawdę ma być skończone.

Julie spojrzała na Raya i przewróciła oczami. Zrobił zawiedzioną minę – chłopczyk, któremu zabrano zabawkę – i podszedł do mnie. Julie poruszyła się w fotelu, jakby przez moment kusilo ją, żeby do niego dołączyć. Od pierwszego ranka Ray regularnie sprawdzał moje postępy, tak jakby nie tylko płacił za portret, ale także miał prawo przyglądać się, jak powstaje. Zawsze stawał za blisko, roztaczając woń wody po goleniu i miętowej gumy, którą żuł, żeby nie palić.

Ray wpatrywał się w portret cyklopowym okiem. Zostało jeszcze troszkę do zrobienia, ale już wiedziałam, że będzie dobrze. Wreszcie Ray skinął głową, niczym handlarz, zadowolony, że dostał więcej, niż zapłacił, i powiedział:

– Świetnie. Szalenie podobna.

– Dziękuję. – Miałam nadzieję, że jest w tym coś więcej.

– To zdecydowanie jest Jules, ale... – urwał, szukając właściwego odcienia znaczeniowego w nieznanym języku – ...zarazem jest w tym coś więcej, coś ekstra. – Przechylił głowę i popatrzył na Julie zmrużonymi oczami, jakby był portrecistą. – Tak jakby namalowała ją pani taką, jaka jest naprawdę. – Julie zmarszczyła brwi, nie do końca pewna, czy to komplement. – Nie zrozum mnie źle, dziecinko, wyglądasz cudownie. Alice wydobyła z ciebie dumę. Chcesz popatrzeć?

Pokręciła głową. Już na początku powiedziała, że nie chce oglądać portretu, dopóki nie będzie skończony. Uważała, że może to przynieść pecha. I ja też tak wolałam. Lubiłam dramatyzm chwili, gdy model czy modelka w końcu widzą swój portret, wszystkie te nadzieje i oczekiwania, i obawy, całą tę próżność, wszystko wtłoczone w sekundę pierwszego wrażenia.

– No chodź, dziecinko. Tylko jeden rzut oka – zachęcił ją Ray, ale Julie znowu pokręciła głową.

Spojrzał na mnie, tak jakbym mogła ją przekonać, ale wzruszyłam tylko bezradnie ramionami. Ray nadal wpatrywał się w portret. Nie zdawał się rozczarowany, choć oczywiste było, że nie może się doczekać, kiedy wreszcie popatrzą na niego razem, żeby wspólnie radować się jej młodością i urodą, i jego pieniędzmi, tą starożytną kombinacją, która to wszystko umożliwiła. Ray puścił czułe oczko do Julie. Za to, jak to zrobił ten stary zabijaka, przebaczyłabym mu wszystko. Julie odpowiedziała mu pieszczotliwą minką, marszcząc filuternie nos, ale się nie poruszyła.

Odstąpiłam o krok i przyjrzałam się portretowi na sztaludze. Nieźle. Zajęło mi to wprawdzie o jeden dzień więcej, niż zamierzałam, ale efekt wart był tego dodatkowego czasu. Może byłam troszkę zbyt wyrozumiała, jeśli chodzi o wiek rąk i siłę jej ramion... Ach, co tam. Drobne gesty wspaniałomyślności nic nie kosztują, a dają tyle przyjemności. Nie mają wpływu na ostateczny rezultat. Udało mi się uchwycić w portrecie elastyczność charakteru Julie. Bądź co bądź, to właśnie dzięki niemu siedziała teraz w aksamitnym fotelu, patrząc posepnie przez okno na Applegarth Park, podczas gdy kobiety nie mniej piękne niż ona, a już z pewnością nie mniej inteligentne, z trudem wyskrobywały grosze z chudej sakiewki, żeby przynieść do domu jedzenie w pasiastej plastikowej torbie z Tesco. Wielki William Turner malował światło; ja malowałam fałszywie dziewczęcy głos i wiarę w redystrybucyjną moc zakupów.

Ale to była tylko powierzchnia. Namalowałam także fortel. Był to portret kobiety silniejszej, niż na pozór wyglądała, również chytrzejszej, której kształt nadał mężczyzna potężny, mający wszystko to, czego pragnęła. Namalowałam przeciąganie liny pomiędzy bogatym mężczyzną o płaskiej, pomarszczonej twarzy mopsa a jego młodą uwodzicielską żoną. Namalowałam subtelną grę pomiędzy władzą a urodą, pieniędzmi a młodością, wiekiem a mobilnością. Namalowałam portret drugiego małżeństwa.

Kiedy wreszcie skończyłyśmy, Julie poszła po Raya. Wcześniej wycofał się do swojego gabinetu, pokoju o rozmiarach pasa startowego, gdzie przez dwa telefony wyszczeniwał komendy, a dzwoniący tłoczyli się niczym samoloty nad Heathrow. Podeszłam do wysokiego, sięgającego od podłogi do sufitu okna i spojrzałam na park. Pod czystym niebem rozciągała się ku jezioru rozległa połać trawnika. Na lewo wyłonił się spomiędzy drzew mały nakrapiany jelonek; zatrzymał się, zawęszył i znowu zniknął w bezpiecznej ciemności.

Niemal spodziewałam się widoku krowy, zanurzającej pysk w mokrej trawie, jak u Cuypa, albo Constable'owskiego chłopaka, który leżąc na brzuchu, pije wprost ze strumienia.

Wyjęłam z kieszeni kitla telefon. Był SMS od Nell z wiadomością, że Ed jeszcze nie wrócił, ale wszystko jest okej. Czyli: zjadła płatki prosto z paczki, a Arthur podłączył się do telewizora i dlatego Nell nie ma żadnych zmartwień. Nie spytała, kiedy wrócę, ani nie powiedziała, co robi. Nie musiała. Jak każda czternastolatka – esemesowała. Nie mogłam zadzwonić, bo pojawił się sir Ray, żeby sprawdzić stan swojej inwestycji, więc tylko napisałam, że ze względu na pracę wrócę późno i że nie mogę się doczekać, żeby ją zobaczyć. Ściskam, całuję. Znali to. Sztuka nie zawsze oznacza pracę od dziewiątej rano do piątej po południu. Ed odpisał, że spotka się ze mną u Pete'a Spurlinga, ale nie zostanie długo, bo jest „totalnie wykończony”. O Boże! Kompletnie zapomniałam o tej imprezie. Peter Spurling był protegowanym Eda. Właśnie zdał ostatni egzamin z położnictwa w Królewskim College'u Położnictwa i Ginekologii i urządził przyjęcie, żeby to uczcić. Odpisałam, że portret zajął mi więcej czasu, niż myślałam, i że nie zdążę na imprezę.

W podpisie dał trzy buziaki. Ciekawe, jak sir Ray podpisuje swoje SMS-y do Julie, przemknęło mi przez głowę. I ciekawe, czy zmieniło się to teraz, kiedy jest jego żoną, a nie kochanką... Zauważyłaby to pierwsza. Druga żona, zwłaszcza człowieka bogatego, jest wyczulona na takie rzeczy, jej antenki muszą chyba nieustannie skwierczeć. Nie zna snu, kto nosi koronę...^u Dla porównania, w przypadku Eda te trzy całusy są równie łatwe do przewidzenia, jak to, że słońce wzejdzie, i kocham każdy z nich.

Otworzyły się oba skrzydła drzwi i wtoczył się sir Raymond, a półtora kroku za nim Julie. Poczulałam przypływ pewności co do tego, jak zostanie przyjęta moja praca. Już niedługo wyruszę do domu, żeby uścisnąć mojego cudownego męża i ucałować policzki moich kochanych śpiących dzieci.

Z Suffolk do Bristolu jedzie się długo, zwłaszcza że staram się unikać autostrad. Są równie interesujące jak topiony ser. Jeśli jadę sama, to jeśli tylko mogę, wybieram drogi klasy A, a jeszcze lepiej B. Szczęśliwa jestem, kiedy mogę wymienić czas na niuanse. Dziś wieczorem jazda wydaje się jeszcze dłuższa, bo w radiu nie ma nic, czego warto by słuchać – politycy się kłóca, celebryci romansują, ceny nieruchomości w Teksasie wariują. Nieważne. Jestem w dobrym nastroju, ożywiona i pełna optymizmu – niewątpliwa oznaka

tego, że portret się udał. Na odległej stacji benzynowej w stylu Edwarda Hoppera^[2], gdzie kasjer w odrapanej kabinie bawił się telefonem i nawet pomarańcze były w celofanie, kupiłam orzechowy jogurt i smoothie w kartoniku z rysunkiem pełnym sztucznej jowialności. Mijając drogowskaz na Cambridge, przypominałam sobie rudą kozią bródkę mojego tutora, jego elegancki gabinet z półkami książek od podłogi do sufitu i wysokimi oknami, wychodzącymi na ulicę King's Parade, i Jerry'ego Streetera, skaczącego z mostu Clare College na golasa, jeśli nie liczyć smokingu i uśmiechu szerokiego jak rzeka Cam. Jak to się stało, że dotarłam stamtąd – tutaj? Wkrótce potem skręciłam w prawo i ruszyłam w stronę Oksfordu, na zachód. Białe linie rozwijały się przede mną, grzebiąc wspomnienia, wydobyte przez przypadkowe drogowskazy.

Jazda nocą jest dla mnie cudownie terapeutyczna. Jestem sama, otoczona ciepłą jedwabistą ciemnością, światła omiatają jezdnię, a jedynym dźwiękiem w tej ciszy jest pomruk silnika. Nie ma żadnej rodziny, która zawracałaby głowę, żadnych obiadów do gotowania, żadnych rzeczy do prania, żadnych stołów do wycierania. Żadnych pozujących, których trzeba usatysfakcjonować. To tak, jakby być w morzu.

Jest to jeszcze lepsze, kiedy wracam nocą do domu po dobrze wykonanej pracy i – skoro impuls tworzenia chwilowo ucichł – mogę pławić się w ciepłe poczucie, że kolejny model został właściwie zrozumiany i oddany na płótnie. To najlepsze uczucie na świecie. Nie wiem, jak ludzie przechodzą przez życie wyłącznie jako konsumenci, nie czując żadnej potrzeby, żeby podrapać się w miejscu, gdzie łaskocze cię potrzeba twórczości, pozostawić po sobie jakieś maźnięcie. Wdychają powietrze, ale go nie wydychają.

Ed może i nie jest artystą, ale pozostawi po sobie maźnięcie. Nie na płótnie, lecz na życiu tysiącznych niemowląt, których dotykały przy urodzeniu jego ręce, i wcale niemałej liczbie tych, które uratował i dzięki niemu szczęśliwie przyszły na świat. Nie musi szukać pociechy w sztuce; samo życie dostarcza mu pociechy.

Mijałam drogowskaz na Bicester, kiedy telefon na siedzeniu pasażera rozbrzmiał melodyjką. Na ekraniku wyświetliło się: „Dom”. Zerkam na elektroniczny zegar na desce rozdzielczej: dwudziesta trzecia czterdzieści osiem. Zwalniam, sprawdzam w lusterku wstecznym widok z tyłu i odbieram.

– Halo?

– Mama?

Nell. Spodziewałam się, że to Ed, który z przemęczenia się ocknął, zobaczył

włączoną lampę i wciąż puste łóżko i sprawdza, czy wszystko w porządku i kiedy będę.

– Nell, kochanie, co się dzieje? Czemu nie śpisz?

– Mamo, tato jeszcze nie wrócił do domu.

Znowu jest to głos dziecka, podszyty nastoletnim znudzeniem; ma dość esemesowania.

– Próbowалаś zadzwonić na jego komórkę?

– No. Nie odpowiada. Zostawiłam wiadomość.

– A do szpitala?

– Powiedzieli, że wyszedł koło ósmej.

– A nie było jakiegoś nagłego wypadku, do którego go wezwali?

– W każdym razie o niczym takim nie wiem.

– Okej, znaczy, że poszedł na przyjęcie do Petera Spurlinga. Wiem, że się wybierał. Pewnie został dłużej, niż zakładał.

– Może i tak. Tylko że...

– Tylko że co?

– Tylko że przed wyjściem ze szpitala zadzwonił, że jest bardzo zmęczony i że będzie w domu najpóźniej o pół do jedenastej, a jest...

– Późno. Wiem.

– W poprzednią noc miał dyżur. A mimo to wpadł do domu dosłownie na pięć minut w porze kolacji, żeby sprawdzić, czy wszystko z nami w porządku.

Kolejny dyżur? Uzgodniliśmy, że nie bierze nocnych dyżurów, kiedy ja jestem poza domem, chyba że chodzi o sprawę życia i śmierci. Zależało mu na tym, tak samo jak mnie, może nawet bardziej. To byłoby nie w porządku wobec dzieci. Za małe są, żeby zostawały na noc same, nawet jeśli jest to już niemal legalne. Chciałam coś powiedzieć na ten temat, ale dałam spokój. Nie pora na to. Zresztą i ja powinnam być w domu. Nie pierwszy to raz, kiedy praca okazała się dla mnie ważniejsza.

– Hm... No dobrze, może spotkał na przyjęciu kogoś, kogo nie widział od lat, i się zagadał?

Milczenie. Wyłapała ślad wątpliwości w moim głosie. Trudno jej się dziwić. To byłoby absolutnie nietypowe dla Eda – zostawać do późna na przyjęciu albo nie dotrzymać danego dzieciom słowa.

– Arthur śpi?

– Arthur jest u Mikeya Suttona. – Nell zrobiła znaczącą pauzę. – Zapomniałaś?

– Przepraszam, rzeczywiście. Wracaj do łóżka, Nell. Możesz się położyć w

naszym, jeśli chcesz. Skręcam teraz w M4, więc będę szybciej, za jakieś półtorej godziny.

– Okej...

– Tak? Bo jakoś niepewnie mówisz.

– Myślisz, że wszystko okej?

– Oczywiście.

– Bo to jakoś niepodobne do taty, żeby...

– Wiem, kochanie. Ale nie martw się, na pewno się okaże, że przyczyna jest zupełnie zwyczajna.

Naprawdę w to wierzyłam. Ed to najrzetelniejszy mężczyzna, jakiego w życiu spotkałam. Rodzina znaczy dla niego wszystko. Dzięki temu wszyscy czujemy się bezpiecznie.

– Nie martw się, kochanie – powtórzyłam uspokajająco, jak wtedy, kiedy przegrała szkolny mecz hokeja. – Wszystko będzie dobrze. Na pewno będzie w domu przede mną.

2

Zaledwie Nell się rozłączyła, zaczęłam wypatrywać jakiegoś miejsca, gdzie mogłabym się zatrzymać. Nie było widać żadnej zatoczki, zjechałam więc na ujście żuźlowej dróżki do prywatnej posesji i stanęłam możliwie najdalej od asfaltu, a możliwie najbliżej bramy. Nie było to miejsce idealne, ale musiałam zadzwonić do Eda. Z miejsca włączyła się jego poczta głosowa. Zadzwoniłam do Szpitala Świętego Antoniego. Usłyszałam nagraną odpowiedź, że recepcja jest w tej chwili nieczynna i że w razie wypadku należy dzwonić do Królewskiego Szpitala Bristolskiego pod numer taki a taki. Owszem, to był wypadek, ale nie tego typu. Nie było poza tym nikogo, do kogo można by zadzwonić. Wszyscy jego koledzy byli na przyjęciu u Pete'a. Napisałam SMS-a: „Kochany, mam nadzieję, że wszystko okej, jeśli wracasz do domu, to ja będę około 1.30. Kocham cię, A.x”. Oczekałam parę minut, na wypadek gdyby odpisał natychmiast, po czym wróciłam na jezdnię i skręciłam w stronę A4.

Jazda po północy niemal całkowicie opustoszała autostradą ma tę dobrą stronę, że można się przełączyć na autopilota i myśleć o wszystkim, tylko nie o prowadzeniu. Jazda po północy niemal całkowicie opustoszała autostradą ma tę złą stronę, że można się przełączyć na autopilota i myśleć o wszystkim, tylko nie o prowadzeniu. A więc...

Wezwali go do nagłego wypadku?

Mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę, że ma za sobą trzydziestosześciodzinny dyżur.

Został dłużej na imprezie?

Mało prawdopodobne graniczące z niemożliwym, biorąc pod uwagę, że musiał być zmęczony jak pies, a Nell była w domu sama. Ed nigdy nie siedział zbyt długo na imprezach, zwłaszcza tych, gdzie było dużo młodszych lekarzy. Wiedział, że muszą się wyładować, co jest raczej niemożliwe, kiedy w tym

samym pokoju siedzi szef ze szklaneczką gazowanej wody w ręce.

Miał wypadek?

Pete mieszka gdzieś nad rzeką. Dotarcie do domu zajmuje pięć minut, a góra pół godziny, jeśli się idzie pieszo. Na trasie trudno o zderzenie, to praktycznie linia prosta. Zresztą gdyby miał wypadek, policja albo szpital już by o tym wiedzieli.

Atak serca?

U mężczyzny czterdziestosześcioletniego? W dodatku sprawnego fizycznie, praktycznie abstynenta, nigdy niepalącego, grającego w tenisa? Los musiałby być wyjątkowo okrutny. No i znowu – z pewnością ktoś by już o tym wiedział?

Zainteresował się inną kobietą?

Prędeż ja bym się przespała z inną.

Za dużo wypił i teraz, zataczając się, zmierza do domu?

Czy nadal mówimy o Edwardzie Sheahanie?

Drgnęłam, ocknęłam się i natychmiast wszystko sobie przypomniałam. Pomacałam łóżko obok siebie: puste. Czwarta czterdzieści siedem. Nie ma mowy, żeby z powrotem zasnąć. Dlaczego nie wrócił do domu? Sięgnęłam po komórkę na nocnym stoliku i kliknięciem włączyłam ekranik. Był jeden SMS! Dźgnęłam palcem w ikonkę wiadomości i tekst się wyświetlił. Od Vodafone, z wiadomością, że... och, co mnie obchodzi, co ma mi do powiedzenia mój operator! Na pewno nic, co chciałabym usłyszeć. Opadłam bezwładnie na poduszkę. Serce mi waliło, jakbym przebiegła maraton, a nie po prostu przebudziła się w środku nocy z wirującym w głowie jednym jedynym pytaniem.

Pewnie wezwali go do jakiegoś nagłego porodu domowego... Ale po trzydziestu sześciu godzinach dyżuru? Może był jedynym trzeźwym na przyjęciu u Pete'a, kiedy dostali wiadomość? Ale w takim razie czemu nie napisał mi SMS-a? Nie ma takiej możliwości, żeby gdziekolwiek w zachodnim świecie nie mieć od dwudziestu czterech godzin dostępu do telefonu, a co dopiero w południowej Anglii.

Postanowiłam, że jeśli nie wróci do dziewiątej, zadzwonię do Pete'a. Wcześniej nie wypada, biorąc pod uwagę, że to poranek po imprezie. Jeśli to niczego nie wyjaśni, zadzwonię do Szpitala Świętego Antoniego. Nie jest to idealne posunięcie. Dyskrecję Pete'a mam zagwarantowaną, ale szpitalnego personelu? To wiocha na australijskiej prowincji, jeśli chodzi o szybkość

rozchodzenia się plotek, i mało gdzie grunt jest dla nich tak podatny jak w szpitalu, gdzie lekarze i pielęgniarki siedzą długie godziny, koncentrując się głównie na pacjentach, ale czasem i na sobie samych. Nie mogę mieć im tego za złe, biorąc pod uwagę bliskość przestrzenną, stres, napięcie, wspólnotę doświadczeń. Któż inny wie, jak to jest – zajmować się ofiarą wypadku, która się wybudza po amputacji, albo obserwować przez rok, jak powoli umiera sześćioletni cherubinek z rakiem mózgu, niewiedzący, co się z nim dzieje? Może prawdziwa niespodzianka jest taka, że nie wszyscy gadają o tym na okrągło. A może wszyscy? Leżałam z otwartymi oczami, a w ciemności krążyły demony.

W końcu włączyłam lampkę. Nie byłam w stanie czytać powieści, wierszy czy czegokolwiek, co wymaga aktywności mózgu, wzięłam więc z nocnego stolika album z malarstwem Bonnarda, który podarował mi Ed na urodziny. Próbowałam odcyfrować dedykację na stronie tytułowej, ale pismo Eda jest jeszcze gorsze niż Guya Fawkesa po tym, jak go torturowali.

Bonnard malował swoją żonę Marthe, podobno potworną jędzę, trzysta osiemdziesiąt pięć razy i robił to nawet jeszcze po jej śmierci. To, że malował ją z takim oddaniem, to dla mnie akt niezachwianej miłości, stawiający go na równi z największymi: Romeo i Julią, Tristanem i Izoldą, Bonnie i Clyde'em. Leżałam, wsparta o poduszkę, przewracałam niezmordowanie karty albumu, patrzyłam na portrety Marthe nie Marthe, i złapałam się na tym, że zadaję sobie pytanie: czy jeśli Ed wróci, będę umiała poskładać to wszystko na nowo?

Edward Sheahan siedział naprzeciwko mnie i z miejsca wpadliśmy sobie w oko. Pochodził ze skromnego środowiska. Nie mówię tego w sensie snobistycznym, bo nienawidzę snobizmu. Stare pieniądze były kiedyś nowymi pieniędzmi i tak dalej. Skromnego w sensie intelektu, wykształcenia. Ale nikt by tego po nim nie poznał. Wyłącznie dzięki ciężkiej pracy i niezwykłemu talentowi Ed stał się znakomitym położnikiem, obywatelem świata, przez wszystkich rozchwytywanym: podróże pierwszą klasą, konferencje z górnej półki, pierwszorzędne hotele, cały ten blichtr, niemniej jego tato był listonoszem, a mama kucharką w szkolnej stołówce. Kiedy ich poznałam, byli przemiłą parą starszych ludzi, tuż po siedemdziesiątce – Ed urodził im się późno. Mieszkali w maleńkim, pozbawionym książek domku, w miejscu, gdzie południowy Londyn rozmywa się w Surrey.

Dla porównania, moje wychowanie – zamożność, ciekawość intelektualna, Cambridge – było jak świecąca bombka choinkowa. Nie żeby miało to dla mnie znaczenie. Nie chcę wypaść na jakiegoś Holdena Caulfielda^[3], ale naprawdę nienawidzę wszystkiego, co jest związane z pozycją, zwłaszcza kiedy jest to snobizm, który udaje sam przed sobą, że jest talentem. Kogo obchodzi, czy twój dziadek ze strony ojca pochodzi w prostej linii od Karola Wielkiego? Liczy się to, co koniec końców widać na twoim płótnie.

Eda ta różnica wychowania kompletnie nie ruszała. Nie ruszało go nic poza pracą. Jakie to było odświeżające! To, że studiowałam anglistykę na uniwersytecie, lokowało mnie poza trendem Young British Artists Uniwersytetu Goldsmitha, który zdominował (albo sparaliżował, jak kto woli) sztukę późnych lat 90. Malować rzeczywistych ludzi, próbować zrozumieć, co to znaczy być człowiekiem, i przekazywać to na płótnie – uchodziło za coś przedpotopowego. Równie dobrze mogłam pójść do biura podatkowego. Ale wiedziałam, czego chcę, i podobnie jak Ed, byłam zdecydowana pracować jak portowy tragarz, żeby to osiągnąć. Jego niezachwiana wiara w to, czym chciał się zajmować, i odrzucanie jakichkolwiek kompromisów w tym zakresie były dla mnie potężnym afrodyzjakiem.

Poznanie Eda było dla mnie niczym wkroczenie w całkowicie nowy świat, przepelniony możliwościami. W porównaniu z ludźmi, z jakimi miałam do czynienia w szkole i na studiach, dla których liczyło się tylko to, żeby komuś dowcipnie przygadać i znać kogo trzeba, Ed wydawał się taki realny! Jego przyjemny zdrowy rozsądek to było dokładnie to, czego potrzebowałam. Był spokojny, racjonalny, a jego złośliwy humor sprawiał, że śmiałam się w głos. Miał w sobie solidność, która sprawiała, że wszystko, co do tej pory zrobiłam, wydawało się niczym dzieło sztuki konceptualnej, które interesująco wygląda i dobrze brzmi, ale nie ma w nim nic, czego można by się uchwycić. Wolałabym pobierać opłaty w budce na autostradzie niż być artystką konceptualną.

Obsesją Eda Sheahana było położnictwo. W przeciwieństwie do nieudolnej gry na gitarze i uderzania w piłkę tenisową tak twardo i płasko, jak tylko się da, położnictwo mu wychodziło. Jeśli mieliśmy chwilkę wolnego czasu, jechaliśmy do Chiswick i spacerowali wzdłuż rzeki. Rozmawialiśmy o wszystkim – o naszych ambicjach, rodzinach, polityce, o przeszłości i przyszłości, i nigdy nie mogliśmy się zgodzić, co ważniejsze – medycyna czy sztuka, dawanie życia czy sprawianie, że warto żyć. On mówił, że sztuka to ozdoba, a nie konieczność. Ja mówiłam, że jest odpowiedzialny za

przeludnienie i wyczerpywanie się zasobów. On powiedział, ja powiedziałam. Spieraliśmy się, śmiali, zgadzali, nie zgadzali. Byliśmy razem.

Nie spał ze mną, bo miałam kości policzkowe jak drut do krojenia sera i loft w Camden. Nie spał ze mną, bo wiedziałam, czym się różni Duchamp od De Stijl, albo dlatego, że namalowałam miskę jabłek tak, że jak się na nie patrzyło, to człowiek niemal czuł, jak się w nie wgryza i smakuje ich sok. Z początku – szlag by to – prawie w ogóle ze mną nie spał. Za bardzo był wykończony swoim czterdziestogodzinnym tygodniem pracy i nieszczęsnymi egzaminami medycznymi.

Zasnęłam ponownie, dopiero gdy świt w kolorze metalowej płyty wypełził w szparę zasłony i obudziłam się dopiero po dziewiątej, wciąż wyczerpana czterogodzinną jazdą, częściowo bezseną nocą, cieniem lęku, który słał się po pustym miejscu w łóżku. Sięgnęłam po komórkę. Żadnych nieodebranych telefonów, żadnych wiadomości. Natychmiast wybrałam numer Eda, ale znowu usłyszałam irytujące kliknięcie i jego głos, głęboki i krzepiący: „Tu Edward Sheahan...” Odsłuchałam go i zostawiłam kolejną wiadomość, starając się, żeby nie brzmiała zbyt alarmująco. Napisałam kolejnego SMS-a: „Kochanie, gdzie jesteś? Zadzwoń, xx”.

Jeszcze w łóżku zadzwoniłam do Pete’a. Podejrzewałam, że nie odbierze, ale odebrał już po drugim dzwonku. Przeprosiłam, że dzwonię tak wcześnie, bo to rano po przyjęciu, ale powiedział, że od godziny sprząta. Głos miał pogodny, zdecydowałam się więc powiedzieć prawdę. Pete był uprzejmy i pewny siebie. Wiedział, czego chce, i wiedział, że Ed może mu pomóc to osiągnąć. Zadałam moje pytanie.

– Ed? – Moja nadzieja z miejsca zgasła. Zanadto był zaskoczony. – To znaczy?

– Wiesz, nie wrócił do domu i nie odbiera telefonów. Myślałam, że może wiesz, co się z nim dzieje.

– Nie, obawiam się, że nie. – Głos brzmiał rzeczowo, ale miał w sobie idealnie wyważony ślad troski, wystarczający, żeby okazać empatię, ale niewystarczający, żeby straszyć. Lekarze mają to wyćwiczone. – Prawdę mówiąc, nie za wiele z nim ostatnio miałem do czynienia. W zeszłym tygodniu byłem na kursie w Szpitalu Guya w Londynie, a wczoraj wziąłem wolne, żeby przyszykować imprezę. Na przyjęciu trochę rozmawialiśmy, ale nie o pracy ani niczym takim. A próbowałaś się dowiedzieć u niego w szpitalu?

– Jeszcze nie. Zaraz do nich zadzwonię. Myślałam, że może, no wiesz, odwołali go z przyjęcia do jakiegoś wypadku czy coś...

– Nie, w każdym razie o niczym takim mi nie wiadomo.

– Długo był?

– Hm, tak, zaskakująco długo. Wyglądało na to, że się dobrze bawi. Nie przypominam sobie, żebym wcześniej widział, że Ed wypił kieliszek, a co dopiero parę.

– Ed pił?

– Tak. Niepodobne do niego, wiem. Widocznie się rozkrochmalił.

– To super.

Staralam się, prawdopodobnie nie do końca przekonująco, żeby to zabrzmiało pozytywnie. Nie jest to zbyt miłe – dowiedzieć się, że jak tylko znikasz z pola widzenia, twój mąż z poważnego lekarza, abstynenta, zmienia się w balangowicza. Pete lekko zakaszłał.

– Oczywiście nie sugeruję, że myszy harcują, gdy...

Ed zawsze mówił, że Pete nie tylko ma wszelkie umiejętności zdolnego klinicysty, ale jest także gładki niczym aksamit.

– Oczywiście – podchwyciłam równie lekkim tonem. I naprawdę tak myślałam. Ostatni raz, kiedy Ed spojrzał na inną kobietę, miał miejsce na dzień przed tym, jak się poznaliśmy.

– Nie wiem dobrze, o której wyszedł. Nie widziałem, jak wychodził, ale na pewno nie był do końca. Ostatni raz widziałem go, jak rozmawiał z dziewczyną, która studiuje tu sztukę, Aramintą Lyall, i facetem, który jest marszandem w Londynie. Wyglądało, że bardzo są sobą zainteresowani. Chcesz, żebym spróbował się czegoś dowiedzieć?

– Hm, nie, jeszcze nie. Na pewno się okaże, że przyczyna jest zupełnie zwyczajna.

– Okej, w porządku. Na pewno jest tak, jak mówisz. Ale jakbyś chciała, to daj mi znać.

– Dzięki. Ach, no i gratulacje z okazji zdanego egzaminu. Na pewno bardzo się cieszysz.

Istotnie się cieszył, ale zanadto był wrażliwy, żeby to okazywać, gdy ja byłam w stresie. Zbyt sprawę byle czym i chwilę później się rozłączyliśmy. Zadzwoniłam do szpitala. Odebrała recepcjonistka o ciepłym dublińskim akcencie. Nie, o ile jej wiadomo, odkąd Ed wyszedł wczoraj wieczorem, jakoś tak koło siódmej, nie było od niego żadnej wiadomości.

Kiedy odłożyłam telefon, moje oko padło na zdjęcie Arthura zrobione

podczas wakacji w Hiszpanii, gdy miał sześć lat. Rozciągnięty w plastikowej łódce szczyrzył zęby w niechętnym uśmiechu, z tymi patykowatymi kończynami, cały w ostrych kątach, przypominający jakiegoś insekta. Na lekko opalonym ciele lśniły krople wilgoci. Wskoczył do łódki, gdy Nell, przykucnąwszy nad basenem, ustawiała ją pod odpowiednim kątem, żeby się opalać. Nie zdawał sobie sprawy – i nie widać tego na zdjęciu – że tuż za nim był pod wodą Ed, który za moment miał się wynurzyć i wyrzucić go z łódki, zmieniając furię Nell, też niewidoczną na zdjęciu, w triumfalny rechot: sprawiedliwości stało się zadość. Gdzie jest Ed teraz? Czy wynurzy się na powierzchnię? Dziewięta trzydzieści pięć. Za dwie i pół godziny zadzwonię na policję. Położyłam się na jego połowie łóżka i obserwowałam poruszające się po suficie ukośne linie światła.

Kiedy ktoś nieoczekiwanie znika, nie sposób powstrzymać najbardziej nieprawdopodobnych pomysłów, jakie przychodzą nam do głowy. Kiedy wyskoczyłam z łóżka, pomyślałam, że może Ed z jakiegoś powodu od razu po przyjęciu wyjechał w którąś ze swoich podróży albo na jakąś konferencję lekarską, albo żeby pracować pro bono w Trzecim Świecie. Ale jeśli tak, to czemu mi o tym nie powiedział? Czyżbym zapomniała? Już tak się kiedyś zdarzyło. Przepracowałam kiedyś całe przyjęcie. O siódmej powiedziałam Edowi przez telefon, że skończę tylko pewien szczegół i do niego dołączę, a kiedy ponownie podniosłam wzrok znad sztalugi, była północ, a Ed stał w drzwiach mojej pracowni. Czy mogło się to zdarzyć znowu? Przez ostatnie trzy tygodnie pracowałam jak szalona, po szesnaście godzin na dobę: wykańczałam portret Jean-Dominique’a Laborde’a na doroczny konkurs w dziedzinie malarstwa portretowego (monsieur Laborde przerwał, niestety, przedwcześnie sesję pozowania w Paryżu, bo musiał polecieć do Singapuru), kończyłam martwą naturę *Brzoskwinia, nóż, umarła róża* na wystawę RWA i robiłam przygotowania do portretu Julie Applegarth, co wymagało więcej pracy, niż można by pomyśleć, bo żeby malować Julie, musiałam też zrozumieć Raya. Więc nie można wykluczyć – po prostu – że Ed powiedział mi, że gdzieś wyjeżdża, a mój umysł po prostu tego nie zarejestrował.

Oczywiście, gdyby wyjechał w podróż związaną z pracą, wziąłby walizkę i ubrania. Zajrzałam więc do szafy, gdzie trzymał torby i walizki. Jak zwykle była tam kupa najrozmaitszych toreb, plecaków i plecaczków. Wyciągałam je po kolei i wreszcie natrafiłam na torbę podróżną. Westchnęłam. Ed nigdy bez

niej nie wyjeżdżał. A więc nie jest to wyjazd w związku z pracą.

Zajrzałam do szafy z ubraniami, ale trudno było powiedzieć, czy jakichś brakuje. Ed miał tyle koszul, że przypominało to scenę z filmu *American Psycho*. Co jeszcze mogło się zdarzyć? Coś w pracy? Coś, co przeoczyłam? Nasze małżeństwo nie zawsze było idealne – a czyje jest? – ale, odpukać, zupełnie dobre. Wszyscy byli zdrowi. Mieliśmy z Edem kontakt. Oboje wiedzieliśmy, że partnera trzeba kochać za jego wady. Za rzeczy dobre kochać może każdy. No i Ed nie był typem człowieka, który rzuca wszystko, żeby zacząć od nowa jako antykwariusz w Baton Rouge czy poeta strumienia świadomości w Popocatépetl. Ubrałam się i ruszyłam do kuchni.

Czekając, aż grzanka się przypiecze, a kawa przefiltruje, zdołałam przekonać samą siebie, że przejmuję się niepotrzebnie. Z pewnością istnieje jakieś zupełnie zwyczajne wyjaśnienie. Nie było niczym niezwykłym w przypadku Eda, że zostaje wezwany do nagłego przypadku. Zdarzało się, że trwał po dwadzieścia godzin, wszystko działo się na granicy życia i śmierci i nie zawsze był w stanie wyjść na zewnątrz, żeby sobie ot tak zadzwonić. Taki poród nie odbywa się według karty zegarowej. Możliwe też, że Irlandka z recepcji była nowa albo czegoś nie wiedziała, albo dopiero co przyszła do pracy, albo po prostu nie myślała jeszcze zbyt przytomnie w niedzielny poranek. Sprawdziłam czas w telefonie: dziewięta pięćdziesiąt siedem. Za dwie godziny dzwonię na policję. Po czym poszłam obudzić Nell.

Dla zabicia czasu i żeby oderwać umysł od wałkowania najgorszych scenariuszy poszłam pieszo do Clifton Village, żeby załatwić przyziemne sprawy, które dotąd odkładałam. Dzień był szary, pochmurny, chmury garbiły się jak zakapturzone nastolatki, powietrze było ciepłe i parne. Szłam pomiędzy straganami, pomiędzy kupującymi, którzy nie mieli innych trosk poza tym, żeby wybrać najlepszy kawałek wołowiny na stek czy najdojrzalsze awokado, i potrafiłam jedynie wyobrażać sobie rozmaite nieprawdopodobne wyjaśnienia i błagać istoty wyższe, w które nawet nie wierzyłam, bym mogła znowu skarżyć się na Eda, że gra tę samą piosenkę o trzy tony za głośno i o trzy tysiące razy za często, czy że swój brudny sprzęt sportowy zostawia na podłodze w łazience. Widziałam go wszędzie: jak wbiega do sklepików, jak znika za rogiem, z włosami odrzuconymi do tyłu, zaróżowionymi policzkami, oczami szarymi i łagodnymi, i rozbawionymi, polegający wyłącznie na sobie w stopniu granicznym z osamotnieniem. W Zostań Wege kupiłam pieczarki i

szparagi, żeby zrobić na lunch jego ulubione risotto. Cały czas jednak sprawdzałam telefon, a ciężar w piersi narastał.

O dziesiątej pięćdziesiąt dwie zastanawiałam się, czyby nie pójść do Cliftońskiego Szewca, żeby kupić Arthurowi szkolne pantofle, albo do kwiaciarni na ulicy Waterloo, żeby zagubić się w kolorach i aranżacjach, gdy usłyszałam jakiś głos:

– Alice?

Odwróciłam się. Pod zblakłą markizą jubilera stała drobna kobieta mniej więcej w moim wieku. Miała na sobie granatowe ogrodniczki i martensy do pół łydki. Krótkie włosy rozjaśnione były wodą utlenioną. Z ramienia zwisała płócienna torba z nadrukiem „Oxfam”.

– Alice?...

– Tak?

– Cześć! Jestem Lucy Rennell. Ze szkoły. Pamiętasz?

Zaledwie usłyszałam „Lucy”, wiedziałam, kim jest. Pomimo że rysy twarzy jej zgrubiały, a policzki się zaokrągliły, tak jakby szczurek z kreskówki zmienił się w mysz, zachowała dawną zabiedzoną sylwetkę i niepewne spojrzenie. Spałyśmy w jednej sypialni. Nigdy nie byłyśmy ze sobą zbyt blisko, ale zawsze się lubiłyśmy.

– Lucy! Co ty tu robisz?

Mówiąc to, modliłam się w duchu, żeby nie powiedziała, że mieszka w Bristolu. Nie miałam kontaktu z dziewczynami ze szkoły, nie dlatego, żebym ich nie lubiła, tylko po prostu moje życie potoczyło się inaczej. Za nic bym nie chciała, żeby Lucy Rennell mieszkała sto metrów ode mnie i zabierała mnie z powrotem w przeszłość. Jeśli jesteś artystką, masz iść naprzód, a nie się cofać.

– Przyjechałam do mojej bratanicy. Właśnie zaliczyła pierwszy rok na bristolskim uniwerku.

Kiwnęłam głową, starając się, żeby moja ulga nie była zbyt widoczna. Natychmiast przypomniało mi to Eda i zdałam sobie sprawę, że dopóki się nie pojawi, o żadnej uldze nie może być dla mnie mowy.

– A ty co tu robisz? – spytała.

– Ja... to znaczy... – Straciłam koncentrację. Każdy by stracił w sytuacji, gdy ktoś niewidziany od dwudziestu lat zadaje ci jakieś pytanie, a ty myślisz o tym, dlaczego zniknął twój mąż.

– Mieszkasz tu?

Wróciłam do rzeczywistości.

– Tak... tak. O tam, trochę poniżej.

– To super. Jesteś zamężna?

Kiwnęłam głową. Skoro jest tu tylko z wizytą, mogę sobie pozwolić na życzliwość. Streściłyśmy sobie nawzajem swoje życie, dwadzieścia lat nadziei, miłości, pracy sprowadzone do paru prostych obrazów. Lucy pracowała jako wolontariuszka w najbardziej zapalnych punktach świata. Zawsze chciała robić coś dla innych.

Wciąż widywała się z dziewczynami ze szkoły. Przeleciała ich imiona, dziewczyn, które pamiętałam, ale nie myślałam o nich od lat. Jeśli mieszkasz na ogół za granicą, to twoje życie w Anglii zastyga w chwili wyjazdu. W przypadku Lucy był to dzień, w którym skończyła szkołę i poszła pracować w Lekarzach bez Granic w Nigerii. Wydawałam odpowiednio zaangażowane dźwięki. Moje dawne szkolne koleżanki zostały nauczycielkami, pielęgniarkami, menedżerkami w bankach, żonami, matkami, właścicielkami butików, przedsiębiorczyniami małego biznesu, niedzielnymi malarkami, wypiekały domowy chleb na sprzedaż, jeździły konno. Nazwiska sypały się z jej ust, a ja szykowałam się na nieuniknione pytanie: „Widujesz się z kimś ze szkoły?”

– Właściwie to nie. – Zmarszczyłam brwi, jak gdyby próbując zrozumieć, dlaczego tak się dzieje.

– Oprócz Marnie Latham.

– Marnie Latham? Nie, z całą pewnością nie miałam kontaktu z Marnie Latham.

Spoważniała.

– Ani razu?

– Ani razu.

– Zabawne.

– Dlaczego?

– Bo parę lat temu wpadłam na nią w Londynie. Łapałyśmy tę samą taksówkę. I podczas wspólnej jazdy pogadałyśmy. Była bardzo miła, tak jakby nic się nie wydarzyło, ale nadal, bo ja wiem, troszkę dziwna. Podobno odniosła sukces jako projektantka mody gdzieś na północy... – Spojrzała uroczym samokrytycznie po swoich ogrodniczkach. – Tak czy owak, powiedziała, że nie ma kontaktu z nikim poza tobą.

– Jesteś pewna?

– Ależ tak. Bo pamiętam, jaka byłam zdziwiona, biorąc pod uwagę, co się stało. To ona mi powiedziała, że jesteś artystką.

– Cóż, to dziwne, bo mogę ci dać słowo, że nie widziałam się z nią od dnia, kiedy wyjechała. I nie rozstałyśmy się w zbyt dobrych układach.

Marnie Latham. Czy powinnam zaczerpnąć odrobinę przyjemności z faktu, że nadal o mnie myśli? Nie rozmawiałam z nią od dwudziestu lat.

Lucy przegarnęła włosy dłonią, stawiając je na punka.

– W takim razie to rzeczywiście dziwne, ale w jakimś sensie...

– Tak?

– W jakimś sensie to by się zgadzało. To znaczy, tak właśnie ją pamiętam ze szkoły. Zawsze była kłamczuszką.

O jedenastej siedemnaście wysliznęłam się Lucy, która z entuzjazmem proponowała, żebyśmy wpadły na kawę – „Niestety muszę odebrać Arthura, ale jakbyś była jeszcze kiedyś w Bristolu...” – i siedziałam oto w Coffee1, wyciskając o brzeg filiżanki torebkę herbaty cytrynowo-imbrowej i odliczając minuty. Przy sąsiednim stoliku jakiś mężczyzna z potarganą czupryną, w hippisowskich koralikach, wisiał na telefonie, pytając kolejno armię ludzi, czy nie napiliby się z nim chai latte, i opowiadając o swoim nowym życiu podzielonym między Bristol a Glastonbury. „Mam rzeczywistość Glastonbury i rzeczywistość Bristolu” – powtarzał każdemu. Nie było żadnych chętnych. Zaczynała mnie już nużyć ta jego bristolska rzeczywistość, kiedy zadzwonił mój telefon. Spojrzałam na ekran i musiałam stłumić okrzyk.

Przyłożyłam telefon do ucha. Cisza. Z jakiegokolwiek miejsca na świecie dzwonił, z miękkiej, aksamitnej bezdźwięczności, która zawsze poprzedzała pierwsze słowa Eda, wiedziałam, że to on. Była to cisza zawierająca mnóstwo możliwości – oczekiwanie, rozpoznanie, przybycie – całkiem jak przerwy między ścieżkami na starej płycie winylowej, gdzie każde zadraśnięcie było momentalnie rozpoznawalne, jakby stanowiło część akordu, który miał nadejść.

– Kochany! Gdzie jesteś? Wszystko w porządku?

– Tak. – W głosie było wyczerpanie.

– Ale gdzie jesteś?

– W drodze do domu.

– Skąd? Z pracy?

Chciałam zadać milion pytań, ale nic już nie było ważne. Był bezpieczny!

– Tak i nie. Ze Stokes Croft.

– Ze Stokes Croft? Jak tam trafiłeś?

Stokes Croft to brama wjazdowa do St. Pauls, dzielnicy, gdzie przez cały rok puszcza się fajerwerki, poziomo, zwykle w stronę policji. To miejsce, gdzie mają swoje studia artyści, rozkwitają wegańskie knajpki, w opuszczonych budynkach kiełkują coraz to nowe squaty, siedziba alternatywnych nocnych klubów i rozmaitych grup protestu. Stokes Croft jest tak odległe od naturalnego środowiska Eda czy od szerokich tarasów Clifton, jak tylko jest to możliwe, i geograficznie, i kulturowo.

– No wiesz, trochę zabałagałem u Pete’a. Właściwie to nie wiem, jak do tego doszło. Chyba po prostu byłem kompletnie wyczerpany i to wszystko było takie... takie nieoczekiwane. To znaczy w ogóle nikogo tam nie znałem.

– Nikogo?

– Nikogo osobiście. Wszystko to były artystyczne typy z Londynu. Miranda, dziewczyna Pete’a, jest scenografką. Myślę, że Pete poznał ich przez nią.

– To jak to się stało, że tak długo zostałeś?

– Chyba po prostu speszyło mnie to wszystko. Zawsze myślałem, że Pete mieszka w zwykłym obskurnym wynajętym pokoju...

– Który ostatni raz był sprzątny przez Hipokratesa! – Znowu byłam radosna. Gotowa dowcipkować.

– Właśnie. Ale to nie był nawet wynajmowany do spółki dom. To był gigantyczny apartament w jednym z tych dawnych magazynów, wychodzących na rzekę. Musiało tam być ze sto pięćdziesiąt osób. – Wyobraziłam sobie Eda w otoczeniu artystycznej śmietanki, kobiet i mężczyzn, znikających co jakiś czas w łazience i pojawiających się na nowo, rozmawiających coraz szybciej i coraz bezładniej. Wyobraziłam sobie kieliszki szampana, sztukę abstrakcyjną, czarne koktajlowe sukienki. Soho przeniesione w okolice kodu pocztowego BS1. Ed musiał się czuć jak dziecko z baśni, wchodzące do lasu. – Tak czy owak, miałem właśnie wyjść, kiedy dopadł mnie w jakimś kącie Pete i zaczął mnie każdemu przedstawiać jako swojego mistrza i najlepszego położnika na świecie, i...

– Uderzyło ci do głowy?

Bristol-Glastonbury za mną funkcjonował we własnym rytmie. Wargi się poruszały, oczy miał zamknięte.

– Nie... no dobrze, może trochę. – Słyszał kpinę w moim głosie. – Wszyscy byli bardzo mili, tak trochę po trzydziestce, i wszyscy chcieli wiedzieć, jaki Pete jest w pracy, a niektórzy słyszeli też o tobie, więc kiedy powiedziałem, że wychodzę, to powiedzieli, żebym przestał przynudzać, i nie wiem... chyba nagle złapałem wiatr w żagle, a że to było tak kompletnie odmienne, a ja

byłem po drinku na rozbudzenie... to chyba straciłem rachubę czasu.

Zaskoczenie mieszało się w jego głosie z zakłopotaniem. Wiedziałałam z własnego doświadczenia, że jego nieśmiały, poważny sposób bycia może się okazać szalenie uwodzicielski, pociągający, bo egzotyczny w swojej odmienności. Ed miał szare, życzliwie patrzące oczy, szerokie usta o miłym wyrazie i delikatnych wargach, palce zegarmistrza i rozwichrzoną blond czuprynę, którą zawsze odgarniał z czoła. Mierzył niecałe metr osiemdziesiąt, był dobrze zbudowany, barczysty, i emanowała z niego spokojna, lecz niewzruszona pewność siebie. Był mężczyzną, któremu kobiety powierzały to, co mają w życiu najcenniejsze. Nie mogłam się irytować.

– Nie przejmuj się, kochany, to się nazywa bibka. Prawie każdemu się to zdarza od czasu do czasu. – Mogłam sobie pozwolić na niedbały ton. – Czyli Stokes Croft.

Ed stęknął, tak jakby po raz pierwszy doświadczał katastrofalnych skutków kaca.

– Bóg jeden wie, jak się tam dostaliśmy. Wylądowaliśmy w pięcioro czy sześcioro w mieszkaniu tej dziewczyny. Nie pamiętam, jak się nazywała. Annabel coś tam. Zaledwie się tam znalazłem, wiedziałem, że to zły pomysł.

– To czemu po prostu nie wzięłaś taksówki i nie wróciłaś do domu?

– Próbowałem, ale kierowca odjechał, kiedy się żegnałem, a innych w okolicy nie było. Telefon zostawiłem w pracy, więc żeby wezwać następną, musiałem wrócić do mieszkania tej dziewczyny, no i oczywiście przekonali mnie, żebym został na jeszcze jednego drinka, czego bym na pewno nie zrobił, gdybym już nie był kompletnie pijany. Następna rzecz, którą pamiętam, to że się budzę w fotelu, z głową jak z ołowiu. To było jakieś półtorej godziny temu. Pojechałem taksówką do pracy, wziąłem telefon i teraz idę do domu. Będę za dwadzieścia minut... i chyba będę się musiał położyć.

Jęknął, cmoknął w charakterze pocałunku i się rozłączył. Wyobraziłam go sobie, jak idzie ulicą Highbury Vaults, z pękającą głową, usiłując zrozumieć, co się właściwie stało.

Poczułam się dobrze. Nic się nie stało. Niedługo będzie w domu. Mężczyzna sprzedający na zewnątrz „Big Issue” przeszedł przez jezdnię od swojego stanowiska pod Lloyds ATM do innego, pod Co-op. Pracował długie godziny i zawsze nosił to samo ubranie, zimą i latem. Patrzyłam, jak gawędzi z przechodniem, którego grube brwi i lśniące ciemne włosy przypominały mi Petera Spurlinga, i nagle zdałam sobie sprawę, że nie spytałam Eda, dlaczego wrócił na Stokes Croft.

3

W poniedziałek, po odwiezieniu Nell i Arthura do szkoły, szłam właśnie po schodach do mojej pracowni, gdy zadzwonił w niej telefon. Zawahałam się, myśląc, czyby go nie zignorować, ale byłam w domu sama. Od dzieciństwa, o ile tylko było to możliwe, unikałam odbierania telefonów. Nie lubiłam tego, że trzeba podnieść słuchawkę i rześkim głosem powiedzieć „halo”, nie mając pojęcia, kto jest z tamtej strony i czego chce. Przez tę sekundę, czy ile tam było trzeba dzwoniącemu, żeby się przedstawić, było tak, jakbym zwisała z wysokiego budynku nad zgromadzonym w dole tłumem. Czułam się zbyt odsłonięta. Z tego też powodu nigdy nie zgodziłabym się pozować do portretu, co może się wydawać hipokryzją, ale co robić. Nie cierpię, jak na mnie patrzą. Nie cierpię być odsłonięta. Na pewno nigdy bym nie pozowała sobie samej. Być malowaną to jak stać przed plutonem egzekucyjnym. Światła są na ciebie. Całą resztę – strzelby, świadków, artystę – kryje cień. Nie ma gdzie się schować.

– Halo?

Milczenie. Dyndałam na sznurku jak marionetka. Wreszcie odezwał się kobiecy głos, dość młodzieńczy, o intonacji świadczącej o dobrym pochodzeniu.

– Czy zastałam doktora Sheahana?

– Nie, nie ma go w tej chwili. Czy coś mu przekazać?

– Hm... nie, nie, dziękuję.

W głosie było poczucie wyższości, tak jakbym była pomocą domową.

– Przekazać mu, kto dzwonił?

– Hm... nie, nie trzeba. Czy nie wie pani, gdzie go mogę zastać?

Od czasu do czasu dostajemy takie telefony od ciężarnych kobiet, które dzwonią do Eda do domu. Nie powinny. Większość lekarzy położników nie udostępnia numeru domowego, ale Ed nie jest większością.

– Może w pracy? – Staralam się, żeby w moim głosie nie było sarkazmu.
– Ach, rzeczywiście, spróbuję go tam znaleźć. Przepraszam, że zawracałam pani głowę.

– Czy jest pani jego pacjentką?

Pauza.

– Nie. – Dłuższa pauza. – Pracuję w organizacji charytatywnej. Medycznej. Podano mi jego nazwisko jako osoby, która może pomóc w tym wypadku.

– A jaka to organizacja?

– Och, niewielka. Na pewno pani o niej nie słyszała.

Normalnie bym nie dociekała, ale w jej arbitralnym tonie, starannej dykcji i unikaniu konkretów było coś, co pobudziło moją ciekawość.

– Proszę zaryzykować.

– Nie, to nic takiego, proszę się nie przejmować. W każdym razie dziękuję i przepraszam za kłopot. Zadzwońię do doktora Sheahana do szpitala. Do widzenia.

Miałam odpowiedzieć „do widzenia”, ale się rozłączyła. Pomyślałam, że to dziwne – pracować w medycznej organizacji charytatywnej i nie wiedzieć, że kiedy lekarz zostaje chirurgiem, to wracamy do mówienia o nim per „pan”, zamiast tytułować go doktorem. A jeszcze dziwniejsze w przypadku kogoś, kto prosi o wybaczenie, że nadużył czyjejś grzeczności.

Po południu, gdy wracałam do domu po odebraniu dzieci, zastałam pod drzwiami bukiet lilii. Arthur świadomie je minął, choć miał puste ręce, a ja niosłam dwie torby zakupów spożywczych. Dołączona karteczka informowała tylko, że są dla Eda od ML xxx. Zabrałam je do kuchni, żeby wstawić do wazonu.

W naszym domu zawsze było pełno kwiatów. Wnoszą tyle koloru i życia! Często kupowałam je na targu, żeby je rysować lub malować, jeśli nie szykowałam się do jakiegoś zamówienia, albo żeby mi po prostu przypominały Highlands, gdzie się wychowywałam, tamten dom na odludziu na skraju Dartmoor^[4]. Zdarzało się też, że przysłała kwiaty jakaś świeżo upieczona mama albo dumny tata, jeśli nas znali albo jeśli był to poród z komplikacjami. Nie zdarzało się jednak, żeby nadawca nie dołączył jakiejś łzawej dziękczynnej karteczki. Nietypowe było też przyniesienie kwiatów własnoręcznie i pozostawienie ich pod drzwiami. Bądź co bądź, jeśli ktoś zadaje sobie trud, żeby kupić kwiaty i samemu je dostarczyć, to w zasadzie

dlatego, że chce osobiście podziękować Edowi, Dawcy Życia.

„ML xxx”

Przecież nie mogą chyba pochodzić od Marnie Latham? Za dużo by było tych zbieżności. Niemniej wkrótce po spotkaniu z Lucy znowu pojawiły mi się w głowie te inicjały. To niepokojące – wiedzieć, że o mnie myśli, ale nie próbuje się skontaktować. Gdyż w szkolnych czasach bezwzględnie była moją najlepszą przyjaciółką. Jej przenikliwa intuicja i odmowa kłaniania się w pas podniecały moje przeżywanie świata. Jej energia unosiła mnie jak tancerkę na szczyt możliwości.

Później całymi latami widywałam na ulicy to błysk czarnych włosów, to węzowy ruch bioder albo usta w stylu Roya Lichtensteina, albo słyszałam manchesterski akcent i musiałam sprawdzić, czy to nie ona. Nie, nigdy. W chwili gdy zobaczyłam oczy, miałam pewność. Marnie mogła zmienić wszystko oprócz oczu.

Chlusnęłam trochę Côte de Beaune, które dostaliśmy od świeżo upieczonego ojca, do kipiącego tajskiego curry, nie zasługującego na wino tej jakości, i odwróciłam się.

– Miałam dzisiaj objawienie – powiedziałam.

Ed siedział w pomarańczowym fotelu w kącie kuchni z balansującym na poręczy kubkiem herbaty, na którym widniały cztery sitodrukowe Marilyn Andy’ego Warhola. Lakonicznie uniósł brew. Moje objawienie nie dotyczyło nauk klinicznych. Nie ogłoszę, że znalazłam Boga.

– Na temat Jacksona Pollocka.

Ed mrugnął, tak jakbym była niesfornym dzieckiem.

– Wiesz, nagle zdałam sobie sprawę, że Pollock był człowiekiem, który uchwycił pewien szczególny moment, kiedy wszystko się zmienia. Przez tysiąc lat artysta umieszczał płótno na sztaludze i patrzył na to, co jest za nią, żeby pokazać świat, który widzi. Nawet Picasso i moderniści, wszyscy oni szukali rozmaitych sposobów oddania świata widzialnego. Ale Pollock nie. Nie interesowało go malowanie rzeczywistości fizycznej. Interesowała go wyłącznie rzeczywistość psychologiczna. Więc zdjął płótno ze sztalugi i położył je na ziemi – nie potrzebował przecież na nic patrzeć – i chlapał na nie farbą. Dosłownie wylewał duszę na płótno. Tak jakby mówił: „Nie maluj tego, co widzisz, maluj to, co czujesz; nie patrz na zewnątrz, patrz do wewnątrz”. Tak czy owak, uświadomiłam sobie, że był to moment, kiedy sztuka zaczęła

mówić raczej o „ja” artysty, niż o społeczeństwie. Tak więc uważam, można od tego momentu poprowadzić – narysować albo polać! – linię przez Salingera, Kerouaca i hippisów aż do łóżka Tracey Emin^[5] i selfie, i całej współczesnej kultury skoncentrowanej na „ja”, w stylu *Mam talent*. W tym jest uchwycona atomizacja społeczeństwa, kryzys rodziny i tak dalej.

Nastąpiła pauza. Ed czekał, czy powiem coś jeszcze. Kiedy zdał sobie sprawę, że skończyłam, ściągnął brwi, jakby sprawdzał to twierdzenie z każdego punktu widzenia. Pogodnie tolerował to, co uważał za moje teorie i entuzjazmy, ale zanadto był praktyczny, aby się angażować. Czy teoria sztuki zrobiła kiedykolwiek coś użytecznego?

– Czy wyjaśnia to kryzys twojej rodziny?

– Przestań! Mówię poważnie.

W drzwiach pojawił się Arthur.

– Mamusiu?

– Nie teraz, kochanie. Właśnie rozmawiam z tatusiem. Za chwilę.

– Ale...

– Za chwilę.

Arthur znikł.

– Nie, to ciekawe, podoba mi się. – Rozciągnął usta w oszczędnym uśmiechu. – Dobrze wiedzieć, że twój dzień nie poszedł na marne.

Zdarza się, że bycie żoną kogoś takiego jak Ed jest niebywale frustrujące. To te przypadki, kiedy milej byłoby mieć za męża kogoś, kto uchwyciłby jakiś pomysł oburącz i nie spał całą noc, paląc gauloisy bez filtra i pijąc tanią rioję. Ilu jednak z tych typów miałoby zarazem w sobie tę wielkoduszość, dzięki której mogę latać? Są sytuacje, kiedy niewzruszony spokój i opanowanie Eda budzą we mnie chęć, żeby wyc jak kojot, ale to dzięki tym właśnie cechom może wykonywać swoją pracę. Zaakceptowałam zakończenie tematu, czytelnie w jego drwinie.

– Ale, ale, dzwoniła dziś do ciebie jakaś kobieta z jakiejś fundacji?

– Jakaś kobieta z jakiejś fundacji? – Jego ton był lekki, ironiczny. – Nie. W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo.

– To dziwne. Sprawiała wrażenie, że jej bardzo pilno, żeby cię złapać.

– Może rozmawiała z kimś innym ze szpitala?

– Pewnie tak. Choć wyglądało, jakby jej zależało właśnie na rozmowie z tobą.

– A jaki miała głos?

– Dość młody. Dobra dykcja.

Ed wzruszył ramionami.

– Za ile będzie kolacja? Bo muszę załatwić jeden telefon.

Zerknęłam na curry.

– Dziesięć minut?

– W porządku, dziesięć.

Pocałował mnie w skroń. Z otwartego okna wionął ciepły powiew. Puf, na którym siedział Ed, powoli się rozpręzał. Ed wziął telefon ze zwykłego miejsca obok miski z owocami i ruszył na dół, do podpiwniczenia, żeby zadzwonić.

– Nie możesz spać?

Podniosłam wzrok znad sztalugi. W drzwiach mojej pracowni, mieszczącej się na ostatnim piętrze, wsparty o framugę stał Ed. W piżamie w białoczerwone paski, trzymał w ręce szklanekę wody. Znałam te oczy, ciemnoszare, w odcieniu łupku, lepiej niż ktokolwiek inny. Kiedy zaczęliśmy się spotykać, pozował mi, kiedy tylko mógł, choć nieczęsto. To właśnie przy malowaniu Eda zrozumiałam, że maluje się raczej nie samo oko, lecz światło w oku. Widziałam teraz, że jest wyczerpany, ale nie może spać i nie wie, jak sobie z tym poradzić, bo nie jest do tego przyzwyczajony. Uśmiechnęłam się ze współczuciem. Co do mnie, to często malowałam w nocy, kiedy miałam jakiś pomysł i nie mogłam go wyrzucić z głowy, ale Ed, odkąd go tylko poznałam, spał jak niemowlę.

– Uhm.

– Ja też.

Rozejrzał się po pokoju. Rzadko pojawiał się w mojej pracowni. Uważał ją za coś w rodzaju jaskini czarodzieja i wydawało mu się, że wtargnięcie może zakłócić delikatny ekosystem czy tajemniczą alchemię, jaka się tu odbywa. Moja pracownia zawsze była nieposprzątana, żeby nie powiedzieć – slumsowata. Ed powiódł spojrzeniem od miejsca, gdzie stałam przy sztaludze, przez pochłapaną farbami umywalkę, metalowy wózek z paletą, pędzlami w słoikach po dżemie, farbami olejnymi i tubkami akryli, półkę wypchaną monografiami i katalogami dzieł wszystkich, powieściami i opowiadaniem Saltera, Fitzgeralda, Carsona McCullera, grammi językowymi i poezją obrazu, przez wsparte o ścianę „odpoczywające” (nigdy porzucone!) płótna, przez *Artystkę ze sznurkowym koszykiem*, pierwszy i jedyny autoportret, jaki kiedykolwiek namalowałam, kartki z reprodukcjami herosów – Rembrandta,

Goi, Velázquez, Motherwell, mistrzów czerni – wiklinowy fotel w stylu van Gogha, minus fajka i tytoń, i z powrotem do sztalugi, gdzie wyłaniał się ołówkowy kontur martwej natury, z próbką koloru z tyłu.

– Przyjemne kwiaty.

– Ktoś je zostawił pod drzwiami. Jakiś czy jakaś ML.

– Emel? Emily?

– M kropka, L kropka. Bez żadnej wiadomości, tylko trzy całusy. Masz jakieś pomysły?

Ed zmarszczył brwi.

– Żadnych.

– No dobrze, czy ostatnio urodziła dziecko jakaś kobieta o nazwisku na L?

– Hm... poczekaj... może to Langtonowie? – Kiwnął głową, jakby dla wsparcia własnego przekonania. – Tak, to muszą być Langtonowie. Jeremy i Jemima. Właśnie urodził im się chłopczyk, Jules, wyobraź sobie. Kto by pomyślał, że potrzebne im jest jeszcze jedno J w rodzinie.

Jemima Langton. Była przy naszym stoliku na tamtym dobroczynnym wieczorku w szkole, na który nas zaciągnięto. To ona była wyznaczona na kierowcę, jej mąż, w garniturze w prążki, zajmujący się wynajmem powierzchni handlowych, był wstawiony. Przedstawiła się jako pacjentka Eda.

– Dlaczego ML?

– Mima. Ona mówi o sobie Mima.

Wyjął jeden z pędzli i strzepnął sobie krople na dłoń.

– A czemu się nie podpisała w imieniu obojga? Albo całej trójki? Wystarczyłoby jedno wielkie J.

Ed wzruszył ramionami.

– Skąd mam wiedzieć? Może zapomniała. Świeżo upieczonym matkom się zdarza. A może to ty zapomniałaś?

W środowy wieczór miałam spotkanie klubu książki. Odebrałam Arthura z urodzinowego przyjęcia Richiego Railtona i podałam im z Nell herbatę. Ponieważ był to pierwszy tego lata piękny, pogodny dzień, zostawiłam Edowi, który esemesował, że wróci późno, trochę zimnego kurczaka i sałatkę z pomidorów i cebuli i ruszyłam na Sion Hill. Spokojne, złotozielonkawe światło popołudnia kładło się po trawiastym zboczu, wychodzącym na most, po georgiańskich budynkach z ich wysokimi oknami i kutymi żelaznymi balkonami. Wzięłam ze sobą katalog z wystawy Cy Twombly⁴⁶, bo miałam

ochotę podelektować się jego różami. We wtorek Ed też pracował do późna i dlatego nie dotrzymał złożonej z własnej woli obietnicy, że przyrządzi kolację. Kiedy wrócił, po prostu zniknął w swoim gabinecie. Chciałam też spędzić trochę czasu bez Arthura. Miał w szkole kłopoty i był okropnie męczący. Wepchnął Alfiego Warburtona do stawu. Było mnóstwo rozmaitych „on powiedział, ja powiedziałem, on zrobił to, więc ja zrobiłem tamto” (w swoim mniemaniu Arthur był niewinny, jak zawsze). Nie słuchałam. Alfie Warburton to rozrabiaka, ale Arthur musi się nauczyć, że gwałt rodzi gwałt, a następnie karę. Postanowiłam więc, że wyjdę, położę się na trawie i będę się rozkoszować blaskiem późnego słońca i delikatnością pędzla Twombly’ego, dopóki nie przyjdzie czas, żeby ruszyć przez Christchurch Green do klubu książki.

W klubie łącznie ze mną było osiem osób. Stanowiły dziwny zbiór, z większą niż zazwyczaj liczbą mężczyzn. Nie pytajcie mnie, jak tu trafili. Ja dołączyłam późno i właśnie ta przypadkowość składu wydała mi się pociągająca. John był emerytowanym dyrektorem szkoły przygotowawczej. Neil robił coś w programach komputerowych. Peter zajmował jakieś stanowisko w City. Fiona miała obsesję na punkcie fitness i bez przerwy mówiła o muskularnym Greku imieniem Costas, który ją przećwiczył na siłowni Redland. Sarah, w której kuchni stylizowanej na pub siedzieliśmy tego wieczoru, była znudzoną żoną: mąż przez połowę tygodnia był w Londynie, a dzieci wyjechały na studia. Geraldine była rzeczową lekarką rodzinną ze Szkocji. Diana zajmowała się skutecznie sprzedażą detaliczną, co oznaczało, że mówiła raczej o „zagęszczeniu sprzedaży” i „kliknij i zbierz”, niż o staromodnych sprawach typu sprzedawanie rzeczy, które ludzie chcą kupować. Nie było jej tego wieczoru. No i byłam jeszcze *moi*.

Sarah podała bardzo gorącą zupę, a do tego chleb i ser, oliwki, brownie i ciepłe wino Côte du Rhone. Zupa była z groszku i szynki, w kolorze podświetlonej trawy. Żyłkowy niebiesko ser Dolcelatte był dojrzały niż Hamlet Gielguda. Przypominał mi zgrzybiałe dłonie babci Querry, jak grzała je o szklaneczkę sherry w bawialni w Highlands; w tle, za nią, jedwabne firanki były żółkłe od jej dymu, a lustro w ozdobnej złoczonej ramie miało w rogach czarne plamki, tam gdzie odpadła warstewka srebra.

Neil odwrócił się w moją stronę, jak zawsze nachylając się za blisko. Jego oddech czuć było serem.

– Widziałem dzisiaj Eda – powiedział, wpatrując się we mnie podbarwionymi na niebiesko okularami.

– O – powiedziałam tylko, bo nie znoszę, kiedy ktoś narusza moją przestrzeń.

– Na Stokes Croft. W porze obiadu.

Myślałam właśnie, że nie jest to najbardziej inspirująca rozmowa, jaką w życiu prowadziłam, kiedy przyszło mi do głowy, że skoro Neil widział tam Eda, to jest to drugi raz, kiedy Ed poszedł tam w ciągu mniej niż tygodnia. Czy to zaskakujące? Nie był tam od lat, ale prawdopodobnie istnieje jakieś proste wyjaśnienie. Zawsze tak było z Edem.

– Czy... czy robił coś konkretnego?

– Nie. Po prostu szedł. Ja byłem w samochodzie. Rozpoznałem go, przejeżdżając.

– Rozumiem. I?

Neil oblizał wąskie wargi. Język miał żółty od nikotyny. Czy on próbuje mi coś powiedzieć?

– Po prostu... po prostu to było zabawne widzieć go w takim miejscu.

– Może go do kogoś wezwali? – Miałam zamiar sięgnąć po brownie, ale uznałam, że nie. Za dużo pracuję, żeby pozwolić sobie na więcej ćwiczeń. – Tam też się rodzą dzieci.

– Po prostu wyglądał trochę nie na miejscu. Wiesz, jak tam jest. Trudno spotkać mężczyznę w garniturze idącego pieszo.

– To nie Teksas.

W zamierzeniu był to żart, ale Neil spojrzał na mnie kwaśno. Miał śmiesznie cienką skórę. Ilekroć miałam inne stanowisko w sprawie książki, którą czytaliśmy, a miałam często, zawsze odbierał to osobiście. Przestałam się sprzeciwiać. Są ludzie, z którymi nie sposób nawiązać kontakt.

– Tak tylko mówię, wiesz – powiedział, trochę zły. Zanim zdołałam coś odpowiedzieć, Fiona zabębniła palcami w stół.

– No, to kto zaczyna?

Był to stary dowcip. Zawsze zaczynał John. Był dyrektorem. A do tego czytaliśmy niepublikowany rękopis napisany przez jego bratanek. Rozejrzał się z powagą, jakby właśnie miał pouczyć zebranych na apelu uczniów szkoły podstawowej, dlaczego nie należy biegać po korytarzu. Z uszu i nosa wyrastały mu dyrektorskie włosy, na łokciach tweedowej marynarki miał owalne skórzane łąty. Nosił czarne sznurowane półbuty, lśniące jak maska nowego samochodu, i był właścicielem domku letniego w Padstow.

John naszkicował zarys fabuły – zawsze to robił, nawet jeśli czytaliśmy daną książkę – i zaproponował różne tematy. Fiona, jak zawsze, odrzuciła jego

interpretację. Peter, jak zawsze, się z nią zgodził, choćby tylko po to, żeby zdenerwować Johna. Neil robił notatki zielonym atramentem. Ludzie, którzy używają zielonego atramentu, często uważają się za indywidualistów. Z reguły są utrapieniem dla otoczenia. Założę się, że Oscar Wilde używał zielonego atramentu, tak samo Rupert Brooke czy Jim Morrison. Tyle że Neil nie był Oscarem Wilde'em, a tym bardziej Jimem Morrisonem. Był Neilem. Geraldine udzieliła Johnowi fachowego wsparcia. Dyskusja zesłała do podgrup. Wyglądało niemal na to, że tak wola.

Wróciłam do domu po jedenastej i cisnęłam klucze do koszyka na marmurowej półce koło drzwi. Obok leżała komórka Eda. Normalnie zabierał ją do sypialni, żeby być pod telefonem w razie nagłego wypadku, pomimo że był już poza dyżurem. Podniosłam ją, żeby zanieść na górę. Od niechcenia przycisnęłam klawisz spacji i ukazało się „odblokuj”. Wpisałam jego hasło, ale się nie odblokowało. Grube palce? Moje palce są cienkie jak malarski pędzel. Jeszcze raz wstukiałam hasło. Znowu nic. Skupiłam się i wybrałam hasło z przesadną starannością. Ed używał wszędzie tego samego hasła, odkąd w ogóle hasło stało się potrzebne. Telefon, bank, laptop, klub tenisowy, Amazon, koleje First Great Western, co tylko chceć, wszędzie było takie samo: nazwa jakiegoś zespołu-dinozaura, który występował w latach 70., plus 99 albo 999, kiedy to konieczne. Wcisnęłam „enter”. Nic z tego. Dziwne. Gdyby mnie ktoś pytał, powiedziałabym, że Ed nawet nie wie, jak zmienić hasło. Musiał poprosić o pomoc Arthura. Ruszyłam na górę z dziwnie tykającym umysłem. Coś wydawało się nie całkiem tak, ale nie wiedziałam co.

Nie zatrzymałam się przed naszą sypialnią, wśliznęłam się do Nell. Księżyc w pełni zalewał pokój srebrzystą poświatą. Nell zwinęła poduszkę na kształt podkładki pod kark, ale spała spokojnie, równo oddychając. Miała blond włosy, szaroniebieskie oczy, dumny nos, który przebijał powietrze niczym kil w jachcie, porcelanową cerę i szerokie, życzliwe usta. Odziedziczyła po mnie budowę; Arthur miał moje poczucie nieskończonych możliwości. Nell była bezcenna i piękna, nie widywałam jej ostatnio za wiele, choć często o niej myślałam. Wyprostowałam i wygładziłam jej poduszkę i pocałowałam ją leciutko w skroń. Przekręciła się w łóżku i przerzuciła ramię przez twarz. Nadgarstek miała delikatny, niby ze szkła; przypomniało mi to, jak kruche jest życie, które sobie budujemy. Pocałowałam ją jeszcze raz, ale zanim się poruszyła, wycofałam się i pchnęłam drzwi do pokoju Arthura.

Natychmiast podniósł wzrok. Czupryna w kolorze ochry zajaśniała w świetle nieosłoniętej żarówki z tarasu. Pogłaskałam go palcem po policzku.

Było to tak delikatne, że jakaś firma reklamowa mogłaby to zabutelkować.

– Nie możesz spać?

Pokiwał głową, nie podnosząc jej z poduszki.

– Jest jakiś powód?

Pokręcił głową. Usta miał uchylone i widać było koniuszki zębów.

– Może się czegoś boisz albo coś?

Pokręcił głową.

– No to dobrze. W takim razie zwiń się w kłębek, wygodnie, i pomyśl o czymś przyjemnym.

Pokiwał głową.

– Mamusiu?

– Hm?

– Dlaczego tatuś jest smutny?

– Nie jest smutny. Kiedy był smutny?

– Dzisiaj wieczorem.

– Co masz na myśli, mówiąc, że był smutny?

– Po prostu był...

– Smutny?

Pokiwał głową. Kiedy dzieci czegoś nie rozumieją, ich głowy wydają się takie małe. To człowiekowi przypomina, że wciąż są jeszcze dziećmi.

– Powiedział ci, że mu smutno?

– Nie.

– To czemu tak myślisz?

– Bo płakał.

– Płakał?

– Troszeczkę.

– Troszeczkę?

Zmieniałam się w echo. Ale wydawał się taki niepodobny do siebie zwykłego. Tak jakby zwracał się raczej na zewnątrz, niż do wewnątrz, i oślepiało go to, co zobaczył.

– Odwrócił się. Nie chciał, żebym widział, jak płacze.

– Rozumiem.

Tyle że wcale nie rozumiałam. Ed nigdy nie płakał. Czasem bywał przygnębiony z powodu jakiegoś szczególnie przykrego przypadku ciąży czy porodu, ale musiało to być coś spoza obszaru jego dwudziestoletniego doświadczenia jako położnika, coś, co trudno wyrazić w słowach czy obrazach, i nawet wtedy nie płakał. Może dosięgnął go tamten sobotni kac?

Uśmiechnęłam się uspokajająco, ale nie opuszczało mnie poczucie jakiejś niewygody. Ed nigdy nic przede mną nie ukrywał. Zawsze mówiliśmy sobie wszystko. W próbie usunięcia negatywnych myśli z własnej głowy dodałam:

– Nie martw się. Jestem pewna, że to nic ważnego, albo po prostu coś z pracą. Jeśli spędzasz cały czas z przyszlými matkami i niemowlętami, to zdarza ci się widzieć różne nieprzyjemne rzeczy i może to być stresujące. Narasta to w tobie, nawet bez twojej wiedzy, i w jakiejś chwili jest tego za dużo i musisz dać upust emocjom. Jestem pewna, że to było coś takiego. Więc wracaj do spania, kochanie.

– A ty i tatuś się nie rozwiedziecie?

Skąd mu się to wzięło?

– Nie. Czemu o to pytasz? Jesteśmy razem szczęśliwi. Kocham tatusia, a on kocha mnie, i oboje kochamy was, ciebie i Nell.

– A nie kochasz swojej pracy bardziej niż tatusia?

– Nie!

– Ani bardziej niż nas?

– Nie bądź głupi.

– Słowo honoru?

– Słowo honoru.

Skinął głową, mam nadzieję, że na znak, że mi uwierzył, i odwrócił się plecami. Było coś nadnaturalnie bezbronnego w ich wygięciu i w ostrym kącie wystających znad kołdry ramion. Przez chwilę na niego patrzyłam. Dlaczego o to zapytał? Nie ruszał się. W końcu zgarbił się i zwinął w kłębek, wystawiając nogi, jakby cały był jednym znakiem zapytania.

4

W piątek wieczorem leżałam w wannie. Woda spokojnie parowała, a ja poruszałam palcami nóg, żeby czuć ruch gorącej wody na ciele, lśniącym od olejku niczym jedyna gwiazda na moim własnym firmamencie. Była to wielka wanna na pazurzastych łapach, taka, jaka powinna być wanna, z ciężką, brązową rączką od prysznicza spoczywającą na widełkach.

Sięgnęłam w dół po „Timesa”, który leżał na wiklinowym stoliku na stosiku pochlapanych wodą starych numerów „New Yorkera”, i zaczęłam przerzucać strony. Na stronie szóstej wielki nagłówek krzyczał: „Młoda artystka nie żyje”. Zwykle nie czytam tego typu artykułów, ale przyciągnęło mój wzrok słówko „Bristol”. Nie trzeba koniecznie być właścicielem zakładu pogrzebowego, żeby zainteresować się jakimś zgonem wartym wzmianki w prasie, który miał miejsce o niespełna kilometr od domu.

Tekst, napisany stylem prowincjonalnego dziennikarza, przeczytałam za jednym zamachem. Trzydziestodwuletnia studentka sztuki na Uniwersytecie Brytyjskim została znaleziona martwa we własnym mieszkaniu. Wcześniej, zanim przeniosła się do Bristolu, studiowała historię sztuki w Edynburgu i pracowała w Sotheby’s, dopiero później przeniosła się na studia do Bristolu. Nie było żadnych śladów włamania, ale policja traktuje sprawę jako podejrzaną.

Zmarła dziewczyna mieszkała w Starej Powozowni. Znam Starą Powozownię. To dziewiętnastowieczny budynek w stylu brytyjsko-bizantyjskim, trzypiętrowy, każde piętro z arkadą złożoną z półkolistych łuków. Długie lata stał opuszczony, aż wreszcie przerobiono go na mieszkania z wyższej półki dla ludzi z kręgu sztuki lub mediów albo dla księgowych, którzy bawią się w kogoś takiego w weekendy.

Ale to nie żadna z tych rzeczy była przyczyną, że serce mi stanęło. Szczegółem, który sprawił, że schowałam się pod wodę i wstrzymywałam

dech tak długo, jak mogłam, usiłując zrozumieć, co to wszystko ma ze sobą wspólnego, zanim wreszcie wynurzyłam się jak foka, zalewając całą podłogę, był fakt, że nazwisko dziewczyny na towarzyszącym artykułowi kolorowym zdjęciu – przedstawiającym młodą kobietę w głęboko wyciętej sukience i naszyjniku na niebieskiej wstążce – że to nazwisko brzmiało: Araminta Lyall.

Araminta Lyall. Araminta Lyall? Znałam to nazwisko. Gdzie ja je słyszałam? Gorączkowo grzebałam w głowie. Pete! Kiedy rozmawialiśmy przez telefon w niedzielę rano, Pete powiedział, że ostatni raz widział Eda, jak rozmawiał z dziewczyną nazwiskiem Araminta Lyall.

– Ed!

Wpatrywałam się w twarz na zdjęciu. Araminta Lyall była ładna urodą bileterki w Hollywood. Miała długie blond włosy, wąską twarz Modiglianiego, w typie średniowiecznym, i srebrzyste oczy. Wyglądała niesforne, ale wyzywająco.

Upuściłam gazetę z powrotem na krzesło i znowu zanurzyłam się pod wodę. Kiedy się wyłoniłam, na brzegu wanny siedział Ed, z twarzą bez wyrazu jak u mordercy, z ręką tuż przy mojej głowie. Właśnie wrócił z południowego Londynu, gdzie jeździł, aby złożyć kwiaty na grobie rodziców. Zmarli w odstępie sześciu miesięcy jedno od drugiego (atak serca/złamane serce). Ed jeździł na ich grób dwa razy do roku, biorąc wolne, jeśli było to konieczne – pielgrzymka miłości i dziękczynienia za wszystko, co dla niego poświęcili. Była to jego jedyna więź z przeszłością.

– Hej! Wystraszyłeś mnie.

– Wołałaś mnie.

– Widziałaś gazetę?

– Nie.

Spojrzałam na wiklinowe krzesło. Schylił się, wziął gazetę, przewrócił i zaczął czytać.

– Czy to ta dziewczyna z tamtej soboty? Kiedy pojechałeś na Stokes Croft?

Nie odpowiedział, ale w miarę jak czytał, czerwieniały mu koniuszki uszu. Wyszłam z wanny. Ed, nie patrząc, wziął z wieszaka dwa ręczniki i mi podał. Owinęłam je wokół bioder i ramion i sięgnąwszy po trzeci, owinęłam nim głowę jak turbanem. W końcu złożył gazetę, twarzą Araminty do góry, i powiedział:

– Biedna dziewczyna.

– Została zamordowana.

– Właściwie to nie napisali, że została zamordowana.

– Nie umarła ze starości!

– No myślę.

– A policja traktuje to jako podejrzanę. Jaka ona była?

Ed spojrział jeszcze raz na gazetę, jakby zdjęcie mogło kryć w sobie jakąś wskazówkę.

– Tak naprawdę to z nią nie rozmawiałem... a jeśli, to dopiero jak byłem naprawdę ostro wstawiony. W taksówce, którą jechaliśmy do niej, rozmawiałem z jakimś chłopakiem, poszedłem z nimi na górę, żeby wezwać taksówkę, dostałem drinka i to wszystko. Padłem właściwie natychmiast.

– Będziesz musiał powiedzieć coś więcej!

– Nic więcej nie pamiętam.

– Będziesz musiał powiedzieć coś więcej na policji.

Ed zmarszczył brwi i zagryzł wargę.

– Na policji? Dlaczego miałbym rozmawiać z policją? Nic nie wiem na jej temat. Gdyby nie to zdjęcie, nie byłbym nawet pewny, czy pamiętam, która to była z obecnych dziewczyn czy jak wyglądała.

– Oczywiście że będziesz musiał porozmawiać z policją. Nie byłiby policją, gdyby nie skontaktowali się ze wszystkimi, którzy parę dni przed jej śmiercią spędzili z nią noc.

– Przecież ja nie spędziłem z nią nocy w sensie dosłownym.

– Wszystko jedno. Będą musieli z tobą porozmawiać.

Ed wpatrywał się we mnie, jak gdyby ważąc prawdę moich słów.

– Ale to śmieszne. Dlaczego mają ze mną rozmawiać? Prawie jej nie znałem.

– Byłeś u niej w mieszkaniu. Czy nie powinieneś sam zadzwonić i im powiedzieć?

– Co? Chcesz, żebym zadzwonił na policję i poprosił, żeby mnie przesłuchali, po czym powiedział, że spotkałem ją na przyjęciu, ale nic mi o niej nie wiadomo? Wezmą mnie za jakiegoś czubka.

Wiedziała, że ma rację. A jednak... a jednak. Ktoś stracił życie. Przecież trzeba w takim wypadku zrobić, co się da, prawda? I niemal zanim jeszcze zrodziła się w mojej głowie ta myśl, usłyszałam własny głos:

– Ale, ale, co robiłeś na Stokes Croft w środę wieczorem?

– W środę wieczorem? – Ed wyglądał na autentycznie zdziwionego. – Nie byłem tam.

– Na pewno?

Ściągnął brwi. Po chwili twarz mu się rozjaśniła.

– Ach tak, w środę wieczorem byłem w St. Andrew’s. Przechodziłem przez Stokes Croft, jeśli o to ci chodzi. Musiałem odwiedzić byłą pacjentkę, która była w depresji, żeby udzielić jej trochę moralnego wsparcia. Chodziłem pieszo. Przez Kingsdown, a potem Montpelier. To był ten wieczór, kiedy mówiłem, że wrócę późno. Czemu pytasz?

Wydawał się taki spokojny, a odpowiedź taka logiczna, że zdziwiłam się, czemu zadałam to pytanie.

– Po prostu Neil z klubu książki wspomniał, że cię widział.

– Aha... w porządku.

Wyglądał na lekko zakłopotanego. Najwyraźniej nie rozumiał, dlaczego podniosłam tę kwestię, i nagle ja też nie rozumiałam.

– A dlaczego zmieniłeś hasło w komórce?

– Dlaczego zmieniłem hasło w komórce? – Zakołysał się teatralnie na piętach, szeroko uśmiechnięty. – Czy to inkwizycja? Bo nas o to poprosili w pracy. Próbują przeciągnąć nas, dinozaurów, w dwudziesty pierwszy wiek. Czy coś cię niepokoi, kochanie?

– Nie... to znaczy tak. Być może... nie wiem... po prostu ostatnio jest trochę dziwnie.

– Dziwnie? Co masz na myśli?

– No, po prostu wciąż zdarza się coś, czego dawniej nie było.

– Na przykład?

– Na przykład że się upijasz i nie wracasz na noc do domu. Albo dowiaduję się od Lucy Rennell, że Marnie Latham powiedziała, że wciąż jest ze mną w kontakcie, a nazajutrz pojawiają się kwiaty z inicjałami Marnie na bileciku, i dzwoni ta kobieta z medycznej fundacji, która nie wie, że do chirurgów mówi się per pan. Nie wiem... ale po prostu jakoś sporo troszkę dziwnych rzeczy pojawia się jednocześnie.

– Myślisz, że tamta kobieta od dobroczynności to mogła być Marnie Latham?

Zastanowiłam się przez chwilę. Dotąd nie przyszło mi to do głowy.

– Nie. Nie sądzę. No, chyba że zupełnie zmienił jej się głos.

– Co mogło się zdarzyć.

– Tak, wykluczyć tego nie można, ale naprawdę brzmiał zupełnie inaczej.

– Okej, to weźmy te inne: upiłem się, tak. Zwykle się to nie zdarza, ale się zdarzyło. Nawet w tej chwili nie do końca wiem, jak do tego doszło. Chyba to było połączenie paru rzeczy. Praca. Wyczerpanie. Nieoczekiwana swoboda imprezy, na której nie było żadnych lekarzy, nikogo, kogo bym znał, nikogo z

moją grupą krwi. Fakt, że cię tam nie było, ale ci ludzie, których przedtem na oczy nie widziałem, słyszeli o mnie od Pete'a, a o tobie poprzez twoje prace. Nigdy wcześniej się z tym nie spotkałem, czemu trudno się dziwić, biorąc pod uwagę, gdzie zwykle bywam, a że byłem wykończony, to pewnie dlatego zareagowałem tak, jak normalnie bym nie zareagował. Co do tego, że Marnie twierdzi, że nadal się przyjaźnicie, to fakt, troszkę dziwne, ale ja bym się nie przejmował. Nigdy nie próbowała się z tobą skontaktować i gdyby miała taki zamiar, to już by to prawdopodobnie zrobiła. Może to po prostu był żart? A co do kwiatów, to jest to zbieg okoliczności, bo jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięć procent pewny, że to od Mimy Langton...

– Możesz to sprawdzić?

– Jasne. A jeśli ta od dobroczynności to nie była Marnie, no cóż... może mówiła prawdę i rzeczywiście pracuje dla jakiejś fundacji, tyle że niezbyt profesjonalnie.

– Pewnie tak.

Ed wyszczerzył zęby w uśmiechu i natychmiast poczułam się lepiej.

– Moja droga. Myślę, że doszukujesz się związków tam, gdzie ich nie ma. – Uniosł palcem mój podbródek i nasze oczy się spotkały. – Artyści tak mają, nawiasem mówiąc. – Uśmiechnął się. Dobrze wiedział, jak przegnać moje strachy. Zawsze potrafił sprawić, że świat znowu wydawał się czysty i uporządkowany. – Może powinnaś odrobinę zwolnić? Ostatnio sporo przesiadujesz po nocach. Pobądź trochę więcej z dziećmi. Upewnij się, że nie zapomniały, kim jesteś!

Nie uniosłam się. Wiedziałam, że Ed uważa, że kiedy jestem w twórczym amoku, to zaniedbuję dzieci. No ale przecież on też, kiedy wzywają go obowiązki! Różnica polegała na tym, że on zawsze mógł się wśliznąć z powrotem z przytuleniem i żartem, tak jakby w ogóle nie wychodził, a mnie Nell robiła ostatnio trudności – nawet jeśli to, że w ogóle wychodziłam, zauważała dopiero w chwili, gdy wróciłam. Teraz, gdy uśmierzył moje lęki, zapragnęłam pociągnąć tę rozmowę.

– A ty? Arthur powiedział, że jak mówiłeś mu niedawno dobranoc, to płakałeś. Wszystko u ciebie w porządku?

– Tak, spokojnie. Po prostu byłem wyczerpany. Mieliśmy ciężko w pracy. Trochę nas mało ostatnio. Alison chora, Pete zdaje swoje egzaminy, Karen jest na kursie. Philippa jeszcze nie wróciła z urlopu. Brakuje ludzi, więc na tych, co są, przypada więcej, niż powinno. W środę mieliśmy pierworódkę z odklejonym łożyskiem. Nie daliśmy rady uratować dziecka. Musieliśmy

operować. Biedna dziewczyna... Urodziła się na matkę, tylko na tym jej zawsze zależało, a teraz nigdy nie będzie miała dzieci. Mąż tak się przejął, chyba jeszcze bardziej niż ona. Kiedy im powiedziałem, był jak ranne zwierzę. Chyba w Swansea było słyhać... W takich chwilach mój zawód wydaje mi się najgorszy na świecie. Pewnie jak zobaczyłem Arthura w łóżku, to wszystko to wypłynęło i poleciało mi parę łez. Myślałem o tym, jakie mamy szczęście i jakie kruche jest życie. Wydawało mi się, że udało mi się to przed nim ukryć. Ale najwyraźniej nie.

Spojrzałam mu w oczy. Lśniły wilgocią. Ile one widziały.

– I wszystko na ten biedny poczciwy łeb.

Ed pocałował mnie w policzek.

– A teraz ta Araminta Lyall – powiedziałam. – Jak myślisz? Rabunek się nie udał? Czy morderstwo w afekcie?

– Prędej przedawkowanie narkotyków. Wygląda, że zadawała się z dość pikantnym towarzystwem.

– To czemu uważają, że to podejrzone?

– Zabij mnie, nie wiem.

Zwinął gazetę w rolkę i podrapał się w nos.

Któregoś popołudnia, po pracy, Ed miał krótką rozmowę z policją, ale nie dowiedział się żadnych szczegółów na temat zdarzenia ani nawet tego, czy nadal traktują śmierć Araminty jako morderstwo. Czytałam wszystko, co znalazłam na temat tego przypadku, w sieci i poza siecią. Nie zdawałam sobie dotąd sprawy, że na temat wydarzeń, które stały się nowiną na skalę kraju, Internet pulsuje dwadzieścia cztery godziny na dobę. Trolle, wyznawcy teorii spiskowych, monotematyczni maniacy, ludzie z fatalną pisownią, za to z niepodważalną opinią, wszyscy znaleźli tu swój dom. Dzienna telewizja straciła zwolenników. Wkrótce wiedziałam o Aramincie Lyall więcej niż jej własna matka. Jej śmierć zdominowała tabloidy, poważniejsze gazety też wykazywały chorobliwą ciekawość, a kiedy policja ogłosiła, że traktuje to jak morderstwo, powiedzieli o tym nawet w telewizyjnych *Wiadomościach o Dziesiątej*. Co do „Bristol Evening Post”, to nigdy nie sprzedawał się tak dobrze.

Nietrudno było odgadnąć przyczynę. Araminta była młoda, ładna, bogata, z dobrymi koneksjami, bardzo utalentowana. Jej profesorowie bardzo ją chwalili. Chwalili ją marszandzi w Londynie. Jakaś jej praca sprzedawała się już

w Nowym Jorku. Choć nie byłam rzeźbiarką, nie miałam pretensji do nowoczesności i zdawałam sobie sprawę, że dobrze nagłośniona śmierć to gwarantowany wzmacniacz wartości każdej sztuki, to nic nie mogłam poradzić, że poczułam ukłucie zazdrości; nie o jej talent, który był płytszy, niż sugerowały pośmiertne wspomnienia, ani o jej prace w stylu mobili Aleksandra Caldera^[2], ale o parę oczek niżej, tylko o to, że tak szybko wystartowała. Dla porównania – sztuka portretu to płomień, który pali się powoli. Najwyraźniej pomagało jej środowisko, w jakim się obracała. Jej ostatni partner był brazylijskim biznesmenem w dziedzinie sportu jachtowego, ponaddwukrotnie od niej starszym, wspomniano też, że miała kiedyś romans z żonatym prezydentem telewizyjnym o ogólnie znanym nazwisku. Jej ojciec był prezesem spółki notowanej na giełdzie, a matka – eksmodelką, która pojawiła się wraz z falą dziewczyn o końskich twarzach w latach siedemdziesiątych. Życie Araminty było typowe dla pewnego odłamu angielskiej wyższej klasy średniej, wyróżniał je tylko niezaprzeczalny błysk talentu i wczesna śmierć. Jakby nie dość było tego wszystkiego, policja znalazła w jej mieszkaniu ślady kokainy. Za dobre to wszystko było, żeby było prawdziwe. Gazety wciągały to, po czym wypluwały. A ponieważ nic nie było wiadomo, nie było żadnego tropu, nie było aresztowań, mało ważna historia stała się historią z pierwszych stron, karmiąc się sama sobą w niekończącej się pętli.

– Ty wymawiasz „sfumejto”, a ja wymawiam „sfumaato”^[8].

W kolejny piątek przypadał koniec półrocza i w nagrodę za zwycięstwo w konkursie rysunkowym w szkole, albo za to, że nie irytował siostry przez całą minutę, albo jedno i drugie, zabrałam Arthura do Londynu. Plan był taki, żeby obejrzeć dziesięć obrazów w National Gallery, po jednym z każdego wieku, potem pójść na hamburgera, a potem do sklepu z zabawkami Hamleys. Prawdziwą nagrodą były te rzeczy z „ham”.

Najbardziej spodobała mu się *Madonna wśród skał*, prawdopodobnie dlatego, że wskazałam mu na wirtuozerię techniki mistrza, dystans, jaki dzieli Leonarda od jego współczesnych. Arthur lubi się ścigać, ciągnie go do zwycięzców. Podobał mu się też Turner, zderzenie starego okrętu wojennego z nadchodzącą erą przemysłową w *Ostatniej drodze Temeraire'a* czy historia o tym, jak artysta kazał się przywiązać do masztu, żeby malować sztorm na morzu. Dzieci uwielbiają historie, suspens, narrację. Właśnie dlatego czytamy im wieczorem. Opowiadałam Arthurowi różne bzdurki, meandrując z nim

poprzez galerię i robiąc niezaplanowane objazdy via Holbein i Joseph Wright of Derby. Wskazywałam na związki, tłumaczyłam, jak każdy z artystów prowadził dialog z przeszłością. Przed Tycjanem Arthur spytał:

– Mamo, skąd się wzięło słowo artyzm?

Wzięłam głęboki oddech – od czego tu zacząć? – ale zanim zaczęłam mówić, on wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i oznajmił:

– Wiadomo – od Arthura!

Skończyliśmy na *Wzgórzu w Prowansji* Cézanne’a, gdzie artysta spłaszczając krajobraz, usuwa przestrzeń, otwiera drzwi do kubizmu. Oboje byliśmy zmęczeni, więc poszliśmy na Soho i zameldowaliśmy się w modnej burgerowni z różowym neonem, wciśniętej pomiędzy czerwono malowany sklep z fagotami a fast food sieci Itsu. Wybrałam ją, bo była naprzeciwko Qube, galerii, gdzie miałam moją pierwszą autorską wystawę.

Arthur zażądał, żebyśmy usiedli na stołkach przy barze. Mężczyzna naprzeciwko nas miał na szyi zawiązane sznurowadło w charakterze krawata, a na głowie kowbojski kapelusz, dzięki czemu wyglądał, jakby przyleciał prosto z Dodge City.

– Mamo, dlaczego mówi się krzesło, a nie krzęsło? Bo przecież mówi się przeszło, prawda?

Wyatt Earp uchwycił mój wzrok. Odwzajemniłam jego uśmiech i pozwoliłam, by umysł odpłynął we wspomnienia. Galeria Qube zmieniła się teraz w sklep z kawą, ale nie miało to znaczenia, bo moje wspomnienia z tamtej pierwszej wystawy były przejrzyste jak kryształ. Był to mały triumf, częściowo dlatego, że była to jedyna wystawa młodych artystów, którzy – radykalnie – malowali olejem. Wszyscy inni żeglowali pod flagą mody, co oznaczało rysowanie kropkowanej linii poprzez słowo „SZTUKA” albo kręcenie godzinowego filmu wideo z Japonką powtarzającą słowo „tak” (albo „nie”). Być może nic nie jest równie potężne jak myśl, czyj czas nadszedł, ale jest to prawdziwe również dla strony przeciwnej.

Powodem, dla którego moje wspomnienia były kryształowo wyraziste, jest to, że w dniu wernisażu zamkniętego zadzwoniłam do mojego starszego brata Matta, żeby sprawdzić, czy przyjdzie, bo wcześniej mi nie odpowiedział. Moja siostra Bridgey, środkowa w naszej trójce, odpisała zgodnie z moim przewidywaniem, że żałuje, ale nie. Mogłam sobie wyobrazić moje zaproszenie, oparte o gzyms kominka w jej staropanieńskim ulu na Hampstead Hill, gdzie wszystkie powierzchnie zawały książki, czasopisma i świece zapachowe... Matt mieszkał w Oksfordzie. Wrócił pod mglistym pretekstem,

że zamierza skończyć studia rzucone osiem lat temu. Zadzwoiłam do Bridgey, żeby sprawdzić, czy coś wie. Była zakłopotana moim telefonem, wyraźnie szukała jakiejś własnej wymówki, i rozluźniła się dopiero, kiedy zdała sobie sprawę, że dzwonię w sprawie Matta. Nie rozmawiała z nim od roku. Kiedy w końcu go złapałam, powiedział, że nic nie wiedział o zamkniętym wernisażu, chociaż wysłałam mu zaproszenie i pozostawiłam na sekretarce chyba ze trzydzieści wiadomości.

Ale to nie odpowiedź mnie zdenerwowała, tylko jego głos, który brzmiał tak, jakby miał przed sobą kidnapera trzymającego go na muszce. Nagle zrozumiałam, że to, co brałam za uchylenie się, to była bezradność albo beznadziejność – głos człowieka, który odpadł.

Zadzwoiłam więc do Anthei – jakie w stylu lat 70. było to imię! – która była właścicielką galerii i powiedziałam, że muszę natychmiast pojechać do Oksfordu i nie będzie mnie na wernisażu. Wściekła się. „Co za różnica, cholera, dzień wte czy wewte?” Ale ja musiałam zrobić, co mogłam. Nikogo innego nie było. Nie pojawiłam się więc na własnym pierwszym wieczorze, co nie było zbyt właściwe z punktu widzenia kariery, bo od tamtej pory na zawsze zyskałam opinię trudnej. Ale nie żałuję. Jeśli w mojej sztuce nie chodzi o człowieczeństwo, to w ogóle o nic w niej nie chodzi.

Znalazłam Matta w jakimś zagrybionym pokoju w Jericho, w suterenie pod sklepem z magią i ezoteryką, gdzie miała miejsce styczniowa wyprzedaż kryształowych kul, których stos w witrynie przypominał tapiokę. Włosy miał długie i przetłuszczone, a podkoszulek wisiał na nim jak papierowa torba. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś był taki samotny czy taki znużony. O mało nie wybuchnęłam płaczem już na progu.

Poszliśmy na kawę. Zmusiłam go. Po drodze Matt rozglądał się, jakby się dziwił, że znajduje się powyżej gruntu. To było straszne. Kupiłam mu cappuccino i kanapkę z szynką, majonezem i angielską musztardą, o którą nie prosił, ale wyglądał, jakby była mu potrzebna, a poza tym zawsze była jego ulubioną na piknikach w Dartmoor, kiedy byliśmy dziećmi. Nie tknął kawy ani nie zjadł kanapki.

Troszkę porozmawialiśmy. Jego monosylaby rozdzielały Pinterowskie pauzy⁴²¹. zaproponowałam, żeby wyjechał na parę dni i pomieszkał ze mną w Londynie, ale pokręcił głową. zaproponowałam, że zostanę w Oksfordzie. odmówił. Kiedy wspomniałam o Highlands, skrzywił się nieznacznie i wyglądał na dotkniętego. Miał czerwone oczy, oddychał przez nos, co trudno było usłyszeć poprzez syk ekspresu do kawy.

- Dziękuję, że przyjechałaś, Króliku. Nie trzeba było.
- Musiałam.
- Nie masz tu żadnych spraw.
- Mam ciebie.
- Musisz już jechać.
- Bez ciebie nie jadę.
- Nie możesz tu zostać.
- Ty też musisz jechać.
- Twoja wystawa...
- Nieważne. To tylko parę obrazów.

Siedzieliśmy w milczeniu. W końcu wyszedł. Nie miałam po co dłużej siedzieć. Patrzyłam, jak wychodzi, zgarbiony, w za długim płaszczu, niczym kapitan Oates¹⁰⁰ i z mniej więcej taką samą szansą na sukces. Był cienki jak listek, jak piórko w strumieniu, a kiedy go na pożegnanie objęłam, wydawał się niemal pusty. Lata upłynęły, odkąd siadywaliśmy na trawie za domem i czytał mi swoje ulubione wiersze.

Anthea nigdy mi nie wybaczyła, pomimo że sprzedaż prac z wystawy przekroczyła oczekiwania nas obu. A ja nigdy nie wybaczyłam jej – po tym jak odkryłam, że powiedziała jakiemuś żigolakowi z plotkarskiej rubryki w „London Evening Standard”, że nie byłam na moim własnym zamkniętym wernisażu, bo musiałam pomóc „choremu” bratu. Nie trzeba być magistrem farmakologii, żeby się domyślić, dlaczego zachorował... Anthea nie wykazywała śladu skruchy. „Jeśli ty nie masz zamiaru się sprzedawać, to ja to muszę zrobić za ciebie. Ludzie uwielbiają cierpiących artystów, popieprzone rodziny. Obudź się, kochanie: nie ma haczyka, nie ma historii. To jest biznes”.

Spojrzałam na Arthura. Zjadł już hamburgera i teraz oblizywał palce, zatopiony w lekturze swojego pisemka. Batman wyczyniał akrobacje w jakimś opuszczonym budynku w świetle księżyca. Wyatt Earp płacił rachunek i szycował się do wskoczenia na siodło.

Sięgnęłam po gazetę. Nie chciałam więcej myśleć o Matcie. W jakimś momencie człowiek osiąga wiek, w którym powinien żyć własnym życiem. Z pięknych chłopców często wyrastają nieszczęśliwi mężczyźni. Przerzuciłam stronicę z nowościami. Był artykuł o Aramincie Lyall z kolorowym zdjęciem z Dering Street: jaskrawoniebieski naszyjnik, ołówkowa spódniczka, uśmiech syreny. Przeczytałam tekst, z ambicjami do bycia reportażem, okraszony wypowiedziami bezimiennych przyjaciół i asystentów z uczelni. „Minta była błyskotliwą artystką, która miała przed sobą wspaniałą przyszłość”. Zawsze

„ostatnia wychodziła z imprezy”, była „serio inteligentna, inteligentnie serio”, „najszczęśliwsza, kiedy po prostu bawiła się drutem i kolorowym plastikiem”. I tak dalej, i tak dalej, leciały zmyślane obrazy jakiejś magicznej dziewczyny, która prawdopodobnie nie rozpoznałaby w nich sama siebie.

I wtedy mnie to uderzyło. Wprost między oczy, literami tak wielkimi, że nie rozumiałam, jak mogłam dotąd to przeoczyć.

Jak mogłam być taka ślepa? Spojrzałam na Arthura, czy nie zauważył jakichś fizycznych objawów mojego wstrząsu. Nie, oczywiście nie. Był totalnie zaabsorbowany swoim komiksem i karmelowo-mlecznym koktajlem. Odwróciłam wzrok i policzyłam do trzech. I znowu spojrzałam na gazetę, choć wiedziałam, że nic się nie zmieniło. Już przeczytałam to słowo, było tu, przede mną, jedno słowo, które zmieniło moje życie i wyjaśniło wszystko, czego nie rozumiałam przez ostatnie kilkanaście dni, słowo, którego nigdy nie zapomnę.

Minta.

„Minta była błyskotliwą artystką”.

Minta. Minta Lyall. Przyjaciele znali ją jako Mintę Lyall, a nie Aramintę Lyall. Minta Lyall to ML. ML to nie Marnie Latham ani Mima Langton. Marnie Latham wyjechała na północ, mówiąc wszystkim, kto tylko chciał słuchać, że nadal jest moją przyjaciółką, a Mima Langton nigdy nie istniała. Zawsze była Jemimą Langton i na zawsze nią będzie.

Kwiaty były od Minty Lyall.

ML xxx

5

Nie mogłam uwierzyć, że Ed miałby prowadzić podwójne życie. To po prostu nie w jego stylu. A poza tym zanadto mnie kocha i zanadto uwielbia dzieci, żeby ryzykować ich utratę, a one uwielbiają jego. Poślubił nie tylko mnie, poślubił rodzinę, jest z nią zespawany i wie, bo mu to kiedyś powiedziałam, że gdyby kiedyś zostawił mnie dla innej kobiety, będzie musiał pożegnać się z dziećmi. Może nie byłoby to dla nich najlepsze, i pewnie nie byłoby i dla mnie, ale nie zniosłabym tej niesprawiedliwości, żeby wychowywała je inna kobieta, nawet jeśli tylko co któryś weekend. Gdybym musiała przeprowadzić się do Londynu czy Los Angeles, czy Lahore, żeby zagwarantować, że nigdy ich nie zobaczy, zrobiłabym to, naprawdę.

Zadzwoiłam do Jemimy Langton, żeby jej podziękować za kwiaty, a ona ze skruchą wyznała, że żadnych kwiatów nie przysyłała. Były więc niemal na pewno od (Ara)minty Lyall, co oznacza, że coś się musiało wydarzyć między nią a Edem. Bardzo możliwe, że to ona była tą tajemniczą dziewczyną z medycznej organizacji dobroczynnej, niewiedzącą o sprawach, które pracownicy tego rodzaju instytucji powinny być dobrze znane. Dlaczego miałyby dzwonić? Do Eda? O dziewiątej rano? Żeby poznać konkurencję. Każda kochanka chce sprawdzić żonę, niczym pyton, który przymierza się do posiłku. Wyjaśniałoby to też, dlaczego Ed po raz pierwszy w życiu zmienił hasło w komórce, dlaczego Neil widział go w Stokes Croft i dlaczego – nagle to sobie przypomniałam – zszedł do podpiwniczenia, żeby zadzwonić, choć przecież spokojnie mógł to zrobić w kuchni.

Jezu. Jak ja mogłam być taka ślepa?

Bo mu ufałam.

A jednak dowody, choć poszlakowe, domagały się, by odpowiedzieć na parę pytań. Poszłam do jego gabinetu i przetrząsnęłam szuflady. Nie było nic obciążającego ani nawet podejrzanego, wyłącznie pliki rachunków i zwroty

podatków, które znudziłyby najbardziej gorliwego detektywa. Ed nigdy nie miał skłonności do sekretów. Był to jeden z powodów, dla których go kochałam. Sprawdziłam jego laptopa. Hasło nie zostało zmienione. Nic. Spojrzałam na niebieską jedwabną wstążeczkę na biurku. Znalazłam ją w kieszeni garnituru.

Za oknem po kamiennym murku w ogrodzie prześliznął się kocur. Stąpał pewnie, rudy i futrzasty, pewien siebie, grasując z dala od domu.

Jak spytać męża, któremu ufało się przez piętnaście lat, czy spał z inną kobietą, tym bardziej jeśli ta kobieta niedługo potem zmarła? Samo postawienie pytania ujawnia utratę zaufania. Czy wypalić bez zastanowienia, wśród łez i ultimatów? Czy podkraść się boczkim, niczym krab albo żeglarz na wzburzonym morzu? To ostatnie jest strategią oczywistą, ale to nie od nas zależy. W gorączce chwili i tak weźmie górę przyrodzony instynkt.

Ed wrócił za dziesięć dziewiąta. Dzieci poszły już na górę, Nell żeby przez dwie godziny esemesować w łóżku, Arthur żeby zabijać przybyszy z kosmosu, którzy na jego życzenie najechali nasz telewizor. Przynajmniej raz mnie to nie obchodziło. Siedziałam sama przy stole w kuchni z ułożoną równiutko przed sobą monografią Caravaggia o rozmiarach i wadze kamienia nagrobego. Była otwarta na *Niewiernym Tomaszu*, wkładającym palec w bok Chrystusa, przebitą żołnierską włócznią. Caravaggio był geniuszem, który na nowo określił możliwości sztuki.

Tyle że nie myślałam, siedząc tak, o możliwościach sztuki. Myślałam o sceptycyzmie i zaufaniu. Myślałam, że musi istnieć jakieś proste wyjaśnienie, które uspokoi mój wzburzony umysł. Musi, bo gdyby nie, to nie byłam pewna, czy dam sobie z tym radę. Ilekroć miałam jakieś wątpliwości – zwykle co do pracy, czasem co do matki – Ed zawsze pomagał mi je rozwiązać. Od naszych najwcześniejszych wspólnych dni umiał sprawić, że zmartwienia bladły czy że przestawałam brać sprawy (najczęściej samą siebie) zbyt serio, zazwyczaj drwiąc z moich strachów, dopóki nie zdałam sobie sprawy, że to ja sama jestem tu problemem, nie ktoś inny, i że jestem w stanie to zmienić.

Ed pocałował mnie w głowę, pocałunkiem świadczącym raczej o głodzie, niż o miłości, zdjął marynarkę i strzepnąwszy z rękawa jakiś imaginacyjny pyłek, powiesił ją na poręczy krzesła. Miał koszulę w kolorze bławatków ze starannie podwiniętymi rękawami, przedramiona drwała, delikatne dłonie, smukłe palce – zestaw narzędziowy położnika. Wielu mężczyzn, którzy

wyszliby z domu o wpół do ósmej, a wrócili o prawie dziewiątej wieczorem, nalałyby sobie drinka, ale Ed nie. Nie zaproponował też drinka mnie, choć czasem to robił. Ja niezmiennie odmawiałam. Jeśli jest coś smutniejszego niż mężczyzna pijący samotnie, to pijąca samotnie kobieta.

Przechylił głowę, nasłuchując odgłosów z ogrodu.

– To Amery’owie. Urządzają grilla.

Skiął bez zainteresowania głową. Nie musiał słuchać wybuchów śmiechu i brzękania butelek, siedząc nad Caravaggiem, czekając i myśląc.

– Co na kolację, kochanie? Jestem głodny jak wilk.

– Jak ci minął dzień?

– Nieźle. A tobie?

– Też.

– To dobrze.

– Dzwoniłam dziś do Jemimy Langton.

– Wszystko u niej okej?

– Tak. Podziękowałam jej za kwiaty.

– Okej.

– Tylko jest taka zabawna rzecz, że żadnych kwiatów nie przysłała.

– Okej.

– Więc muszą być od kogoś innego?

– Pewnie tak.

– Zastanawiam się, od kogo? ML i trzy bużki.

– Nie mam pojęcia.

Był kompletnie bierny. W szpitalnym świecie kwiaty to kwiaty, ogólnie przyjęty sposób na wyrażenie solidarności lub współczucia, utowarowiona moneta podziękowania. I tak, o ile sobie tego nie wyobraziłam, było w jego wzruszeniu ramion jakby oddalenie pytania, rodzaj zamknięcia się w sobie, tak jakby chronił coś małego i prywatnego. Nacisnęłam.

– No bo od kogoś muszą być.

– No przecież.

– Musiałeś chyba mieć ostatnio do czynienia z kimś, czyje inicjały to ML?

Zmarszczył brwi i spojrzał na własne buty, udając, że szuka w głowie, ale zmęczony po pracy, wyraźnie nie traktował tego serio. Może to wszystko tylko moja wyobraźnia? Ośmieliłam się mieć nadzieję.

– Nie wiem. Mam do czynienia z tyloma ludźmi i odbieram tyle dzieci... Z pewnością jest wśród nich trochę takich, których matki albo ojcowie, a może nawet dziadkowie, mają inicjały ML.

– Znaczy, że odbierałeś ostatnio poród od jakiejś kobiety z tymi inicjałami? Albo takiej, której mąż albo rodzice mieli inicjały ML?

– Alice, o co tu chodzi? Dostaliśmy kwiaty od kogoś, kto się podpisał jako ML. Wielkie rzeczy. Cały czas się to zdarza.

Starał się, nie do końca skutecznie, by w jego głosie nie było irytacji. Kiedy Ed jest głodny, musi jeść.

– Ale od kogo? I kto zna cię na tyle dobrze, że wystarczyły same inicjały?

Ed zmarszczył brwi, tym razem naprawdę.

– Co to jest? Krzyżowy ogień pytań? Ktoś przysłał jakieś kwiaty. To mógł być każdy. To mogło być wino albo czekoladki, ale były kwiaty. Nie rozumiem, dokąd zmierzasz. Ludzie podpisują się imieniem i nazwiskiem albo pseudonimem, albo inicjałami. Czasem – najczęściej – w ogóle nic nie przysyłają. Nie widzę w tym nic wielkiego. Czy nie możemy porozmawiać... bo ja wiem... Czy dzieci poszły już do łóżka?

Była niewinność w jego głosie. W szczelinie chmur ukazało się słońce, ale wiedziałam, że muszę naciskać, żeby się upewnić. Musiałam wiedzieć.

– A kto lubi cię na tyle, żeby dopisać trzy buźki?

Pokręcił głową i wzruszył ramionami. A ja w tym czasie wsunęłam palce pod Caravaggia i wysunęłam niebieską jedwabną wstążeczkę. Miała aksamitną zapinkę. Ed popatrzył na wstążeczkę, wysunął dolną wargę i pokręcił głową. Nie grał.

– Co to jest?

Wpatrywałam się we wstążeczkę, jakby to mogło poruszyć jego pamięć.

– Znalazłam ją w kieszeni twojego szarego garnituru.

Znowu wzruszył ramionami i odgarnął z czoła kosmyk włosów.

– Który miałeś na sobie na przyjęciu u Pete’a.

– Posłuchaj, Alice. Nie wiem, co to jest ani skąd pochodzi. Nie widziałem jej nigdy w życiu, słowo honoru. A teraz czy moglibyśmy coś zjeść? Proszę. Jestem głodny.

W jego głosie pojawiło się fatalne drżenie. To nie była scena operowania, gdzie jego wola była niepodważalna, a jego słowo było prawem. W tym momencie potwierdził to, co już wiedziałam, odkąd znalazłam niebieską wstążeczkę w kieszeni jego marynarki, ale nie chciałam tego zaakceptować: był winny zarzucanych mu czynów. Żołądek skoczył mi w górę i w dół, niczym wskaźnik w maszynie „sprawdź swoją siłę” w wesołym miasteczku, i przewyciężając chwilowe uczucie zapaści, przewróciłam stronę w albumie, wyjęłam wycinek i przesunęłam po stole w stronę Eda. Było to kolorowe

zdjęcie Araminty Lyall, to, które było we wszystkich gazetach, wycięte z jakiegoś dodatku. Ukazywało ją – Mintę Lyall, ML xxx – na przyjęciu w galerii, w naszyjniku z pereł i z opasującą szyję niebieską wstążeczką, która leżała teraz między nami na stole. Ed rzucił na nie przelotnie okiem, ledwie, żeby zarejestrować, co to jest. Zaciśnął zęby, zwiesił głowę i jego moc przeszła do mnie.

Tyle że nie była to moc, której mogłabym albo chciałabym użyć. Ta wiedza była jak cios w żołądek. Kurczowo usiłowałam chwycić powietrze, jak zwierzę w kagańcu, tonące w bezbarwnej cieczy. Na skrajach pola widzenia było pomarańczowo.

Kiedy stało się oczywiste, że Ed albo nie ma nic do powiedzenia, albo, jeśli ma, nie wie, jak to powiedzieć, zebrałam się na tyle, żeby wykrztusić:

– Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Nie patrzył na mnie. Atmosfera była surrealistyczna. Cała istota Eda została zbudowana na sile i osiągnięciach, sile, która wyniosła go z jego środowiska i ustawiła w centrum sceny. Zdałam sobie sprawę, że to jego wola – to znaczy jego żelazna moralność i fakt, iż wiedziałam, że nigdy nie patrzył na inne kobiety, po prostu nie był tym typem mężczyzny – sprawiła, że tak długo byłam ślepa na znaki. Nawet siedząc tutaj, nie mogłam uwierzyć, że to prawda, że nie roześmieje się, nie spojrzy mi w oczy i nie da jakiegoś prostego wyjaśnienia, które oddali moje lęki. Ale wzrok Eda, gdy usiłował znaleźć właściwe słowa, utkwiony był nieruchomo w motywie dębowych liści na różowym, przyjaznym dzieciom nakryciu kuchennego stołu. Czekałam. Kiedy podniósł oczy, twarz miał szarą jak popiół. Długo patrzył przez okno, unikając mojego spojrzenia.

– Nic nie pamiętam – powiedział w końcu.

Spojrzałam na szafkę. Nie byłam pewna, czy dam radę słuchać.

– Przysięgam.

– Proszę, Ed, nie upokarzaj mnie bardziej, niż musisz. Niż już mnie upokorzyłeś.

– Alice, musisz mi uwierzyć. W jednej chwili byłem w jej mieszkaniu, tak pijany, że ledwie trzymałem się na nogach, a w następnym obudziłem się w łóżku i ta dziewczyna...

– Araminta.

– ...była koło mnie.

– Czyli że doszło do seksu z nią?

– Nie! Byłem totalnie przerażony. Był ranek, byłem w cudzym łóżku z kobietą, której w ogóle nie znałem! Która mi się nawet nie podobała... Byłem

przerażony. W szoku.

W głosie była szczerłość i błaganie, rozpaczliwe usiłowanie, by mu uwierzono. Nie było użalania się nad sobą.

– Niezbyt to szarmanckie.

– Proszę, Alice. Próbuję to wyjaśnić.

Poczułam, że mój gniew zmienia się w smutek. Złe słowo. W coś małego i twardego, co zaczęło we mnie narastać.

– Wyjaśnij więc: nie miałeś z nią seksu?

Ed wpatrywał się w stół. W końcu podniósł głowę i spojrzał mi prosto w oczy.

– Nie wtedy.

– A kiedy?

– Nie wiem. W nocy.

Poczułam budzącą się pogardę.

– Nie wiesz? To śmieszne. Co to znaczy: nie wiem? Musisz wiedzieć! Albo miałeś, albo nie miałeś.

Spojrzał z takim wyrazem, jakby miał zamiar odpowiedzieć, ale wstrzymał się, jak bezpłodna kobieta, której smutek jest zbyt wielki, by go wyartykułować. Milczałam. Nie potrzebowałam uczuć. Potrzebowałam faktów.

– Ona powiedziała, że się kochaliśmy. Tyle że ja tego nie pamiętam... no, ale nie pamiętam nic z tej nocy.

– Ale to musisz pamiętać?

– Nie pamiętam. Słowo daję. Taki pijany nie byłem od... nie wiem... od zawsze. Nawet po końcowych egzaminach albo po moim własnym wieczorze kawalerskim. Cała noc, od chwili gdy znalazłem się w Montpellier, to praktycznie biała plama.

– Dlaczego miałaby mówić, że ją przeleciałeś, gdybyś jej nie przeleciał?

Ed, nieszczęśliwy, potarł czoło. Nie było mi go jednak żal, nie czułam się też mniej zdradzona.

– Nie wiem. Tylko...

– Tak?

– Po prostu Pete mi powiedział, że ona się zawsze interesowała starszymi mężczyznami, zwłaszcza żonatymi. Może dlatego?

– O Boże! Powiedziałeś Pete'owi?

– Nie! Oczywiście że nie. Wspomniał o tym, kiedy mu powiedziałem, że wylądowaliśmy w kilkoro u niej w mieszkaniu.

– Ile was tam właściwie wylądowało?

– Nie pamiętam dobrze – rzucił mi nerwowe spojrzenie – pięcioro albo sześcioro, może siedmioro? Tak czy inaczej, Pete powiedział, że to towar uszkodzony i że powinienem uważać. Wtedy oczywiście już mi nie musiał mówić. Oczywiście że nic mu nie powiedziałem...

– Widziałeś się z nią jeszcze raz?

– Tak.

– I przespałeś się z nią jeszcze raz?

– Nie. – Głos miał znużony. Było to wyczerpanie człowieka bezwzględnie uczciwego, od którego wymaga się życia w kłamstwie. – Ale w poniedziałek ona przyszła do szpitala. Powiedziałem Karen, że jestem zajęty i że nie mogę się z nią zobaczyć. To był koszmar. – Spojrzał na mnie z nadzieją. – Nienawidzę oszukiwać. Nienawidzę tego, co nam wyrządziłem.

– Oszczędź mi tego.

– Naprawdę, kochanie, gdybym mógł cofnąć czas...

– Gdybyśmy oboje mogli.

Rzucił mi posępne spojrzenie. Czy zamierzam dać mu kopniaka? No dobrze, zamierzam? Pytanie za gazylion dolarów. Nawet ja nie znałam odpowiedzi. Nie miałam czasu, żeby to przepracować, wyważyć pomiędzy czynem a kontynuacją lub zdmuchnięciem tej piętnastoletniej mydlanej bańki. Nie miałam czasu, żeby zrozumieć to w kontekście życia każdego z nas, a co ważniejsze – żeby się zastanowić, co byłoby lepsze dla Nell i Arthura. Nie miałam czasu, żeby przygotować się na ból, który narastał mi w piersi, albo żeby wypracować jakąś strategię radzenia sobie z nim.

– Więc co było dalej?

– Nie chciała zostawić mnie w spokoju.

– To ona była tą kobietą, co udawała, że jest z jakiejś fundacji?

Ponuro pokiwał głową.

– Powiedziała, że kręciła się w pobliżu, śledziła ciebie i dzieci.

– O Boże! – Pomyślałam o Arthurze, który wraca ze szkoły, kopiąc po drodze kamyczki, kupując słodczyki, niepomny na cokolwiek czy kogokolwiek. – To ohydne.

– Dokładnie. I cały czas do mnie esemesowała, w domu i w pracy, jak mnie kocha, jak nam będzie dobrze razem. Dostałem od niej, bo ja wiem, chyba ze sto SMS-ów przez cztery dni. Przechodziła od wyznań miłości do złośliwości i oskarżeń, że jej unikam – często w tym samym SMS-ie. Była totalnym świrem. Kiedy jej odpisałem, że to jakieś totalne nieporozumienie,

odpowiedziała mi lawiną wyzwisk.

– To dlatego zmieniłeś hasło w komórce.

– Musiałem. – Nachylił się, siedząc, i położył dłonie na stole. Były blade, pozbawione włosów. Nie miał już nic do ukrycia. – Uwierz mi, to był koszmar.

– *Fatalne zauroczenie.*

Był wyraźnie zdesperowany, zjadało go poczucie winy. Nic dziwnego, że nie mógł spać. Ale nie chodziło już o niego. Chodziło o mnie, o nas wszystkich, o to, jak przetrwamy jego elementarne złamanie zaufania. Nie wiedziałam, jak to zrobić. Nie potrafiłam powiedzieć, co czuję. Na tym zawiasie zawieszona było moje życie, ale potrafiłam się zmusić, żeby spojrzeć na drugą stronę. Od grilla Amerych gruchnął śmiech.

– Więc do niej poszedłeś.

– Tylko żeby jej powiedzieć, żeby dała mi spokój. Że jej nie Kocham i nigdy nie będę Kochał.

– I jak przyjęła to ostatnie? Seks bez miłości?

– W dużym stopniu właśnie tak. Że mam wobec niej zobowiązania. Że nie mogę się z nią raz przespać, a potem odejść jakby nigdy nic.

– Jakież to nierozumne.

Oblizwał suche wargi.

– Powiedziała, że to by się nie wydarzyło, gdybym nie był w domu nieszczęśliwy. Twierdziła, że to tylko objaw głębszych problemów między tobą a mną, choć może nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

Roześmiałam się gorzko.

– Czyli że to moja wina?

– Powiedziałem jej, że jestem w domu doskonale szczęśliwy.

– Szalenie mnie to cieszy.

– Musisz mi uwierzyć, Kochanie.

Chciał mnie wziąć za rękę, ale ją cofnęłam. Wciąż nie mogłam zrozumieć, że Ed, szczerzy i prostolinijny do bólu Ed mnie oszukał. Nieraz to widziałam – Charlie Snape, Paul Whorle, Rory Nester, który poszedł na kurs, żeby odnaleźć siebie, a znalazł Amber – ale zawsze istniały jakieś strukturalne racje, objaw i jego przyczyna.

Co się z nami stało? Ed miał swoje wady, oczywiście że miał, były drugą stroną cech, dzięki którym był tak wspaniały, ale byliśmy szczęśliwi i nie było – nie powinno być – wśród nich kręactwa. Chodziło o zaufanie i zdradę, o to, żeby znać człowieka naprawdę, takiego, jaki jest. Właśnie o to walczyłam w

każdym portrecie, który zdarzyło mi się malować: żeby zrozumieć i wiedzieć, a nie potępiać.

– Mów dalej. – Chciałam, żeby zabrzmiało to z mocą, ale głos mi się zachwiał.

– No więc poszedłem do niej. Musiałem. Inaczej doprowadziłaby do tego, że byś się dowiedziała.

– A do tego nie mogło dojść.

– Naprawdę myślałem o tym, żeby ci samemu powiedzieć.

– Ale zdecydowałeś, że nie?

– Nie tylko ze względu na mnie. Pamiętasz, co mówiłaś o Rorym? Że to skurwysyństwo, że powiedział Michaeli o Amber, bo cały ciężar decyzji – zostać czy odejść – zwałił na nią. Jeśli odejdzie, zaszkodzi dzieciom; jeśli zostanie, będzie szmatą. Postanowiłem więc, słusznie albo nie, że sam będę z tym żył. Ale kiedy ona zaczęła z tymi kwiatami i SMS-ami, i tak dalej, musiałem się z nią zobaczyć i skończyć z tym.

– Skończyć z tym?

– Wiesz, co mam na myśli. Więc poszedłem i powiedziałem jej, że to była okropna pomyłka i że ją przepraszam, ale kocham ciebie i tylko ciebie, i kocham dzieci, że nie mamy z nią żadnej przyszłości jako para i tylko przyczynilibyśmy mnóstwa nieszczęść sobie samym i innym ludziom, gdybyśmy się jeszcze kiedyś spotkali.

– I jak to przyjęła?

– Niedobrze, szczerze mówiąc.

– Widziałeś się z nią jeszcze, po tym jak jej powiedziałeś?

– Nie.

– To wygodne.

Wzruszył ramionami. Czułam jednak w tym geście jakby uchylenie się, wycofanie. Zbyt często Eda malowałam... Jego skóra była sucha, bez koloru. Było tak, jakby pragnął, aby jego wersja stała się rzeczywistością. Ale Ed nie umiał dobrze kłamać. Poczułam, jak po plecach, niczym zimny pot, ścieka mi strach.

– Okej, no więc powiedzmy wprost: ona cię ścigała, próbowała się z tobą skontaktować milion razy na dzień, dzwoniła, esemesowała, posyłała kwiaty, przychodziła do pracy, dzwoniła do mnie, śledziła dzieci i tak dalej, aż wreszcie powiedziałeś: „Słuchaj, kochana, przykro mi, ale nic z tego nie będzie, bo jestem żonaty” – a wtedy ta pojebana kobieta, co chciała zawsze tylko żonaty, powiedziała: „Och, przepraszam, nie zdawałam sobie sprawy!

Wybacz mi! Nie wiedziałam, chociaż wciąż się kręciłam koło ciebie i twojej żony, i guglowałam za wami po Internetach, i dzwoniłam do twojej żony, i obserwowałam wasze dzieci, i szpiegowałam was, mimo to w ogóle nie wiedziałam, że jesteście szczęśliwym małżeństwem! Wybacz mi! Oczywiście, że dam ci spokój”. Tak to było?

Ed patrzył w stół.

– Bardzo się rozłościła. Powiedziała, że została wykorzystana...

– Trzydziestodwuletnia kobieta powiedziała, że została wykorzystana? Że nie jest zdolna do samodzielnego podejmowania decyzji?

– Właśnie.

– Mimo to powiedziała, że zostawi cię w spokoju?

– Nie dałem jej wyboru. Miało tego nie być, i już.

Na czole Eda zaczęła pulsować żyła.

– Kiedy jej powiedziałeś, że to skończone?

– Tego wieczoru, kiedy wychodziłaś. Co nie znaczy, że istniało jakieś „to”.

– Którego dnia to było?

Ed skrzywił się i spojrzał na karnisz.

– Hm... chyba we wtorek.

– Chyba?

– A może w środę.

– O jakiej porze w środę?

– O jakiej porze? – Powstrzymał irytację w głosie. – Dlaczego ma to znaczenie?

Dlatego że byłam zachłanna. Musiałam wiedzieć wszystko. Tylko jeśli zrozumieć absolutnie wszystko, istniała szansa, że będę w stanie przetrwać fakty i w jakiś sposób znaleźć w sobie siły, żeby sobie z tym poradzić. Ed był mi to winien. Był to winien naszemu małżeństwu. Był to winien naszym dzieciom. Milczałam. Zagryzł zęby, szczeka poruszyła się nieznacznie.

– Po południu.

– Czyli Neil cię widział.

Ed skinął głową.

– O której plus minus?

– Jakoś tak w porze herbaty?

– Gdzie się z nią spotkałeś?

– W jej mieszkaniu.

– W jej mieszkaniu? W środę w porze herbaty? – Jakiś ciemny kształt, dotąd zanurzony, zaczął wyłaniać się z głębin. – Wiesz, co to znaczy?

Ed wpatrywał się we mnie. Jego język się poruszał, ale usta były suche jak pustynny piasek. Wzdłuż linii włosów spływały kropelki potu.

– Nie zabiłem jej, jeśli właśnie to masz na myśli.

Stop.

Możecie sobie wyobrazić, jak to jest – usłyszeć, że mąż, szanowany lekarz położnik, filar lokalnej społeczności, mówi zupełnie serio, w odpowiedzi na pytanie, które nawet jeszcze nie padło: „Nie zabiłem jej”?

– Jestem pewna, że nie. Ale to znaczy, że prawdopodobnie jesteś ostatnią osobą, która widziała ją żywą. Powiedziałaś o tym policji?

Pomimo szalejącego we mnie kalejdoskopicznego zamętu głos miałam dziwnie spokojny.

Pokręcił głową. Przechyliłam krzesło do tyłu, tak jak zawsze mówiłam dzieciom, żeby nie robiły, i balansowałam na koniuszkach palców, usiłując ogarnąć to wszystko.

– Dlaczego?

– Bałam się.

– Bałeś się? Ed... ja pierdolę, dziewczyna nie żyje! Gdzieś tam jest morderca!

– Wiem. Ale boję się, że pomyślą, że to ja.

Zaciął zęby i patrzył w podłogę, zamykając się w sobie, tak jak zawsze, gdy wywierano na niego nacisk. Spojrzał na zegarek, jakby mógł znaleźć tam odpowiedź. Był to mój ślubny prezent dla niego.

– Ale mogłeś widzieć mordercę. Musisz im powiedzieć. Mogłeś widzieć coś, co jest dla ciebie bez znaczenia, ale dla nich może być wskazówką, która pomoże im znaleźć sprawcę.

Zmarszczył brwi i leciutko kiwnął głową, tak jakby rozważał tę możliwość po raz pierwszy. Przez chwilę myślałam, że naprawdę robił to po raz pierwszy, ale nagle uderzyło mnie, że to nie może być prawda. Musiał myśleć o tym, odkąd napisano o jej śmierci. Musiał wiedzieć dokładnie, o której godzinie przyszedł, a o której wyszedł. Nie „jakoś w porze herbaty”. I nagle zdałam sobie sprawę, że jeśli mnie okłamał w sprawie czasu i w sprawie tego drobnego kiwnięcia głową, to... O Boże, nie! Odsunęłam krzesło, jakbym podświadomie próbowała uciec.

– O Boże, Ed! Ty... czy ty...?

Poruszał ustami, jabłko Adama gwałtownie skakało w górę i w dół.

– Nie! Alice! Jak w ogóle możesz...

Otarł czoło z potu.

– Ed?

– Nie!

Ale ja wiedziałam. Było to w jego twarzy, w zaciśnięciu szczęki, w wylęknionych oczach, w zaróżowionej skórze dłoni, którymi ścisnął poręcz krzesła. Było to w jego utkwionym w suficie spojrzeniu. W leciutkim poskrzypywaniu krzesła po podłodze, które bezwiednie odsuwał do tyłu.

– O Boże... Ed!

Przez moment utkwiał we mnie wzrok, ale po chwili ramiona mu opadły, jego napięta pewność siebie zwiotczała, opanowanie zniknęło. Zapadła biblijna cisza.

– To był nieszczęśliwy wypadek, przysięgam.

Głos mu się łamał jak aktorowi. Trzęsłam się. Cała moja niepewność zmieniła się w przerażenie. Głos mi nie działał. Próbowałam mówić, ale nic mi nie wychodziło z ust, aż wreszcie wykrztusiłam:

– Zabiłeś ją?

Pokiwał głową, z twarzą wykrzywioną strachem. Kiedy przemówił, głos miał błagalny.

– Nie planowałem tego zrobić, przysięgam. Ona upadła.

– Upadła? – Słowa narastały, wrzeszczały, potykały się o przerażenie, wypadając mi z ust. – Dlaczego upadła?

– Upadła, bo rzuciła się na mnie i się pośliznęła. Kiedy powiedziałem, że nie ma szans na nasz związek, jakby całkiem oszalała i rzuciła się na mnie z pięściami. Odepchnąłem ją, nawet niezbyt mocno – jedną ręką, po prostu się broniąc... a ona się pośliznęła i uderzyła głową w marmurowy komin i w szpic na osłonie. Od razu widziałem, że to coś poważnego. Krew jej poszła z uszu. Zrobiłem absolutnie wszystko, co się dało – usta-usta, serce, aorta, wszystko – ale wiedziałem, że to na nic. Nic się nie dało zrobić już od momentu uderzenia. Słowo daję. Byłem zrozpaczony jak cholera. Próbowałem wszystkiego, absolutnie wszystkiego. Byłem tak... nie umiem ci powiedzieć... Wiesz, że nigdy bym nie uderzył kobiety, prawda?

Wiedziałam. On nie z takich. Ed daje kobietom podarunki, najlepsze jakie kiedykolwiek w życiu dostaną. Wpatrywałam się w niego w milczeniu, a w wyobraźni byłam na Stokes Croft: pełne złości słowa, krzyk i cios, obronne pchnięcie, lampa strącona na podłogę. Jej ciało rozciągnięte przy osłonie, blond włosy zapychają usta, narasta wielki siniak, czarna krew za uchem, on masuje jej serce, w desperacji chwyta ściereczkę, poduszkę, szlochając nad niesprawiedliwością tego wszystkiego, coś miękkiego, żeby powstrzymać

upływ krwi, ten znajomy ciemny kolor rozlewający się wachlarzem wokół jej głowy.

– Co masz zamiar zrobić?

Ed na moment zakrył twarz dłońmi, po czym je odjął, jakby walcząc ze skrajnym wyczerpaniem.

– Co mam zamiar zrobić? – Urwał, wraz z potrzebą udzielenia racjonalnej odpowiedzi wracała samokontrola. – Mam zamiar nic nie robić.

Milczałam. Mój mąż, słynny położnik, był teraz moim mężem-mordercą. Groza tego faktu sprawiła, że byłam wprost chora fizycznie. Kiedy zapada ciemność, zamazuje wszystko. Gdyby nie otwarte okno i sąsiedzi bawiący się wesoło przy grillu, chybabym krzyczała. Ed opanował się i powtórzył głośniej, jakby próbował przekonać nie tylko mnie, ale i siebie samego:

– Mam zamiar nic nie robić.

– Nic?

– Postanowiłem nic nie mówić policji. Bezpośrednio po zdarzeniu zamierzałem pójść prosto do nich. Ale choć wiedziałem, że to wypadek, wiedziałem też, że oni mogą widzieć to inaczej. Potem zdałem sobie sprawę, że zanim pójde na policję, powinienem opowiedzieć o wszystkim tobie, spróbować wytłumaczyć, co się stało. Byłoby to potwornie niesprawiedliwe, mam na myśli niewłaściwe, gdybyś dowiedziała się o tym od kogoś innego. Chociaż tyle mogę dla ciebie zrobić. – Wydał gorzki śmieшек, graniczący z obrzydzeniem do siebie. – Przynajmniej tyle. Chciałem cię też przeprosić za wszystko, za to, że do tego doszło, że spieprzyłem nasze życie, życie dzieci, wszystko. Wiesz, nadal nie mogę uwierzyć, że to się naprawdę wydarzyło...

Urwał. Łzy spływały mu po policzkach. Nie było w tym samoużalania się i nic już nie pozostało do wyznania. Ale ja nie byłam gotowa, by przestać słuchać.

– No i?

– No i... Wróciłem do domu, ale ty byłaś w tym klubie książki. A Arthur powiedział mi, że ma w szkole kłopoty. Podobno wepchnął Alfiego Warburtona do stawu. Alfiemu na pewno nic się nie stało, tyle że się trochę przestraszył, na co sobie zasłużył. Według Arthura to Alfie go zaatakował, a kiedy go odepchnął, wpadł do stawu i ukarali Arthura, bo Alfie był mokry. Arthur uważał, że to niesprawiedliwe, bo się tylko bronił.

– I to ci zabrzmiało znajomo.

– I to mi zabrzmiało znajomo. Powiedział mi też, że na urodzinach u Richiego Railtona byli na ścianie wspinaczkowej i z jakiegoś powodu, który

nie do końca łapię, było to superfajne, bo tato Richiego też się z nimi wspinał. Kazał mi obiecać nie tylko, że jego urodziny też się tam odbędą, ale że na pewno i ja będę się wspinał z nim i z jego kolegami. I wiesz co? Patrząc na tego małego, pełnego ufności człowieka, zrozumiałem, że nie mogę go zawieść. A może więcej: że nie wolno mi go zawieść, że tu chodzi o jego przyszłość, tak samo jak o moją. I wtedy właśnie postanowiłem, że będę improwizował.

– To dlatego płakałeś, jak mu mówiłeś dobranoc?

Ed skinął głową. Światło odnalazło pojedynczą łzę na jego policzku. Błysnął mi w pamięci obraz jego z dziećmi, kiedy były małe: wszyscy troje w łóżku, zmęczeni, ale upierający się, żeby nadal czytać opowieści o księżniczках i drwalach, ciemnych lasach, dzielnych dzieciach, gadających kotach... Chyba żaden ojciec nie dał dzieciom więcej czasu i miłości i one też kochały go tak, jak chyba nie był kochany żaden ojciec. Prawdę mówiąc, przyszło mi kiedyś do głowy, że gdyby miały kiedyś stracić jedno z rodziców... Odruchowo wyciągnęłam rękę w jego stronę, ale powstrzymałam ten gest. Musiałam to przejrzeć na wylot.

– No więc zszedłem na dół i myślałem o tym, co zrobiłem i co powinienem zrobić, o różnych za i przeciw, w ogóle... i postanowiłem, że tak właśnie zrobię. Nawet jeśli to był wypadek, prawdopodobnie zostałem oskarżony o morderstwo, a nie o nieumyślne spowodowanie śmierci. Ostatecznie mieliby tylko moje zeznanie na temat tego, co zaszło wtedy w jej mieszkaniu, a po tamtej sobocie i tych wszystkich SMS-ach, i tak dalej... cóż, miałem motyw, a przynajmniej oni mogliby utrzymywać, że miałem. Nie jest łatwo przeprowadzić dowód negatywny. – Odchylił się na krześle, jakby zbierając siły. – To dlatego płakałem, mówiąc wtedy „dobranoc” Arthurowi. Bo się bałem i wstydziłem tego, co zrobiłem wam wszystkim, ryzykując wszystko. Wiem, że to, co zrobiłem – i co robię – jest złe, ale to był wypadek, słowo honoru; to nie była moja wina. A jednak może to zrujnować życie twoje i dzieci, a ani ty, ani one nie zrobiliście nic, żeby na to zasłużyć. – Kołysał się na krześle, jakby w transie. Ed nigdy nie wierzył w Boga, wyłącznie w indywidualne dobro na tym świecie. – Myślałem nad tym długo i ciężko. Proszę, Alice, musisz mi uwierzyć. Wiem, że to brzmi jak dogadanie sobie samemu, ale uznałem, że przyszłość mojej rodziny jest ważniejsza niż śmierć jakiejś pomyłonej wariatki, kompletnie mi nieznannej, która próbowała zniszczyć życie moje i mojej rodziny i której już i tak nic nie pomoże.

Pokręciłam głową. Nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę. Usiłowałam

ogarnąć potworność tego wszystkiego, a on ciągnął:

– Przedłożyłem moją rodzinę i przyszłość moich dzieci nad pewną prawną i moralną koncepcję sprawiedliwości. Lepiej spłacę dług, jaki mam wobec Araminty i społeczeństwa, pracując nadal w Szpitalu Świętego Antoniego, niż zrobiłbym to w więzieniu.

Nie odpowiadałam. Co mogłam powiedzieć? To, co chciałam zrobić, to wrzeszczeć na cały głos, tak że mój ból usłyszano by na Hawajach. Ale nie wrzasnęłam. Nawet bym nie zdołała. Cisza gęstniała jak dym. W końcu powtórzyłam:

– To co zamierzasz robić?

Utkwił we mnie spojrzenie. Policzki miał szare jak morski pejzaż van Goyena.

– Wybrałem – wyszeptał.

– Co to znaczy?

Ed położył ręce na stole. Widziałam, jak ich energia wycieka i wsiąka w drewno. Twarz miał wypraną z jakiegokolwiek koloru. Jak to jest – dźwigać taki ciężar samotnie? Jak to jest, czekać na świt, który załomocze do drzwi, na upokorzenie, zmianę, koniec wszystkiego?

– To znaczy, że wybrałem. Teraz kolej na ciebie.

Chodziłam z Marnie Latham do szkoły. Była to jedna z tych szkół z internatem dla dziewcząt, które wyciągają z rodziców znaczne sumy w zamian za świadectwo ukończenia szkoły średniej i książkę adresową wypchaną nazwiskami „odpowiednich” chłopców. Marnie była stypendystką z Manchesteru, która dołączyła w przedostatniej klasie; opłaty w pełni pokrywało stypendium. Była mądra, pracowita, miała znakomite wyniki, ale była niepopularna, bo nie paliła i nie brała narkotyków. W niedzielę po południu nigdy nie nudziło jej się na tyle, żeby uznać, że „grzybowa ruletka” – gra, w której każda zjadała przypadkowego dziko rosnącego grzyba i czekało się, żeby zobaczyć, która pójdzie do szpitala – to dobry pomysł. Miała długie ciemne włosy, świetliste niebieskie oczy, mówiła z północnym akcentem, śmiała się hałaśliwie i przeklinała jak marsylska kurwa. Nie miała kucyka ani nie mieszkała w wielkim domu wtulonym w lesistą dolinę Hampshire. Mieszkała z mamą maszynistką i jej przyjacielem; tato, w dzień tatuażysta, wieczorem tania podróbka handlowca, zwiął, kiedy miała pięć lat. W portfeliku nosiła jego zdjęcie: mężczyzny o leniwym spojrzeniu, w brązowej

skórzanej marynarce, spodniach na gumce i koszuli z kołnierzykiem o długich rogach. Po pięciu latach gadania o chłopaku z Eton i odrzucania włosów do tyłu wtargnęła w moje życie niczym rewolwerowiec, podobnie jak Ed parę lat później. Zrzuciłam moje dotychczasowe koleżanki, jak wąż zrzuca skórę. I tak nigdy nie byłam jedną z nich. Nie cierpiałam ich małostkowości i złośliwości, wywyższania się z powodu ciuchów, koncertów, wakacji, chłopaków, biżuterii, dragów, domów. Marnie była inna. Nigdy nie wytworzyła sobie ochronnej skorupy, tak ważnej dla wszystkich, których posłali do internatu przed skończeniem dziesięciu lat. Marnie marzyła. Była realna.

Przez rok czy półtora byłyśmy nierozłączne. Wiedziałam, że za plecami moje dawne „przyjaciółki” drwią sobie ze mnie, ale miałam to w nosie. Byłam wyzwolona. Miałam kogoś, z kim mogłam rozmawiać o tym, co ważne w życiu – o sztuce, literaturze, ideach – a jej poglądy prowadziły mnie do krainy, o której istnieniu dotąd nie wiedziałam. Była głodna świata niczym kuguar.

Któregoś popołudnia, grając w krykieta, skaleczyłam się w kolano i wróciłam wcześniej do sypialni. I kogóż to w niej zastałam, na klęczkach przy nocnej szafce Annabel Trims, z dziesięciofuntowym banknotem w ręce?

Choć chciałam wierzyć, że jest inaczej, niż na to wygląda, dowody były przytłaczające – czerwona twarz Marnie, wysunięta szuflada, banknot w jej ręce. Na jej korzyść trzeba przyznać, że kiedy zdała sobie sprawę, że wszystko widziałam, nie próbowała mnie zwodzić. Po prostu powoli wstała i utkwiała we mnie wzrok, jak gdyby starając się mnie skłonić samą siłą swojej osobowości, żebym przymknęła na to oko. Była moją najlepszą przyjaciółką. Była inna i w moich oczach lepsza niż my wszystkie, które znalazłyśmy się tu dzięki przypadkowi urodzenia, w ślad za matką czy siostrą ojca, poprzedzając własne córki. Ale kradzież to kradzież. I w tamtej chwili pomyślałam, że być może w ogóle jej nie rozumiałam. Gdzie się podziały tamte górne i chmurne ideały? Gdzie sens wiekuistego poszukiwania, o którym tak często mówiłyśmy? Czyżby to wszystko sprowadzało się do tego: kradzieży pieniędzy z czyjegoś schowka? Czyżby to było tylko gadanie? Czyżby pod spodem nie była ani trochę lepsza niż jej ojciec, który patrzył przenikliwie ze zdjęcia w jej portfeliku?

– Alice, to nie jest tak, jak myślisz. Naprawdę. Ja...

Zanim zdołała dokończyć albo ja – coś powiedzieć, drzwi się otworzyły i do pokoju wpadło pięć dziewczyn. Na nasz widok stanęły jak wryte, momentalnie wyczuwając wiszące w powietrzu napięcie. Pierwsza odezwała się Jenny Raygard.

– Co tu się dzieje? Alice?

Spojrzałam na Marnie. Oddała mi spojrzenie. Szyję miała czerwoną. Fakt, że Jenny spytała mnie, a nie ją, był dostatecznie wymowny. Mój wybór był jasny. Moja najlepsza przyjaciółka, którą kochałam, czy pewne abstrakcyjne pojęcie sprawiedliwości? Gardło miałam wyschnięte na wiór. Powiodłam wzrokiem od Marnie do dziewczyn i z powrotem. Marnie wyraźnie wstrzymała oddech. Przełknęłam ślinę. Musiałam dokonać skoku – w tę stronę albo w tę.

– Marnie kradła pieniądze ze schowków.

Wszystkie hałaśliwie napadły na Marnie. Był to odgłos ziemiańskich siedzib: strzelanie, otwieranie butelek, ujadanie psów polujących na lisa. Marnie rzuciła mi jadowite spojrzenie. Nic się już nie dało zrobić. Pokrzykując na potwierdzenie własnych przesądów, strażniczki poprowadziły ją do dyrektorki o długiej szczęce. Hałas powoli zanikał, w miarę jak znikwały na lakierowanych schodach, a ja siedziałam na łóżku, złamana końcem przyjaźni, który zdawał się końcem wszystkiego.

Wyjechała jeszcze tego dnia, moja najlepsza przyjaciółka, stypendystka, którą na zawsze odcięłam od możliwości lepszego życia. Miała w sobie głód i determinację, którą rzadko można znaleźć na starej plebanii, i pomimo tego, co się stało, płomienną uczciwość, którą tylko ja w pełni znałam.

Po bezsennej nocy zadzwoniłam do niej do domu, żeby ją błagać o przebaczenie. Kiedy telefon dzwonił, myślałam o tej linijce z *Wielkiego Gatsby'ego*, którego właśnie przerabiałymy, o tym, jak Tom i Daisy niszczą życie innych ludzi, po czym wracają „z powrotem do swoich pieniędzy czy swojej rozległej bez troski, czy cokolwiek to było, co trzymało ich razem”. Odebrała jej mama. Miała ciepły, przyjazny głos, ale kiedy powiedziała Marnie, kto dzwoni, moja eksprzyjaciółka nie podeszła.

Dwa dni później dostałam list ze stemplem Stretford, zaadresowany pośpiesznym, nieporządnym pismem Marnie. Rozerwałam kopertę. W środku była kartka taniego papieru A4 z jednym zdaniem:

Gdybym musiał wybierać pomiędzy zdradą kraju a zdradą przyjaciela, mam nadzieję, że starczy mi odwagi, aby zdradzić kraj. E.M. Forster^{III}.

X

Podpisany był pojedynczym X. Nie był to całus, tylko krzyż na drogę.

6

Kiedy, będąc człowiekiem, który zawsze przestrzegał prawa – nie licząc paru skrętów wypalonych podczas studiów czy braku świateł rowerowych – zejdziesz z tej drogi, wówczas wchodzisz w nieznane, w świat, gdzie powietrze jest rzadsze, cienie dłuższe, słońce słabsze. Życie nie „idzie naprzód”, jak to się zwykle mówi. Zegary trzeba ustawić na nowo, związki z ludźmi – na nowo wyskalować.

Kiedy się w coś angażuję – czy to w portret, czy w małżeństwo, czy w portret małżeństwa – to angażuję się naprawdę. Od samego więc początku moja rola polegała na tym, żeby nasza wersja mocno trzymała się ziemi.

Pierwsze, co trzeba było zrobić, to ustalić, co wie policja, a czego najwyraźniej nie wie, bo gdyby wiedzieli, to już by zastukali do drzwi. Musiałam przejąć kontrolę. Z rozpaczliwego uścisku Eda, który mówił „nie zostawiaj mnie”, kiedy – po gruntownym rozważeniu prawdopodobnych skutków pójścia na policję, i nie bez obaw – powiedziałam, że będę go wspierać, wiedziałam, że jest emocjonalnie wykończony. I trudno się dziwić. Na pewno dostawał niezłe ciągi, odkąd się przespał z tą kobietą. Odkąd zabił tę kobietę. Teraz jego sekret wyszedł na jaw, teraz miał się na kim wesprzeć, jego zbiornik był teraz pusty. Akcję miała przejąć lady Makbet, aczkolwiek nigdy nie chciałam ani nie spodziewałam się grać tej roli.

Przygotowałam dzbanek mocnej kawy. Kiedy była gotowa, usiedliśmy przy stole z wielkimi kubkami, gotowi do długiej nocy. Ed miał zwieszoną głowę. Nigdy dotąd się nie zdarzyło, żeby nie miał kontroli nad własnym życiem. W milczeniu popijałam kawę, pozwalając, by jej gorycz zaostrzyła mi umysł. Ed czekał. Było w nim coś na kształt gorliwej chęci, by sprawić przyjemność, by dostać jakieś wskazówki, jak uniknąć swojego losu. Taką władzę nad nim miałam ostatni raz na chwilę przedtem, gdy w odpowiedzi na jego oświadczyzny powiedziałam „tak”, na śliskich drewnianych schodach zamku

Tintagel, gdzie urodził się legendarny król Arthur, z falą uderzającą pod nami o skały.

Na początek wzięliśmy na warsztat dowody niepodważalne: nagrania kamer i jej telefon. Nie mogłam się zmusić, żeby mówić o niej „Araminta”, a tym bardziej „Minta” czy choćby panna Lyall. Jej nazwisko pozostawiało mi w ustach smak przypalonego szpinaku. Była „tą kobietą”, kimś, kogo nigdy nie poznałam, a kto mimo to zmienił moje życie. A więc: kamery? W Starej Powozowni oczywiście nie ma kamer, bo gdyby były, to policja już by tu była. Jej komórka? Wszystkie te telefony i SMS-y, które wysłała do Eda? Ed nachylił się ku mnie. Był człowiekiem, który działał na zasadzie przyczyny i skutku, czego sztuka nigdy nie mogłaby mu zaoferować.

– Właściwie to może być ten łut szczęścia. Jak od niej wychodziłem, zabrałem jej telefon.

– Zabrałeś jej telefon? Przecież mówiłeś, że zamierzałeś się zgłosić na policję?

– Zamierzałem. To była pomyłka.

Uniosłam brwi.

– Naprawdę. Mój telefon zostawiłem w pracy. Więc wzięłem jej, żeby zadzwonić na policję. Nie wyglądało, żeby miało to jakieś znaczenie, z czyjego telefonu zadzwonię, tak czy inaczej się poddawałem. Później zdecydowałem, że najpierw wrócę do domu, żeby ci powiedzieć, i musiałem z nawyku włożyć go do kieszeni.

– Całkiem wygodnie.

Spojrzał na mnie ostro, usiłując się zorientować co do rodzaju mojego sarkazmu. Patrzyłam przed siebie bez wyrazu. Nie do mnie należało ułatwianie mu czegokolwiek.

– To gdzie jest teraz?

– W rzece. Bez karty SIM. Która też jest w rzece.

– Czy operatorzy sieci komórkowych nie mają nagrań?

– Był na kartę.

– A jeśli mają?

– Policja już by tu była. Musiała mieć drugi telefon.

Tak przeanalizowaliśmy, jak normalni przestępcy, każdą chwilę, ruch, każdą możliwość w ciągu tych godzin, które upłynęły od chwili, gdy Ed w niedzielę rano opuścił jej mieszkanie po nocnym przyjęciu u Pete’a, a środowym wieczorem, kiedy wrócił po jej śmierci do domu. Każdy gest został wzięty pod uwagę, każde mrugnięcie. Nasze alibi było na mur beton.

- A co z kwiatami? – spytał Ed.
- Przyniosła je sama. Nikt nie będzie wiedział, co z nimi zrobiła po zakupie.
- A telefony do pracy?
- Zanim w niedzielę rano wyszedłeś, naprawiłeś jej hydraulikę. Dzwoniła, żeby ci podziękować.
- I tak to szło przez całą noc.
- Co z Karen? – spytałam ja.
- Powiedziałem jej, że wychodzę wcześniej, żeby się spotkać z moim prawnikiem.
- A co z prawnikiem?
- Zapomniałem zamówić wizytę.
- Co z Neilem?
- Neilem?
- Z mojego klubu książki. Tym, który cię widział na Stokes Croft w środę po południu. Szedłeś do tej kobiety, tak?
- Ed przełknął ślinę.
- Nie ma powodu, żeby dodał dwa do dwóch. Mogłem iść gdziekolwiek.
- Z wizytą do jakiejś matki, która niedawno urodziła?
- Dokładnie. Cały czas to robię.
- Nie. To można sprawdzić.
- Racja. W takim razie to nie byłem ja.
- To nie byłeś ty.
- Ponieważ... byłem wtedy z tobą na Sion Hill.
- Okej. Chociaż może nie Sion Hill. To centrum Clifton, był miły wieczór, mnóstwo ludzi. Ktoś mógł mnie widzieć samą. Możemy powiedzieć, że byliśmy gdzieś indziej, tam, gdzie nas nie było, wtedy nikt nie może pamiętać, czy nas widział, czy nie. Brandon Hill? Jest dosyć duże. Mogą pytać o Brandon Hill, ile chcą, i nikt niczego nie potwierdzi ani nie zaprzeczy. I nie będą zadawać pytań na temat Sion Hill.
- Dobry pomysł. A Neil się po prostu pomylił, możemy powiedzieć. Przecież prawie mnie nie zna.
- Dokładnie. To nie byłeś ty.
- To nie byłem ja.
- Jakże bym chciała, żeby to była prawda.

Leżąc na plecach z rękami pod głową, wpatrywałam się w szary sufit z cienką żółtą smuzką światła ulicznej lampy, padającej przez szparę w zasłonie. Myślałam o tym, co się stało, i usiłowałam wpasować to w kontekst własnego życia. Trudno było nie zauważyć ironii. Na schodach zamku Tintagel odpowiedziałam Edwardowi Sheahanowi „tak” z wielu przyczyn pozytywnych – kochałam go, ufałam mu, podziwiałam go, szanowałam go, wierzyłam w niego i podobał mi się jak cholera – ale i z równie wielu negatywnych. Moja matka uważała, że nie jest dość dobry, aczkolwiek ujmowała to jako „nieodpowiedni dla mnie”; moi znajomi z uniwersytetu uważali, że nie jest dość interesujący; moi znajomi artyści uważali, że jest zanadto mieszczański. Nie wyszłam za Eda, żeby komukolwiek udowodnić, że się myli, wyszłam za niego, żeby udowodnić samej sobie, że mam rację. Powiedziałam „tak” również dlatego, że patrząc wstecz, w chwili, kiedy go poznałam, potrzebowałam kogoś zdecydowanego i nieustępliwego, kogo mogłabym się uchwycić. Gdyby nie Ed, prawdopodobnie dołączyłabym do kościoła Moona albo do katolików czy jakiejś innej dziwnej sekty obiecującej życie wieczne. Nigdy nie wychodźcie za mężczyznę, którego poznajecie na koncercie The Cure i który nosi okulary słoneczne odsunięte na włosy.

Powodem, dla którego w czasie, gdy poznałam Eda, nie byłam pewna, czy się wpasuję, było to, iż zdałam sobie sprawę, że jeśli chcę traktować moją sztukę serio, to muszę odciąć się od wszelkich więzów z przeszłością. Nie mogłam sobie pozwolić na to, żebym była rozkraczona pomiędzy wyższymi warstwami a cyganerią. Musiałam odnieść sukces w niemodnej dziedzinie, nie mając formalnego wykształcenia ani artystycznych koneksji. A więc, niczym Beckett, który przeniósł się do Paryża i pisał po francusku, odrzuciłam przeszłość. Zerwałam z moim ówczesnym chłopakiem w dniu, kiedy się oświadczył, co było wtedy okropne i okrutne, ale koniec końców najlepsze dla nas obojga. Prawdę mówiąc, to właśnie jego oświadczyzny sprawiły, że zdałam sobie sprawę, że wolę wstrzyknąć sobie śmiertcioną truciznę niż żyć na północ od Oban, w miejscu, które praktycznie było tundra.

Kiedy Ed wszedł w mój świat, jedyną rzeczą, na jakiej mogłam się wesprzeć, była moja sztuka. Z rodziny nie miałam pożytku. Pomimo tych wszystkich lat, jakie razem przeżyliśmy, równie dobrze mogliśmy nie być spokrewnieni. Matka miała bardzo surową definicję „opuszczenia domu”, zdolność Bridgey do rozumienia ludzkich emocji ograniczała się do wiktoriańskich powieści, a ktoś, kto traktowałby Matta jako ubezpieczającą siatkę w razie upadku, musiałby być doprawdy desperatem. Musiałam nauczyć

się żyć sama ze sobą. Nie licząc – krótko – Marnie, nigdy nie byłam specjalnie blisko z innymi dziewczynami.

Chodzi mi o to, że kiedy poznałam Eda, nie byłam zbyt mocno osadzona ani w mojej sztuce, ani w życiu. Urok Eda polegał na tym, że nic nie wiedział o sztuce i nie udawał, że wie. Ale wiedział, czego chce. Szalenie podobała mi się ta klarowność, gdy moja własna przyszłość wydawała się taka niejasna. Nie wiedział, co to nostalgia. A ja tak strasznie tęskniłam za Highlands z ich podbarwionymi sepia zdjęciami drużyn raketowych^[12] elitarnych szkół publicznych, złożonych z chłopców, którzy poszli do pracy w City albo nie wrócili z takiej czy innej wojny. Od chwili, gdy go poznałam na przyjęciu u Johna Morgana, bawiącego się puszką pepsi, w czerwonej koszulce z nazwą zespołu Halcyon Days wypisaną małymi złotymi literkami z lewej strony, emanował wiarą w siebie i we własne rozumienie tego, jaki jest ten świat i jaki powinien być.

Ale role się odwróciły. Przyszła moja kolej. Czułam się silna, podekscytowana tym, że go wspieram, choć mocno wystraszona. Mój strach dotyczył raczej Eda i przyszłości, i tego, jak to wpłynie na dzieci, niż tego, co może być ze mną. Cokolwiek zrobił – a wierzyłam mu, gdy powiedział, że śmierć tej kobiety była przypadkowa – powiedziałam, że będę go wspierać, a kiedy daję słowo, to daję. Zamierzałam stać u boku mojego mężczyzny niczym skała. Co było ważniejsze? Życie czworga ludzi, z których każde miało zdolność wnieść swój wkład w życie społeczeństwa? Czy jakaś nieżyjąca wariatka, która usiłowała zniszczyć naszą rodzinę i dla której nic już nie można było zrobić? Co było ważniejsze: wolność dla mężczyzny, który uczestniczył w śmiertelnym wypadku – nie mordercy, zdecydowanie nie mordercy, nawet nie nieumyślnego sprawcy śmierci – i który może w przyszłości spłacić zawiązką dowolny dług, ratując niezliczone dzieci, czy jakieś abstrakcyjne pojęcie sprawiedliwości? Prawda życia czy teoria? Pragmatyzm czy idealizm? Żywy czy martwa? Żyjemy w świecie niedoskonałym. Sprawiedliwości można służyć na wiele sposobów.

Nazajutrz rano zaczęło się lato. Chmury ostatecznie się rozeszły i słońce zapłonęło niczym przyparty do muru człowiek wyjęty spod prawa. Śniadanie przeszło prawie w milczeniu. Przyłapałam Eda na tym, że zerka na mnie kątem oka, jakby się bał, czy nie zamierzam zmienić zdania.

Na użytek dzieci udawałam, że to normalny dzień: złościłam się na Arthura,

że nie odrobił lekcji, i krzyczałam na Nell, żeby się pośpieszyła, bo inaczej będzie musiała iść piechotą. To był normalny dzień: on nie odrobił lekcji, a ona się nie śpieszyła i nie musiała iść piechotą.

Kiedy odwiozłam je do szkoły i wróciłam do domu, wszystko było jak najdalsze od normalności. Moja koncentracja rozpadła się na kawałeczki. Zwykle w takim wypadku starałam się zwalczyć rozkojarzenie – nic się nie zmieni, o ile nie usiądzie się przed sztalugą – ale nie tego dnia, gdy jedyne, co miałam w głowie, to kinowe obrazy Eda w jej łóżku, krew na jej podbródku, te mocne białe zęby. Chwilami czułam się wręcz fizycznie chora. Nie ma mowy, żebym potrafiła czuć kolor. Zbyt wiele było rzeczy, których musiałam unikać, i wszystko przybrało podobny, demoniczny wygląd.

W końcu poddałam się temu, co nieuniknione. Chciałam pójść na spacer, żeby poczuć na twarzy regenerujące słoneczne ciepło, ale nie potrafiłam zaufać sobie samej, że stawię czoło sytuacji, jeśli spotkam kogoś znajomego. Poszłam więc do pracowni i zaczęłam przeglądać sieć pod kątem najnowszych wiadomości na temat poszukiwania sprawcy. Starałam się to robić zwyczajnie: strony poszczególnych gazet, BBC, nic, co by sugerowało, że to coś więcej niż uzasadnione a przelotne zainteresowanie śmiercią kogoś miejscowego. Nie mogłam się jednak oprzeć, by nie zbaczać na strony galerii, grupowych ekspozycji i wystaw na Uniwersytecie Brytyjskim, Sotheby's, absolwentów Uniwersytetu Edynburskiego. W końcu nawet to wszystko było niezbyt ciekawe, ale poprzez Pete'a i Mirandę odnalazłam jej stronę na Facebooku i rzuciłam się zachłannie na rozmaite szczegóły z jej życia. Porównywałam je z moim i zastanawiałam się, dlaczego ze wszystkich dziewczyn na świecie, których Ed w ogóle nie zauważył, to właśnie ona zawróciła mu w głowie.

Właśnie czytałam stary tekst na temat jej dyplomowej prezentacji w Edynburgu, gdy zadzwonił dzwonek przy drzwiach. Zamknęłam stronę i ruszyłam na dół, zerkając po drodze na moją martwą naturę ze starym czajnikiem, wiszącą nad schodami. Była to ważna praca w mojej twórczej „podróży”; jeśli nie brzmi to zbyt zarozumiale, po raz pierwszy połączyłam figuratywność pierwszego planu i abstrakcjonizm tła, co było zmianą stylu równie radykalną, jak położenie płótna na podłodze przez Pollocka i spryskanie go farbą. W sztuce, podobnie jak w życiu, chodzi nie tylko o cel, ale i o samą podróż. Bez potu, krwi i strachu nie dotrzesz tam, gdzie usiłujesz dojść. Nie będzie oszustwa, nie będzie sztuczności. Nie będzie sztuki.

Wiedziałam, kogo zobaczę za drzwiami: posłańca. Zawsze był to on. Jedyński

ludzie, którzy dzwonią w ciągu dnia do naszych drzwi, to ci, co wciskają mi elektroniczne ołówki i maszynki do podpisu, a pod pachą mają paczkę od jakiegoś internetowego sprzedawcy słonecznych kolorów czy kornwalijskich marzeń. Albo dostarczają kwiaty czy skrzynki wina dla Eda w podziękę za życie. To nasi współcześni domokrążcy, tyle że sprzedaż dokonana się z góry.

Ale co, jeśli to policja? Ta myśl sprawiła, że stanęłam jak wryta w holu. Za późno było udawać, że w domu nikogo nie ma, bo zbiegałam ze schodów, celowo łomocząc nogami, żeby ten, co dzwoni, wiedział, że ktoś jest, i nie odszedł. Powoli podeszłam do drzwi. Mdliło mnie, nie tylko dlatego, że bałam się, kto to jest, ale i dlatego, że nagle zdałam sobie sprawę, że odtąd już zawsze będę się bała w takiej sytuacji. Ilekroć usłyszę dzwonek, zobaczę idącego w moją stronę policjanta czy ktoś mnie zawoła na ulicy, zawsze będzie temu towarzyszyła myśl: to koniec. Czas, kiedy spokojnie i bezmyślnie otwierałam drzwi, przeminął. Czas, kiedy nie obchodziło mnie, co mówią ludzie, przeminął. Dałam sobie chwilę ekstra, żeby uspokoić nerwy, zaakceptować wyrok śmierci, który mi właśnie wręczono, przepowiedzieć sobie błyskawicznie naszą wersję i przygotować się do niewinnego powitania. Powoli otworzyłam ciężkie drzwi.

To był Jerry. Dzięki Bogu! Jerry to był posłaniec o spalonej słońcem twarzy i potarganych włosach. Zawsze nosił szorty do kolan i starannie wyprasowaną koszulę. Jerry doręczał kwiaty dla Eda. W ciągu tych lat dobrze się poznaliśmy. Wspólnie podśmiewaliśmy się z dołączonych do kwiatów karteczek: „Z serdecznymi pozdrowieniami od Keitha, Sharon i Apolla”, „Od Michaela, Caroline, Django i Gandalfa”. „Który to pies?” – pytał.

Kiedy otworzyłam, Jerry nachylał się, żeby położyć kwiaty na schodku. Na czubku głowy miał łysinkę. Wyprostował się z uśmiechem – Ed asystował przy porodzie dziecka Jerry’ego i Gillian, Annie – i wyciągnął w moją stronę bukiet lilii w brązowej bibułce, przewiązanych wstążką, wilgotnych u dołu. Były śnieżnobiałe, ostre słońce prześwietlało ich płatki i nasycalo łodyżki czystą zielenią.

– Dla pani, pani Sheahan.

Dla mnie? Nietypowe. Ostatnim razem dostałam kwiaty, kiedy urodziłam Arthura. Raz dała mi je Nell, na Dzień Matki, ale były z ogrodu. Wzięłam bukiet i kopertę i wyjęłam kartę. Była wytłaczana w irysy. Jerry odwrócił wzrok, albo żeby okazać zawodową dyskrecję, albo dlatego, że już widział kartę. „Kochanie, nigdy nie zdołam ci odpowiednio podziękować. Chcę być z tobą na zawsze. Ed xxxx”. Staralam się wyglądać na uradowaną, ale w środku

wszystko się we mnie przewracało.

– O! To od Eda. Jaka miła niespodzianka!

– Od doktora Sheahana? – Jerry zawsze tak mówił o Edzie, pomimo że niemal każdy list, który doręczał, zaadresowany był do „pana”. – Rocznicą?

Stłumiłam mimowolny śmiech.

– Urodziny? – Dzieci Jerry’ego wciąż jeszcze siedziały na wysokich krzeselkach, każde urodziny to było wielkie wydarzenie. – Wszystko jedno co – dodał. – Śliczne. – Wiedział, kto płaci jego świąteczne tipy. Spojrzałam na dół karty. Były tam bezprecedensowe cztery pocałunki, nie zwykłe trzy. Spojrzałam na Jerry’ego. On spojrzał na mnie. Zastanawiał się, co się Edowi stało, że przysłał mi kwiaty.

Ed podniósł wzrok znad „Financial Times”, który z jakichś niezgłębionych powodów zawsze kupował w czwartek po męskim deblu. Dlaczego w czwartek? Dlaczego „FT”? (Dlaczego debel?) Bo... Nie wiem. A dlaczego nie miałby kupować tylko w czwartek? Siedział w łazience w wiklinowym fotelu, czekając, aż napełni się wanna. Na szyi miał ręcznik, na poręczy balansowała szklanka dietetycznej coli, stopy w białych skarpetkach ustawione były na podłodze pod kątem prostym. Wciąż miał na sobie strój tenisowy, wyprasowane szorty i koszulkę z dyskretnym ptaszkiem Nike. Ed miał szerokie barki i mocne łydki łucznika spod Azincourt^[13] i mniej więcej taką samą subtelność. Plan A: uderz piłkę najmocniej jak potrafisz; plan B: uderz mocniej. Kiedy stał blisko mnie, czułam jego wysokość i siłę. To siła dobroczynna, ale są głębie, których nie sposób zmierzyć. Jego życie nie jest uwiązane do przeszłości.

– Jest coś? – spytałam.

Przewrócił stronę. Ramiona, wysoko uniesione, poruszały się przy tym jak skrzydła motyla.

– To nie jest gazeta od takich rzeczy.

– Brak wiadomości to dobra wiadomość.

– No.

– W pracy gadają o tym?

– Nie.

– A o tobie?

– Dlaczego mieliby gadać o mnie?

– Bo zachowujesz się dziwnie?

Zmarszczył brwi. Umysł Eda pracuje po linii prostej: od symptomu do diagnozy. Przekonałam się o tym na wczesnym etapie naszego związku, kiedy podarowałam mu *Poezje wybrane* Wallace'a Stevensa. Przeczytał mój ulubiony wiersz *Idea porządku w Key West*, bardzo powoli, w milczeniu, ze ściągniętymi brwiami i wydętymi ustami, aż wreszcie podniósł wzrok i powiedział chłodno i bez cienia wstydu: „Nie rozumiem z tego ani słowa”. Pokochałam go za tę odmowę wciskania kitu. Jego brak wszelkiego udawania był takim kontrastem w porównaniu ze znajomymi studentami, z ich artystyczną sofistyką i zaczytanymi egzemplarzami E.E. Cummingsa czy *Kwiatów zła* Beaudelaire'a, pełnymi podkreśleń i komentarzy na marginesach (zielonym atramentem, rzecz jasna).

Poruszył się w fotelu. Głowę miał odchyłoną do tyłu, twarz zwrócona była w górę jak talerz satelity.

– Czy nikt nie mówi: „Co się stało, że pan Sheahan po raz pierwszy od piętnastu lat posłał żonie kwiaty?”

– Myślę, że przeceniasz zainteresowanie moim życiem prywatnym.

– Dobrze, zamówiłeś je sam czy poprosiłeś o to Karen?

– Sam. Z tym że spytałem ją, jakie...

– Właśnie. Czyli Karen wie, że przysłałeś mi kwiaty. A więc ci, z którymi Karen piła kawę w czasie przerwy, też wiedzą, że przysłałeś mi kwiaty. Co oznacza, że dziewczyny z recepcji wiedzą, że przysłałeś mi kwiaty. Co prawdopodobnie oznacza, że wszyscy w szpitalu wiedzą, że przysłałeś mi kwiaty.

– Myślisz, zdaje się, że nikt w szpitalu nie zajmuje się niczym innym poza plotkowaniem.

Uniosłam ironicznie brew.

– I jeszcze jest Jerry.

– Kto to jest Jerry? – Jego ton sugerował, że wdepnęłam w teatr absurdu.

– Posłaniec.

– Jerry. – Wymówił to imię powoli, jakby nigdy przedtem go nie słyszał i chciał je wypróbować na języku.

– Jerry, który regularnie dostarcza kwiaty dla ciebie, ale nigdy dla mnie.

– Okej. Posłałem ci kwiaty. Przepraszam. Więcej tego nie zrobię. Posłałem je, bo pomyślałem, że ci się spodobają. Chciałem ci podziękować. Chciałem ci sprawić radość. Przepraszam, że próbowałem.

Usiadłam przed nim na podłodze.

– Nie rozumiesz tego, prawda? – Zniżyłam głos do konspiracyjnego szeptu.

– Czego nie rozumiem? – spytał z naciskiem na ostatnie słowo.

– Nie rozumiesz, że wszystko się zmieniło. Nieodwracalnie. Trwa poszukiwanie sprawcy i szukają ciebie. Twoje nazwisko jest w ramce, bo byłeś z tą kobietą w jej mieszkaniu parę dni przed jej śmiercią. Nie rozumiesz, że chociaż policja dotąd tu nie przyszła, może przyjść w każdej chwili. Może nawet w tej chwili stawiają komuś właściwe pytania, notują odpowiedzi, łączą ze sobą fakty. Kto wie, kiedy zapukają do tych drzwi?

– Nie widzę, co to ma wspólnego z kwiatami.

– Z kwiatami, kochanie, ma to wspólnego, że jeśli policja połączy fakty, to będzie zadawała mnóstwo pytań każdemu, z kim spędzałeś czas, odkąd ta kobieta nie żyje. I jedną z tych osób będzie Karen. I kiedy ją spytają, czy przez ostatnie trzy tygodnie zachowywałeś się inaczej niż zwykle, może – po prostu może – przypomnieć sobie nagle te kwiaty i powie: owszem, było coś takiego, mężczyzna, o którym wiedziałam, że nigdy wcześniej nie posyłał żonie kwiatów, nagle posłał, i policja może – po prostu może – się zastanawiać, co takiego zrobiłeś ty albo twoja żona, że po raz pierwszy, odkąd najstarsi ludzie pamiętają, nie wyłączając urodzin ani rocznic, postanowiłeś jej posłać kwiaty. I co na to odpowiesz, jeśli będą się zastanawiać na głos, w pokoju bez mebli i okien, z gołą żarówką pod sufitem? Co powiesz, wiedząc, że takie samo pytanie stawiają mnie, w innym pokoju bez okien i z gołą żarówką pod sufitem? I nie będzie można się naradzić. Ale musimy wtedy powiedzieć to samo, inaczej koniec gry.

Ed wyglądał na odpowiednio skruszonego. Miecz nad jego głową był o wiele większy niż nad moją.

– Przepraszam, kochanie, naprawdę bardzo mi przykro.

I nagle zrobiło mi się go żal. Ed nie był mężczyzną, który prowokuje współczucie, on budził szacunek. A jednak w tej chwili wyglądał tak bezbrinnie, samotny uciekinier, mający przeciw sobie policję i prasę całego kraju! Przesunął się w fotelu i sztylet słonecznego blasku chlasnął go w poprzek twarzy.

– Wiem. Ale choćbyś nie wiem ile to powtarzał, nigdy nie będzie dość – ani wobec mnie, ani wobec tej kobiety, ani jej rodziców, ani sędziego czy przysięgłych, ani Nell czy Arthura. Ale nie to chciałam powiedzieć. Chciałam powiedzieć, że nic się nie może zmienić w naszym życiu. Jeśli nigdy dotąd nie przysyłałeś mi kwiatów, nie zaczynaj mi ich przysyłać teraz. Jeżeli nigdy nie myślałeś samochodu w sobotę po południu, nie zaczynaj myć teraz. Jeśli policja zapuka do naszych drzwi, to przetrwamy to tylko pod warunkiem, że nic –

absolutnie nic – nie zmieni się w naszym życiu. W ten sposób, kiedy będziemy siedzieli w oddzielnych pokojach z gołą żarówką i lustrem weneckim i będą nam stawiali pytania, będziemy mogli odpowiadać spokojnie, wiedząc, jak każde z nas się zachowuje i jak myśli i mając wspólnie ustalony zestaw kłamstw i wspólne alibi. Tak?

Pokornie pokiwał głową.

– Bo wkładam głowę w pętlę dla ciebie. W razie czego ja też pójdę siedzieć za ukrywanie męża, który najpierw przespał się z inną kobietą, a potem ją zamordował. Co się wtedy stanie z dziećmi?

– Nie zamordowałem jej.

– O tym zdecyduje sąd. Same fakty są poza dyskusją. – Staralam się, żeby do mojego głosu nie przeniknęła gorycz. – Przeleciałeś ją. Zagrozała twojej rodzinie i małżeństwu. Byłeś jedyną osobą obecną przy jej śmierci. To, że był to wypadek, to tylko twoja wersja.

– Przestań! Nie myślisz przecież... – Odwrócił się, zaciskając szczęki. Na czole pulsowała mu żyła w kształcie litery Y.

– Nie, ja tak nie myślę, ponieważ cię znam. Ale ja to nie sąd ani przysięgli. Spójrz na fakty. Kobieta, która mogła zrujnować nasze małżeństwo albo reputację, zmarła śmiercią gwałtowną. Ty byłeś jedyną osobą obecną przy jej śmierci. To są jedyne fakty. Wszystko inne to twoje słowa.

Patrzył na mnie nieruchomo, zaciskając zęby.

– On powiedział, ona powiedziała, on zrobił, ona zrobiła. Dokładnie jak z Arthurem i Alfiem Warburtonem. Tak, ja ci wierzę, ale to nie ja będę siedziała na ławie przysięgłych, a jedyny fakt, jakim dysponujemy, to to, że tamta kobieta zginęła, a Alfie wylądował w stawie. Arthura ukarali, bo przy wszystkich „on powiedział, ja powiedziałem” był to jedyny fakt.

Prawie że się zatchnęłam. Ed pokiwał głową. Widziałam po nim, że chciałby mi pomóc się uspokoić, ale oboje wiedzieliśmy, że nie jest w stanie.

7

W najbliższą sobotę poszliśmy do Juliana i Elli Noone'ów na kolację. Mieszkali w Failand w rozległym, robionym na zamek domostwie, parę kilometrów za miastem, po drugiej stronie wiszącego mostu Clifton^[14]. Julian był skutecznym menedżerem funduszu inwestycyjnego, który potrafił właściwie odczytywać zarówno zestawienie bilansowe i sytuację w biznesie, jak uścisk ręki. Ella potrafiła ocenić markę ciucha na odległość stu metrów. Zostaliśmy czymś w rodzaju przyjaciół po tym, jak Ed odbierał ich drugiego syna, Oscara. Poród przebiegał z ostrymi komplikacjami i później nalegali, że zabiorą nas na elegancką kolację. Ed, który nie interesował się pieniędzmi, nie miał z Julianem zbyt wiele wspólnego; ja mogłam rozmawiać z Ellą o dzieciach, szkołach i sklepach w Londynie, ale tylko jeśli nie wydarzało się to zbyt często i nie trwało zbyt długo. Mimo wszystko lubiłam Juliana i on mnie też, jak sądzę. Był inteligentny i interesowało go mnóstwo rzeczy, między innymi sztuka, a poprzez biznes nauczył się, jak ukrywać własne motywy, dzięki czemu sprawy wciąż były interesujące. Właśnie dlatego chętnie bym go namalowała, i właśnie dlatego nigdy o to nie poprosił.

Byliśmy już blisko wiszącego mostu, świadectwa ludzkiej zdolności, by stwarzać to, co niemożliwe, wierzyć w niemożliwe i osiągać niemożliwe, gdy Ed powiedział:

– Ale, ale, Pete spytał mnie, czy się wybieram na nabożeństwo żałobne za Aramintę.

Właśnie poprawiałam sobie rzęsy za pomocą spiralki.

– Nabożeństwo żałobne?

– Podobno ma być w środę. W starym kościele na Chelsea w Londynie.

Pytał, czy z nim pojedę.

– Oczywiście powiedziałaś „nie”.

Ed wrzucił mniejszy bieg, bo zbliżaliśmy się do mostu. Do kamiennej wieży

przetywierzony był plakat Samarytan, zachęcający potencjalnych samobójców, by zadzwonili pod podany numer.

– Cóż, powiedziałem „tak”.

– Tak?

– Tak. Pomyślałem, że będzie wyglądało dziwnie, jeśli powiem „nie”.

– Dziwnie? Wyglądałoby w pełni normalnie. O wiele dziwniej wygląda jechać na nabożeństwo za dziewczynę, którą widziałeś raz w życiu na przyjęciu, kiedy byłeś zalany w trupa. Kto by zrobił coś takiego?

Nastąpiła pauza, podczas której Ed grzebał w kieszeni w poszukiwaniu monety, żeby podnieść barierę. Czemu mężczyźni nie potrafią robić paru rzeczy jednocześnie? Wrzucił monetę, bariera się podniosła i ruszyliśmy przez most. Głęboko pod nami połyskiwała rzeka, brązowa pomiędzy przybrzeżnymi równinami błotnymi. Widok z mostu zawsze budził we mnie uczucie bezbronności, a zarazem kazał myśleć o długowieczności tego liczącego milion lat wawozu, o wspaniałości tego, co zrobił Brunel, i o rozpacz samobójców.

– Gdyby uważał, że to dziwne, to pewnie by mnie nie zapytał.

– Nieważne, co myśli on. Co z innymi? Co z policją, na litość boską? – Poczułam spazm strachu. Znowu przeoczył coś ważnego! – Chyba nie sądzisz, że nie przejrzą listy gości pod kątem stukniętego mordercy, który pokaże się na nabożeństwie, żeby triumfować nad tymi, co próbują go złapać? Jezu, Ed, to najstarszy znany kryminalistycy haczyk!

Ed spojrział w stronę świateł ulicznych przy wejściu do Ashton Court.

– Jeśli pojedę z Pete’em, będzie to wyglądało w pełni normalnie. Jeśli ktoś spyta – a nie spyta – powiem po prostu, że znałem ją przelotnie, ale oczywiście jest mi bardzo przykro w związku z tym, co się stało, i musiałem pojechać na nabożeństwo, nie tylko ze względu na nią, ale też aby wesprzeć Pete’a, mojego najbliższego kolegę, który stracił jedną ze swoich najdawniejszych przyjaciółek. Co w tym dziwnego?

– Swojego młodszego kolegę, którego dziewczyna straciła jedną ze swoich najdawniejszych przyjaciółek. Co to za bliskość? Jak często w ogóle widzisz się z Mirandą?

Światła zmieniły się na żółte i Ed nacisnął dźwignię zmiany biegów. Wydała stalowe stęknięcie. Minęliśmy klub golfowy i jakieś szkolne boiska. To długa, pusta droga, nieodległa od centrum miasta, mimo to drzewa zwieszają się nad asfaltem niczym jakiś koszmarny baśniowy las.

– To o wiele mniej dziwne, cholera, niż powiedzieć Pete’owi, że nie będę

sobie zwracał głowy jakąś dziewczyną, u której niedawno byłem, a w niespełna tydzień później zginęła.

Ed nie lubił sporów.

– Kiedy byłeś tak pijany, że nawet nie pamiętasz, że się z nią przespałeś. Posłuchaj, z pewnością zdajesz sobie sprawę, że nie powinieneś jechać na to nabożeństwo? Częściowo dlatego, że ściągniesz na siebie uwagę policji, ale głównie dlatego, że – jakkolwiek do tego doszło – byłeś tam, kiedy zginęła. Jesteś w to zamieszany. To po prostu nie w porządku.

Milczenie. Kolejne światła. Skrzyżowanie. Ed był najeżony. Skręciliśmy w prawo.

– Chyba tak naprawdę nie mam wyboru.

– Zawsze jest jakiś wybór.

Milczenie. Kiedy w końcu znowu się odezwał, w jego głosie była stal. Od tamtej nocy usłyszałam ją po raz pierwszy.

– Okej, mam wybór. I wybieram to, że pojedę. Wybieram to, bo tak wydaje mi się słusznie, ponieważ ją zabiłem. To był wypadek, wiem, ale wybieram, że pojedę, bo uważam, że powinienem wyrazić szacunek wobec kogoś, kto umarł, a ja na to patrzyłem, i w rezultacie będzie obecny w moim życiu aż do śmierci.

– A ja nie sądzę, że powinieneś jechać. Jeśli myślisz o naszej przyszłości, to musisz zapomnieć o przeszłości.

Ed bez widocznej potrzeby zmniejszył bieg. Dzwignia zazgrzytała. To było ze względu na mnie.

– To znaczy, że już nie mam wyboru? To dług, którego nigdy nie spłacę, więc mam do końca życia robić to, co mówisz? Czy tak odtąd będzie?

Na skroni pojawił się tik. Linia włosów wydawała się przez to wyższa, niż była. Wyjrzałam przez okno na ciemne drzewa, na pas domków.

– Wobec tego jedź. Rób, jak uważasz. Jeśli po drodze złapie cię policja i nigdy więcej nie zobaczysz Nell czy Arthura, okej, niech i tak będzie.

Nie odpowiedział. Po chwili, nie wiadomo skąd i jak, poczułam jego uśmiech. Potem wydał stłumiony chichot. Nie patrzyłam na niego, żeby się nie zarazić, ale to tylko sprawiło, że roześmiał się jeszcze raz, głośniejsz. Było dokładnie tak, jak wtedy, kiedy zaczęliśmy się spotykać, a on rozładowywał moje wybuchy śmiechem, a że wcześniej wszyscy traktowali mnie serio, to działało, i kochałam go za to, nawet jeśli w danej chwili tego nienawidziłam. Tym razem nie zwracałam na jego śmiech uwagi, patrzyłam przed siebie, choć był to dźwięk, którego nie słyszałam od tylu dni, niepowstrzymany i nieoczekiwany. Siedziałam z kamienną twarzą. Ed spoglądał to na mnie, to na

drogę, zaczął się zataczać ze śmiechu, głowa uderzała o podgłówek, i im dłużej się opierałam, tym bardziej nieopanowany był jego śmiech. W końcu nie dałam rady i uśmiechnęłam się. Ed ryczał, zataczając się. Mój uśmiech się poszerzył. Próbował coś powiedzieć, ale nie dał rady, przepadło. Roześmiałam się i ja. Ed wył ze śmiechu, łzy leciały mu policzkach. W końcu i ja ryknęłam na całe gardło.

Ale tembr jego śmiechu się zmienił. Nagle zdałam sobie sprawę, że już się nie śmieje. On płakał. Łzy, które spływały mu po twarzy, były prawdziwe. Nie mogłam się oprzeć i też się rozplakałam. Płakałam niepowstrzymanie, bo nasz świat tak się zmienił, i z powodu tej dziewczyny i jej rodziców, bo wiedziałam, jak bym się czuła, gdyby to był Arthur albo Nell, i musieliśmy zjechać na pobocze, bo tusz mi się rozmazał i chciałam zawrócić i jechać do domu, a Ed przez łzy nie mógł prowadzić, żadne z nas nie widziało jezdni przez sobą.

Julian Noone miał blade oczy, które omiatały otoczenie niczym reflektory. Wielu potencjalnych inwestorów, szefów firm, a jak głośno fama, również pięknych dziewczyc zostało schwytyanych przez ich promień. Kiedy podszedł, żeby mnie pocałować, zdawały się być nastawione na maksimum mocy. Miałam niemiłe uczucie, że przyuważył moje czerwone oczy i ponownie nałożony tusz i podejrzewał kłótnię w samochodzie. Miał na sobie drogą koszulę w kolorze sieni palonej z absurdalnie skrojonym kołnierzykiem i czterema guzikami przy szyi i mankietach, co sprawiało, że wyglądał jak jakiś słynny kucharz. Z rozpięcia wyzierały siwiejące włosy na piersi. Blond włosy Elli opadały jej kaskadami na ramiona, zęby błyszcząły. Była ubrana w błyszczącą turkusową koszulę z podwiniętymi rękawami, z napisem „Joseph” na piersi złożonym z brylancików, i dzinsy Escada, tak obcisłe, że musiała chyba ogolić sobie nogi, żeby się w nie wbić. Kiedy Ed cmoknął ją na powitanie, przyłapałam go na tym, że zerka w jej dekolt. Przelotnie uniósł brew.

Ed walczył o znalezienie jakiegoś wspólnego zainteresowania z Ellą, a Julian tymczasem zajął się mną, nalewając nam obojgu po wielkim kieliszku kosztownego Chassagne-Montrachet. Ed miał wodę sodową z limonką, a Ella gin z tonikiem. Julian spytał mnie o moją twórczość, zrobił kompetentną uwagę na temat różnicy pomiędzy nominalnymi a faktycznymi przychodami domów aukcyjnych, po czym gładko przeszedł od fałszerstw w dziedzinie sztuki do

rynków finansowych. Dla ludzi, którzy bawią się pieniędzmi, są one jak woda: zawsze znajdują jakąś szczelinę, żeby się przedostać.

– Widzisz – mówił, uzupełniając mój kieliszek, choć upiłam dopiero połowę – rynek akcji nie różni się od innych rynków. Kiedy jakiś rynek wyczuje, że coś jest nie tak, to jest jak pies węszący za kością. Węszy, węszy, i choćby jakiś diler czy firma twierdzili, że wszystko jest koszerne, nie zostawi ich w spokoju. To kwestia przeczucia, coś jak szósty zmysł. Rynek zawsze w końcu zawsze dojdzie, o co chodzi. – Odchylił się na oparcie krzesła i dodał z zadowoleniem: – Ktoś powiedział, że bankructwo to proces najpierw powolny, a potem gwałtowny.

Skinęłam głową i ładnie wyglądałam. Kiedy usiedliśmy pośrodku ich rozległej jadalni, Julian znowu napełnił nam kieliszki jakąś *joie de vivre*, która sugerowała, że nie planuje inwestować po obiedzie w jakieś zamorskie rynki. Podniosłam rękę, ale nalał mi i tak. Już teraz trochę kręciło mi się w głowie i wiedziałam, że nie powinnam więcej pić, ale Julian był taki czarujący i pełen entuzjazmu, że było to jak odpierać harce rozbawionego szczeniaka. Nawet nie byłam pewna, czy tego chcę. Afirmacji, jaką promieniował, brakowało u nas ostatnimi czasy. Tak więc gdy Ed pluskał się na płytyznach Elli, Julian sondował głębie związków pomiędzy sztuką a pieniędzmi i wędrował po peryferiach wielkiej finansjery. W końcu skręcił w stronę tego, co stanowi spoiwo każdego przyjęcia – wakacji, szkół, polityki, śmierci Araminty Lyall (Ed wspomniał, że spotkał ją na jakiejś imprezie, ale podał to tak bezbarwnie, że rozmowa prędko skręciła w inną stronę), małżeństwa i rozvodu. Brat Juliana od niedawna był w separacji. Podczas gdy Ed zwrócił się z powrotem do Elli, by wyjaśnić jej, jak na co dzień przejawia się niedofinansowanie opieki zdrowotnej (jakkolwiek nie bez ukradkowego chwywania mojego spojrzenia i dotykania palcem wskazującym swojej szklanki z wodą), Julian przytoczył kłótnię, która pchnęła jego małżeństwo ku przepaści. Jechali spóźnieni, żeby obejrzeć szkolny mecz hokeja, w którym grał ich syn, i nie mogli znaleźć szkoły. Dlaczego byli spóźnieni? „On powiedział, ona powiedziała”. Tak to się zaczęło. Objaw, a nie przyczyna. Tego dnia był ruch jednokierunkowy, ale mogło to być cokolwiek. Julian odkorkował Margaux, dla którego Hemingway byłby napisał kwiecistą sentencję, i rzekł:

– Podobno sześćdziesiąt dziewięć procent wszystkich rozstań zaczęło się od kłótni w samochodzie.

Nie potrzebowałam już więcej wina, ale potrzebowałam odprężenia. Czułam na sobie spojrzenie Eda, kiedy pozwalałam Julianowi, aby znów

napełnił mój kieliszek. Nie odwzajemniłam go.

– Skąd, na Boga, wzięłeś te śmieszne dane?

Udał zranionego.

– Nie wierzysz mi?

– Chcę tylko wiedzieć, skąd wzięłeś te absurdalne statystyki.

– Kłamstwa, wszędzie te cholerne kłamstwa, co?

Wbiłam widelec w ostatni kartofel. Troszkę kręciło mi się w głowie, ale panowałam nad tym, co robię. Było niemal tak, jakby życie wróciło do normalności.

– Nie.

– „Nie” w sensie?

Nietrudno było dostrzec, jak to się dzieje, że w różnych okolicznościach – kolacja w Knightsbridge, spotkanie w Mayfair – ludzie robią to, czego chce on.

– Po prostu pospieraliśmy się po drodze i ciekawa jestem, czy dołączymy do tych sześćdziesięciu dziewięciu procent.

– Kłótni, które prowadzą do rozstania? – podjął ochoczo.

– Czy do trzydziestu jeden procent pozostałych.

Już w chwili, gdy to mówiłam, wiedziałam, że popełniam błąd. To wino mówiło. Julian nachylił się ku mnie z błyskiem zainteresowania w oczach i przypomniałam sobie jego badawcze spojrzenie, kiedy przyszliśmy, a on zauważył moje czerwone oczy i ponownie nałożony tusz. Przemknęło mi przez głowę, że być może celowo naprowadził rozmowę na rozwody i małżeńską kłótnię swojego brata – i zaledwie o tym pomyślałam, wiedziałam, że istotnie tak było. Poczułam skurcz strachu, ale zanim zdążyłam coś powiedzieć, on podjął:

– Naprawdę się pokłóciliście? O co?

Z piskiem wrzuciłam wsteczny.

– Och, nic takiego.

– Dawaj, dawaj, kochana, nie możesz przerywać w najciekawszym momencie.

Uśmiech był niebezpieczny jak piwo Doom Bar. Upiłam łyk wina, żeby kupić sobie trochę czasu na myślenie, ale jedynym skutkiem było to, że zdałam sobie sprawę, jak bardzo już jestem pijana. Palce w szpilkach mnie cisnęły.

– Naprawdę nic ważnego.

– To nigdy nie jest nieważne.

– Ech, zwykłe sprawy.

– No, no, nie bądź taka tajemnicza. Wszyscy tu jesteście przyjaciółmi. –
Podałam swój talerz dziewczynie z sąsiedztwa, która została zatrudniona na
ten wieczór w roli kucharki. – Wszyscy mamy na koncie takie rzeczy.

Przez moment rozważałam kłamstwo, ale wiedziałam, że jeśli mam wznieść
barykadę, to muszę się trzymać prawdy na tyle wiernie, na ile się da.

– Oj, po prostu chodziło o pogrzeb. Nic takiego.

– Nic takiego dla tego, kto umarł. Kto to był? On, ona?

– Dawna znajoma Eda. On uważał, że powinien pojechać, a ja że nie.

– Czemu?

Dziewczyna pojawiła się znowu z krążkiem camemberta i górą winogron.
Poczułam mrowienie w karku. Po raz pierwszy musiałam szybko udzielić
odpowiedzi na temat tej kobiety. Zacisnęłam pod stołem pięści.

– Co to jest, Julian, gra w dwadzieścia pytań?

Wydałam przesadnie swobodny śmiech. Nie odpowiedział. Czułam na
twarzy ciepło płonących świec, policzki miałam rozgrzane.

– No doooooobrze... dlatego że nie widzieliśmy tych ludzi od dwudziestu lat,
odkąd wyjechaliśmy z Londynu. Więc wydawało się to trochę, bo ja wiem,
przesadne – nagle odświeżyć z nimi kontakt. Pogrzeb to nie jest takie znów
oczywiste miejsce, żeby nadrabiać towarzyskie zaległości.

– Ale Ed powiedział, że starzy znajomi to zawsze starzy znajomi i trzeba ich
wspierać.

– Dokładnie.

Czy moje potwierdzenie nie było zbyt skwapliwe? Julian odchylił się na
oparcie krzesła, poruszając splecionymi palcami niczym dentysta w czasie
rozgrzewki. Zerknęłam na Eda. Wiedziałam, że słucha w napięciu, nawet jeśli
zdawał się w pełni skoncentrowany na słowach Elli: właśnie rozpływała się
nad willą w Prowansji, którą dopiero co kupili.

– I to wszystko?

– Tak. To głupie, wiem. Ale tak to bywa w małżeństwie.

– To niewiele.

Odprężyłam się i sięgnęłam po moje wino. Uszło mi na sucho.

– Myślę, że mieścimy się w trzydziestu jeden procentach.

– Ale w porównaniu z objazdem Winchesteru być może śmierć to jest duża
sprawa.

– Wszystko może się stać dużą sprawą. Zależy, co z tym zrobić.

– Nigdy nie ufaj kłóćącemu się małżeństwu.

– Kto tak powiedział?

– Ja.

Spojrzał na mnie chytrze, usta zaśniły w świetle świec. Czułam się jak dyrektor finansowy przyłapany na fałszowaniu ksiąg rachunkowych. Jak łatwo pozwolić, by rozmowa skręciła w niewłaściwą stronę, jak zwodniczo łatwe są kłamstwa... Wiem, problem polega na tym, że im więcej wypowiadamy kłamstw, tym większe ryzyko nakrycia. Kłamstwa narastają jak dług, aż wreszcie nie jesteśmy w stanie płacić odsetek. Ale to, zdałam sobie sprawę, patrząc, jak Ella odcina sobie plasterek camemberta tak cienki, że niemal przejrzysty, tylko część problemu. Prawdziwym problemem jest to, jak będę żyła z niekończącym się kłamstwem, skoro moja praca bazuje na prawdzie?

Wkrótce potem przewróciłam niechcący mój kieliszek i pośród chaosu, solenia obrusa i przeprosin, jakie po tym nastąpiły, Ed niemal nieprzyzwoicie szybko zerwał się na nogi, mówiąc, że było szalenie miło, ale chyba naprawdę na nas już czas.

Zaledwie nasze auto skręciło na drogę, a elektryczne wrota posiadłości Noone'ów zasunęły się bezszelestnie za nami i skryły reflektory, które oświetlały podjazd, tworząc magiczny Eden, Ed wydał teatralne westchnienie. Ja osunęłam się na fotel z totalnie otępiałą głową. Światła naszego samochodu wydobywały z mroku ciemnogrnatowe liściaste sklepienie.

– Kochanie, jak mogłaś pozwolić, żeby rozmowa skręciła w tę stronę?

– Przepraszam. Nie wiedziałam, co zrobić. Stało się.

– Pamiętasz, jak mówiłaś mi o tych kwiatach? Musimy być skoncentrowani. Nie wolno nam nigdy opuścić gardy.

– Wiem... Naprawdę przepraszam. To jakoś tak wyskoczyło nie wiadomo skąd.

– Chyba musimy się bardzo postarać, żeby nic nigdy nie wyskakiwało nie wiadomo skąd, zwłaszcza przy kimś takim jak Julian. Nie zrobiłby takich pieniędzy, gdyby nie potrafił wywęszyć cudzych słabości.

Zirytowało mnie to, co powiedział. Było oczywiste, że nie lubi Juliana i nie podoba mu się jego praca, więc ukazywał jego spryt w maksymalnie niekorzystnym świetle. Za dużo wypiął i wewnątrz samochodu wydawało mi się przytłaczające.

– Co? Ty zabiłeś, a teraz wszystko na mnie?

– Wiesz, że nie to mam na myśli. – Głos miał równy.

– No więc co masz na myśli?

– Mam na myśli, że jeśli ma to nam ujść na sucho, to nie możemy nigdy więcej rozmawiać ani o tym, ani o niczym, co ma z tym coś wspólnego. Ani w domu. Ani w samochodzie. Ani na wzgórzach Mendip^[15]. Nawet jeśli w promieniu pięćdziesięciu kilometrów nie ma nikogo. Nigdy. Tego nie było.

Nie chciał walki. Chciał równowagi. Ale ja byłam zła i nie chciałam. Chciałam zaznaczyć, że to przez niego będę teraz musiała już na zawsze żyć pod dławiącym azbestowym kocem jego tajemnicy.

– Rozumiem, ty narozrabiałaś, a ja muszę teraz robić wszystko dokładnie tak, jak chcesz.

Nadal zachowywał spokój. Patrzył przed siebie, na jezdnię.

– Kochanie, wiesz, że nie mogę być permanentnie twoim dłużnikiem. To nie zadziała. Nie będziemy potrafili być razem.

Choć odurzona alkoholem i zła, wiedziałam, że ma rację. Żadne małżeństwo nie przetrwa nierówności na dłuższą metę. Cokolwiek zaszło między nami, jakkolwiek niesprawiedliwe się to wydawało, musiałam przełknąć gorycz. Poczucie moralnej wyższości to była droga na szubienicę. Jedyne sposoby, aby to przetrwać, to działać jako współnicy. Chodziło mu o to samo, o co chodziło mnie, kiedy jechaliśmy do Noone'ów: jedyny sposób na to, żebyśmy mieli jakąś przyszłość, to zapomnieć o przeszłości.

Resztę drogi przejechaliśmy w milczeniu, zatrzymując się tylko na moście, żeby zapłacić myto. Kiedy szukał w kieszeni drobnych, nachylił się ku mnie, szukając wzrokiem więzi, jakiegoś miększego spojrzenia czy gestu, ale nie mogłam mu tego dać, nie w tej chwili. Siedziałam sztywno na moim fotelu, patrzyłam przed siebie, na barierkę, i czułam, że zbiera mi się na płacz, bo oczami wyobraźni widziałam zarys jego głowy na poduszce tej kobiety – zdrowie psychiczne to zdolność edycji – i wiedziałam, że jestem w pułapce.

8

W środę, w dniu nabożeństwa żałobnego za tę kobietę, jeszcze na wpół drzemałam, zawieszona w stanie przyjemnej nieświadomości na pograniczu snu i jawy, w którym chciałabym pozostać na zawsze, gdy obudziła mnie natarczywa ręka Arthura.

– Mamusiu, jakichś dwóch panów chce się z tobą widzieć. Stoją pod drzwiami.

Spazm strachu. Wyciągnęłam rękę po cyfrowy zegar i straciłam na podłogę *Poezje wybrane* Philipa Larkina. Wylądowały twarzą do dołu. Niczego lepszego Phil by się nie spodziewał. Siódma trzydzieści siedem: za wcześnie na przyjazną wizytę. Ramiona mi zeszywniały.

Kiedy o wpół do szóstej Ed wychodził, byłam na wpół przebudzona. Przed wyjazdem do Londynu na to nabożeństwo miał coś do zrobienia. Nie zasnęłam już na nowo, to odpływałam, to wracała mi świadomość, z mrocznymi cieniami na peryferiach pola widzenia. Przez otwarte okno dobiegł odgłos klaksonu i zmiany biegu na niższy; jakiś samochód piął się pod górę. Wsparłam się na łokciu.

– Dwóch panów?

– W marynarkach.

– W marynarkach?

– I krawatach.

– Czego chcą?

– Chcą porozmawiać z tobą i tatusiem.

– Okej, powiedz im, że będę na dole za dwie minuty. Zabierz ich do kuchni.

Arthur skinął głową i zniknął. Włożyłam koszulę w kratę z wystrzępionym kołnierzykiem, pochłapane farbą džinsy i wiśniowe tenisówki Converse. Bez skarpetek. Nie chciałam, żeby ktokolwiek pomyślał, że to nie jest przeciętny dzień w życiu pracującej w domu malarki. Sprawdziłam w lustrze: wysuszona

cera, włosy w nieładzie. Musiałabym zużyć nie wiem ile kosmetyków, żeby zyskać jaki taki wygląd. Przygotowałam w myśli zagajenie, uporządkowałam moją opowieść. Będą musieli zabrać mnie taką, jaka jestem.

Mówi się, że policjant w cywilu to nadal policjant, a teraz mogłam potwierdzić, że to prawda. Wyższy miał brodę przetkaną siwizną, okulary w okrągłych oprawkach, miękkie, kobiece usta, które przypominały mi matkę chłopaka, z którym kiedyś chodziłam, i fioletowe znamię na szyi. Wyglądał na zmęczonego, znużonego rozbieżnością pomiędzy tym, co ludzie robią, a co mówią, że zrobili. Miał na sobie garnitur i krawat ze sztucznego tworzywa, bordo w ukośne złote paski. Przypomniało mi to imprezy w Cambridge, na których chłopcy zadawali szyku jasnoniebieskimi blezerami z czerwonym logo w kształcie lwa, krawatami bordo w złote paski i zbyt krótkimi, zbyt obcisłymi szarymi spodniami, które dostali na ten czy inny sportowy wyjazd.

– Pani Edwardowa Sheahan?

– Tak?

Miałam wrażenie, że mięśnie wokół ust drgają mi niczym pulsujące światło. Modliłam się w duchu, żeby nie było tego widać na zewnątrz. Ci faceci mieli praktykę.

– Jestem komisarz Pullen. A to jest posterunkowy James, z wydziału dochodzeniowo-śledczego. Przepraszam, że niepokoimy panią tak wcześnie. Czy moglibyśmy zamienić parę słów?

– A o co chodzi? Coś się stało?

Zwracałam się do posterunkowego Jamesa, ale nie zareagował. Był młodszy i niższy, z przedziałkiem pośrodku i szyją boksera. Wyraźnie czuł się niezręcznie w garniturze; górny guzik miał odpięty, a krawat poluzowany. Komisarz Pullen spojrzał na Arthura i uniósł brew. Arthur siedział na sofie i czytał książkę, komiks o literackich wątkach, niczym wzorowy syn, jakiego mogłaby sobie życzyć każda matka. Nie dałam się oszukać.

– Kochanie, idź się ubrać, za pół godziny musisz wyjść. I weź prysznic. I umyj włosy, bo wyglądają jak strąki.

Nadal „czytał”.

– Proszę.

Podniósł wzrok.

– Natychmiast.

Zwłóknął się z sofy, jakby był z ołowiu, i ruszył na górę. Komisarz Pullen uśmiechnął się i cała jego postawa się zmieniła. Zanotowałam sobie w głowie, żeby nie dać się zwieść.

Po wyjściu Arthura zaproponowałam im kawę. Obaj odmówili. Pullen wskazał fotel. Gdy szłam przez kuchnię, niemal czułam, jak posterunkowy James obrzuca mnie wzrokiem z góry na dół i z powrotem. Mężczyźni są tacy przejrzyści. Gapią się na twój dekolt albo nogi, albo tyłek, a jak ich na tym przyłapiesz, udają, że tak ich cholernie zafascynował billboard British Gas za tobą albo sklep z żarówkami po drugiej stronie ulicy. Usiadłam i założyłam nogę na nogę. Pullen znowu opuścił na nos swoje swoje okulary i głosem, w którym słychać było „no, w końcu” spytał:

– Mąż w domu?

– Obawiam się, że nie.

– A gdzie jest?

– Chwileczkę, a mógłby mi pan powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

Każdy niewinny skupiłby się na tupecie policji – że tak po prostu się wdzierają i zadają nachalne pytania, nie wyjaśniając, dlaczego się pojawili. Posterunkowy James pilnie przyglądał się kuchni, jakby starał się wszystko zapamiętać na użytek jakiegoś quizu z nagrodami.

– Za chwilę do tego dojdziemy. A przedtem zechciałaby mi pani powiedzieć, gdzie jest?

– W pracy.

Pullen spojrział na zegarek.

– Później w ciągu dnia jedzie na nabożeństwo żałobne, więc poszedł wcześniej, żeby dokończyć pewną pracę.

Pullen skinął na Jamesa, który szybko zniknął w holu.

– Nabożeństwo żałobne?

– W Londynie.

– Czy wolno mi wiedzieć za kogo?

– Za pewną kobietę nazwiskiem Araminta Lyall. – Poczułam w ustach metaliczny smak. – Wiecie panowie...

– Tak, wiemy o Aramincie Lyall. Czy już opuścił szpital?

– Nie wiem. Jedzie z kolegą. – Miałam dodać: „który ją dobrze znał”, ale ugryzłam się w język. Ed nalegał, żebyśmy dawali jedynie minimum informacji. – Nie wiem dokładnie, o której jest nabożeństwo. – Dobry ruch: nie jestem specjalnie zainteresowana.

– W porządku, dziękuję. A więc przyczyna, dla której tu jesteśmy, dotyczy pani męża i Araminty Lyall.

Automatycznie zmarszczyłam brwi w wyrazie niezrozumienia i niedowierzania. Nawet zaskoczyłam sama siebie. Czym innym jest „znać”

prawdę, a czym innym, kiedy ci ją oficjalnie stawiają przed oczami. Dopóki był to mój i Eda sekret, śmierć tej kobiety wydawała się niemal hipotetyczna. Nagle wkroczył świat realny.

– Słucham? – wykrztusiłam.

– Pani Sheahan, jak blisko znał pani mąż pannę Lyall?

Przywołałam maksimum oburzenia.

– Chwileczkę. Co to znaczy, jak blisko mój mąż znał Aramintę Lyall? W ogóle jej nie znał.

– Pani Sheahan, prowadzimy śledztwo w sprawie zamordowania Araminty Lyall. Mamy podstawy, aby uważać, że pani mąż miał romans z panną Lyall.

– To śmieszne!

Energicznie pokręciłam głową. Miałam nadzieję, że nie wyglądam jak moja matka w swojej najbardziej wyniosłej wersji ani nie sprawiam wrażenia głupiutkiej żonki, która nie ma pojęcia, co wyprawia po nocy jej łajdak małżonek.

– A jednak pojechał na nabożeństwo żałobne?

Pullen miał już do czynienia z każdym rodzajem wciskania ciemnoty. Błyskawicznie przypomniałam sobie samej, że jest lepszy w prowadzeniu takich rozmów niż ja. Trzeba było się przyłączyć to teatru Footlights^[16], kiedy miałam na to szansę... Jedyne, na co mogłam liczyć, to że jest to macanie – a nuż na coś natrafią.

– O ile wiem, widział ją raz w życiu, na przyjęciu zorganizowanym przez jego kolegę, Petera Spurlinga. Na tydzień przed jej śmiercią.

– Widział ją raz w życiu, na przyjęciu, a mimo to pojechał na jej nabożeństwo żałobne?

Pochyliłam głowę w uznaniu jego ruchu.

– Mój mąż normalnie nie pije, ale na tamtej imprezie jakoś tak się stało, że się kompletnie urzął i razem z gromadą innych ludzi wylądował w jej mieszkaniu. To dlatego dziś pojechał. No i żeby wesprzeć Pete'a, swojego protegowanego, dla którego zmarła była bliską znajomą.

– Jeżeli pani mąż nie pije, to dlaczego się... urzął?

– Bo był wyczerpany. Akurat skończył wtedy czterdziestogodzinny dyżur.

Pullen wyjął z kieszeni na piersi nieduży notatnik i plastikowy długopis i zanotował parę słów. Z powrotem spojrzał na mnie. Poczulałam mrowienie karku.

– Mówił, że wypił kieliszek, żeby się trochę rozruszać, bo był strasznie zmęczony. Nie miał ochoty iść na to przyjęcie, ale musiał, bo chodziło o

Pete'a, który oblewał swoje ostatnie zdane egzaminy. A że mąż nigdy nie pije, od jednego kieliszka zakręciło mu się w głowie, a że poza nimi dwoma nie było nikogo ze szpitala, a Pete bez przerwy go wychwalał, jakim to jest wspaniałym położnikiem i świetnym człowiekiem, pochlebiło mu, każdemu by pochlebiło, i wypił kolejny. Mówił, że za każdym razem, kiedy próbował wyjść, Pete przedstawiał go kolejnym osobom. Więc się stopniowo rozruszał.

– Czy miał w przeszłości problem z alkoholem?

– Nie. Mąż prawie w ogóle nie pije i nigdy nie pił, głównie dlatego, że tak ciężko pracuje.

– A kiedy czasem wypije, przy tych niezwykle rzadkich okazjach, to czy...?

– Panie komisarzy, jesteśmy małżeństwem od piętnastu lat i mogę z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że nigdy nie widziałam go pochmielonego, a co dopiero pijanego. I nigdy nie zauważyłam żadnej zmiany sposobu zachowania, jeśli to pan ma na myśli. Podejrzewam, że wydawało mu się, że jest o dwadzieścia lat młodszy i o dwadzieścia stopni bardziej luzacki, niż jest naprawdę. Wie pan, jak to jest z mężczyznami.

Pozwoliłam, by te słowa zawisły w powietrzu. Pullen bębnił palcami w blat wyspy. Kiedy myślał, przesuwiał językiem w ustach.

– Nie próbowała go pani powstrzymać?

– Nie było mnie tam. Malowałam portret, w Suffolk.

– W sobotę wieczorem?

– Przeciągnęło się. Miałam skończyć w piątek, ale trwało do sobotniej herbaty, co oznaczało, że w żadnym razie nie zdążę na przyjęcie.

– Słowem, mąż miał wychodne?

– Był na przyjęciu sam, jeśli to właśnie ma pan na myśli.

Pullen spojrzał na mnie ostro. W drzwiach pojawił się James.

– Jada, sir. – I z powrotem zniknął w holu.

– I prawdopodobnie zainteresował się panną Lyall, bo inaczej nie wylądowałby u niej w mieszkaniu?

– Albo zagadał się z kimś z pozostałych, którzy wylądowali. Nie opowiadał mi ze wszystkimi szczegółami. Powiedział, że próbował załatwić z taksówkarzem, który ich przywiózł do Montpelier, żeby go zawiózł do domu, ale taksówkarz nie mówił po angielsku i kiedy mój mąż zegnał się ze wszystkimi, odjechał.

– Więc poszedł do niej?

– Żeby wezwać taksówkę.

– A komórka?

– Zostawił ją w pracy.
– Więc poszedł i został?
– Myślę, że czuł się tam dosyć zakłopotany.
– Tym, że jest u panny Lyall?
– Że się upił na przyjęciu urządzonym przez o wiele młodszego kolegę. Że gdzieś pojechał z ludźmi młodszymi o piętnaście lat, których wcześniej nie widział na oczy. Że go ścięło i padł. Że się obudził w fotelu w mieszkaniu jakiejś o wiele młodszej kobiety. Czy tak powinien się zachowywać wyższy stanowiskiem lekarz położnik?

– Każdy musi się wyluzować raz na jakiś czas.
– Lepiej jednak nie w obecności swoich podwładnych.

Pullen przesunął językiem w ustach.

– Wydawało mi się, że powiedziała pani, że na przyjęciu nie było nikogo ze Szpitala Świętego Antoniego?

Wpatrywał się we mnie szklanymi oczami. Czułam, że tka się tu jakąś sieć, i nagle zdałam sobie sprawę, że on prawdopodobnie wie znacznie więcej, niż to ujawnia. Z mojej strony wszystko musi się trzymać kupy. Stawką jest życie dzieci. Odchyliłam się na oparcie krzesła i założyłam kostkę na kolano drugiej nogi.

– Oprócz gospodarza.

– Ach, oczywiście, oprócz gospodarza. Pana Spurlinga.

– Sto przeciw jednemu, by w ogóle coś pił, gdyby był tam ktoś jeszcze z jego podwładnych.

Pullen milczał przez chwilę, jakby rozważał własną małą pomyłkę. Starłam się nie patrzeć na jego znamię.

– A więc, wracając do początku rozmowy, czy wybiegając naprzód, czy wie pani, co się stało, kiedy znalazł się w mieszkaniu panny Lyall? Rozmawiali ze sobą?

– Nie wiem. Nie sędzę. Z tego, co mówił, odniosłam wrażenie, że padł niemal natychmiast po przyjęciu.

– I w ogóle o niej nie mówił.

Pokręciłam głową.

– Nawet kiedy zginęła i było o tym we wszystkich gazetach?

– O tak, wtedy oczywiście mówił. A ja mu zadawałam mnóstwo pytań. Ale problem polegał na tym, że nie miał za wiele do powiedzenia. Pamiętał, że rozmawiał z nią krótko na przyjęciu, tuż pod koniec, i dlatego pojechał na Stokes Croft, ale nie za bardzo mógł sobie przypomnieć, jak wyglądała ani o

czym rozmawiali, a już co do czasu spędzonego w jej mieszkaniu jego pamięć była bliska zeru.

– Tak powiedział.

– Nie mam powodu, żeby mu nie wierzyć. Mój mąż jest do przesady uczciwy. To jeden z powodów, dla których za niego wyszłam.

– A jak było w niedzielę rano?

– Powiedział, że wstał i wyszedł. Nie sędzę, żeby wypili razem kawę z croissantem, jeśli o to panu chodzi, czy opowiedzieli sobie nawzajem swoje życie, ale może i tak było. Chyba będziecie panowie musieli zapytać o to jego.

– I spytamy, ale w tej chwili pytam panią. – Twarz Pullena była jak z granitu.

– Cóż, mogę tylko przypuszczać, że był zażenowany i chciał jak najszybciej stamtąd wyjść.

– Ale nie pytała pani o to?

– Nie pytałam.

– Nawet kiedy się okazało, że ona nie żyje?

– Kiedy się okazało, że ona nie żyje, pytałam, jaka była, a nie jak spędzali razem czas. Już mówił, że prawie jej nie znał.

– I powiedział, że jaka była?

– Nie potrafił powiedzieć za wiele. Mówił, że była niewątpliwie inteligentna i że jakiś marszand na przyjęciu chwalił ją, że jest świetną artystką. To niemal wszystko, co sobie przypominał.

– Czy powiedziałaaby pani, że męża pociągają „świetne” artystki?

– Pociągałam go ja, a nie moja sztuka, jeśli to pan ma na myśli. W tamtych czasach dopiero zaczynałam.

Pullen przewrócił stronę w notatniku, żeby przeczytać sporządzoną wcześniej notatkę. Modliłam się w duchu, żebym nie zaprzeczyła samej sobie.

– I od niedzieli rano, kiedy od niej wyszedł, do środy, kiedy Araminta Lyall zmarła, nie miał z nią żadnych kontaktów?

– Nie.

– O ile pani wiadomo.

– O ile mi wiadomo.

– A zatem mógł mieć?

– Oczywiście, że mógł. Ale nie widzę do tego żadnych powodów.

– Chyba że wtedy nie było tak, że po prostu „padł”. Chyba że zaszło coś, co oznaczało, że musiał wrócić.

Rzuciłam mu pytające spojrzenie. Najważniejsze to podtrzymywać fasadę

oszołomienia. Jeśli nie zachowujesz się jak ofiara, to nie pomyślą, że jesteś sprawcą.

– Panie komisarzu, czy mógłby pan wyjaśnić, dlaczego uważa pan, że Ed może mieć coś wspólnego z jej śmiercią?

– Czy rozmawiała pani z innymi ludźmi o tym, że mąż spędził noc w mieszkaniu Araminty Lyall raptem parę dni przed tym, jak została zamordowana?

Westchnęłam. Oznaczało to: bardzo mi to wszystko nie na rękę. Muszę wyprawić dzieci do szkoły, a choć nie wyglądam na ubraną do pracy, mam robotę do zrobienia. Pullen nie zwrócił na to uwagi. Rozmawialiśmy ogólnie na ten temat u Noone'ów, ale Ed nie wspomniał o nocy w jej mieszkaniu.

– Nie.

Pullen włożył do ust długopis i pokręcał nim. Miał oczy o ciężkich powiekach, senne, ale niebezpieczne jak u węża.

– Jesteście bardzo dyskretną parą.

Zaprodukowałam uśmiech jak z sali sądowej, ale nie odpowiedziałam.

– Wręcz niespotykanie dyskretną, powiedziałbym. – Postukał się długopisem w podbródek.

– Dziękuję. – Ja też potrafię być lakoniczna.

– Być może z nikim się państwo nie widzieli, odkąd policja ogłosiła, że traktuje to jako morderstwo?

– Owszem, obracaliśmy się wśród ludzi.

– I nikomu nie przyszło na myśl wspomnieć o sprawie, z powodu której Bristol znalazł się na pierwszych stronach gazet?

– Domyślam się, że w pańskiej pracy wygląda to inaczej, panie komisarzu, ale mnie nauczono, żeby nie włączyć z butami w nieszczęścia innych ludzi.

Zabrzmiało to tak, jakby powiedziała to moja matka, co częściowo było moim zamiarem. Nikt nie potrafił tak jak ona zamknąć dyskusji wyłącznie dzięki wyniosłości. Spojrzeniem mogłaby zatrzymać zegar. Pullen pokiwał z namysłem głową.

– Czy pani mąż miał kiedyś romans?

– Nie.

– O ile pani wiadomo?

– Chce mi pan powiedzieć, że miał?

– Nie jestem pewien, czy mogę pani cokolwiek powiedzieć, pani Sheahan.

Słowa, wypowiedziane przeciągle, zawierały wolno działającą truciznę. Zdecydowałam się zarzucić wędkę. Lepiej będzie, jeśli to on będzie mówił.

- To znaczy?
- To znaczy, że jest pani bardzo pewna siebie i męża.
- Czy jest pan żonaty, panie komisarzu?
- Uhm.
- Długo?
- Dwadzieścia sześć lat.
- Zna pan swoją żonę?

Pullen zmarszczył brwi. Wyjął długopis z ust i z powrotem włożył. Odchyliłam się na oparcie krzesła. Mam.

– Może w takim razie powie mi pani, dlaczego Araminta Lyall przysłała tu w poniedziałek, na dwa dni przed śmiercią, i zostawiła pani mężowi bukiet kwiatów.

Milczenie.

Staralam się nie okazywać emocji, ale w głowie mi wirowało. Oczywiście pytanie, które było jednak zarazem drogą ku śmierci w prochu^[17], brzmiało: „Skąd do diabła o tym wiesz?” Powinnam była powiedzieć o kwiatkach, ale przecież było zupełnie nieprawdopodobne, że się o nich dowiedzą. Czyżby? Musieli przecież sprawdzić jej kartę kredytową... Ale skąd wiedzieli, że je tu przyniosła? Nie czas się zastanawiać nad różnymi jak i skąd, po prostu wyjaśnienie i już. To nie jest Watergate. Nikogo nie powieszają za ukrywanie faktów.

– Kwiaty, ach tak, to dlatego, że Ed pomógł jej naprawić kran czy coś takiego.

Pullen przewrócił kartkę w notatniku, sprawdzając wcześniejsze zapiski.

– Pomimo że... – Zacytował własną notatkę: – „Powiedział, że wstał i wyszedł. Nie sędzę, żeby wypili kawę z croissantem, jeśli to ma pan na myśli, czy opowiedzieli sobie nawzajem własne życie, ale może i tak było”. Pomimo to zdążył „naprawić jej kran czy coś takiego”?

Patrzyłam mu w oczy, kiedy podniósł wzrok. Najważniejsze to nie okazać słabości.

– Nie sędzę, żeby zabrało to wiele czasu, po prostu odkręcić kran czy inny wichajster.

- Wystarczająco dużo jednak, żeby przyniosła kwiaty?
- Rzecz gustu?
- A dlaczego nie uznała pani, że warto o tym wspomnieć, kiedy spytałem, czy mąż miał jeszcze jakieś kontakty z panną Lyall?
- Przepraszam. Myślałam, że chodzi panu o kontakt w sensie spotkania czy

rozmowy. Kwiaty zostały przyniesione, kiedy był w pracy, a ja odbierałam dzieci ze szkoły.

Pullen wstał i podszedł do okna. Miał zwinne ruchy byłego sportowca. Zapadła cisza, w czasie której patrzył na ogród. Jeśli czeka, że coś dodam, no to długo poczeka. Każdy wie, że trzeba pozwolić ciszy, by trwała. Nie przerywać jej. Wyglądał przez okno znacznie dłużej, niż usprawiedliwiłoby to nasz ogród wielkości znaczka pocztowego, z pojedynczym cyprysem i oczkiem wodnym, zaniedbaną kałużą o stojącej, mętnej wodzie. Wreszcie odwrócił się.

– Czy nie sądzi pani, że fakt, iż kwiaty zostały doręczone osobiście, a nie wysłane, ma znaczenie?

– Nie mam pojęcia.

– Bo normalnie znaczenie łatwiej jest wysłać kwiaty.

– Może akurat przechodziła?

– Ludzie zwykle dostarczają kwiaty osobiście, bo chcą się zobaczyć z odbiorcą.

Wzruszyłam ramionami. Raczej nie mogę być odpowiedzialna za procesy myślowe jakiejś nieznaney mi kobiety, która, jak wieść niesie, była zdolna do naprawdę dziwnych pomysłów. Pullen wziął z marmurowego blatu drewnianą solniczkę i ważył ją w ręce.

– Pani Sheahan, czy może pani wymyślić jakikolwiek inny powód, aby doręczyć kwiaty osobiście, a nie wysłać, kiedy znajduje się pani w kwaciarni na jednym krańcu miasta, a osoba, której pragnie pani podziękować, mieszka na przeciwnym krańcu?

Odstawił solniczkę i sprawdził palce pod kątem pozostałości soli. Przesłanie było jasne. Nie musi patrzeć mi w twarz, kiedy odpowiadam, bo odpowiedź nie istnieje.

– Zdaje się, że studiowała na uniwersytecie? Jeśli jechała na zajęcia, to mieszkamy w zasadzie po drodze.

– I chciała się zobaczyć z odbiorcą?

– A może zaoszczędzić na kosztach doręczenia?

Drzwi się otworzyły. James podniósł kciuk do góry. Spojrzałam na zegar. Dzieci powinny za dwadzieścia minut iść do szkoły, a nie było widać śladu Nell. Pullen odwrócił się do mnie i powiedział rzeczowym tonem:

– Pani Sheahan, muszę panią poprosić, aby towarzyszyła nam pani na komisariat, żeby odpowiedzieć na parę pytań.

– Co? – Moje zaskoczenie było absolutnie prawdziwe.

– Ponieważ mamy podstawy, aby uważać, że pani lub mąż, albo oboje,

macie jakiś związek z morderstwem Araminty Lyall.

9

Natychmiast zdałam sobie sprawę, że Pullen od początku wiedział, jak to się ma skończyć. Po prostu się mną bawił, dopóki nie ustalą, co z Edem. Z góry było ustalone, że mnie zabiorą. Cokolwiek bym powiedziała, nie zrobiłoby różnicy... Byłam mulicą na dole piramidy, a Pullen wszytkowidzącym treserem na szczycie. Żeby nie płakać albo się nie wygadać, skupiłam się na sprawach praktycznych.

– A co z dziećmi? Jak się dostaną do szkoły?

Głos Pullena był równie rzeczowy, ojcowski niemal. Wykonywał tylko swoją pracę.

– Czy może je ktoś podrzucić?

– Hm... Nie wiem.

Matka nauczyła nas, aby nie prosić o przysługi. Mogłabym zadzwonić do Bei Washington, ale nie chciałam. Na pewno kręciłaby tym swoim długim nosem na dodatkowe kilometry.

– Bo jeśli nie, to my możemy.

To załatwiło sprawę. Nie pozwolę, żeby Nell i Arthur przyjeżdżali do szkoły policyjnym samochodem, oznakowanym czy nie, nawet jeśli Arthurowi bardzo by się to spodobało.

Kolejne dwadzieścia minut minęło jak we śnie. Pullen poszedł do samochodu, ale posterunkowy James stał bez słowa w kącie kuchni, gdy tłumaczyłam dzieciom, że zaszło nieporozumienie i muszę pojechać z policjantami, żeby je wyjaśnić. Śniadanie jadły w milczeniu. Arthur był bliski łez. Nell wciąż się oglądała na Jamesa, jakby myślała: „Co ten konus robi w naszym domu?” Ja po prostu siedziałam, niezdolna przemówić słowa. Próbowałam myśleć o tym, co powiem, ale myśli i zdarzenia napływały ze wszystkich stron naraz i zderzały się ze sobą, i nie potrafiłam myśleć w sposób uporządkowany – to właśnie miał na myśli Ed, ilekroć żartował sobie, jak to

jest być mężem artystki.

Bea przyszła w legginsach w kubistyczne wzory, pomarańczowej bluzie z kapturem i gigantycznych najkach. Bea należy do ekipy „do szkoły–na kawę–rundka tenisa–z powrotem do ciebie na ploteczki, sałatkę i wino–dobra, ja nie prowadzę–o Jezu! pora jechać po dzieci”. Ja nie. Ale jest życzliwa i chętna do wszelkiej pomocy. Zaproponowała, że nie tylko podrzuci dzieci, ale i odbierze po szkole, „jeśli może to w czymś pomóc”. Powiedziałam, że to bardzo miło z jej strony, ale mam nadzieję, że nie okaże się to konieczne. Po czym mocno uścisnęłam Nell i Arthura i żeby nie wybuchnąć płaczem, szybko pogoniłam ich do wyjścia. Jestem dosyć silna, ale każdy ma swoje granice, a do tego byłam na kompletnie nieznanym terytorium. Wszystko się może zdarzyć. Wszystko się już zdarzało. Zaledwie Bea przekroczy próg siłowni czy baru kawowego, natychmiast zaczną się spekulacje, dlaczego do Sheahanów przyjechała policja i dlaczego Sheahanowie byli na posterunku.

Pullen prowadził, z obiema rękami na kierownicy, a James siedział na miejscu pasażera na wpół odwrócony, tak jakby zamierzał zacząć rozmowę albo myślał, że na światłach wyskoczę z auta. W uchwycie z przodu widniały dwa kubki Costa z plastikowymi wieczkami zabarwionymi śladami kawy. Ja siedziałam z tyłu, a ilekroć się poruszyłam na plastikowym siedzeniu, dzinsy ślizgały się, wydając skrzyp. Nie słuchałam, o czym mówią. To była męska gadka, gadka policjantów. Bohaterów sobotniej nocy. Myślałam o dzieciach, jak one to odbiorą, i o Edzie. Siedział gdzieś w mieście na tylnym siedzeniu takiego samego auta albo już przyjechał na miejsce przeznaczenia – które to słowo niepokojąco przypomina fatum, skojarzyło mi się, gdy patrzyłam, jak prom bristolski przecina ukośnie port, tam i z powrotem, niczym w zabawie sznurkiem na palcach zwanej kocią kołyską.

Wyglądałam przez okno na mój adopcyjny dom. Dziwnie było oglądać Bristol z tylnego siedzenia policyjnego auta, tak jakby narracja mojego życia odchyliła się od dotychczasowej linii. Bristol to miasto opowieści. Zostały zapisane w jego nazwach – ulica Kukurydziana, ulica Winna, Łąka Lewinsa, ulica Związkowa, Koński Targ, Droga do Portu, Wąskie Nabrzeże. To starożytny port, punkt wyjścia i koniec gry.

Komisariat znajdował się w nieciekawej części miasta, którą znałam jedynie stąd, że byłam tu raz na koncercie z koleżanką spoza Bristolu, która szalała na punkcie pewnego piosenkarza i autora tekstów, który przyciągał tłumy sześćdziesięciolatków. Były tu obskurne kluby i puby, anonimowe bezmarkowe fast foody i otwarte na okrągło sklepy spożywcze z metalowymi

kratami w witrynach i opcją mięsa z uboju rytualnego. Sklep z artykułami z demobilu, dla mężczyzn, których wyrzucono z wojska albo byli zbyt dziwni, aby ich do niego dopuszczono, miał sztyl z obłazącą farbą.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, wprowadzono mnie do recepcji z linoleum na podłodze. Pullen i James dyskretnie obstawiali mnie po bokach niczym prawdziwą przestępczynię. W foyer na parapecie okna poruszał się powoli stary wiatrak, tak jakby to była jakaś opanowana przez komary placówka na odludziu albo odległy saloon. Na plastikowych krzesłach pociło się dwoje ludzi, mężczyzna o pustych oczach i kobieta, oboje w workowatych dresach i koszulkach bejsbolowych z amerykańskimi nazwami (Brooklyn, Chicago), całkiem jak w kolejce do pieczonego kurczaka na wynos na głębokim Południu USA. Pullen nacisnął brzęczyk i dyżurny sierżant otworzył z klucza drzwi przy końcu laminowanego blatu. Weszliśmy głęboko w jelita posterunku. Z rozmysłem nie spytałam o Eda. Nie chciałam okazywać jakiegokolwiek troski, chciałam, by emanowało ze mnie wyłącznie przekonanie, że popełniają okropną pomyłkę. A poza tym, kiedy prowadzono mnie zimnym ceglanym korytarzem pomalowanym na instytucjonalny krem do zimnego ceglanego pokoju przesłuchań, także pomalowanego na instytucjonalny krem, nie było mi go tak znów żal. To przez niego znajdowałam się w miejscu, w którym nigdy nie spodziewałam się być.

Pullen wskazał mi gestem krzesło na przeciwległym końcu długiego metalowego stołu o zaokrąglonych rogach. I stół, i krzesło były przytwierdzone do podłogi.

– Jeśli zechce pani chwilę zaczekać, zaraz ktoś tu do pani przyjdzie. Może coś pani podać? Filiżankę herbaty?

– Dziękuję. Poproszę szklankę wody.

Skinął głową i wyszedł. W ciszy kliknięcie zamykanych drzwi zabrzmiało złowieszczo głośno. Raz już kiedyś słyszałam takie kliknięcie.

Piętnasty grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku w Highlands. Jedliśmy kolację w jadalni, a nie w kuchni, jako że Boże Narodzenie było za pasem. Nasz ojciec był tego wieczoru w Londynie. Nic nowego. Zawsze był w Londynie. Właściwie nie tęskniliśmy za nim, trochę dlatego, że przywykliśmy do jego nieobecności, a trochę dlatego, że nawet kiedy z nami był, choć obecny ciałem, wydawał się nieobecny duchem. Był łagodny i czuły, miększy niż matka, ale zawsze wydawał się na bakier z

rodziną, niezdolny do grania przeznaczonej mu roli. Siedzieliśmy przy kolacji, kiedy w holu zadzwonił telefon, przerywając ciszę, jaka zapadła po tym jak Matt, specjalnie, żeby drażnić się z matką, skierował rozmowę na transwestytyzm Boy George'a.

Długo rozmawiała przez telefon. Kiedy wróciła, popatrzyła na każde z nas po kolei, jak gdyby zapisując sobie w pamięci, jak wyglądaliśmy na chwilę przedtem, zanim nasze dzieciństwo zmieniło się na zawsze.

– Obawiam się, że był wypadek. Samochodowy. Wasz ojciec nie żyje. – Na chwilę opuściła wzrok i przełknęła ślinę. – Przykro mi.

Chociaż słowa były jednoznaczne, przez dłuższą chwilę nie potrafiłam ich przetworzyć. To musi być jakiś żart. Niedługo święta! Nagle poczułam palącą pustkę, ból, którego nie potrafiłam zlokalizować. Nie możemy mieć świąt bez ojca. Może i nie był najbardziej uważnym z ojców – było to arcydzieło niedopowiedzenia – ale mimo wszystko był naszym ojcem i wnosił do Highlands rodzaj bolesnej nadziei, która nie istniała, kiedy był nieobecny. Spojrzałam na Matta i Bridgey. Byli starsi. Oni mi pokażą, jak to zrozumieć. Matt uśmiechał się dziwnie. W kącikach ust miał bąbelki śliny. Bridgey, w zamglonych okularach, wpatrywała się w stół, ukazując nam czubek głowy.

Siedem lat później grałam w Oksfordzie w hokeja w reprezentacji mojej szkoły. Matt, który wtedy tkwił po uszy w kłopotach w Christ Church^[18], przyszedł obejrzeć mecz, po czym zabrał mnie do muzeum Ashmolean i na herbatę w hotelu Randolph, gdzie napawał się „szkockim magnackim” stylem w architekturze i „mrocznym wiktorianizmem”. Sufit w sali jadalnej zdawał się dwa razy wyżej niż w dzwonnicy. Nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy o ojcu, ani w nocy, kiedy zmarł, ani kiedykolwiek później. Pokrążył trochę wokół tematu, po czym odezwał się głosem naznaczonym długo powstrzymany emocją:

– Wiesz, Króliku, ja nie mogłem w to uwierzyć, nawet wtedy, pomimo że przecież wiedziałem, jaka jest. Nie mogłem uwierzyć, że może tak po prostu wejść do pokoju i powiedzieć: „Obawiam się, że wasz ojciec nie żyje”, tak jakby to był kot czy jakiś stary zwariowany wuj, którego nie widziała na oczy. A potem powiedziała: „Przykro mi”. Przykro? Co to za reakcja? Jak miałoby to pomóc małym dzieciom?

Wydmuchał w górę gorzkie kółko dymu i od niedopałka papierosa zapalił kolejnego. Za oknem na tle niespiesznego ulicznego ruchu i ciemnych jońskich kolumn Ashmolean lśniły w świetle lampy ukośne strużki deszczu. Matt miał potargane włosy i podkrążone oczy. Przez ramię przerzucił, rzekomo

swobodnie, szalik w kolorze jarmużu; ten studencki styl stwarzał w pełni fałszywe wrażenie co do tego, jak się naprawdę czuł. To, że dokładnie pamiętał jej słowa czy że wciąż przetrwał stratę ojca, nie było dobrym znakiem. Sam Bóg wie, że nigdy nie usprawiedliwiałam matki, ale to na pewno nie było łatwe – zdecydować w parę sekund, jaką twarz nam pokazać, a przecież właśnie straciła męża. A jeśli nie usprawiedliwiają jej okoliczności, to prawdopodobnie usprawiedliwia pełne guwernantek, a pozbawione miłości dzieciństwo. Nie należy strzelać do posłańca.

Matt posępnie zamieszał kawę i odłożył łyżeczkę na serwetkę, zamiast na spodek. Od razu pojawiła się plama w kolorze sepia.

– Po czym posłała nas do łóżek! Żadnego przytulenia, żadnego bycia razem. Żadnych szczegółów. Nic, co by nam podpowiedziało, jak z tym żyć...

– Później przyszła – zaryzykowałam, świadoma, że byłam na tyle mała, że chroniło mnie to przed zrozumieniem. Leżałam bezsennie i starałam się utrwalić sobie ojca w pamięci, tak by pozostał tam na zawsze, gdy weszła matka i przysiadła na krawędzi mojego łóżka. Odsunęłam się troszeczkę w stronę ściany, żeby miała więcej miejsca. To, czego naprawdę od niej chciałam, to żeby była prawdziwą mamą, taką, jaką mają inne dzieci, żeby przyszła do mnie do łóżka i spała ze mną, całą noc, przytulona do mnie całym ciałem, źródło pewności i pociechy. Wiedziałam, że to się nigdy nie zdarzy, i chyba nie wiedziałabym, jak się zachować, gdyby się zdarzyło. Ale człowiek zawsze marzy. Nie zrobiła tego, rzecz jasna. Siedziała na skraju mojej kołdry, gmerała przy pościeli, mamrocząc pod nosem, kiedy wreszcie nauczę się słać łóżko jak należy, i kiedy myślałam już, że nie zamierza powiedzieć nic na jego temat, i prawie zasypiałam, szepnęła łamiącym się głosem:

– Twój ojciec był dobrym, miłym człowiekiem, i bardzo was wszystkich kochał. Nigdy nie wolno ci o tym zapomnieć. – Urwała, czekając, że coś powiem, ale nie miałam pojęcia co. Miałam dziwne uczucie, że przekonuje raczej siebie samą niż mnie. Kiwnęłam głową, nie podnosząc jej z poduszki. Nachyliła się nade mną, jakby zamierzała mnie pocałować, zawahała się i tylko poklepała mnie po ramieniu. I wyszła, zamykając drzwi z głośnym kliknięciem, a ja zostałam sama, więźniarka moich własnych wspomnień i lęków. To ten dźwięk przypominałam sobie trzydzieści lat później, kiedy siedziałam wydana na pastwę własnych wspomnień i lęków na posterunku przy Trinity Road, w pokoju o ścianach z pomalowanej cegły, z industrialną siecią rur, w pokoju, gdzie przy niewielkim wysiłku wyobraźni plus parę stolików więcej mogłaby równie dobrze być knajpka typu „z działki prosto na

stół” w jakimś Shoreditch czy Southville.

– Do mojego pokoju nie przyszła. – W sztucznym oświetleniu restauracyjnej sali twarz Matta była blada, a zabarwione nikotyną palce żółtobrązowe. – Parę lat temu spytałem ją, czemu do mnie nie przyszła, po tym jak Bridgety mi powiedziała, że przyszła do niej i do ciebie.

– I co powiedziała?

– Że ponieważ stałem się wtedy głową rodziny, pomyślała, że potrzebny mi jest czas i przestrzeń, żebym mógł zebrać myśli. Więc przeniosła moją sypialnię z dala od waszych, w odludne miejsce w końcu korytarza. Tak jakbym dzięki temu miał wydorosnąć! – Podniósł zdesperowany wzrok. Nie wiedziałam o tym wówczas, ale zaledwie parę dni dzieliło Matta od porzucenia studiów i rozpoczęcia wędrownej samotnej egzystencji, która zakończyła się w jakimś sieciowym biznesie w Whitby. – Ja miałem trzynaście lat, na rany Chrystusa! Nie dała mi nic, na czym mógłbym się wesprzeć. Przynajmniej tyle była mi winna.

Zanim Pullen wrócił, byłem sama w pokoju przesłuchań przez dwadzieścia minut, dostatecznie długo, żeby policzyć wszystkie cegły na tych retro-industrialnych ścianach. Nie liczyłam ich, oczywiście, to zajęcie dla skazanych na dożywocie albo dla tych, co nie mają życia wewnętrznego. Po tym jak wspomniałam tamten dzień w Oksfordzie, przebiegłam w myśli każdy moment od sobotniego wieczoru, kiedy Ed poszedł na imprezę Pete’a, do wieczoru środowego w moim klubie książki, kiedy wrócił od tamtej kobiety – aczkolwiek przypadkowo lub metaforycznie – z krwią na rękach. Jeśli spaprą sprawę, nie będzie na mnie.

Później jednak, kiedy przeczesalam wszystkie wypadki, do przodu, do tyłu, z boku na bok, niczym łusy usiłujący przykryć ciemną resztką włosów, i kiedy wrócił Pullen, przyszła mi do głowy inna możliwość. Może to właśnie dlatego zostawiają człowieka tak długo samego, żeby dać mu czas na rozważenie wszystkich możliwości. Bo nagle złapałam się na myśli, czy nie lepiej byłoby powiedzieć o wszystkim otwarcie. Może po prostu wytłumaczę, że wszystko to był przykry wypadek i że oboje z Edem kierowaliśmy się zupełnie zrozumiętą obawą, że nikt nam nie uwierzy? Przecież byłoby to góra parę lat, możliwe, że w zawieszeniu, bo natychmiast ustawiłby się w kolejce tłum na miarę *Nędzników*, gotów ręczyć za wspaniały charakter Eda i utrzymywać, że bez niego ich życie i ich dziecięce łóżeczka będą nieskończenie bardziej puste. Z

pewnością to lepsze niż żyć na zawsze – na zawsze! – w tej duszącej atmosferze kłamstw i lęku?

A jednak nie mogłam tego zrobić. Nie mogłam wyznać wszystkiego jednostronnie. Jeśli wyśpiewam, będzie po wszystkim. Po naszym małżeństwie. Czy Ed dostanie dziesięć miesięcy czy dziesięć lat, nigdy mi nie wybaczy. Nigdy nie wróci. Jeśli Ed coś postanowi, przepadło, nic nie jest w stanie zmienić jego nastawienia.

Ale był też inny powód, dla którego nie mogłam tego zrobić, powód ważniejszy i większy. Nie mogłam go sypnąć, bo w niego wierzyłam. Ufałam mu. Cokolwiek się w tamtym mieszkaniu wydarzyło lub nie wydarzyło w ten wieczór czy inny, wiedziałam, że nie zamordował tej kobiety. Morderstwo wymaga intencji, woli, a niemożliwe było, aby Ed mógł chcieć kogokolwiek zabić. Jakkolwiek zła czy obłąkana była sytuacja, nigdy by jej nie zabił, aby ratować siebie. To po prostu było niewiarygodne. Nic, co powiedziałyby Pullen czy ktokolwiek inny, nie było w stanie zmienić mojego przekonania. A jeśli wierzyłam mu, jeśli wierzyłam w niego, musiałam w to brnąć. Ed był człowiekiem, który ratuje życie. Był człowiekiem, który daje życie, a nie je odbiera. A o cudzołóstwo go nie oskarżano.

Drzwi się otworzyły. Komisarz Pullen w jednej ręce niósł styropianowy kubek z bawarką, a w drugiej – papierowy stożek z wodą. Nie przeprosił, że zostawił mnie na tak długo, pomimo że demonstracyjnie spojrzałam na zegarek. Ważne było, żeby wiedział, że człowiek niewinny nie lubi, kiedy marnuje się jego czas. Popatrzyłam z ironią na stożek – ktoś uważał, że ten projekt ma sens? – i wypłam wodę jednym haustem. Za Pullenem wszedł inny mężczyzna, nie James. Miał małe czarne oczka, kręcone włosy sięgające kołnierzyka i wąsy, które w połączeniu z długim cienkim nosem nasuwały skojarzenie z wodnym szczurem. „Nigdy nie ufaj mężczyźnie z wąsami” – powiedziała matka tytułem wyjaśnienia, gdy odkryła, że ogrodnik, Oakham, sypia z Kelly, drugą żoną starego Petera, który prowadził wiejski sklepik, a w pubie Udziec Barani z Kalafiolem we wsi, od czasów gdy moja matka nosiła krótką spódniczkę, nalewał po godzinach piwo.

Pullen przedstawił mi pobieżnie wąsatego: „To jest Philips”, bez podania stopnia. Philips był w szarym garniturze o najszerszych klapach, jakie widziano od czasów, gdy Abba wygrała Eurowizję, i nogawkach łopocących na wietrze, z obcisłą kamizelką, której dolny i górny guzik były rozpięte. Szeroki, jaskrawy krawat w stylu lat siedemdziesiątych miał rozluźniony węzeł, niczym flaga opuszczona do połowy masztu. Philips skinął głową, ale

nie kwapił się uścisnąć mojej na wpół wyciągniętej ręki, która momentalnie zawisła w powietrzu, słaba i niepewna. Niespójność jego garnituru i spojrzenia spode łba sprawiały, że poczułam się niezręcznie. To był człowiek, który nie ufałby własnemu cieniowi.

– Z automatu – stęknął Pullen.

– Niech pani tu zostanie, to dostanie pani prawdziwą herbatę – dodał Philips z błyskiem humoru.

Pullen usiadł naprzeciwko mnie. Philips oparł się o ścianę. Przypomniałam sobie samej, że ci mężczyźni są w stanie wsadzić Eda na bardzo długo za przestępstwo, którego nie popełnił. To jest istota sprawy i na tym trzeba się skupić.

Pullen sięgnął do kieszeni i wyjął starego typu magnetofon. Czy to cięcia budżetowe, czy może chce mi powiedzieć, że jest detektywem starej daty, który będzie węszył za prawdą, sprawdzając motywy, tropy, zbiegi okoliczności, bez wspomagania się żadną tam nowomodną technologią? Pomanipulował z mozołem przy mikrofonie, ustawiając go tak, żeby był skierowany w moją stronę, i wcisnął guzik „nagrywaj”. Zaczął od pytań, które zadawał mi już wcześniej, w domu. Dlaczego sądzę, że to panna Lyall przysłała Edowi kwiaty?

– Mogę tylko przypuszczać, bo tamtego ranka, po nocy spędzonej w jej mieszkaniu, mąż zrobił jej przysługę, naprawiając jakąś hydraulikę, a ona była na tyle uprzejma, że podziękowała mu za pomocą kwiatów. Nie musiała i on z pewnością się tego nie spodziewał, biorąc pod uwagę, że to, co zrobił, to był jakiś drobiazg, no ale ona widać uważała inaczej. Już to panu mówiłam.

– Pan Philips chciałby usłyszeć.

– No to właśnie powiedziałam.

Nie zamierzałam powiedzieć tego w ten sposób, tak arogancko i konfrontacyjnie, ale to była ich decyzja, żeby mnie tu przyprowadzić.

– Skoro zrobił tak niewiele, za mało, żeby zasłużyć na kwiaty, to czy nie sądzi pani, że być może dziękowała mu za coś więcej?

Rozłożyłam ręce.

– Skąd mam wiedzieć?

Pullen wyciągnął notatki i zaczął czytać jedną ze stron. Philips nie okazywał zainteresowania ani nie zadawał żadnych pytań.

– Chciałbym też, żeby pani wyjaśniła panu Philipsowi, dlaczego nie podzielili się państwo z nikim ze znajomych najciekawszą plotką, z jaką kiedykolwiek mieliście państwo do czynienia.

– Ponieważ nie plotkujemy.

Czekał, ale nic więcej nie dodałam. Im mniej mówisz... W końcu przemówił Philips.

– Pani Sheahan, czy możemy wrócić do wieczoru, kiedy zmarła Araminta Lyall?

Miał akcent birminghamski. Może jest spadochroniarzem, którego przysłali, żeby zajął się głośną sprawą, która utknęła w martwym punkcie? Te klapy znakomicie mogłyby spełnić rolę spadochronu.

– Jasne.

– Poszła pani do swojego klubu książki.

Co? Skąd on o tym wie?

– Hm, tak. To prawda.

Starałam się, żeby nie było słychać, że jestem zbita z tropu.

– A mąż planował wizytę u prawnika.

O Boże! Poczułam ucisk w żołądku. Czy Pullen już rozmawiał z Karen? A może Ed mu to powiedział? Albo może pokazuje mi po prostu, że wiedzą więcej, niż mi się wydaje?... Przez chwilę nie mogłam sobie nawet przypomnieć, czy powinnam wiedzieć, że powiedział to kłamstwo w pracy. Na szczęście nasza wersja wypłynęła mi w pamięci niczym przypomnienie w czasie egzaminu.

– To prawda.

– Ale nie poszedł.

– Nie.

– A gdzie poszedł lub pojechał?

– Na Brandon Hill.

– Czy często tam chodzi w godzinach pracy?

– Nie.

– Dlaczego poszedł tego dnia?

– Wziął na to popołudnie wolne w szpitalu, ale zapomniał zamówić wizytę u prawnika. Nie chciał rezygnować z wolnego popołudnia, bo w jego ciężkiej pracy to coś naprawdę zupełnie wyjątkowego, i postanowił, że w takim razie pojedzie na Brandon Hill i posiedzi trochę na słońcu, po prostu żeby się wyluzować.

Philips słuchał z miną człowieka, który zna odpowiedź, zanim ją jeszcze otrzymał.

– Czy był sam?

– Nie. Dołączyłam do niego.

- O której godzinie?
- O wpół do szóstej, może o szóstej. Po tym jak odebrałam syna z przyjęcia urodzinowego w St. Werburghs. Możecie sprawdzić.
- Sprawdzimy. I zostaliście tam państwo do...
- Myślę, że mniej więcej do jakiejś siódmej. Potem wróciliśmy do domu, żeby podać dzieciom herbatę, a potem poszłam pieszo do klubu książki.
- Jaką trasą wracaliście do domu?
- Jacobs Well Road, Constitution Hill, Goldney...

Philips mruknął coś niezrozumiałego.

– Słucham?

Podszedł do stołu niedbałym marynarskim krokiem, wsparł na blacie zaciśnięte pięści i przybliżył do mnie twarz.

– Powiedziałem: „To korzystnie”.

Poczułam woń taniej wody po goleniu, tytoniu i garnituru ze sztucznego włókna w stylu zespołu Chi-Lites. Jego bliskość mnie zirytowała. To było zastraszanie.

- Nie rozumiem.
- Nie ma kamer.
- Nadal nie rozumiem.
- Nie ma dowodu, że tam byliście.
- Powiedziałabym, że to niekorzystnie.
- Dla nas?
- Nie, dla nas.

Przez moment wpatrywał się we mnie z bliska półprzymkniętymi oczami rekina. Potem odsunął się i spytał:

– Jak dał pani znać, że tam jest? – Spojrzał znad fajki. – Zadzwoił z pracy?

Już miałam kiwnąć głową, gdy wróciły do mnie słowa Eda, że każda rozmowa telefoniczna jest zarejestrowana i można ją sprawdzić. Pytanie naprowadzające.

– Nie. Przy śniadaniu przypomniał sobie, że zapomniał umówić się z prawnikiem. A że zapowiadał się piękny dzień, postanowiliśmy właśnie wtedy, że zapominamy o prawniku i będziemy mieli ten czas tylko dla siebie. Przy dzieciach rzadko ma się szansę na coś takiego.

- I kogo spotkaliście państwo na Brandon Hill?
- Nikogo konkretnego.
- Nikogo, kogo byście znali?
- Nie.

– Na pewno?

Już miałam powiedzieć „tak”, kiedy coś mi kazało się zawahać. Czy widzieliśmy kogoś znajomego? Naturalnie nie, biorąc pod uwagę, że tam nie byliśmy. Dlaczego jednak zadał to pytanie? Czy Ed powiedział, że widzieliśmy? Dlaczego miałby tak powiedzieć? Nie, nie zrobił tego. Dlaczego więc Philips patrzy na mnie w ten sposób? Bo blefuje. A może Ed tak powiedział, bo nie wiedział, że ja też tu jestem, i myślał, że zdąży się tym ze mną podzielić wieczorem? Język miałam jak z drewna. Nie miałam wyboru. Musiałam iść w zaparte.

– Na pewno.

Powiodł krótkim, grubym palcem wokół ust. W ciągu tych nanosekund zdałam sobie sprawę, że trafiłam. Żeby powstrzymać się od przybicia piątki Pullenowi, dodałam:

– Było wielu ludzi wokół, bo była ładna pogoda, ale nikogo znajomego.

– Na której ławce siedzieliście?

Moja radość momentalnie zmieniła się we własne przeciwieństwo. Philips mógł tak pytać w nieskończoność. Poczułam pieczenie na karku. Gdzie w ogóle są ławki na Brandon Hill? Którą mógł wymienić Ed? Dlaczego, dlaczego nie pozostałam przy Sion Hill? To była jedyna prawda, jaką miałam. Starłam się ukryć narastającą panikę.

– Siedzieliśmy na trawie.

– Pomimo że mąż był w garniturze?

W początkach naszego życia w Bristolu, kiedy mieszkaliśmy w Ambra Vale, zabierałam czasem dzieci, żeby spotkać się z nim po pracy na Brandon Hill. Zawsze zabierałam ze sobą koc.

– Zabrałam ze sobą koc.

– Czy zrobiliście sobie piknik?

Pauza. Co Ed by powiedział? Z pewnością wiedział, że będę jadła w klubie książki. Zresztą wpół do siódmej to tak czy owak za wcześnie.

– Nie.

– Lody?

Chryste! Zaraz mnie spyta, jaką drogę przebywa w sekundę płatek śniegu. Łzy zakłuły mnie pod powiekami.

– Nie.

– Nie było przyczepy z lodami?

– W każdym razie nie zauważyłam.

– Myślałam, że artyści zauważają wszystko. Czy nie jest tak, że są lepszymi

obserwatorami niż pozostali ludzie?

– Mam wrażenie, że przyczepy z lodami częściej zauważam wtedy, kiedy jestem z dziećmi.

Philips zignorował zmianę tematu.

– O czym państwo rozmawialiście?

– Och, o dzieciach, o szkole, gdzie moglibyśmy pojechać na wakacje, te rzeczy. Normalka.

– Bardzo romantycznie.

– Staraliśmy się.

– Czy ktoś kosił trawę?

– Nic takiego nie zauważyłam.

– A słyszała pani kosiarkę? Potrafią być bardzo głośne.

– Nie przypominam sobie.

– Wygląda na to, że nie pamięta pani zbyt wiele, jeśli wolno zauważyć, pani Sheahan.

– Proszę pana, jeszcze godzinę temu był to w pełni przeciętny dzień, kompletnie nie do odróżnienia od innych. Nic się nie wydarzało. Byłam na Brandon Hill setki razy. Co jadłam na śniadanie któregośkolwiek z tych innych dni, też nie jestem w stanie panu powiedzieć.

– Może pani próbować.

Rzuciłam Philipsowi asertywne spojrzenie. Mówiło ono: jestem niewinną, zapracowaną kobietą i chcę mieć to z głowy najszybciej jak się da, żebym mogła pójść do domu, a pan niech sobie dalej robi swoje, to znaczy łapie przestępców, zamiast zawracać głowę niewinnym ludziom swoimi przemądrzałymi uwagami.

– W co pani była ubrana?

– Nie pamiętam dobrze. Dżinsy... Może espadrile. I koszulę.

– Koszulę? Coś takiego!

– Miałam na myśli, że nie sukienkę.

– Jaką koszulę?

– Jezu! Nie pamiętam.

– Proszę spróbować sobie przypomnieć, pani Sheahan.

– Przykro mi. Próbuję. Po prostu nie jestem w tym zbyt dobra.

– Tak mówi każdy, dopóki się naprawdę nie postara.

Odwróciłam się i z wściekłością utkwiałam wzrok w ścianie. Widzisz, staram się. Naprawdę. Do klubu książki włożyłam koszulę z welwetu w cienkie prążki.

– Zdaje się, że khaki? Z welwetu?

Philips pociągnął nieprzyjemnie nosem i wyjął z kieszeni miniaturowy cyfrowy magnetofon. Od sprzętu Pullena dzieliły go lata świetlne. Parę razy przewijał i wciskał „stop”, wreszcie znalazł fragment, którego szukał. Wcisnął odtwarzanie: jakiś nieznaną głos:.

– A jak była ubrana pańska żona?

– W starą zieloną bluzę od dresu z czarnymi paskami na ramionach. I dzinsy. Przyjechała prosto z pracowni.

– Jest pan pewien?

– Tak. – W głosie Eda nie było śladu wątpliwości.

Wyłączył i spojrzał na mnie. Myślałam o tym, z jak imponującą pewnością siebie mówił Ed. Ja bym mu uwierzyła.

– No i co? Mówiłam, że nie pamiętam. A pan pamięta, co pan miał na sobie jakiegoś dnia trzy tygodnie temu?

– Tak.

– Ten garnitur?

Philips skinął głową. Uśmiechnęłam się. Też bym pamiętała, gdybym nosiła coś takiego... Wyjął z kieszeni na piersi paczkę marlboro i postukał palcem w spód. Wypadł papieros. Spojrzałam na Pullena, a potem na nalepkę z napisem „Nie palić” na drzwiach. Wzruszył ramionami. Philips wyjął plastikową zapalniczkę, przysunął sobie styropianowy kubek, tak żeby mógł mu służyć za popielniczkę, zapalił papierosa, zaciągnął się z satysfakcją i wydmuchał wielki kłęb dymu. Pokręciłam z pogardą głową. Dokładnie tak samo zachowywała się policja w Oksfordzie, mówił Matt, kiedy po raz pierwszy aresztowali go za narkotyki. Tylko tym bardziej mnie to zdeterminowało. Philips strzepnął popiół do pustego kubka.

– Pani Sheahan, czy pani mąż miał kiedykolwiek romans?

– Nie.

– Wydaje się pani bardzo pewna.

– I jestem.

– Dlaczego?

– Znam go.

– Ja też znałem moją żonę, dopóki mnie nie zostawiła.

– Zdawało się panu.

– Że mnie zostawiła?

– Że ją pan znał.

Najważniejsze to nie okazywać strachu.

– Jak poznaliście się z panem Sheahanem?

– Na przyjęciu.

– Upił się wtedy?

– Za pomocą pepsi?

– Wtedy nie potrzebował, rzecz jasna.

Spojrzałam na Pullena.

– Czy wolno stosować tortury?

Brak odpowiedzi. Philips rzucił okiem na Pullena, podnosząc brew, jakby chciał powiedzieć, że może i miałby ochotę.

– A więc nie miał romansów, o ile pani wiadomo, ale zdarzały mu się przypadki śledzenia kobiet, które poznał na przyjęciu.

– Jednej kobiety. Raz.

– Raz. Jeden fakt. I jedno przypuszczenie bazujące na wcześniejszym zachowaniu.

– Przypuszczenie.

– Jak na razie.

– Panie Philips, mój mąż jest jednym z najwspanialszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałam. Nie zajmuje się głupstwami czy snobizmami, czy polityką. Nie ugania się za dziewczynami na przyjęciach, obojętne, czy jestem, czy mnie nie ma, czy jest pijany, czy pije tylko pepsi. Nigdy się nie uganiał. To nie jego styl. Znam go i wiem o tym.

– Z wyjątkiem tamtych dwóch wypadków.

– Z wyjątkiem tamtych dwóch wypadków. Tyle że wtedy nie miał rodziny.

– Wtedy nie miał rodziny. – Słowa zawisły w powietrzu jak dym papierosowy. – Albo dobrego imienia, które być może chciałby chronić.

Pomyślałam o jego rodzinnym domu, o maciupciej sypialni, o materacu z końskiego włosia, pościeli grubej i szorstkiej jak zasłona. O pokoju wypełnionym pracą i ambicją.

– Nie interesują go błyskotki.

Philips po raz pierwszy się uśmiechnął, wrednie i profesjonalnie.

– Kończymy, pani Sheahan. Może pani odejść.

Odwrócił się i nie dodając więcej ani słowa, szybko wyszedł z pokoju. Spojrzałam na Pullena, oczekując potwierdzenia. Wzruszył ramionami, wskazał głową otwarte drzwi i mruknął:

– Jak na razie.

10

Grzebałam w torebce za pieniędzmi, żeby zapłacić za taksówkę, i dlatego nie zauważyłam niewielkiego tłumku, który mrowił się na chodniku pod żelazną bramą. Wsiadłam po przeciwnej stronie ulicy, a że na dodatek nawet po znalezieniu portmonetki dłuższą chwilę szukałam odpowiedniej monety na napiwek, dostrzegłam piekielne psy, dopiero kiedy trzeszcząca taksówka-furgonetka, którą przyjechałam, zawróciła i pomknęła w dół wzgórza.

– O, tam! – krzyknął ktoś.

Zanim pojęłam, co się dzieje, rój przeleciał na moją stronę i momentalnie byłam otoczona. Mierzono we mnie z kamer, podtykano mikrofony, wysoko wznosiła się futrzana tyczka mikrofonowa, wtykano mi łokcie w żebra, przekrzykując się nawzajem, wypisz wymaluj gang w nowoczesnym wydaniu. Było ich chyba tylko czworo czy pięcioro, ale moje zaskoczenie i ich agresja sprawiały, że wydawało się więcej.

– Czy pani ją zabiła?

– Czy pani mąż zabił Aramintę Lyall?

– Pani Sheahan, jakie zarzuty pani postawiono?

– Alice, czy twój mąż dostanie poręczenie?

Kręciłam głową, z oczami utkwionymi w asfalcie, i myśląc, że musi być jakiś przepis zabraniający takich rzeczy, przepychałam się na drugą stronę, do bezpiecznego azylu mojego ogrodu i domu. Trzaskały flesze, sypały się pytania, jakiś mikrofon walnął mnie w ramię. Stęknęcie, przeprosiny, kolejne zdyszane pytanie. Miałam dziwne uczucie, że panuję nad sytuacją, bo choć kłębili się wokół mnie i popychali, nie blokowano mi fizycznie przejścia. Szłam ku bramie, przepychając się, jak we śnie.

– Czy pani mąż nadal jest przesłuchiwany?

– Czy będzie pani musiała wrócić?

– Czy wyszła pani za kaucją?

Odwrociłam głowę i spojrzałam z pogardą na pytającego. Flesz eksplodował mi prosto w twarz.

– Alice, tędy.

Damski głos, ciepły i przyjazny. Po raz pierwszy podniosłam głowę. Młoda kobieta po dwudziestce, ufarbowana na blond, o łagodnej okrągłej twarzy i zadartym nosku, trzymała w ręce notes, a w drugiej pióro, gotowe do notowania. Wydawała się jakby staroświecka, nie na miejscu pośród tych twardych, kanciastych mikrofonów i ślepych oczu kamer. Niższa ode mnie, zadzierała ku mnie głowę, jedyna przyjazna twarz w stadzie drapiezców. Przewróciłam oczami, jakby mówiąc: „Co my tu na Boga robimy, pani i ja?” Ona też przewróciła ze współczuciem oczami, pokręciła głową i spytała:

– Dlaczego pani to zrobiła?

Przystanąłam. Rój przystanął. Założenie winy spowodowało chwilową ciszę, tak jakby została przełamana jakaś starożytna zмова milczenia, i nawet prasowe psy wojny cofnęły się przed czymś wypowiedzianym tak otwarcie. Choć wiedziałam, że nie powinnam odpowiadać, jej pytanie skryształizowało wszystkie uczucia, jakie dźwigałam od chwili, gdy zdałam sobie sprawę, że ML xxx to Araminta Lyall: przerażenie i poczucie, że zostałam zdradzona.

– Co pani powiedziała? – spytałam.

Okrągła twarz nadal uśmiechała się łagodnie i spokojnie powtórzyła:

– Dlaczego pani to zrobiła?

Nagle zrobiło się tak, jakby wszystko prowadziło do tej chwili – odkrycie, niepewność, strach, wstrząs, tajemnica, kłamstwo, wyznanie, napięcie, poczucie niesprawiedliwości, niemożność ucieczki, brak widocznego końca tej sytuacji, w której się znalazłam – i tama pękła. Złamałam podstawową zasadę, obowiązującą, gdy jest się ściganym przez medialną sfore: pozwoliłam się wyprowadzić z równowagi.

– Jak śmiecie, kurwa mać! Nie widzieliście dotąd na oczy mnie ani mojego męża, a mimo to przylecieliście tu i robicie jakieś bezczelne insynuacje, i rzucacie na nas fałszywe oskarżenia, żeby sprzedać to waszym gównianym gazetom! Jesteście podli! Nienawidzę was! Rujnujecie ludziom życie, szmacciarze!

Zapadła cisza. Czy to tylko moja wyobraźnia, czy też tłum naprawdę rozdzielił się w milczeniu, niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem, zażenowany samym swoim istnieniem? Przeszłam pomiędzy nimi powoli ze spuszczoną głową. Nikt nie ruszył za mną. Dopiero kiedy zamknęłam za sobą drzwi wejściowe i wsparłam się o chłodną, milczącą ścianę holu, zdałam

sobie sprawę, że mogła być inna przyczyna, dla której tłum się rozstał, żeby mnie przepuścić: każdy już dostał to, o co mu chodziło.

Ed wyłączył telewizor, kiedy z ekranu zniknął obraz naszej ulicy i pojawiła się na nowo prezenterka lokalnych wiadomości o szóstej z widniejącym za nią w tle wielkim obrazem Festiwalu Balonów na Ashton Court, zajmującym całą ścianę.

– To chyba nie był zbyt dobry pomysł – powiedział z cieniem uśmiechu. Wrócił do domu pół godziny po mnie, w nienagannej formie, kiedy psy dawno już poleciały montować swoje materiały. Gwałtownie zadzwonił telefon. – Nie odbieraj. Myślę, że chyba już dosyć narobiliśmy szkody jak na jeden dzień.

Kiedy wytłumaczyliśmy koncepcję „pomyłkowej tożsamości” Nell i Arthurowi, który chciał poznać tyle krwawych szczegółów, że niewykluczone, iż miał nadzieję, że jesteśmy mordercami, zadzwoniłam do matki. Była zaskakująco spokojna w tej sprawie, głównie dlatego, że odkąd tato umarł, nienawidziła prasy. Nie pozwalała nawet lokalnej prasie robić zdjęć, kiedy co roku byliśmy gospodarzami wiejskiego festynu w Highlands. Musiał to być chyba jedyny festyn w kraju, gdzie nie fotografowano dziecka za gigantycznym kabaczkim, policjanta jedzącego lody, uroczego niemowlaka czy psa.

Ed dał znakomity spektakl. Gdy ja byłam wrakiem, lękającym się podejść do okna, bo byłam przekonana, że nieustannie są w nas wymierzone obiektywy paparazzich, a na każdej półce z książkami i w każdym wazonie tkwią pluskwy, Ed wydawał się kompletnie niewzruszony, choć pomimo że śmiał się z mojej paranoi, dla bezpieczeństwa odkręcił kran. Dobrze wypadliśmy w sprawie kwiatów: Ed powiedział, że naprawił tej kobiecie toaletę – „rury w mieszkaniu są w zasadzie takie same jak w człowieku” – i był zaskoczony, kiedy się dowiedział, że zostawiła mu kwiaty, bo zajęło mu to minutę czy coś. „Bardzo prosta procedura”, tak to określił. Przyznał, że był wstrząśnięty, choć miał nadzieję, że tego nie okazał, że policja dowiedziała się o kwiatkach, i przyznał, że tego nie rozkminił. Na różnicę pomiędzy tym, co oboje powiedzieliśmy na temat mojego stroju na Brandon Hill, tylko się roześmiał. „Alice to artystka. Żyje we własnej głowie”. Potem powiedział mi, gdzie byliśmy na Brandon Hill i że na każde pytanie, na jakie tylko mógł, odpowiadał „nie zauważyłem”.

– Czy była tam furgonetka z lodami? Nie zauważyłem.
– Czy ktoś kosił trawę? Nie zauważyłem.
– Czy byli ludzie na huśtawkach? Nie zauważyłem.
– Nie zauważył pan zbyt wiele, panie Sheahan.
– Nie. Miałem rzadką chwilę spokoju i ciszy w towarzystwie żony. Chciałem czuć ciepło słońca na twarzy. Kiedy nie patrzyłem w niebo, oczy miałem zamknięte.

– Szukają ostrygi – powiedział metaforycznie. – Wystarczy, że dasz im ziarnko żwiru, a...

Podszedł do wyspy, przy której siedziałam, nieszczęśliwa, i dotknął mojego policzka zewnętrzną stroną palca.

– Chciałabyś, żebym pogadał z prasą w twoim imieniu, kochanie? Żebym wydał rodzaj oświadczenia? To po prostu haniebne, jak cię potraktowali.

Pokręciłam głową. Nie było sensu podsycać ognia. Wcisnęłam nos w zgięcie między jego szyją a ramieniem. W tej chwili wydawał się taki silny, taki dzielny, taki opiekuńczy, że kochałam go bez zastrzeżeń.

Oglądanie siebie samej w telewizji ma w sobie coś z wyjścia poza własne ciało, zwłaszcza kiedy otacza cię prasa, tak jakby człowiek był Davidem Beckhamem albo Rozpruwaczem z Yorkshire. *Wiadomości o Dziesiątej* oglądałam z podszytą poczuciem winy fascynacją, wiedząc, co się za chwilę wydarzy, a zarazem nie mogąc uwierzyć, że wydarzy się naprawdę. Przyszedł ten moment: dziewczyna o okrągłej twarzy, mój bluzg, nagła cisza, kosztowny akcent, zagłuszone przekleństwa. Hańba. Sięgnęłam niemal poziomemu chodnika. Od naszej bramy dzieliło ich tylko parę metrów.

Wyłączyłam, zaledwie skończył się „mój” materiał. Nie miałam nerwów na inne wiadomości. Było mi zimno, czułam się obnażona jak rolka filmu. Tak właśnie byłoby, tylko pomnożone przez dziesięć, gdyby Ed został oskarżony. Wyciągnięto by mnie z ciemnego kąta za sztalugą i kazano być modelem, laboratoryjnym szczurem pod mikroskopem. Ale kto malowałby mój portret? Nikt, kto by próbował mnie zrozumieć. Nie byłoby w nim żadnej prawdy. Kiedy portret nie jest portretem? Kiedy jest obrazkiem namalowanym przez kogoś, kto nie stara się zrozumieć. Kiedy jest obrazkiem namalowanym przez kogoś, kto cię nie zna.

Podeszłam do wyspy, gdzie ładował się laptop Nell, i włączyłam go. Kiedy pisałam, wracając do życia, otworzyłam butelkę Pouilly Fuissé, którą dostał Ed

od jakichś wdzięcznych rodziców, i nalałam sobie kieliszek. Wino było wyśmienite. Spłynęło mi do wnętrza, a ja tymczasem wkleiłam do Google'a „alice sheahan” i wyskoczyła masa linków. Równie dobrze mogę zacząć od dołu. Kliknęłam w stronę „Daily Mail”.

Nie zawiedli swoich czytelników. Pod nagłówkiem „Portrecistka wyższych sfer zaplątana w dochodzenie w sprawie morderstwa” widniało moje wielkie zdjęcie, jak besztam okrągłolicą, i wstępny akapit, wtlaczający w jedno zdanie wszystko, co drogie dla gazety i jej czytelników: „Alice Sheahan, wykształcona w Cambridge portrecistka wyższych sfer towarzyskich, zrobiła ostrą awanturę, po tym jak pomogła policji w śledztwie w sprawie Araminty Lyall, córki rekina biznesu sir Rudolpha Lyalla, którą w tym miesiącu znaleziono martwą w jej mieszkaniu na Stokes Croft w Montpelier, dzielnicy Bristolu”. Bezpośrednio pod tym absurdalnym zdaniem była możliwość obejrzenia mojego wybuchu na wideo. Przez moment zatrzymałam kursor na trójkątku „start”, po czym zrezygnowałam. Istnieje granica sławy, którą człowiek może przyswoić.

Artykuł nie miał nic do powiedzenia, niemniej mówił dużo i rozwlekle. Wymieniono mojego stryjecznego dziadka Olivera, który był gryziopiórkiem w którymś z przedwojennych rządów, rodzinną firmę Querrych (dawno sprzedaną), Tenterden Naseby, lokalne biuro nieruchomości, założone przez mojego dziadka, sukcesy zawodowe Eda, błahe wypowiedzi na nasz temat jakichś naszych anonimowych „przyjaciół”, plan Bristolu ze strzałkami wskazującymi Clifton i Stokes Croft, miarka podkreślająca odległość około półtora kilometra pomiędzy nimi, zdjęcie Eda i moje, jego ze strony Szpitala Świętego Antoniego, moje Bóg wie skąd, stare wymęczone zdjęcie tej kobiety na przyjęciu na Dering Street i Starą Powozownię, określoną radośnie jako „miejsce zbrodni”. Konkluzja była taka, że może to być historia morderstwa w łonie klasy uprzywilejowanej na miarę lorda Lucana^[19], która może się bardzo przyczynić do wesołości narodu i zysków prasy, rujnując jednak w pewnym sensie życie uczestników i świadków.

Zesłałam niżej do komentarzy pod tekstem. Fatalne. Główna ucieczka tych, co mają dużo czasu, a skromne możliwości. Kiedyś tylko wrzeszczeli do telewizora; teraz mieli płaszczyznę, gdzie mogli wylać swoją żółć. @Drizzlybriton przekonywał, że jestem „zarozumiałą suką, która bez dwóch zdań jest winna”. Oczywiście mieli prawo do swoich poglądów, ale dlaczego ktoś ma ochotę dzielić się z innymi swoją nieopartą na żadnej wiedzy opinią o osobie, której nie widział na oczy, jest dla mnie nie do pojęcia. Może Nell

będzie wiedziała. „Co to jest z tymi bogatymi” – dziwił się modernman – „znaczy uważają, że mogą robić, co im się podoba?” Przejrzałam je pobieżnie, po czym sprawdziłam, ile jest komentarzy – dwanaście, plus parę usuniętych, prawdopodobnie zbyt wulgarnych, żeby je publikować na stronie „rodzinnej”. Tylko jedna osoba solidaryzowała się ze mną i ganiła tę prasową napaść, chociaż sama też się na nią załapała. Jedenaście do jednego. Winna.

Poczułam łzę pod powieką. Nie tak to było. Jak by się podobało tym ludziom, gdyby ich wypchnięto na scenę i zrobiono z nich własność publiczną, tylko dlatego, że ich współmałżonek w bezprecedensowy sposób połączył brak szczęścia i zły osąd sytuacji? Kliknęłam w innego linka. Nie chciałam, ale było to dziwnie frapujące. Po raz pierwszy zrozumiałam, dlaczego ci, którzy są nękami na portalach społecznościowych, czują przymus czytania tego. Kim byli ci ludzie? Jacyż oni muszą być nieszczęśliwi, skoro muszą tak zdecydowanie wyrażać swoją opinię o wszystkim, co mnie dotyczy, od tego, jak wyglądam, do mojej domniemanej winy, plus to, co ona czy on by mi zrobili: kara, której sąd nie jest w mocy wymierzyć, sugerująca, że ona czy on wyładowali na niewłaściwej stronie.

Kiedy skończyłam, po policzkach płynęły mi łzy tak wielkie i tak słone, jak nie zdarzyło mi się od śmierci ojca. Nie były to łzy uzalania się nad sobą, choć mogłabym sobie wybaczyć, gdyby tak było; były to łzy nad nowym światem, w jakim się znalazłam, światem, którego już chyba nie rozumiałam, który wydawał się zbyt złożony, zbyt agresywny i splątany, światem bez granic, takim, w którym wszystko, czego mnie uczono lub zachęcano, bym przyjęła to za prawdę, znaczyło tyle co nic. Każdy mógł teraz zabrać głos, a jak ohydnie, jak jadowicie to brzmiało, kiedy krzyczeli wszyscy razem!

Zamknęłam laptopa i poszłam na górę do naszej sypialni. Ed spał, oddychając spokojnie. Lampka przy łóżku nadal była włączona, a na kołdrze leżał egzemplarz „The Week” z ostatniego tygodnia, tak jakby zasnął w pół zdania. Położyłam się. Nie miałam siły myć zębów. Potrzebowałam objąć ramionami jakąś ludzką istotę z realu. Potrzebowałam odzyskać siebie samą, a jedynym sposobem na to była próba odzyskania naszej miłości, próba powrotu do zielonego, niewinnego świata, takiego jaki był, zanim się to wszystko wydarzyło. Dotknęłam Eda. Powiodłam palcem, zataczając rytmiczne kółka, wzdłuż jego pleców, pośladka, uda, kolana. Spał, poruszył się, coś zamamrotał. Nie przerywałam, dalej wypisywałam palcem pętle na jego brzuchu, coraz niżej, powoli, prawie niedostrzegalnie, aż wydał leniwe, samcze stęknienie, budząc się powoli, i zwrócił do mnie z twarzą zmienioną

przez pożądanie, a ja pomyślałam: kto wie, czy nawet największa intymność jest w stanie złagodzić mój wewnętrzny ból i moją samotność.

– Ed?

– Mhm...

– Śpisz?

– No.

– Ja nie mogę spać.

– Mhm...

– Nie śpię od pierwszej.

– Kocham cię...

– Boję się.

– Uhm.

– Oni są coraz bliżej.

– Okej...

– Wszyscy są przeciw nam – Internet, policja, prawdopodobnie nawet Julian.

– Nie martw się. Niczego nie znajdą.

– A jeśli znajdą?

– Nie znajdą. Działają na rybkę.

– Trolle w sieci myślą inaczej.

– Trolle nie myślą.

– Nie mogę myśleć o niczym innym.

– Jakby coś mieli, toby nas nie puścili.

– Gdyby nic nie mieli, toby nas nie przesłuchiwali.

– Udawaj, że to się nie zdarzyło.

– Ale się zdarzyło.

– Musimy po prostu zachować spokój.

– Takie rzeczy nie zdarzają się ludziom takim jak my.

– I nie będą.

– Ale...

– Zobaczysz.

– A jeśli już za późno?

– Jeśli na co za późno?

– Jeśli już nie ma powrotu?

– Co masz na myśli?

- Ed, boję się, że nie będę już umiała malować.
- Dlaczego miałabyś nie umieć?
- Bo stałam się obiektem.

Przy śniadaniu Ed miał swoje zwykłe rzeczowe „ja”. Zjadł musli z jogurtem greckim, grzankę z pastą Marmite i wypił kubek herbaty i wielką szklankę soku z pomarańczy, własnoręcznie wyciśniętego. Spytał o moje plany na ten dzień, o to, czy Arthur był na meczu krykieta i wyraził nadzieję, że Nell odrobiła lekcje z przyrody. Nie było nic w jego sposobie bycia, co sugerowałoby, że niespełna dwadzieścia cztery godziny temu, na krótko przed tym, jak miał wyjechać do Londynu na nabożeństwo żałobne, zastukało do jego gabinetu dwóch mężczyzn i wyższy z nich powiedział: „Panie Sheahan, czy moglibyśmy porozmawiać”. Nie było znaku zapytania, nie było wyboru, tylko błysk policyjnej odznaki, odbijającej światło lampy nad głową, niczym błysk lufy pistoletu.

Jedynym ustępstwem na rzecz przepychanki, jaka miała miejsce poprzedniego dnia, było to, że wyszedł do pracy tylnymi drzwiami i poszedł piechotą zarośniętą ścieżką za łukiem rzeki. Ale nie musiał zawracać sobie głowy: nowiny biegly szybciej niż lis i psy polowały już wszędzie.

Kiedy wyszedł, popatrzyłam na Nell i Arthura, w milczeniu jedzących swoje płatki Cheerios. Arthur czytał tekst na opakowaniu, Nell powtarzała francuskie słówka. Nie sposób było powiedzieć, jak wpłynie na nie wczorajszy dzień ani nawet ile wiedzą. Wciąż jeszcze byli w szkole, kiedy osaczył mnie prasowy gang, i zadbaliliśmy, żeby nie oglądali wiadomości. Nie było to trudne. Ich zainteresowanie sprawami bieżącymi było cienkie jak krzemowy układ scalony. Niebezpieczeństwo tkwiło w tym, co widziały inne dzieci albo co im powiedzieli rodzice. Byłam nie bez podstaw spokojna o to, że ich zainteresowanie wiadomościami jest równie żywe, jak Nell czy Arthura, ale co z siecią? Nikt nie jest w stanie kontrolować tej hydry i bez względu na moje nadzieje, nie do pomyślenia było, by ktoś gdzieś – starsze rodzeństwo, przypadkowy użytkownik – nie natrafił na moje nazwisko czy jakiś link. Zadrżałam. Boże, spraw, żeby żadne z nich nie zobaczyło komentarzy pod tamtym wideo.

I nagle zdałam sobie sprawę, że nie potrafię stawić czoła zewnętrznemu światu, jeszcze nie, i z pewnością nie potrafię stawić czoła tygłowi plotek i insynuacji, jakim jest szkolne boisko, i że nie mam innego wyjścia, niż znowu poprosić Beę, żeby zawiozła dzieci do szkoły. Beę, która, będąc Beą, na sto

procent widziała wiadomości, linki, filmy wideo, komentarze i która, będąc Bea, da mi to do zrozumienia poprzez samą milczącą wielkoduszność swojej pomocy. Plan Bea. Zawsze była, kiedy nie było alternatywy. Sięgnęłam po komórkę. Odebrała natychmiast, tak jakby czekała na telefon. Głos miała ożywiony, perspektywa spotkania z gwiazdą *Wiadomości o Dziesiątej* była większą przyjemnością niż nowiutka para najków do skoków. Kiedy przyjechała, poklepała dzieciaki po głowach, prawie jakby je odliczała – czy są tu jeszcze jakieś trupy? – zrobiła grymas współczucia jak z kreskówki i syknęła „To są bestie, nie ludzie”. Kiwnęłam głową i mruknęłam „dziękuję”, ale w duchu pomyślałam, że gdyby mi zależało na współczuciu czy na tym, żeby na mnie patrzono jak na rzadki okaz w szklanym słoju, to sama bym podwiozła dzieci do szkoły.

Nie wiem, jak długo siedziałam w pracowni. Nie mogłam ani pracować, ani czytać, ani robić nic innego poza wpatrywaniem się w ścianę i wsparte o nią płótna i zastanawianiem się, kiedy i czy w ogóle odzyskam obiektywizm niezbędny do tego, żeby malować portrety. Wszystkie triki, jakie stosowałam, żeby się skoncentrować, kiedy mi ciężko szło, okazały się bezużyteczne. Byłam jak człowiek oślepiiony przez światło. Jeśli nic nie widzisz, nie możesz malować. Ale jeśli nie mogłam malować, nie mogłam żyć. Nie dało się zrobić z kółka kwadratu.

Widziałam, jak wiele się zmieniło. Zdarzało się w przeszłości – nieczęsto, ale więcej niż raz – kiedy dzwoniło po mnie ze szkoły, bo byłam tak pogrążona w tym, co robię, że zapomniałam pojechać po dzieci. Po telefonie dyżurnego nauczyciela, który bardzo się starał, żeby w jego głosie nie było słyhać irytacji, i zapewne myślał, że jestem na zakupach, na lunchu, może gram w tenisa albo zasiedziałam się na siłowni, pokornie odbierałam dzieci z jego rąk, czując się jak niegrzeczna uczennica. Twarze Arthura i Nell mówiły: „Dlaczego ty nie możesz być na czas, tak jak wszystkie inne mamy?”, a nawet, kiedy przyjechałam raz szczególnie późno: „Dlaczego nie możesz być jak wszystkie inne mamy?”

Wreszcie ciszę, bezczynność i klimat porażki przerwał dźwięk komórki. Pomimo że leżała na metalowym wózku za mną, zajęło mi parę chwil, aby zarejestrować, że dzwoni. Kliknęłam „odbierz” i stęknęłam. Nieznany głos, który brzmiał jak głos aktorki grającej kostyczną matronę, spytał:

– Alice Sheahan?

Głos należał do Chrissie Wright, osobistej sekretarki osoby, która z jakichś przyczyn wolała pozostać anonimowa, ale chciała, żebym w początkach lipca namalowała jej portret. To było to, miałam nadzieję, czego potrzebowałam, żeby się rozruszać. Po imponującej liczbie obustronnych komentarzy, uzasadnień i wyjaśnień w stylu konferencyjnym ustaliłyśmy datę.

To, że Chrissie nie chciała wyjawić nazwiska modelki, nie było dla mnie problemem. Tajemniczość przed rozpoczęciem malowania nie zdarzała się często, ale nie była też czymś zupełnie mi nieznanym. Często stosowali to mężczyźni, którzy byli raczej mniej sławni, niż im się zdawało, schodzący ze sceny aktorzy, politycy, którzy szczyt kariery mieli za sobą, dyrektorzy, którzy chcieli zrobić wrażenie. Kobiety były inne. Instynktownie pojmowały, że portret to emocjonalne negocjacje, i same dążyły do tego, żeby poznać artystkę. Chciały się z nią zaprzyjaźnić. Jak na ironię, kiedy w paru rzadkich przypadkach jakaś zarozumiała pomniejsza celebrytka nie chciała ujawnić swojej tożsamości, okazało się to dla mnie bonusem, bo umożliwiało mi świeżość pierwszego spojrzenia, które niekoniecznie wypadało dla niej korzystnie.

Większym problemem była dla mnie całkowita niemożność spotkania przed rozpoczęciem pracy. Szefowa Chrissie od tygodnia była w Stanach, na krótko miała wrócić, ale miał to być czas „kompletnie szalony”, a później znowu wyjeżdżała w jakąś błyskawiczną trasę nad Zatokę. Moja sugestia, żebyśmy się spotkały, choćby na krótko, w dowolnym miejscu, została z miejsca odrzucona. A przecież spotkanie przed rozpoczęciem portretu to esencja. Zdumiewające, ile się można dowiedzieć, choćby nawet tylko przy kawie. Już samo to, gdzie model czy modelka chce się spotkać, zdradza bardzo wiele. Czy chcą przyjść do mnie do pracowni, spotkać się na gruncie neutralnym, czy na własnych śmieciach? Jeśli to ostatnie, co zdarza się najczęściej, jako że daje im to poczucie panowania nad sytuacją, która zasadniczo jest poza ich kontrolą – to czy wolą się spotkać oficjalnie w biurze, czy mniej oficjalnie w domu? Czy stoją, kiedy ty siedzisz? Jak traktują dzieci czy sprzątaczkę? Ludzie myślą, że model czy modelka są nieśmiali, pokazują swoje najlepsze strony niczym nastolatka na Facebooku. A jednak rzeczywiste cechy charakteru prześwitują przez ich zachowanie, często właśnie dlatego, że mają się na baczności. Tym razem miało być inaczej. Pozostawało mieć nadzieję, że samo przebywanie w domu modelki podczas sesji pozwoli mi, jak sugerowała Chrissie, uzyskać to, czego potrzebuję do portretu. Jeśli nie, wpłynie to na psychologiczny realizm ukończonej pracy. Nie wiedziałam dobrze, co zrobię, jeśli tak się stanie, bo

nawet jeśli nikt tego nie zauważy, to zauważę ja, a ja byłam moim najsurowszym krytykiem. Musiałam być. To o moją reputację chodziło, nie modelki.

Powiodłam więc palcem po cementowoszarym grzbiecie tomu Oscara Niemeyera, rozmiarem przypominającego blok betonu, zerknęłam na pocztówkę z widokiem Sagrada Familia, którą przysłał mi Ed z konferencji ginekologicznej w Barcelonie (ile czasu zajęło panu wybranie tego widoczku, panie S.), i powiedziałam:

– Rozumiem, że zdaje sobie pani sprawę, iż brak uprzedniego spotkania z modelką może wpłynąć na efekt końcowy, jeśli chodzi o moje zrozumienie danej osoby i jej przedstawienie na portrecie?

Spodziewałam się, że Chrissie odpowie coś w stylu, że bardzo jej przykro, ale nie może pomóc w tej sprawie, niemniej jest pewna, że potrafię sobie poradzić, tymczasem o dziwo, zdawało się jej w ogóle nie obchodzić, czy wpłynie to na portret, czy nie, i jaki będzie ostateczny efekt.

11

Sądziłem, że nie wierzysz w zupełną abstrakcję. Wydawało mi się, że mówiłaś, że zawsze muszą być jakieś elementy figuratywne.

Ed stał w mojej pracowni, patrząc na niewielkie zamalowane na czarno płótno na sztaludze. W garniturze, wyprostowany i profesjonalny, wyraziście odcinał się na tle otwartego okna. Powietrze było gorące, gęste jak farba. Ed rzadko przychodził do mojej pracowni, nie częściej niż ja do jego szpitala. Szanowaliśmy nawzajem swoją przestrzeń pracy i myślę, że w tamtym czasie zdawał sobie sprawę, że potrzebuję przestrzeni dla siebie jeszcze jeszcze bardziej niż dotąd. Przycupnęłam niewygodnie na brzegu szezlongu.

– Bo nie wierzę.

– Ucieczka?

Podszedł do pochłapanego farbą stołu i wsparł się o krawędź, przedtem przeciągnąwszy palcem, żeby sprawdzić, czy farba jest sucha. Miał na sobie dopasowany garnitur w jodełkę w kolorze ochry, o wąskich klapach, i modrą koszulę, rozpiętą pod szyją. Poruszał się płynnie, regularny gracz w tenisa, orędownik spraw beznadziejnych. W ciągu ostatnich paru tygodni ani nie przybrał na wadze, ani nie stracił. Kiedy poruszył nadgarstkami, ukazując mankiety, zaśniły na nich złote spinki z monogramem. Dałam mu je, kiedy się zaręczyliśmy. Przez moment mignął mi jego obraz sprzed lat, młodego przystojnego lekarza w wypożyczonym surducie i ze złotymi spinkami w mankietach, jak odwraca się od ołtarza w stronę narzeczonej w welonie, która zerkała nerwowo na prowadzącego ją brata, na jego blade czoło i wilgotny szary kołnierzyk, i złąkłam się, że moja miłość do niego się zmieniła. Moje pragnienie malowania się zmieniło. A przecież Ed, stojąc w mojej pracowni, wyglądał, jakby nie zaszło nic, co miałyby go wytrącić z rytmu życia, jakie prowadził od dnia ślubu. Domyślam się, że jeśli człowiek codziennie ma do czynienia z życiem i śmiercią, to uczy się, jak iść naprzód, jak odcinać się od

wszystkiego, co może odwrócić uwagę od bieżącego zadania. Nawet jeśli, to zdolność Eda do mentalnego szufladkowania spraw budziła lęk.

– Nie ma ucieczki – powiedziałam.

Grymas skruchy przemknął mu po twarzy. Nie był tak silny, na jakiego wyglądał. Maskę siły była na mój użytek. Podszedł w dwóch wielkich krokach i usiadł obok mnie na szezlongu, podciągając spodnie na kolanach, żeby się nie zmięły. Włożył mi rękę we włosy i zaczął mnie głaskać po głowie, muskając kark i szyję wierzchem palców. Były chłodne, a pomimo delikatności dotyku byłam świadoma ich siły. Długo nic nie mówił, tylko z namysłem wodził mi palcami z boku szyi. Czekałam. Były czasy, przed dziećmi, kiedy kochaliśmy się w mojej pracowni, ja pieczęcią wyłuskiwałam go z garnituru, on obłupywał mnie z dżinsów czy z ogrodniczek, wyślizgiwał jednym ruchem pasek niczym pociąg. Teraz jednak nastrój był inny. Kiedy się podjęło decyzję o niewyjawianiu własnego udziału w sprawie, za późno było, żeby wracać. Nie było już takiej opcji, jak nieumyślne spowodowanie śmierci. Tak właśnie będzie wyglądało życie z tą tajemnicą.

– Kochanie, naprawdę bardzo mi przykro w związku z tym i wierz mi, że rozumiem, co przeżywasz. Ale wszystko będzie dobrze, jeśli tylko zachowamy zimną krew. Obiecuję. Oni strzelają na ślepo. Gdyby mieli na nas cokolwiek, nie puściliby nas tak łatwo.

– Łatwo? Słowo daję, nie wiem, jak ty potrafisz być taki spokojny. Mnie to zjada od środka. Boję się wyjść z domu. Nie mogę pracować. Cała ta rzecz, to, co ona oznacza, nie tylko to, co może się wydarzyć, wszystko to wisi nade mną jak... nie wiem... ale mam zamówione trzy portrety, a w stanie, w jakim jestem, nie potrafię namalować ani jednego.

Wziął mnie za rękę.

– Musisz się starać o tym nie myśleć. Bo nic nie możemy zrobić w tej sprawie, jedynie czekać.

– Nie potrafię tak po prostu o tym nie myśleć. To istnieje. To jest coś fizycznego.

– Myśl o tym jak o nauce, a nie o sztuce.

– To nic dla mnie nie znaczy.

– Iloraz inteligencji, a nie iloraz emocji. Postaraj się myśleć głową, a nie sercem. Jesteśmy tu, gdzie jesteśmy. Jeśli przetrwamy jeszcze parę tygodni, gorączka opadnie, policja straci zainteresowanie, zostaną popełnione inne przestępstwa i któregoś dnia ogłoszą, że śledztwo zostaje zamknięte. Jest mnóstwo możliwości, żeby uznali to za wypadek. Pośliznęła się, potknęła się,

nie wzięła leków, przedawkowała narkotyki – bum, jesteśmy poza wszelkim podejrzeniem. Życie pójdzie naprzód, jak zawsze.

Wykręciłam dłoń z jego uścisku, czując, że nie chce puścić.

– Czasem mam chęć cię uderzyć, za to, że jesteś taki cholernie racjonalny.

– Bo takie właśnie to jest.

– Nie. Taki właśnie jesteś ty. „To” jest nieokreślone i poza naszą kontrolą.

– Kochanie, nic nam nie pozostaje, niż trzymać się twardo i przetrwać ten sztorm.

Znowu wziął mnie za rękę i przyjrzał się jej, jakby próbując zrozumieć świat malarki portretów.

– Wiesz, w medycynie zdarza się czasem, że nie ma „dobrze” czy „źle”. Czasem nie ma możliwości rozwiązania idealnego. Zdarzają się rzeczy, na które nikt nie ma wpływu. Lekarz może tylko podjąć decyzję, a potem liczyć na możliwie najlepszy wynik. Czasem ma się szczęście, a czasem... W tym wszystkim chodzi o to, żeby wynik był możliwie najlepszy, bo sytuacja jest taka, że oczekiwanie wyniku doskonałego jest nierealistyczne. Ludzkość nie jest doskonała. Życie nie jest doskonałe. Musisz nauczyć się z tym żyć.

– Chyba na tym polega różnica między nami. Ja wierzę w dążenie do doskonałości, staram się uchwycić prawdę, która tkwi gdzieś pod spodem. Mogę do niej nie dotrzeć, ale wiem, że ona istnieje, idealny kolor, idealna kompozycja, idealne widzenie, które to wszystko połączy, i zawsze staram się to osiągnąć.

– Co prawdopodobnie stanowi gwarancję rozczarowania albo porażki.

Miał rację, rzecz jasna, i jednym zdaniem wyjaśnił bezbłędnie, dlaczego tylu artystów zostało zmiażdżonych przez życie. Ale to była zasmucająca linia myślenia, akceptacja losu, namiastki, idea, o której obalenie będę walczyć całe życie.

– Przynajmniej moje podejście to porażka chwalebna. Przynajmniej jest w nim nadzieja. Zawsze będę wiedziała, że robię, co mogę. W ten sposób świat staje się lepszy.

Ed z namysłem pokiwał głową. Usunęłam rękę. Czułam, że się ze mną nie zgadza, ale chce mnie rozweselić, bo czuje moją kruchość. Nie można mu było nic zarzucić jako mężowi – w tym sensie. Ta środa wypaliła mnie o wiele bardziej, niż dotknęła jego, niemniej jeśli mamy to przetrwać, muszę być silna.

– Musimy żyć w tym świecie – powiedział łagodnie.

– To, że musimy, bynajmniej tego nie ułatwia.

– Zwariujesz, jeśli nieustannie będziesz usiłowała zmienić ten fakt.

– Mam takie uczucie, jakby mnie wycisnęli i straciłam jakikolwiek kształt.

– Kochanie, musisz pamiętać, że robimy to dla dzieci. Nie możemy pozwolić, żeby ten okropny wypadek zrujnował im życie. Nie będę udawał, że któremukolwiek z nas łatwo jest z tym żyć, i gdybym tylko mógł cię dostatecznie przeprosić albo cofnąć wskazówki zegara, zrobiłbym to, wiesz o tym. Ale nie mogę, i właśnie dlatego musisz teraz nadal pracować tak jak zwykle. To jedyny sposób, żebyśmy to przetrwali.

Wiedziałam, że jest szczerzy. Gdyby mógł coś zrobić, aby cofnąć czas, zrobiłby to, ale dusiło mnie przytłaczające gorąco pokoju i naszej sytuacji. Czułam, że nie panuję już nad własnym życiem, a on nie mógł zrobić nic, żeby to zmienić. Nie byłam nawet pewna, czy będę w stanie robić to, co zawsze chciałam robić – wysłuchiwać ludzkich historii, analizować je i starać się zrozumieć, a potem, stosownie do tego, malować ich portrety. W gardle zaczęła mi narastać gęstwa. Nie mogłam tego ukryć. Ed objął mnie ramieniem, pocałował w policzek delikatnie, z uczuciem, krzepiąco. Nie poruszyłam się.

– Kochanie, nic nie trwa wiecznie. Ale kiedy się czujesz nieszczęśliwa, pamiętaj, że jesteśmy w tym razem, wszyscy. Bądź silna.

Słońce zapadało w Ashton Court, chowając się w drzewach, wydłużając cienie. Spojrzałam na jego rękę na moim ramieniu i wstrząsnął mnie mimowolny dreszcz. Dostałam gęskiej skórki. Ed milczał. Miał silne ręce, ręce chirurga, ręce tego, kto daje życie. Ręce tego, kto odbiera życie.

W sobotę po południu wzięłam stary koc w kratę i rozciągnęłam się na trawniku, żeby powygrzewać się w słońcu jak kot. Eda gdzieś wezwali, Nell poszła z koleżankami na koktajl mleczno-truskawkowy, a Arthur był na górze i budował silnik samolotu z plastikowych kształtek. Nie lubił słońca. Próbowałam znaleźć coś do zrobienia w domu, a nawet poszłam na górę do pracowni, ale byłam zbyt apatyczna i nie mogłam się skoncentrować. Jediną korzyścią z tego, że nie wiedziałam, kto będzie mi pozował do nowego portretu, było to, że nie musiałam szukać żadnych informacji ani nawet o tym myśleć, co skądinąd mogłoby być równie dobre. Postanowiłam więc nie walczyć z frustracją i rozdrażnieniem, jakie czułam, będąc w pracowni, a raczej wyjść na słońce i spróbować się odprężyć pod wielką lazurową miską nieba. Wzięłam ze sobą *Franny i Zoey*, których miałam ponownie przeczytać dla klubu książki, wraz z wysoką szklanką lemoniady, w której kostki lodu grzechotały jak baryłki w morzu. Trawa brązowieła, ofiara suszy, jaka trwała

ostatnio, i kowbojów, którzy położyli trawnik, nie kopiąc dostatecznie głęboko, tak by miała dość ziemi.

Ledwie się usadowiłam, gdy od strony wejścia dobiegł dźwięk dzwonka. Przez chwilę bawiłam się myślą, że może by nie reagować – kto podchodzi do drzwi frontowych w sobotę po południu? Ewangelicy? Ludzie od mycia okien, zachwalający swoje usługi? – ale wiedziałam, że Arthur się nie ruszy ze swojego pokoju. Na wypadek gdyby był to ktoś z Amazonu (nie długo urodziny Arthura), odłożyłam Salingera, odsunęłam słoneczne okulary na włosy, dźwignęłam się i powlokłam przez dom, zanurzając się w cień i z powrotem wyłaniając się na oślepiający słoneczny blask, gdy otworzyłam drzwi.

Philips. Nieznanej rangi.

Stał bez ruchu, w śliwkowej koszuli bez kołnierzyka, z rozpiętymi trzema górnymi guzikami, i skórzanej kurtce w kolorze miedzi z elastyczną wstawką w talii. Z rozpięcia wyzierała kudłata pierś. Gruba mosiężna klamra jego pasa błyszczała w słońcu. Stojąc tu w zbyt obcisłych dżinsach i butach z cholewką, wyglądał raczej jak nocny kowboj niż jak statysta ze *Starskiego i Hutcha*. Powinien mieć gnata w solidnej kaburze, tymczasem miał przy pasie komórkę w uroczej pochewce, co sprawiało, że był równie groźny jak sędzia w meczu tenisa. Niemniej poczułam skurcz strachu i usiłowałam przestawić mózg na wyższy bieg.

– Przepraszam, pani Sheahan, że niepokoję panią w sobotę. Mogę wejść?

Ten akcent chłopaka z Birmingham. Nie wyglądało, żeby naprawdę było mu przykro. Nie odpowiedziałam. Chciałam, żeby wiedział, że gdybym miała jakikolwiek wybór, zatrzaśnięto by mu drzwi przed nosem. To on, albo któryś z jego kolegów, bez wątpienia biorący od prasy bakszysz za przecieki, był bezpośrednio odpowiedzialny za to, co mi się zdarzyło trzy dni temu. Antenki mu skwierczały, muszę mu to przyznać.

– Przykro mi z powodu tego, co zaszło w środę. To nie powinno było się wydarzyć. Nie wiem, kto im powiedział.

Wytrzymałam długą pauzę i dopiero potem usunęłam się na bok. Skinął głową i minawszy mnie, ruszył prosto do kuchni, jakby go tam skierowali. Nie zaproponowałam mu nic do picia, patrzyłam tylko, stojąc w drzwiach z pracującym bez przerwy umysłem, jak rozgląda się powoli po pomieszczeniu, po czym podchodzi do wyspy i przysiada na stołku. Założył lewą kostkę na prawe kolano i zdjął jakiś wymaginowany pyłek z miejsca, gdzie na bucie powinna być ostroga.

– Przyjemny dom.

Nie odpowiedziałam. Nie życzyłam sobie spędzać soboty na towarzyskiej rozmówce z człowiekiem, który parę dni temu mnie przesłuchiwał. Wskazał głową drugi stołek. Wstrzymałam się przez ułamek sekundy, aby zaznaczyć, że nie do końca mu ufam, i dopiero wtedy podeszłam i odsunęłam stołek. Moja oczywista pogarda kazała mu przejść do rzeczy.

– W porządku, pani Sheahan, przejdę od razu do rzeczy: co by pani powiedziała, gdybym powiedział, że widziano, jak pani mąż wychodzi z Montpelier wczesnym wieczorem w dniu, kiedy popełniono morderstwo?

Czas stanął. Philips przewiercał mnie wzrokiem i zdawałam sobie sprawę, że szczęka mi zwiotczała, a usta przestały działać. To mogło być pytanie „na rybkę”. Trzeba potraktować je serio, w dobrej wierze, po prostu trzymać się własnej wersji. Wzruszyłam ramionami. Ten ruch zwoił blokadę języka.

– Powiedziałabym, że to niemożliwe. W każdym razie w czasie, kiedy z nim byłam. Potem był w domu, z dziećmi. Kiedy wróciłam z klubu książki, też był.

– Mówiła pani, że o której godzinie pojechał na Brandon Hill?

– Nie lepiej zapytać jego?

– Pytam panią.

– Nie wiem. Wpół do piątej?

– A pani dołączyła do niego o...?

– Wpół do szóstej, szóstej?

– Czyli że mógł być widziany, jak opuszcza pieszo Montpelier, powiedzmy, o piątej?

– Nie, skoro był na Brandon Hill.

– Jeśli był na Brandon Hill.

Zakaszlałam teatralnie, aby okazać, że staram się trzymać na wodzy moją irytację.

– Sądziłam, że już to przerabialiśmy.

Philips poruszył się na stołku. Zalśniło złoto jego naszyjnika.

– A po powrocie do domu nie wychodził ponownie?

– Nie.

– Nawet po mleko? Po piwo?

– Mąż nie pije.

– Oczywiście. A więc po mleko.

– Nie.

– Ale pani nie było w domu.

– Dzieci by mi powiedziały.

– Że wychodził po mleko?

– Że wychodził.

– A jeśli wychodził po tym, jak się położyły?

– Zdawało mi się, że mówił pan o wczesnym wieczorze? Nell nie kładzie się przed dziesiątą, a Arthur nie spał, jak wróciłam. Zdaje się, że tę dziewczynę zamordowano około szóstej?

– W teorii. I wtedy właśnie widziano go na Stokes Croft. Czy nie brzmi to jak znaczący zbieg okoliczności?

– Brzmi to jak pomylenie tożsamości.

– Pani Sheahan, to wyłącznie pani twierdzenie, że był na Brandon Hill. Co by pani powiedziała, gdybym powiedział, że osoba, która go widziała, dobrze panią zna?

– Powiedziałabym, że ta osoba nie zna nas tak dobrze, jak się jej wydaje, jeśli naprawdę sądzi, że mój mąż jest mordercą.

Poczułam przyływ nadziei. On nic nie wiedział. Gdyby wiedział, przyszedłby oficjalnie, z nakazem aresztowania i kajdankami, a nie wsuwałby się chyłkiem, przepraszając za kłopot, jaki sprawia w sobotnie popołudnie.

– A zatem nie dopuszcza pani możliwości, że to mogło mieć miejsce?

– Nie. Nie sądzę, aby wolno mi było spytać, kto...

– Pytać może pani zawsze.

Rozkoszował się swoją władzą. Jego odznaka oznaczała, że może wszędzie wejść, każdego zaczepić, o wszystko zapytać, a na nic nie odpowiadać. Bez skrupowania omiatał wzrokiem pomieszczenie, zły glina w swoim własnym filmie fabularnym. Umył włosy. Spadały mu na kołnierzyk.

– Był pan u mojego męża?

– Kolega... – przeciągnął z rozmysłem.

– Więc pomyślał pan, że może by przyjść tutaj i spróbować, za pomocą jakiegoś triku albo zastraszenia, skłonić mnie do przyznania się do czegoś, czego nie było?

Wpatrywał się we mnie. Wytrzymałam jego spojrzenie, odpłacając mu pięknym za nadobne.

– Przeszedłem spytać...

– I spytał pan. I odpowiedź się nie zmieniła. – Czułam, że do mojego tonu wkrada się ton wyższości, typowy dla mojej matki. – Czy coś jeszcze mogę dla pana zrobić?

– Czy któreś z dzieci jest w domu?

– Arthur. Jest na górze.

– Czy mógłbym z nim krótko porozmawiać?

Wstałam, żeby po niego pójść, ale Philips podniósł rękę.

– Czy mogłaby go pani zawołać?

Stałam u podnóża schodów i zawołałam parę razy. W końcu Arthur się pokazał, rozczochrany, z magiczną różdżką w ręce, najpierw oszołomiony, a potem zachwycony, że będzie go przesłuchiwał prawdziwy detektyw w cywilu, z prawdziwą odznaką. Słuchał uważnie i starał się wyglądać tak dorośle, na ile to było możliwe w obciętych dżinsach i koszulce z nadrukiem z serialu *Futurama*, z wystającymi z rękawów patykowatymi rękami. Philips zadawał swoje pytania. Modliłam się w duchu do Boga, w którego nie wierzyłam, żeby nie powiedział czegoś o tym, że Ed był „smutny” czy że płakał w tamten wieczór. Miałam gotową historię o odklejonym łożysku, odpowiednio mglistą co do daty, ale to można sprawdzić w dokumentacji. Co nie znaczy, że nie mogło wrócić do Eda i dręczyć go w parę dni czy tygodni później, kiedy się gorzej czuł. Arthur się zawahał.

– Dalej, kochanie.

Arthur powiedział, że tak, Ed był z nimi, kiedy wrócił tamtego wieczoru do domu.

– Wrócił do domu skąd?

Arthur zmarszczył brwi i spojrzał na mnie. Kiwnęłam głową: odpowiedz panu.

– Myślę, że z pracy.

Philips zerknął na mnie. Zadowolony? Znowu odwrócił się do Arthura, nie chcąc spuszczać ryby z haczyka tak prędko.

– Myślisz, że z pracy?

– Tak.

– I był taki sam jak zawsze?

– Tak.

– Nie inny niż w pozostałe dni?

– Tak.

– Nie wyglądał na zdenerwowanego czy coś?

– No...

– Tak? Mów, proszę.

– Tak.

Głos Philipsa złagodniał, tak jakby dawał mu cukierka.

– Wyglądał na zdenerwowanego, czyli jak?

Czułam, że Philips spogląda na mnie, ale nie odwzajemniałam jego spojrzenia. Wciąż patrzyłam na Arthura, który szybko przenosił spojrzenie od

Philipsa do mnie i z powrotem.

– Miałem na myśli: tak, wyglądał nie inaczej niż w pozostałe dni.

Odetchnęłam dyskretnie. Czułam, jak z balona Philipsa uchodzi powietrze. Starał się nie wyglądać jak ktoś, kto zwabia małego chłopca do samochodu.

– I przez cały czas był w domu? W ogóle nie wychodził, na przykład do Clifton Village po jakieś jedzenie?

– Tak.

– Tak, to znaczy?

– Cały czas był w domu.

Philips wypuścił powietrze, wydymając policzki.

– Okej, świetnie, bardzo ci dziękuję. Możesz iść.

Arthur spojrzał krótko na mnie. Kiwnęłam głową. Wrócił biegiem na górę. Wciąż oddychałam ciężko. Spojrzałam na Philipsa – co teraz? Wysunął dolną wargę jak nadąsane dziecko i z namysłem skinął głową.

– To wszystko – na razie. Dostaje pani swoją sobotę z powrotem.

– Dzięki.

Podniósł się ze stołka. Był moment, że byłby dotknął kowbojskiego kapelusza, gdyby go miał. Zmrużył oczy niczym Marlboro Man i powiedział:

– Wie pani, pani Sheahan, coś mi tu nie pasuje. – Wzruszyłam ramionami, ale nic nie powiedziałam. – To tylko przeczucie, ale w moim fachu nauczyłem się polegać na węchu. – Patrzyłam na niego beznamiętnie. Nie lubiłam jego i jego pewności siebie. Budził we mnie determinację, żeby wspierać Eda aż do końca. Philips mógł sobie czuć, co chce, ale o ile gra się nie zmieni, nie potrafi tego udowodnić. – Dotrę do sedna tej sprawy. Może pani być pewna. – Ruszyłam do drzwi, ale podniósł rękę. – Proszę się nie kłopotać. Dam sobie radę.

Kiedy wyszedł, poszłam na górę do Arthura. Klęczał na podłodze i marszcząc w skupieniu brwi, wciskał jeden maleńki kawałeczek szarego plastiku w inny, sprawdzając grubo poskładaną instrukcję w czterdziestu ośmiu językach. Nie podnosząc wzroku, spytał:

– Czego chciał ten człowiek?

– Oj, wiesz, to w związku z tym, co parę dni temu. Chciał tylko potwierdzić parę rzeczy.

– A czemu pytał mnie?

– Po prostu sprawdzał to, co mówiliśmy, że tatuś był w domu.

Arthur szybko podniósł wzrok.

– Czy tatuś ma kłopoty?

– Nie.

Zmarszczył podejrzliwie brwi.

– Z policją?

– Nie. To drobiazg.

– Czy chodziło o tę noc, kiedy tatuś płakał?

– Tak.

– Nie powiedziałem im o tym.

– Nie powiedziałeś. I chyba dobrze. Bo cokolwiek im powiedzieć, może to tylko sprawić, że będą zadawać jeszcze więcej pytań.

– A dlaczego płakał?

– Miał po prostu straszny dzień w szpitalu. Umarło małe dziecko. A on uważał, że powinien je uratować. Czemu nie powiedziałeś temu człowiekowi, że płakał?

Arthur wyglądał na zamyślonego. Najwyraźniej myślał: więc tak to jest? Kto by chciał być lekarzem, skoro tak?

– Nie wiedziałem, o który dniu on mówi, ale chciałem pomóc, więc na wszystko odpowiadałem „tak”.

– Amsterdam?

Odłożyłam książkę na kolana, grzbietem do góry, i poprawiłam się na łóżku. Współleżałam, wsparta o poduszkę, czytając część „Zooney” *Franny i Zooney* Salingera. Okna były otwarte, a żalosny wietrzyk bez sukcesu usiłował ochłodzić powietrze o temperaturze piekarni. Z dwóch nowel składających się na książkę zawsze wolałam „Franny”. W drzwiach stał Ed. Policzki mu lśniły, tak jak zawsze, kiedy dawał mi prezent albo miał nadzieję, że mnie zaskoczył.

– Amsterdam. Ty i ja. W następny weekend. Dwa dni. W tym oczywiście muzea. Potrzebny ci jest odpoczynek.

Nigdy nie byłam w Amsterdamie, ale zawsze chciałam zobaczyć autoportrety późnego Rembrandta na żywo. Były to pierwsze psychologiczne autoportrety, jakie kiedykolwiek namalowano; psychologiczne w nowoczesnym sensie, przez co rozumiem, że powinny być zostać namalowane po tym, jak mądrzy faceci, którzy zaludniali kawiarnie Wiednia na początku XX wieku, opublikowali swoje teorie, a nie przedtem.

– A co z dzie...

– Załatwione.

Czułam się tak, jakbym miała wodę w uszach. Nie wiedziałam, jak

zareagować. Chciałam jechać, ale nie chciałam. Chciałam zobaczyć Amsterdam. Dość dziwne było, że nigdy nie byłam w mieście tak bliskim i tak pięknym, a fakt, że dotąd ominęło mnie Rijksmuseum, wołał o pomstę do nieba, ale wiedziałam też, że nie chcę spędzić dwóch dni wyłącznie w towarzystwie Eda, bez mojej własnej przestrzeni, choćby nie wiem jak wielka była korzyść artystyczna i nie wiem jak uwodzicielskie miasto. Nie sposób to było wyartykułować, ale w tej chwili potrzebowałam go widzieć mniej, a nie więcej. Potrzebowałam mieć pod ręką pracownię, gdzie mogłam się schronić, nawet jeśli ograniczałoby się to do rysowania wciąż na nowo własnej ręki, wnętrza i wierzchu, ołówkiem lub węglem, tak jakbym była w skazanej na przegraną walce o to, by znaleźć coś namacalnego, czego mogłabym się uchwycić.

– Hm...

– Zamówiłem hotel z oknami wychodzącymi na Kaisergracht.

– Nie jestem pewna...

Chmura przesłoniła słońce. Ściągnął brwi.

– Co to znaczy „nie jestem pewna”?

Być może łatwiej byłoby się wycofać, zaakceptować sytuację i zrobić następny krok, ale to nigdy nie było w stylu Eda. Jeśli widział jakiś problem, musiał się nim zająć, głową naprzód.

– To znaczy, że nie jestem pewna, czy to dla nas odpowiednie, właśnie teraz. Nie jestem pewna, czy mam nastrój do wyjazdu. Czy na niego zasługuję.

Prawda była taka, że wiedziałam, iż gdziekolwiek bym pojechała, nie ucieknę od jednej jedynej rzeczy, od której chciałam uciec. Ed starał się ukryć rozczarowanie i kielkujący w głębi nieokreślony strach, że może to być początek końca.

– Kochanie, nie musisz zasługiwać na odpoczynek. Wystarczy, że go potrzebujesz. Naprawdę uważam, że może ci dobrze zrobić parodniowy wyjazd. – Mówił cicho. Lepiej potrafił się zachować przy łóżku chorego, niżbym myślała. – Zmieńmy scenerię. Jakies kompletnie nowe miejsce? – Spojrzałam mu w oczy. W powiekach jest osiemdziesiąt mięśni i wszystkie pracują. Pokręciłam głową. Nie potrafiłam tego ubrać w słowa, które on chciałby słyszeć. – Świeże powietrze. Albo tak świeże, jak może być nad kanałem. Każdy lekarz by to zalecał.

– Nie sądzę, kochanie, nie teraz. Jakoś nie wydaje mi się to właściwe.

Zacisnął szczęki.

– Jedna noc?

Znowu pokręciłam głową i spojrzałam na książkę. Nie chciałam tej rozmowy.

– To może gdzieś bliżej? Bath? Koło Bath? The Pig? Royal Crescent? Pieniądze nie grają roli. – Nie rozumiał. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, siedział na łóżku, naciskając bezradnie. – No, kochanie, zgódź się. Obiecuję, że ci to dobrze zrobi. Obojgu nam dobrze zrobi. Naprawdę myślę, że tego potrzebujemy.

Spróbowałam sobie wyobrazić, jak bym się czuła w jakimś butikowym hotelu z jego puchatymi poduszkami i tapetami we wzorek. Niemal niedostrzegalnie pokręciłam głową. Nie mogłam tego zrobić. Nie potrafiłam odpowiednio wyartykułować dlaczego, pomimo że zawsze potrafiłam artykułować moje uczucia, ale po prostu nie mogłam wydobyć z siebie słowa. Ed kiwnął głową.

– Okej, rozumiem. – Po czym, jakby to on był tym, który ma podjąć decyzję, pochylił się i pocałował mnie w czoło. – Kocham cię, mam nadzieję, że o tym wiesz, i jestem ci nieskończenie wdzięczny za wsparcie. Zdaję sobie sprawę, jak cię ta sprawa zraniła, i nie umiem powiedzieć, jak jest mi przykro. Naprawdę. Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa.

Zacisnął usta, jakby ze wszystkich sił starał się opanować. O mało nie wybuchnęłam płaczem. Choć usiłował to ukryć, czy mu błyszczały. Słynny klinicysta, mężczyzna, który widział wszystko, walczył, aby utrzymać się na powierzchni... Jakże bym chciała zarzucić mu ręce na szyję i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, że pojedziemy do Amsterdamu, żeby obejrzeć najwspanialsze portrety, jakie kiedykolwiek namalowano, i zapomnieć o wszystkim, i mieć trochę rozrywki, ale to było niemożliwe, nie mogłam mu tego dać. I nienawidziłam za to samej siebie.

12

W następnym tygodniu siedzieliśmy na sofie przed telewizorem – to znaczy Ed i ja; dzieci były w łóżkach, prawdopodobnie jeszcze nie śpiąc, miejmy nadzieję, że czytając, choć Nell raczej esemesowała – czekając na *Wiadomości o Dziesiątej*. Staralam się nie irytować niekończącymi się reklamami programów BBC, których nigdy nie będziemy oglądali. Marynarka Eda wisiała na kuchennym krześle, krawat we wzorek w miniromby przerzucony był przez jej ramię jak studencki szalik. Wieczór był gorący, powietrze nieruchome. Brakowało tylko dźwięku cykad, a można by pomyśleć, że jesteśmy na Barbados. Ed wydzielał ciepłą woń, która mogła być zapachem potu, ale nie była nieprzyjemna. Nad telewizorem widniał pierwszy obraz, jaki w życiu namalowałam, wierzba płacząca na tle ze złotego papieru. To drzewo widziałam z okna mojego pokoju w Cambridge podczas ostatniego roku. Całymi godzinami siedziałam na kamiennym parapecie, wygładzonym przez pokolenia studentów, i patrzyłam, jak porusza się na wietrze, maczając zielone palce w wodach rzeki Cam. Obraz był niezły jak na pierwszą próbę, wystarczająco dobry, aby rozpać moją ambicję, podsycić nadzieje.

Zegar wybił dziesiątą.

Bam – Trzynastu zabitych w zamachu bombowym w Homs.

Bam – Krążą pogłoski o niewypłacalności ważnej spółki finansowej.

Bam – Ministerstwo Środowiska twierdzi, że budowa domów na Zielonym Pasiu jest nieunikniona.

Bam – W związku ze śledztwem w sprawie zabójstwa Araminty Lyall aresztowano mężczyznę.

Bam – O Boże!

Spojrzałam na Eda. Nie patrzył na mnie, choć musiał czuć mój wzrok. Zbladł jak biała flaga i zaciskając szczęki, wpatrywał się w ekran. Po paru sekundach nie wytrzymałam.

– Kochanie?

Pokręcił głową. Telewizor zaczął o Syrii. W markecie podłożono bombę. Obrazy okrytych kocami ciał na poboczu drogi, ranni niesieni na prowizorycznych noszach, przerażenie tych, co przeżyli, ich oszalałe oczy i bełkot, frazesy polityków, którzy posyłają nas na wojnę. Skutki uboczne. Każde działanie zawsze ma skutki uboczne.

Następnie facet o dziwnej dykcji zaczął mówić o pogłoskach giełdowych, że jakiś bank ma kłopoty. Próbowałam się skupić na jego słowach, ale wciąż byłam myślą przy skutkach ubocznych, ale nie tych, które tłoczyły się w kolejkach na chodniku, żeby wyjąć swoje oszczędności, bo stracili zaufanie do swojego banku. Nie mogłam już dłużej czekać.

– Co o tym myślisz?

Wpatrywał się w ekran. Nie patrzył na mnie.

– Ed?

– Zaczekaj.

Czekałam. Czekałam, gdy człowiek od środowiska przekazywał swoją przygnębiającą prognozę co do przyszłości Zielonego Pasa, rząd tłumaczył, co robi, aby złagodzić problem, a polityk opozycji, który obciął budżet na środowisko, kiedy był w rządzie, przekonywał, że winę za globalne ocieplenie ponosi rząd.

W końcu, po upływie czasu, który wydawał się wiecznością, na ekranie pojawiła się twarz tamtej kobiety, zdjęcie z Dering Street, po czym reporterka stojąca przed posterunkiem policji w Paddington Green powiedziała, że dwudziestodziewięcioletni handlarz dzieł sztuki nazwiskiem Johnny Trumble został aresztowany w zachodnim Londynie w związku z podejrzeniem o zamordowanie Araminty Lyall.

Ed wyłączył telewizor, odetchnął głęboko i odchylił się na oparcie sofy z twarzą białą jak papier. Wzięłam go za rękę i trzymałam w milczeniu. Siedzieliśmy tak długą chwilę, ale nie chciałam mówić pierwsza, bo to Ed powinien podjąć decyzję.

– O czym myślisz?

– Myślę... – O czym ja myślę? Moją pierwszą myślą było: Kto to jest Johnny Trumble?

– Nigdy o nim nie słyszałem. Nie... chwileczkę, może był u Pete'a?

– Może przyszedł na Stokes Croft później?

Ed wzruszył ramionami. Wszystko było możliwe. Jego pamięć o tamtym after party nie polepszała się z czasem. Znowu odchylił się na oparcie, z

rozrzuconymi ramionami i zaciśniętymi ustami. Chciał mi zapewnić kompletną ciszę tak długo, ile potrzebuję, żeby to przemyśleć. Ale ja już nie potrzebowałam myśleć. Już wiedziałam. Nauczono mnie mówić prawdę. A jednak Ed nie zasługiwał, żeby go aresztowali, żeby musiał przejść proces, prawdopodobnie pójść do więzienia, prawdopodobnie być pozbawionym prawa wykonywania zawodu – i to w przypadku, jeśli zostanie oskarżony o nieumyślne spowodowanie śmierci, a to był najłżejszy zarzut, jakiego mogliśmy się spodziewać. Nie zasługiwał na to, żeby stracić wszystko. A mimo to nie można było pozwolić, żeby inny człowiek wisiał.

- Nie możesz pozwolić, żeby inny człowiek wisiał.
- Nikt nie będzie wisiał.
- Nie możesz pozwolić, żeby przez to przechodził.
- Wywinie się. Musi.

Nie odpowiedziałam. Ed robi, co należy. Po prostu potrzebował więcej czasu, żeby do tego dojść, również dlatego, że obiecał, że nigdy się nie przyzna, a nie był człowiekiem, który wycofuje się z obietnic.

Nie będzie to łatwe, dla nikogo z nas. Już wiedziałam triumf na twarzy Philipa. Wiedział, że jesteśmy w to zamieszani, od początku wiedział. Czuł to, chociaż nie potrafił tego udowodnić. Właśnie dlatego nadal koło nas krążył. To, co zdarzyło mi się parę dni temu, wyglądało jak popołudniowa drzemka w porównaniu z tym, ku czemu zmierzaliśmy.

– Możemy przynajmniej poczekać – powiedział Ed. – Zobaczyć, czy zostanie oskarżony.

Było to stwierdzenie. Powinno to być pytanie. Potrafiłam to zrozumieć. Twarz miał spierzchniętą. Wielkiego człowieka czekała szubienica, i to ja ciągnęłam dwukołowy wózek. Przez moment pomyślałam, że to nie fair, że mnie do tego zmusza, ale musiał zachować własną energię. Pokręciłam głową.

– Będzie miał tysiąc rozmaitych alibi – powiedział. – Prawdopodobnie nawet nie był w Bristolu tamtego wieczoru.

- Pomyłki się zdarzają.
- Jeśli nie będzie miał alibi, wtedy, oczywiście...
- I tak go to może zniszczyć. Ten czas spędzony w areszcie. Nie ma dymu bez ognia.

– Obiecałem, że nigdy się nie przyznam. Dla dobra dzieci. I twojego. Dla nas wszystkich.

– Rozumiem to. Ale teraz nie ma wyboru. – Dotknęłam jego policzka. Był nieoczekiwanie gorący. – Możesz to wszystko wytłumaczyć. Każdy cię poprze.

Każdy powie, że nigdy byś tego nie zrobił celowo. Zorientują się, że to wypadek, że nie miałeś żadnego motywu. Wszyscy poświadczą twój dobry charakter, dobro, które wyświadczasz, cała kolejka zadowolonych pacjentek, nikt nie ma lepszych poręczycieli charakteru niż ty. W absolutnie najgorszym razie oskarżą cię o nieumyślne spowodowanie śmierci.

– W absolutnie najlepszym razie oskarżą mnie o nieumyślne spowodowanie śmierci. – Urwał. W głosie miał gorycz, ale też udrękę i, co rzadkie u Eda, niezrozumienie. On naprawdę nie wiedział, co robić. – Mogłoby to być nieumyślne spowodowanie śmierci, gdybym się zgłosił od razu, ale po miesiącu kręcenia się w kółko, wzywania mnie na przesłuchanie i puszczania wolno, policja będzie chciała w końcu dostać swój kawał mięcha.

Spojrzał na mnie błagalnie. Nie było już w nim mocy, pewności, która prowadziła go do przodu i w górę. Oto człowiek, którego poślubiłam, obnażony. Przez moment poczułam pokusę, żeby iść za jego sugestią, poczekać i zobaczyć, co z tego wyjdzie, ale przypominałam sobie tamtą kobietę, wyobraziłam sobie jej obrysowane kredą ciało obok kominka, policyjną taśmę „zakaz wejścia” zwisającą luźno jak stare bożonarodzeniowe dekoracje, i dreszcz mnie przeszedł. Pomyślałam o zdradzie, od której się to wszystko zaczęło. Poczułam strach o Johnny’ego Trumble’a i wyobraziłam sobie, jak musi cierpieć, i jego rodzice także. Nie mogłam pozwolić, żeby wisiał.

– Zdrowy rozsądek weźmie górę – powiedziałam.

Przez chwilę milczał, wymacując drogę do konkluzji, wreszcie westchnął i powiedział:

– Skoro tego chcesz.

Był to dźwięk porażki, tak jakby uszło z niego całe powietrze. Oto człowiek, który zamierzał zostać najlepszym położnikiem w Anglii, i na podobieństwo Gatsby’ego, spełnienie tego marzenia musiało mu się wydawać tak bliskie, że prawie niemożliwością było go nie osiągnąć. A jednak, bezwładnie wpółleżąc o zmierzchu na sofie, był już mniej imponujący, a twarz miał tak zieloną jak światełko na końcu przystani Daisy. Widywałam już ten wygląd u mężczyzn, którzy stracili wiarę w siebie, najwyraźniej u Matta, gdy był na równi pochyłej niedawnego bezrobocia. Łzy wezbrały mi w oczach, ale starałam się ich nie okazywać. I bez moich łez będzie to dostatecznie trudne dla Eda. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebował, to martwić się o to, jak będziemy sobie radzić. Będziemy sobie radzić. Będziemy sobie radzić tak samo, jak radziłam sobie ze śmiercią ojca, robiąc to co zawsze. Będziemy sobie radzić tak, jak nigdy nie potrafił Matt, robiąc to co zawsze. Czy oznacza to twardość,

brak empatii, przyziemny realizm albo lód w sercu artysty? Nieważne. Kochałam Eda, tylko tyle potrzebował wiedzieć, ale nie mogliśmy pozwolić, żeby ktoś inny poszedł na dno za morderstwo.

Spojrzałam na niego. Wpółleżał na sofie, z głową wspartą o zimny kaloryfer. O czym myślał? Kiedy się w końcu odezwał, głos miał ochrypły, jakby ktoś ukradł z niego dźwięczność.

– Będiesz czekać?

Skinęłam głową, powstrzymując łzy.

– Będziemy czekać.

– Trzy lata?

– Tak.

– Dziesięć?

– To nie będzie dziesięć, kochanie.

– Piętnaście? Ile dostaje się za morderstwo?

– Będziemy czekać.

Mówiłam cicho, krzepiąco, ale wiedziałam, że tak naprawdę nie znam odpowiedzi. Kto może przewidzieć przyszłość?

Ed skinął głową, ale jego spojrzenie powiedziało mi, że rozumie. Napięcie ostatnich paru tygodni rozpuszczało mi się w żołądku, a jego miejsce zajmowało odmienne uczucie, zbliżone do pustki. Jakąkolwiek drogę wybierzemy, będzie to szlak samotny dla nas wszystkich, Nell i Arthura w szczególności, zwłaszcza jeśli i ja pójdę na dno jako współwinna, za ukrywanie przestępcy, gotowanie mordercy posiłków, czymkolwiek tam zechcą mi dowalić. Cała moja wiedza na temat więzienia pochodziła z okazjonalnych migawek w *Wiadomościach o Dziesiątej* i w kolorowych dodatkach do gazet: ściany z jasnej cegły, ochronne siatki przy metalowych kładkach, stalowe drzwi z potężnymi zasuwami, masywni strażnicy, podzwanianie kluczy, odór smutku i porażki, szykany i dręczenie, amatorskie tatuaże, apatia i nuda. Zabijanie czasu, dosłownie. Rzadka, ale skrajna agresja, izolatki, klaustrofobia. Nie będzie współczucia ani radości. Nie będzie koloru. Jak to powiedział Paul Klee? „Kolor i ja to jedno. Jestem malarzem”. Nagle zrobiło mi się zimno, choć temperatura wciąż była dobrze powyżej dwudziestu stopni, a powietrze wisiało ciężkie, gorące, jak jazz w Preservation Hall.

Z nadludzkim wysiłkiem Ed dźwignął się z sofy. Podał mi rękę. Ujęłam ją i mnie podniósł. Czulałam siłę jego mięśni, tę ich skupioną celowość, która pociągnęła mnie do niego przed laty. Patrzyliśmy sobie w oczy. Jego były mgliście szare, ze źrenicami jak insekty zanurzone w płynie.

– Chodźmy spać – powiedział.

Skinęłam głową i dotknęłam jego policzka. Wiedziałam, jak będę się czuć rano.

13

Co zabierasz ze sobą na komisariat policji, kiedy masz zamiar przyznać się do nieumyślnego spowodowania czyjejs śmierci, a możliwe, że oskarżą cię o zabójstwo, i być może nie będziesz oglądać swoich drzwi wejściowych przez całe miesiące, a może i lata? Stara bajka dla recydywisty, dla położnika jest równie niezgłębiona, co odklejenie łożyska dla włamywacza.

– Nie sądzę, żeby ci to wszystko było potrzebne.

Próbowałam wcisnąć trochę humoru, choć żadnemu z nas nie było do śmiechu. Ed patrzył na łóżko, jakby widział zgromadzone na nim rzeczy po raz pierwszy w życiu. Blond włosy były wilgotne i ciemne, zaczesane za uszy, policzki zaróżowione od gorącego natrysku. Biodra luźno okręcił rącznikiem w kolorze akwamaryny z morświnem w skoku. Wciąż miał dobre ciało, szczupłe i umięśnione, efekt cotygodniowego tenisa, jeżdżenia rowerem po bristolskich wzgórzach, zrównoważonej diety i ciężkiej pracy. Jak będzie wyglądać po miesiącach lub latach ograniczonej aktywności fizycznej, bezsensownego pożywienia, nudnej pracy, umysłowej inercji?

Nad nami, piętro wyżej, rozległ się krzyk Nell:

– Przestań, Arthur, mówiłam ci, przestań! Wynoś się z mojego pokoju!

Skierowane to było wyraźnie zarówno do Arthura, jak i do nas. Ed uniósł brew: tego mu nie będzie brakowało. Zignorowaliśmy Nell i sprawdziliśmy wzrokiem przedmioty zgromadzone na łóżku wokół torby podróżnej: elektryczna golarka, którą mu niedawno kupiłam, bo brzytwy i żyłtki prawdopodobnie będą niemiłe widziane tam, gdzie idzie, dezodorant, szczotka i pasta do zębów, tubka mojej nawilżającej emulsji do ciała, trzy pary złożonych spodenek i skarpetek, dwie sztywno wyprasowane koszule, turkusowy sweter z wycięciem w serek, jakby miał grać w golfa, dzinsy GAP, polar z kapturem, najki. Czyżby myślał, że będzie miał tam szansę biegać? Był też najnowszy numer „Lanceta”, podręcznik położnictwa, który miał

zrecenzować, *Szpieg doskonały* Johna Le Carré, cegła w sam raz dla kogoś, kto ma mnóstwo czasu, a jako zakładka do książki – zdjęcie nas wszystkich na plaży na Majorce, z Nell patrzącą w telefon i Arthurem robiącym głupią minę, bo fotka została strzelona przed czasem. Garnitur wisiał na drzwiach, z przewieszonym przez haczyk krawatem Królewskiego College’u Położnictwa i Ginekologii.

Położyłam mu ręce na nagich ramionach, ramionach muskularnych, przeznaczonych do tego, by chronić rodzinę, a nie wystawiać ją na próby, ujęłam go za głowę, zniżając ją do mojego poziomu, przytuliłam policzek do jego ucha i powiedziałam:

– Jesteśmy w tym razem, kochanie. Wszyscy tracimy to, co najbardziej kochamy.

Ed skinął głową. Była jakaś dostojność w jego rezygnacji. Zdawałam sobie sprawę, ile znaczą dla niego proste sprawy życia rodzinnego, po samotnym dzieciństwie u boku niemłodych rodziców. W każdym słowie był kolec, kiedy wyliczał wszystkie te nudne rzeczy, o których ja nigdy nie musiałam myśleć: stan gazomierza i odnowienie ubezpieczenia, gdzie znaleźć zapasowe żarówki albo numer do hydraulika, jak załatwić polecenie zapłaty, co robić, kiedy zepsuje się zmywarka, kogo wezwać, jeśli pęknie piecyk w łazience, po co nam klucz imbusowy i gdzie go trzymamy. Od pierwszego dnia stał się moim aniołem stróżem.

– Arthur, spadaj! Możesz mnie zostawić samą?! – dobiegło z góry.

– Za niektórymi rzeczami nie będę tęsknił.

– Bo nie będziesz musiał. Myśl pozytywnie.

Stęknął. Pocałowałam go w ucho.

– Kiedy powinnam powiedzieć dzieciom?

– Kiedy zostanę oskarżony. Kiedy nie będzie mnie dłużej niż zazwyczaj, gdy wyjeżdżam na jakąś konferencję. Kiedy moje nazwisko pojawi się w gazetach. Kiedy zaczną krążyć plotki. Kiedy...

– Kiedy moim zdaniem będzie najlepiej.

– Kiedy już dłużej nie będziesz mogła odkładać. – Miał łzy na policzkach.

– Najpierw muszą usłyszeć to ode mnie.

– Oczywiście.

– Będzie im smutno, że się nie pożegnałeś.

– Pożegnaj się. A jak będą wiedzieli, co się stało, zrozumieją, dlaczego powiedziałem to, co powiem, nawet jeśli w danej chwili wyda im się to trochę dziwne jak na pożegnanie przed wyjazdem na konferencję. Tak czy siak,

lepiej będzie, jeśli ty im wytłumaczysz. Będą wtedy miały czas, żeby zrozumieć, co zrobiłem, a czego nie, zanim zobaczą to w telewizji czy w gazetach.

– Prędzej w sieci.

Czytałam w sieci o Johnnym Trumble’u. Niemal cały dzień przesiedziałam, grzebiąc wszędzie – od reportaży w wielkoformatowej prasie do życiorysów Trumble’a, wpisów na blogach i niezliczonych komentarzy trolli. Natknęłam się nawet na zaplątane tam moje nazwisko – @brazenfish8 dzielił się opinią, że „ta malarka z mężem lekarzem” to najbardziej prawdopodobni sprawcy. Mąż lekarz spojrział przez okno. Popołudniowe słońce obnażało Ashton Court, którego park rozszerzał się i gęstniał, przechodząc w widoczny w oddali las. Balon w kolorze dyni, z gigantycznym napisem „Dulux”, dryfował w stronę rzeki. Takie rzeczy po prostu się nie zdarzają takim ludziom jak my. Miałam ochotę wrzasnąć jak rodząca matka, ale Ed pochylił tylko głowę i powiedział:

– Albo w sieci. Lepiej tam nie zagłądaj, kochana. – Wyszczrzył zęby w niewesołym uśmiechu. – Ja na pewno nie będę.

Wiedziałam, że nie będzie. Naszą jedyną nadzieją było to, że tym, przez co miał wkrótce przejść, będzie się zajmował ktoś równie racjonalny jak Ed. Tylko ktoś tak racjonalny jak Ed mógł z zimną krwią spakować garnitur wraz z rzeczami, o których musiał wiedzieć, że przy aresztowaniu mu zabiorą, nie myśląc o wszystkim, co traci, nie załamując się, nie przeklinając Boga ani nie rycząc jak byk na przeklętą rękę losu, która go dosięgła. W całym swoim życiu, polegającym na tworzeniu rodzin i ich wspieraniu, nie zrobił nic, by zasługiwać na to, co nadchodziło. No dobrze, być może zrobił jedną rzecz. Złamał zasadę moralną. Wyciągnęłam rękę, on jednak odwrócił się znowu do łóżka i zaczął pakować torbę. Tylko Ed potrafił stanąć twarzą w twarz z losem bez pociechy przelotnego dotyku innego człowieka.

Opadłam na fotel o wygiętych nóżkach, który kupiliśmy w sklepie ze starzyzną na Goldborn Road, kiedy jeszcze można tam było trafić na okazję i dopilnować zapakowania. Czułam się wyczerpana, ale pełny horror miał dopiero nadejść. Najbardziej zależało mi w tej chwili na tym, żeby już mieć to za sobą – pożegnania, napięcie, oskarżenia, ogłoszenia, upokorzenie, prześladowania, proces, wyrok, rozgłos, spojrzenia, szept, fałszywą troskę, wszystko to, przed czym nie zdołamy uciec. Chciałabym zasnąć i obudzić się gdzieś daleko, gdziekolwiek by to było i cokolwiek znaczyło. Chciałam wpełznąć do mojej norki i robić co do mnie należy. Chciałam chronić siebie i rodzinę.

W końcu wyszedł po kolacji. Jej klimat, czemu trudno się dziwić, był dość przygaszony, każde słowo brzemienne podwójnym znaczeniem, każde zdanie przesiąknięte świadomością utraty. Ed poczekał, aż dzieci pójdą do łóżek, po czym poszedł się z nimi pożegnać. Nie było go dwadzieścia minut. Nie pytałam, co im powiedział. Chciałam, żeby to pozostało między nim a dziećmi. Mogła to być ostatnia rzecz od niego, jaką ze sobą zabiorą na dalszą drogę. Żadne z nas nic nie mówiło. Obejmowaliśmy się tylko w milczeniu – obejmowaliśmy się i obejmowali, i obejmowali – przyciskając się do siebie nawzajem tak mocno, jakbyśmy teraz, w chwili śmierci, mieli spełnić naszą małżeńską przysięgę i stać się jednym. Chwilę potem już go nie było. Nie obejrzał się, tylko cicho kliknęły za nim drzwi wejściowe i powoli zniknął w zmierzchu, barczysty, wyzywająco wyprostowany, ściskając w ręce uchwyt torby. Szczęknęła furтка, gdy wyszedł na ulicę, i zapadła cisza. Wyobraziłam sobie, jak przystaje, wietrząc chłodne nutki w ciepłym powietrzu wieczoru, a potem rusza do samochodu. „Gdyby to mogło stać się, i z tą chwilą/ustać – na zawsze odejść w przeszłość – wtedy/niechby się stało jak najprędzej”^[20].

Przez parę sekund miałam wrażenie, że jestem nieobecna, poza własnym ciałem, tak jakbym była gdzie indziej albo kimś innym, jakbym znajdowała się na górnym pokładzie podwodnego krążownika Saga albo odbierała telefon po włosku. Czy to, co myślę, że się zdarzyło, naprawdę się wydarzyło? Kiedy ta chwila przeminęła, rozejrzałam się po kuchni za jakimś czasopiśmie. Nie mogłam się położyć, bo w żadnym razie bym nie spała, ale tak samo nie było szansy, żebym się skupiła na książce, wierszu, czy nawet na obrazie. Zauważyłam na blacie „Bristol Magazine”, lakierowaną darmoche. Dokładnie czegoś takiego potrzebowałam, pożywki dla martwego mózgu, z obrazkami domów na sprzedaż i minimalistycznych niemieckich kuchni, jakich nigdy bym nie pragnęła i prawdopodobnie nie mogłabym sobie na nie pozwolić, a już z pewnością nie teraz. Zeszłam na dół do lodówki w podpiwniczeniu i wyłowiłam butelkę Sancerre, darowaną przez jakichś hojnych świeżo upieczonych rodziców, nieświadomych, w jakich okolicznościach zostanie wypite to najdroższe wino, jakie kiedykolwiek piliśmy. Pomyślałam, że równie dobrze możemy iść na dno w dobrym stylu, a zresztą potrzebowałam alkoholu tak strasznie, że mogłabym zostać alkoholiczką. Może powinnam w ślad za Mattem pójść Drogą Uzależnienia? Moja koniec końców nie przyniosła mi o wiele więcej szczęścia. Może my, Tenterdenowie, nie jesteśmy stworzeni do szczęścia? Wyjęłam kieliszek. Zadzwoił telefon. Zignorowałam to. Dzwonił nadal. Nadal go ignorowałam. Jeszcze jeden dzwonek, z wyraźną

nutą obraży, i zamilkł. Wyjęłam korkociąg.

Pierwszego kieliszka w ogóle nie poczułam. Nalałam ponownie. A jednak, napełniając kieliszek bladeżółtym winem, wiedziałam, że już go nie pragnę. Nie potrzebowałam go. Moje pragnienie zostało zaspokojone. Cokolwiek zdarzyło się Edowi, nie pójdę drogą Matta. Mam Nell i Arthura, których on nie miał, a oni potrzebowali mnie trzeźwej, gotowej niczym tygryś do ich obrony przez najbliższe godziny, dni, tygodnie, miesiące, a może i lata. Nalałam kieliszek, po czym wylałam go do zlewu, czerpiąc złośliwą przyjemność z marnowania tak drogiego trunku.

Spojrzałam przelotnie na magazyn, ale nie był w stanie ukoić moich nerwów. Sięgnęłam więc po pilota i trafiłam na wiadomości na jakimś dwudziestoczworgodzinym kanale. Środkowy Wschód, agresja w rozkwicie. Cena akcji jakiejś spółki finansowej gwałtownie spadła. Jakiś wielki, rozlazły facet, który wyraźnie jadł za dużo i za dobrze, złościł się, że wszyscy mówią, że jest bankrutem, gdy on sam twierdził, że nie jest. Nie budził zaufania. Pomyślałam, że jeśli ja mu nie wierzę, to Julian Noone i rynek z pewnością mu nie uwierzą i jego firma pójdzie na dno. Przystojny młody żołnierz zmarł podczas treningu na wzgórzach Brecon Beacons w Walii. Kliknęłam „wyłącz”. Można przyswoić tylko ograniczoną liczbę złych wiadomości w ciągu dnia. Poszłam na górę do pracowni i wyciągnęłam stary numer „Apolla” z pięknie ilustrowanym artykułem o Georgii O’Keeffe, do którego miałam zajrzeć od wieków, i ruszyłam do łóżka. Chciałam wchłonąć w siebie jej kolory. Potrzebowałam jej lirycznego oka.

Stałam przed okrągłym łazienkowym lustrem, oświetlona półksiężycem żarówek, jakbym była gwiazdą estrady i ekranu. Światło było oślepiająco jasne. Wydobywało każdą plamkę i niedoskonałość. Można sobie wyobrazić, jak to jest być aktorką.

Jak namalowałamby własną twarz? Najpierw fizyczność. Przejrzyste jasnoniebieskie oczy, migdałowe w kształcie, kiedy się uśmiecham. Prosty nos, nieduży, łagodniejszy niż u matki. Włosy obcięte na pazia, bo tak wygodniej przy pracy. Popielatoblond, z lekką nutką rudości po ojcu, podwijające się naturalnie do wewnątrz. Potrzebowały umycia. Jakoś przy tym wszystkim, co się działo... Wyszczrzyłam zęby. Koniuszki dwóch przednich wystawały. Zawsze takie były. Miałam szczęście, jeśli chodzi o cerę, chociaż w ostrym świetle łazienki linie śmiechu były głębokie jak kaniony. Bezlitosne

spojrzenie ujawniało lekki ślad poziomych zmarszczek na czole, jeszcze nie w centrum sceny, ale bez wątpienia obecnych, rezultat porodów i macierzyństwa, i malowania ludzi z obsesją na punkcie siebie samego. To początek. Nietrudno sobie wyobrazić, co mogą sprawić następne tygodnie czy miesiące.

Spojrzałam sobie w oczy. Zawsze zaczynam od oczu. One mówią, jak silna jest dana osoba, jakie ma rezerwy, jak daleko może się posunąć. Odsłaniają strukturę. Reszta to powłoka. Moje były zaczerwienione i choćbym nie wiem jak usiłowała udawać, że jest inaczej, wyglądały na wyczerpane. Opowiedzą o wszystkim każdemu, kto potrafi w nich czytać. Nabokov powiedział kiedyś, że książki nie można przeczytać, można ją tylko przeczytać na nowo. Może autoportretu nie da się namalować, można go tylko namalować na nowo?

Odłożyłam O’Keeffe i włączyłam radio. Dawno temu Ed dał mi je w prezencie, żebym miała w pracowni, ale kiedy zdałam sobie sprawę, że nie mam ochoty słuchać bzdur, które cały czas nadaje Radio 4, przeniosłam je do sypialni. Wszystkie te zadowolone z siebie typki bawiące się w słowne gry, delectujące się własną bystrością i dowcipem, te elokwentne analizy, gadające głowy, politycy mówiący kłamstwa. Wszystko to tylko słowa, wirujące bezładnie jak w przystępie demencji. Opium dla inteligencji. Jak można coś zrobić, jeśli się tonie w wodolejstwie? Sztuka to przeciwieństwo. Musi chwycić moment. Musi wydobyć znaczenie, zaangażować się w niuanse, osiągnąć zrozumienia, wspiąć się ku prawdzie. Sztuka to nie opinia.

Nocny DJ na jakiejś przypadkowej stacji zapowiedział wokalistę i autora tekstów, o którym nigdy dotąd nie słyszałam. Nastąpiło parę akordów gitary akustycznej, po czym włączyła się harmonijka ustna – pewny znak, że wykonawca zamierza brać siebie samego na serio – i zgrzytliwy głos zaczął smęcić o tym, że jedzie na zachód poprzez otwarte rozległe przestrzenie w poszukiwaniu swojej miłości. Po trzech minutach nadziei i zawodu, i być może zbawienia, harmonijka zamilkła. Wyciągnęłam się na czystej pościeli i puchatej poduszce w na wpół pustym łóżku.

Chwilę później zadzwonił telefon. Przez moment się wahałam, po czym odebrałam. Po ułamku sekundy ciszy poprzedzającej głos rozpoznałam, że to Ed. Mówił łagodnie, ale nagłaco.

- Słyszałaś wiadomości, kochanie?
- Nie. Jakie wiadomości?
- Wypuścili go.

– Co?
– Było w wiadomościach. Nie słuchałaś?
– O czym?
– Wypuścili Trumble’a. Faceta od Araminty.
Poczułam skurcz żołądka.
– Och, kochanie! Ale gdzie ty jesteś?
– Nie widzisz?
– Czego?
– Nie ma potrzeby się zgłaszać na policję, bo już go wypuścili.
– Ale przecież już tam jesteś?
– Nie. – W głosie miał triumf. – Jeździłem w kółko, zbierając siły, i zanim byłem gotów, zrobiła się dziesiąta, więc pomyślałem, że zanim tam pójde, posłucham ostatni raz lokalnych wiadomości. I powiedzieli, że został wypuszczony.
– Kochanie, to...
– Fantastyczne, cholera jasna! Zarąbiste. Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.
– Tak – powiedziałam.
– Prawda? Ale, kochanie...
– Hm?
– Dobrze się czujesz?
– Tak.
– Tylko głos masz jakiś taki... mało entuzjastyczny.
– Nie, nie, wszystko dobrze. Kochanie, to fantastyczna wiadomość.
– No. Nie mogę uwierzyć. Wiesz, co to znaczy? – Nie czekał na moją odpowiedź. – To znaczy, że wszystko będzie dobrze. Kochanie, jestem taki szczęśliwy, że nie umiem tego powiedzieć. Wracam do domu, niedługo będę.
Opadłam z powrotem na poduszkę z telefonem w ręce. Nie mogłam tego ukryć przed samą sobą. Nie było mi radośnie. Nie byłam szczęśliwa, tak jak wiem, że powinnam. Oficjalnie była to najlepsza wiadomość, jaką mogliśmy dostać jako rodzina, a jednak... a jednak... Starłam się przywołać tamto uczucie rozpaczy, kiedy Ed wychodził, żeby wzbudzić w sobie ulgę i radość, które powinnam czuć. Nie mogłam jednak pozbyć się jednego pytania, które wirowało mi w głowie.
Dlaczego, do kurwy nędzy, nie czuję się fantastycznie?

14

Nazajutrz, choć na pozór nic się nie zmieniło, nie mogłam sobie wyobrazić, że zawiozę dzieci do szkoły. Zadzwoiłam więc do Plan Bei i zajęłam się praniem na tyłach domu, wysławszy przedtem Nell i Arthura, żeby spotkali się z nią na ulicy, pod skrzynką pocztową, gdzie pojawiła się parę minut za wcześnie, bo a nuż uda się pogadać z najbardziej zniesławioną kobietą Clifton. Kiedy byłam pewna, że pojechała, wczółgałam się do pracowni i osunęłam się na szezlong. Nie zasnęłam już po powrocie triumfującego Eda i teraz ledwie się ruszałam ze znużenia. Słońce było już wysoko na bezchmurnym niebie i spowiło mnie gorąco. Nie wiedziałam, ile jeszcze będę w stanie znieść. Ale nie było ucieczki. Byliśmy teraz publiczną własnością, można było sobie nami wycierać gębę i deptać po nas. Cokolwiek Ed zrobił czy nie zrobił, kosztowało nas naszą prywatność, prywatność, która była najważniejsza, w malowaniu portretów. Musiałam odwołać trzy ustalone wcześniej zamówienia. Nie miałam na nie siły.

Przez jakiś czas nie miałam nawet siły zadzwonić. Leżałam parę godzin na szezlongu, w głowie miałam zamęt, słońce prażyło, zgraja dzikich psów opadła mój umysł. W miarę upływu czasu czułam, jak popołudnie przyspiesza coraz bardziej i pędzi w moją stronę niczym przepełniona sala sądowa, i wiedziałam, że muszę załatwić moje telefony, zanim wróci Ed i przekona mnie, żeby nie rezygnować, ale mimo to nadal nie mogłam się ruszyć. Próbowałam zebrać energię, żeby załatwić pierwszy, najłatwiejszy, do Eddiego Sandersteda, miłego, skromnego człowieka, którego portret miał być prezentem od żony na jego sześćdziesiąte urodziny, choć podejrzewam, że wolałby go nie dostać, gdy zadzwonił mój telefon. Odebrałam. Małeńka pauza i usłyszałam nieśmiały głos:

– Królik?

To był Matt. Jechał do Highlands i spóźnił się na połączenie do Leeds i

Whitby. Miał do zabicia godzinę na dworcu Temple Meads. Czy jest jakaś szansa, żebyśmy spotkała się z nim na szybką kawę? Jak zwykle mówił przeproszającym tonem, że mnie nie uprzedził, więc w pełni zrozumie, jeśli mi nie pasuje. Powiedziałam, że będę za dziesięć minut. Głos mu pojaśniał.

Jechałam boczną drogą wzdłuż błotnistego Avonu przez Spike Island i myślałam, że tylko Matt, którego nie widziałam od kilku lat, mógł mi zaproponować z dziesięciominutowym wyprzedzeniem czterdziestominutowe spotkanie przy kawie w środku dnia, kiedy wszyscy inni są w pracy.

Zobaczył mnie wcześniej niż ja jego, bo ułokował się po jednej stronie wielkiego menu z doskonałym widokiem na drzwi. Było to tak, jakby potrzebne mu było wcześniejsze ostrzeżenie o przybyciu... nie wiem kogo. Dilerów? Wierzyteli? Byłych dziewczyn? Gospodarzy mieszkania? Matki? W Bristolu, mieście, w którym nigdy nie mieszkał ani nie pracował, w kawiarni na dworcu powinien czuć się bezpiecznie, ale widocznie nauczył się nie rezygnować z ostrożności w żadnych okolicznościach. Pomachał do mnie, a twarz rozjaśniła mu się w pełnym nadziei uśmiechu, prawie jakby się spodziewał, że może przyjdę też z kimś innym. Rozejrzałam się po wysokim, niemal pustym wnętrzu kawiarni i poczułam nagły smutek. Stacja kolejowa, nawet nie lotnisko, wydawała się kiepskim miejscem na spotkanie z taką nieznaną spoczynku duszą. Matt zawsze czekał na swoje połączenia.

Uściskaliśmy się. Wciąż był przystojny, choć zmarszczki mu się pogłębiły. Matt miał lśniące włosy, bez śladu siwizny, wysokie kości policzkowe Tenterdenów, foremny nos i pełne wargi rubensowskiej piękności. Ale szczupłość zmieniła się w wychudzenie i wyglądał na zmęczonego. Narkotyki albo lata, albo sieciowy biznes zaczynały zbierać swoje żniwo.

Zamówiłam dwie kawy. Pamiętając o zegarze, przelecieliśmy – w moim przypadku było to raczej prześlizgnięcie się – najnowsze wydarzenia w naszym życiu. Matt oczywiście nie oglądał wiadomości, i co dziwne – albo nie – matka o niczym nie wspominała, co pozwoliło mi dać mu wstępnie obrobioną wersję tej kobiety. Dalekie to było od prawdy i źle się z tym czułam, jako że zawsze mówiłam Mattowi o sobie wszystko, nawet jeśli nie zawsze było to wzajemne. Fałsz nigdy nie był jego strategią; może uchylanie się, a także desperacka potrzeba prywatności. Były ciemne zakątki, do których nie zapraszał nikogo, a ja nigdy się nie odważyłam ich naruszyć. Jak Whitby? Świetnie. Jak Jo? Świetnie. Jak wyrób sieci? Świetnie.

– A... przynosi dochód?

Trudno było wyobrazić sobie Matta jako biznesmena. Był za miękki. Nie

został odpowiednio wyposażony, żeby radzić sobie z dostawcami i dystrybutorami, i twardą społecznością północnych rybaków, którzy byli świadkami upadku ich gałęzi przemysłu i ograniczali wydatki, jak tylko się da.

Walka o opanowanie na jego twarzy powiedziała mi wszystko. Walczyli, żeby osiągnąć jakiś zysk. Biznes Jo nie miał zasięgu, jaką mieli przemysłowi producenci rybackich sieci, i ciężko było przekonać miejscowych rybaków, z trudem wiążących koniec z końcem, żeby płacili premię za jakość i usługę. To dlatego przejeżdżał przez Bristol. Jechał do Highlands, żeby poprosić matkę o pożyczkę na wsparcie biznesu.

– Chyba się domyślam odpowiedzi.

Skinął posępnie głową. Oboje wiedzieliśmy, że nie jest mocną kartą. Nosił swoje porażki jak stary płaszcz.

Jo założyła swój interes pięć lat temu. Przerwała naukę w liceum przed uzyskaniem matury, przez pięć lat siedziała na kasie w supermarkecie ASDA, aż wreszcie zdała sobie sprawę, że jeśli ma zamiar zrobić coś ze swoim życiem, będzie musiała zrobić to sama. Miała dwadzieścia siedem lat, a Matt czterdzieści pięć, ona – niedokształcona przedsiębiorczyni, on – zmarnowane życie. Co ich do siebie pociągnęło? Kto wie? Może mieli wspólnego dilerę. Może pociągnęła ją jego dżentelmeneria, upodobanie do poezji, obietnica innego życia. Jakkolwiek się poznali (Matt zawsze był powściągliwy, jeśli chodzi o swoje życie uczuciowe, ogólnie biorąc, nie bez kozery), wiedziałam, że ciężko pracowała i była na poziomie.

– Nie zawsze było łatwo... z Jo, mam na myśli.

– Różnica wieku?

– Nie tylko. – Matt rzucił ostrożne spojrzenie spode łba, które tak dobrze pamiętałam. – Jesteśmy różni. Ona jest bardzo zdeterminowana, skoncentrowana. Z charakterem.

– Bridgey też tak mówiła.

Upił łyk kawy, jakby chciał odzyskać równowagę.

– To nie był dobry czas.

– Została?

– Jo?

– Bridgey.

Roześmiał się niewesoło.

– Nawet na jedną noc.

Słyszałam. Bridgey przemawiała na festiwalu rodziny Brontë w Haworth, a potem wsiadła w pociąg do Whitby. Nigdy nie nauczyła się prowadzić. Plan

był taki, żeby spędzić z Mattem weekend i poznać Jo. Skończyło się tak, że w piątek o dziesiątej wieczorem poszła spać do pensjonatu, a w sobotę rano złapała pierwszy pociąg do Londynu. Matt i Jo pokłócili się na temat jego nawyków i Bridgety krępować się została. Nie była stworzona do konfrontacji.

– Ale teraz sprawy stoją lepiej?

– Aha.

– I kochasz ją?

– Jo? Tak. Jest wspaniała.

– A ona cię kocha?

– Jak na razie.

Zrobiłam w zamierzeniu optymistyczną minę, ale trudno było mieć zaufanie. Matt był człowiekiem niespokojnym, obcym na północy, wrażliwcem, który wylądował awaryjnie w świecie komercji. Trudno było sobie wyobrazić pytanie biznesowe, na które odpowiedź brzmiałaby: Matt Tenterden.

– A ty nie bierzesz?

– Prawie.

– A Jo?

Pokręcił głową. Nie wiedziałam, czy to znaczy, że nie bierze, czy że on nie wie, czy ona bierze. Nie wiedziałam nawet, czy kiedykolwiek była ćpunką. Nie wiedziałam też, jak daleko sięga „prawie”, ale nie mogłam pytać. Matt był moim dużym bratem i jego nawyki to był obszar, na który nie miałam wstępu. Z roztargnieniem mieszał resztkę kawy wykałaczką, którą wyjął z paczuski w kieszeni.

– Jest dla mnie bardzo dobra.

– A ile pieniędzy ci... jej... potrzeba?

– Nieważne.

– Nie, powiedz. Mogę ci pożyczyć. Mam trzy zamówienia. Wszystko idzie dobrze. Pieniądze nie są problemem.

Nie dodałam, że po tych trzech telefonach, które zamierzałam wykonać tego popołudnia, nie będę miała żadnych zamówień. Matt był chyba jedynym człowiekiem na świecie, który mógł mnie w tej chwili skłonić do powiedzenia, choćby tylko porównawczo, że „wszystko idzie dobrze”.

– Nie, Króliku, to naprawdę bardzo miło z twojej strony. Zawsze miałaś gest.

– Nie za bardzo.

– A zimorodek?

Ach tak, zimorodek. Kiedyś w Highlands, gdy miałam osiem lat, do domu

wleciał zimorodek i utknął w wysokim oknie. Ani Matt, ani Bridgey nie zdołali go dosięgnąć. Rozpaczalam, że zanim znajdziemy kogoś dorosłego, złamie sobie dziób o grubą zieloną szybę. Więc nie zastanawiając się, cisnęłam w okno metalowe pudełko kredek, ostatni prezent od ojca. Szkło rozleciało się w tysiąc lśniących drzazg. Ptak spojrzął z przestachem, po czym smyrnął w otwór i zniknął w powietrzu jak smuga koralu i kobaltu. Mnie pozostały zdumione i zachwycone twarze Matta i Bridgey i ciężka ręka matki, która nadeszła we własnej osobie.

– Naprawdę doceniam twoją propozycję, ale sami musimy to rozkręcić – przerwał moje wspomnienie Matt. Siedział zgarbiony nad stolikiem. Trudno było sobie wyobrazić kogoś mniej zdolnego do rozkręcania czegokolwiek. – Jo znajdzie jakiś sposób. To świetna dziewczyna. Zasługuje na więcej...

Urwał, rozjaśniając się na myśl o niej. Oboje wiedzieliśmy, że niewypowiedziana końcówka zdania brzmiała: „...niż ja”. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego dłoni, dłoni tego człowieka, mojego brata, który nawet usiłując zdobyć pieniądze na interes swojej dziewczyny, obawiał się, że wkracza bezprawnie w jej życie. Zbyt straszne się wydawało, że chłopczyk, który zawsze wiedział, że w przyszłości odziedziczy Highlands, nigdy nigdzie nie czuł się jak w domu. Rozległ się dźwięk megafonu i Matt spojrzął na zegarek. Było to tanie zastępstwo ciężkiej srebrnej pamiątki rodowej, którą odziedziczył po ojcu, ale „zgubił”, kiedy był w odmętach rozpacz.

– To, że zasługuje, może nie wystarczyć, jeśli nie ma kasy.

– Znajdę pieniądze.

– A jeśli to po prostu nie jest opłacalny biznes? Jeśli choćby nie wiem jak ciężko pracowała, albo pracowalibyście oboje, nie będzie w stanie konkurować z przemysłowymi gigantami, u których kupuje wasz klient, rybak, bo mu się opłaca?

Matt poruszył się na krześle. Odłożył swoją wykałaczkę i spojrzął mi prosto w oczy, co robił rzadko.

– Wiesz co? Myślałem o tym. Wiem, że to loteria, ale to nieważne. Muszę to robić. Nawet jeśli wybrała śmieszny biznes, o którym nic nie wie, nawet jeśli wybrała upadającą branżę, z klientem, który idzie na dno, nawet jeśli musi konkurować z globalnymi sieciami, Chińczykami i kim tam jeszcze, to jest ona, to jest to, co robi, i jeśli ona pójdzie na dno, to i ja pójdę na dno razem z nią. Zrobię to dla niej, bo ją szanuję i wiem, co ona robi dla mnie.

Mogłam tylko skinąć głową. Był to najdłuższy monolog, jaki kiedykolwiek słyszałam z jego ust. Nie ufałam własnemu głosowi. Kiedy zobaczył, że nie

zamierzam nic powiedzieć, podjął:

– Nie zrozum mnie źle: wiem, że jestem beznadziejny w biznesie, ale zrobię to, bo ją kocham, a ona kocha mnie, i wiesz, w tej chwili niczego więcej nie chcę.

Opuścił wzrok na stół, jakby skrępowany swoim wybuchem. Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc wzięłam jedną z jego wykałaczek i zaczęłam szperać w zębach. Kiedy podniósł wzrok, powiedział nieśmiało:

– Przepraszam, Króliku, nie wiem, co mi się stało.

– Nie ma sprawy. To trudny czas. Przed wszystkim bardzo się cieszę, że jesteś z nią szczęśliwy.

Na moment odwrócił wzrok, na myśl o Jo promieniejąc tak, jak nie widziałam od lat.

– Przedtem tak tego nie czułem.

Przez megafon rozległo się kolejne niemożliwe do rozróżnienia ogłoszenie.

– Wiesz co, może lepiej pójdę. Nie chcę przegapić kolejnego pociągu. Powiedziałem, że będę z powrotem na czas, żeby przyrządzić kolację.

Skinęłam głową. Wstał, wziął torbę i przerzucił ją przez ramię. Objęłam go i mocno przygarnęłam, kołyszając się z boku na bok, aż delikatnie wyzwolił się z uścisku.

– Musicie przyjechać do nas.

– Przyjedziemy. A wy do nas.

– Przyjedziemy. Pozdrów Eda i dzieciaki.

– A ty Jo.

Usiadłam z powrotem, by pozwolić mu wyjść. Nie było nic więcej do powiedzenia. W drzwiach obejrzał się i lekko, nieśmiało mi pomachał, jakbyśmy byli starym znajomymi, którzy się pokłócili, ale teraz dogadali się na nowo. Ja też mu pomachałam. Matt zawsze mnie wrabiał. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, wzięłam telefon i kliknęłam w ikonkę banku. Zanim jego pociąg odjechał, kierując się na północ, Matt, choć jeszcze o tym nie wiedział, stał się posiadaczem wszystkich moich oszczędności, a jego konto bankowe spuchło o siedem tysięcy czterysta funtów, z dopiskiem na przelewie: „Dla Jo xx”.

Po powrocie do pracowni natychmiast załatwiłam telefony. Musiałam, nawet jeśli mój prezent dla Matta oznaczał, że jestem spłukana i jeśli chodzi o gotówkę, będę zmuszona polegać na Edzie. Nieważne. W tej chwili pieniądze znaczyły o wiele mniej niż to, żeby nie musieć spędzać po cztery dni z każdym

z trojga ludzi, o których nic nie wiedziałam, ale oni wiedzieli wszystko o mnie. Za pieniądze nie kupię dwunastu dni przestrzeni dla siebie, żeby spróbować odzyskać siebie samą.

Pierwszy telefon, do Eddiego, to była sama słodycz i światło. Widział wiadomości i powiedział, że oczywiście rozumie. Nie poprosił nawet o zwrot zaliczki, zaproponował, żebym ją zatrzymała, na wypadek gdybym znowu poczuła, że jestem w stanie podjąć pracę. Ciekawe, czy jego żona byłaby równie wyrozumiała, pomyślałam.

Drugi telefon był do Alexa Quoyle'a, konkretnego i rzeczowego agenta nieruchomości, który czyhał na starsze panie z dzierżawą krótkoterminową w drogich okolicach Londynu. Inaczej niż Eddie, który był dżentelmenem w każdym calu, Alex zdecydowanie nie chciał rozumieć. Kiedy poprosiłam o trochę czasu, nie odpowiedział. Alex jest mistrzem milczenia. Wie, jak prowadzić rozmowę. Pozwala, żeby narastało wokół ciebie. Starsze panie nie potrafią poradzić sobie z ciszą, bo są samotne, ale ja potrafię. W tej chwili cisza to jest to, na czym zależy mi najbardziej.

– Alice, data została ustalona sześć miesięcy temu.

– Wiem, i naprawdę bardzo mi przykro.

– A co z Tabby?

Tabby? Co z Tabby? Tabby Quoyle była jedyną osobą, która nie przejmowała się grafikami. Nie miało dla niej znaczenia, które cztery dni wyjmie z tenisa, pilatesa i basenu, żeby pozować do portretu. Jej nie obsmarowano we wszystkich gazetach i w każdym blogu stąd do Japonii.

– Widzi pan, problem polega na tym, że trzeba być w określonym stanie, kiedy rozpoczyna się portret. Umysł musi być całkowicie czysty, dosłownie jak białe płótno. Tylko wtedy można być odpowiednio obiektywnym i dotrzeć do modelu i jego umysłu, bo to, co się maluje, to wewnątrz człowieka.

Alex prychnął, co mogło mieć związek z niemożnością znalezienia czegokolwiek w umyśle Tabby, i nie mówiąc więcej ani słowa, odłożył telefon, pozostawiając mnie w niepewności, czy malowanie zostało odwołane, czy nie. Poszłam do łazienki, nalałam sobie szklankę wody i wypiałam ją duszkiem. Była zimna i czysta, przypominała mi czyste, zimne strumienie Dartmoor. Wróciłam do pracowni. Czułam się chwiejna, niepewna, odsłonięta, tak jakby – pomimo że znajdowałam się na drugim piętrze – każdy mógł do mnie zajrzeć, a moja wina była oczywista. Z głębi pokoju popatrzyłam nad dachami Hotwells w stronę Ashton Court. Zimna woda, nadwrażliwa skóra, ból głowy u nasady czoła. Musiałam się ogarnąć,

odzyskać kontrolę nad moim życiem, zanim zacznę mnie zjadać nieuchwytnie. Widok był krzepiąco znajomy: dachy, kominy w kolorze terrakoty, georgiański półksiężyc Paragonu i Polygonu nad błotnistą równiną nadrzeczną, czerwona cegła starych magazynów tytoniu z ich metalowymi schodami ewakuacyjnymi w kształcie litery Z i niewolniczą pracą w życiorysie. Słońce wędrowało wysoko na niebie, ziemia była spieczona. Nie było żadnego cienia. Nie było gdzie się skryć.

Znowu wzięłam telefon i wybrałam numer. Odebrał szorstki głos, który zmiękł, gdy wypowiedziałam moje imię. Z Chrissie Wright pójdzie chyba łatwiej niż z Alexem Quoye'em. Powiedziałam, że potrzebuję trochę czasu.

– Obawiam się, że to będzie niemożliwe.

Co? Całkowita nieelastyczność jej tonu totalnie zbiła mnie z tropu. Nie zostawiono mi żadnego pola do negocjacji.

– Proszę? – zdołałam wyjąkać.

– Tak. Moja szefowa, a pani modelka rozmawiała ze mną o tym, że być może zechce się pani na razie wycofać, ale uznała, że odkładanie jest niemożliwe. Po prostu nie jesteśmy w stanie znaleźć innego terminu. Obawiam się, że umowa nadal jest ważna, i chcemy, żeby tak ją pani traktowała. Zdajemy sobie sprawę, że to, co powiedziano czy napisano ostatnio o pani i pani mężu, jest nieprzyjemne, i bardzo pani współczujemy. Niemniej jednak nie jest to nasz problem.

Nie wiedziałam, czy wierzyć własnym uszom. Od kiedy to klienci nie liczą się z opinią artysty? To się dotąd nie zdarzyło – a miałam do czynienia z najbardziej zepsutymi ludźmi w Wielkiej Brytanii. Próbowalam powiedzieć, że po prostu nie czuję się na siłach, emocjonalnie ani intelektualnie, ale Chrissie nie przyjmowała tego do wiadomości. Cokolwiek mówiłam, odbijało się od niej jak piłka golfowa od ceglanej ściany. Kiedy stało się oczywiste, że nie potrafię się wykręcić, choćbym nie wiem jak prosiła, przymilała się, obiecała czy groziła, spytałam:

– To kim, na Boga, jest pani szefowa? I dlaczego musi być taka tajemnicza, i pani też?

– Obawiam się, że nie mogę pani powiedzieć.

– W takim razie ja nie mogę przyjechać. I tyle.

Szlag! Zaledwie wymknęły mi się te słowa, zdałam sobie sprawę, że popełniłam błąd. Chrissie nie przegapi tej szansy.

– Jeśli powiem, to przyjedzie pani?

– Cóż...

- W takim razie powiem po prostu, że zna pani moją szefową.
- To nie wystarczy. Potrzebne mi jest nazwisko. Kto to jest?
- Nazywa się Marianne Hever.

Mówiła takim tonem, jakby się spodziewała, że znam to nazwisko. Błyskawicznie poszukałam w głowie, ale nic mi to nie mówiło. Nie znałam żadnej Marianne Hever. Więcej, nie znałam w ogóle żadnej Marianne. A z pewnością bym pamiętała, gdybym znała, bo jako nastolatka oczywiście kochałam się w Cohenie – wiadomo, nikt mnie nie rozumie, Cohen, Rimbaud, Kerouac, Camus i tak dalej, wszyscy to znamy.

- Przykro mi, ale pani się myli. Nie znam żadnej Marianne Hever. Spodziewałam się, że to co najmniej ktoś w randze ministra, albo lepiej.
- A jednak zna ją pani.

Mówiła lekkim tonem. Zezłościły mnie te gry. Tym bardziej zdecydowana byłam nie jechać do Cheshire, obojętne ile by mnie to miało kosztować. Starłam się, aby w moim głosie nie było irytacji.

– Zapewniam panią, że nie. Nigdy dotąd nie słyszałam tego nazwiska. Nie znam również żadnej kobiety o imieniu Marianne. W każdym razie sobie nie przypominam.

– Przepraszam, powinnam była pani powiedzieć: to jej nazwisko po mężu, choć tak się składa, że jest rozwiedziona. Przypuszczam, że zna ją pani pod jej nazwiskiem panińskim.

Zrobiła pauzę, wystarczającą, żebym zadyndała na sznurku.

– Latham.

O Boże!

– Myślę, że znała ją pani jako Marnie Latham.

15

Marnie Latham vel Marianne Hever mieszkała w dwukondygnacyjnym domu, zbudowanym z zazębających się szeregów pomalowanych na biało betonowych bloków, z sięgającymi sufitu oknami. Prowadziła do niego dróżka długości czterystu metrów, która prosto jak strzełił przecinała park, odchodząc nieoczekiwanie od podmiejskiej drogi na skraju Ashton-under-Lyne.

Byłam zmęczona po długiej jeździe. Na M6 był wypadek i ruch uliczny wokół Birmingham się zapętlił, tamując przejazd autostradą. Ale chociaż się spóźniałam, pół godziny na południe przed Bow House, zatrzymałam się na stacji benzynowej, żeby napić się kawy i kupić paczkę gumy do żucia. Potrzebowałam czasu, żeby się pozbierać, bo nie byłam pewna, czy wystarczy mi tego, co Lucian Freud^[21] nazywał morale, żeby podjąć się jakiegokolwiek zlecenia, a tym bardziej takiego, które niosło z sobą balast w postaci Marnie Latham. Nie dano mi jednak szansy, żebym mogła się z tego wywinąć. Odkąd Ed wrócił, triumfując – co rozumiałe – bo nie musiał pójść na komisariat, prawie nie spałam. Chociaż tego nie zauważył – bo tak się cieszył i tak wielka była jego ulga – wiedziałam, że choćbym nie wiem jak chciała, żeby było inaczej, każdy przejaw szczęścia z jego strony, każde, choćby nieznaczące spojrzenie albo gest wyrażający radość i poczucie wyzwolenia wywoływały u mnie odwrotny skutek. Próbowałam cieszyć się jego wolnością, wmawiać sobie, że w ostatecznym rachunku skorzystają z tego dzieci, ale nie byłam w stanie. Wkrótce zauważyłam, że na długie godziny zamykam się na klucz w swoim studiu, twierdząc, że przygotowuję się do sportretowania Marnie, chociaż tak naprawdę wpatrywałam się tylko we własne dłonie z taką intensywnością, jaką Monet obdarzał stogi siana i wodne lilie. Ale gdy on przetwarzał to swoje wpatrywanie się w sztukę, z mojego wychodziło zaledwie parę rys na papierze, pacnięć palonej umbry i śnieżnej bieli, kobaltu, tycjanowskiej czerwieni, maźnięć koloru, który zmieniał moje palce w krótkie,

grube serdelki. Wieszalałam moje wpadki na sznurze do bielizny, żeby zmusić się do ponownej koncentracji i zdopingować siebie samą. Zawsze byłam swoim najostrzejszym krytykiem – zdarzały się portrety, które uważałam za porażki, a portretowani je uwielbiali, zapewne z tych samych powodów – ale teraz była to w mniejszym stopniu analiza twórczości niż samoanaliza.

Przypadek z Johnnym Trumble'em sprawił, że w głębi duszy chciałam, żeby Ed powiedział prawdę. Pragnęłam, żeby wyszedł z tego oczyszczony, żeby znów był człowiekiem, za którego wyszłam za mąż. Nieprawda rozrosła się zanadto jak na moje możliwości, a teraz była potencjalnie nieskończona. Ale nie mogłam żyć z kłamstwem pomiędzy mną a dziećmi, pomiędzy mną a światem, gdy wszystkie moje dzieła, moja racja istnienia, bazowały na uczciwości, na szukaniu i określaniu prawdy człowieka, którego portretowałam. Jak miałam „rozpoznać” modela, skoro nawet nie wiedziałam, dokąd zmierza moje życie? Zaczynałam też rozmyślać o niesprawiedliwości wobec tamtej kobiety. Ona też miała rodziców. Zasługiwali na to, żeby poznać prawdę i zyskać poczucie, że sprawa jest zamknięta. Może za szybko postanowiłam pomóc Edowi, zanim przyjrzelśmy się temu ze wszystkich stron, szczególnie konsekwencjom, jakie wywoła życie w kłamstwie – na zawsze. A poza tym miała miejsce zdrada małżeńska. Nie mogłam się nie zastanawiać się, choć usiłowałam wyprzeć z głowy tę myśl, w jakim stopniu właśnie to było powodem mojego przygnębienia. Cóż z tego, że Ed twierdził, że nie pamięta tamtej nocy, a ona mu się wcale nie podoba? Zdrada małżeńska, pogwałcenie zaufania to fakt. Nie ma powodu, żeby udowadniać pożądanie. Faktów nie da się cofnąć.

Stałam przy sztalugach, te myśli wirowały mi w głowie, nerwowo dźgałam pędzlem płótno, aż w końcu zaczęłam się zastanawiać, czy zdołam jeszcze tak malować, jak malowałam kiedyś. Może będę w stanie malować tylko czyste abstrakcje, które odsączają kolor z życia? Może będę potrafiła malować tylko dzieci albo zwierzęta domowe, bo w twarzach i pyskach nie mają motywów, nie doświadczyły cierpienia ani żalu? Moje obawy spiętrzyły się tak wysoko, że powstał z nich więzienny mur. Drzwi zamknęły się ze szczękiem i nie da się ich otworzyć.

Zjechałam z głównej drogi i na chybił trafił wybrałam poboczną. Miałam dość nieprzerwanych strumieni samochodów, chciałam pozbierać myśli. Mój umysł zwracał się przeciwko sobie, kierował się w stronę destrukcji mojej rodziny. Potrzebne mi było czyste powietrze, lśniąca woda, łagodny wrzos, fioletowe wrzosowiska. Chciałam jakoś wyczarować dawno pogrzebane

wspomnienia, żeby nadać kształt swoim uczuciom. Chciałam odzyskać równowagę. Dlatego, zrozumiałam to, brnąć na północ w lśniącej rzece samochodów, ostatecznie pozwoliłam, żeby Chrissie zmusiła mnie do przyjęcia tego zamówienia: bo musiałam wyjść z domu. Potrzebowałam przestrzeni na myślenie, a szczerze mówiąc, potrzebowałam też przestrzeni między sobą a Edem i jego tłumioną radością. Oczywiście przekułam to na swoją modłę, jako odpłatę za to, że przed laty nie stanęłam w obronie Marnie w internacie. Do tego byłam w całkiem oczywisty sposób zainteresowana, jak sobie poradziła. Może było w tym nawet widmo – straszne słowo – odkupienia.

Problem w tym, że skoro przyjąłam zamówienie, muszę je teraz zrealizować. Tylko że w obecnym stanie umysłu mniej wiedziałam, jak namalować Marnie, niż jak żyć z Edem. Ponad godzinę siedziałam więc w samochodzie przed sklepem na stacji benzynowej, przyglądając się obładowanym ludziom, którym drżały ręce zaciśnięte na kadziach z kawą i torbach XL ze słodyczami Haribo i próbowałam oczyścić głowę z całej tej mazi i strachu, i stłumić chętkę, by przejechać obok Marnie i wynająć domek w Lake District, aż to wszystko się skończy. Ale czy to w ogóle się kiedyś skończy? I jak namalować portret kogoś, kogo się zdradziło – nawet jeśli to prawda mnie tutaj sprowadza? Czy to może być portret przedstawiający ją, czy musi to być portret nas obu, modelki i jej malarki?

Marnie. Marianne. Obracałam te imiona w głowie. Marianne, Marnie. Kiedy Marnie stała się Marianne? Dlaczego Marnie stała się Marianne? Jak to przejawia się w jej portrecie? Portret to malowana odpowiedź; ja miałam tylko płótno pytań.

Marnie nie było w domu. Przywitała mnie kobylista kobieta pod pięćdziesiątkę, w musztardowych sztruksach, pikowanym bezrękawniku, z sznurem pereł na szyi. Miała różowe policzki, kasztanowate włosy, na palcu solidny sygnet bez klejnotu herbowego. Nie miała makijażu. Chrissie Wright. Zaprosiła mnie do Bow House, wymawiając „Bow” jak „wow”. Marnie zawsze lubiła słowne gry.

Chrissie poprowadziła mnie przez wielki, pusty, pomalowany na biało kwadratowy hol. Oświetlało go światło wpadające przez wielkie okna, od podłogi po sufit, i spalona słońcem okrągła, pomarańczowa abstrakcja. Była to wspaniała, zanurzona w sobie pomarańczowa, namalowana przez kogoś, kto był

zbyt pomarańczowy, tak jak Yves Klein^[22] był zbyt niebieski. Przeszliśmy przez drzwi ukryte w ścianie i ruszyliśmy korytarzem o białych ścianach z wielkimi oknami wychodzącymi na park. Szklaną klatką schodową weszliśmy na puste półpiętro. Przy drzwiach mojej sypialni odwróciła się i powiedziała:

– Obawiam się, że lot jest opóźniony i pani Hever wróci dość późno. Powiedziała, żebym panią przeprosiła i że będzie gotowa na jutro rano. Mogłaby pani zacząć już o wpół do dziewiątej?

Co miałam powiedzieć? Że nie da się namalować portretu, jeśli od dwudziestu lat nie widziało się portretowanego? Że zmieniłam się od szkolnych czasów, a sądząc po domu i nazwisku, Marnie też się zmieniła? Poczułam niepokój, ale było za późno, żeby się wycofać. W odpowiedź wstrzyknęłam maksymalną dawkę irytacji.

– No dooobrze. Oczywiście to nie jest idealne, ale...

– Kolacja będzie w jadalni, na lewo od holu. Johnson poda ją o ósmej. Będzie pani miała czas, żeby się odświeżyć.

Do tego stopnia zignorowała moje słowa, że ogarnęło mnie dziwne wrażenie, iż to wszystko – nieobecność Marnie, to, że nie chciała mnie uprzedzić, kogo będę malować, że nie była w stanie spotkać się ze mną przed pozowaniem, chociaż podawałam jej wiele terminów – było ustalone z góry. Jakby w jakiś niezauważalny sposób wrabiała mnie. Marnie była na własnym terenie, u siebie. Ona ustaliła czas i miejsce. Ona rozdawała karty.

Kiedy Chrissie wyszła, zadzwoniłam do domu. Potrzebowałam ich wsparcia. Potrzebowałam ludzkich uczuć i odcieni pośród pustych ścian mojej sypialni i tych brutalnych bloków betonu. Odebrała Nell, zdawkowo, z solówką gitary, motywem *Hollyoaks* wirującym w tle. Próbowwała przekazać mnie Arthurowi, ale krzyknął, że jest zajęty, chociaż tajemnicą pozostaje czym. Zapewne nie odrabianiem lekcji. Komórka Eda przeszła prosto do poczty głosowej. W rozległej, pozbawionej jakichkolwiek ozdób sypialni dopadł mnie atak nostalgii i nerwów. Namalowałam niezliczone portrety, bywałam czterodniowym gościem w wielu domach nie mniej naładowanych klimatem, co ich właściciele, ale w tym domu coś było nie tak. Nie mogłam dokładnie wskazać co, był to po prostu amorficzny strach, że coś zostało niedopowiedziane. Rozpakowałam się, jak tylko mogłam najwolniej – powalane farbą ubrania robocze na cztery dni, trochę elegantsze ubrania do kolacji na cztery wieczory – i wysłałam Edowi esemesa, że bezpiecznie dojechałam i wszystko jest wspaniale. Pod moim oknem, na podstawie z żelaza, stała rzeźba kobiety w stylu Giacomettiego, nieprawdopodobnie i

boleśnie skręcona.

Marianne Hever weszła pewnym krokiem do bawialni minutę po wpół do dziewiątej. Byłam tam od godziny, ustawiałam sztalugi, porządkowałam farby, czekałam. Nie było tu nic do czytania i prawie nic do oglądania – naturalnych rozmiarów drucziana rzeźba przedstawiająca fortepian w rogu pokoju, szklany stolik, oliwkowo-zielona abstrakcja (jakby Ben Nicholson^[23]), która przypominała mi pracę domową z matematyki. Dwie białe czteroosobowe kanapy ustawione naprzeciwko siebie, niemal parodystyczne, skoro nie dane mi było wcześniej porozmawiać. Nie miało sensu mieszanie farb czy przenoszenie ich na paletę, skoro nie wiedziałam, jakie ubranie włoży Marnie ani jaką kolorystykę wybierze. Wcześniej, siedząc samotnie przy stole obiadowym, przy którym mogło usiąść dwadzieścia osób odmówiłam, gdy Johnson z ponurą miną zaproponował mi „pełne śniadanie angielskie”. Żołądek mi się buntował w takich warunkach.

– Doktor Livingstone^[24], jak sądzę?

Mimo ironii ton Marnie był neutralny. Był w nim zaledwie ślad rozciągniętych manchesterskich samogłosek, które wyróżniały ją w prywatnej szkole na południu kraju. Energicznie przeszła przez pokój. Kiedy ostatni raz ją widziałam, wywlekano ją z internatu. Trudno było utożsamić tamtą dziewczynę z wyrafinowaną kobietą, która stała przede mną. Mentolowe papierosy mieszały się z wonią drogich perfum.

Wstałam. Sądząc po twarzy, Marnie była równie zachłanna na życie jak dwadzieścia lat temu. Włosy opadały jej kaskadami od centralnego przedziałka, jak kurtyna w teatrze, okalając perfekcyjnie symetryczną scenografię: promienne oczy, kuszące wargi, szeroką szramę ust. Kiedy się uśmiechnęła, zaświeciło słońce, tak jakbyśmy od zawsze były przyjaciółkami. Nietrudno było się domyślić, w jaki sposób zbudowała udany biznes. Przez ulotną chwilę zastanawiałam się, czy powinniśmy się pocałować albo uścisnąć, ale ona chłodno wyciągnęła rękę. Miała mocny uścisk.

– Marnie! – W chwili, gdy to powiedziałam, wiedziałam że nie jestem przygotowana, żeby ją malować, i żałowałam, że przyszłam. – Jak miło cię widzieć.

– Teraz jestem Marianne.

Zrozumiałam. Po tym jednym zdaniu zdałam sobie sprawę, że w przeciwieństwie do prawie wszystkich w szkole, nigdy nie chciała ani nie

potrzebowała robić „tego, co właściwe”, bo tam, skąd przyszła, nie było „tego, co właściwe”. Zawsze rozumiała to, co większość zaczyna pojmować, dopiero kiedy jest za późno: że jej życie jest jej życiem i może z nim robić, co chce. I robiła.

– Marianne. Jak miło cię widzieć.

– Kopę lat.

Nie było w tym sarkazmu, tylko lekko ironiczny zaśpiew, który zapamiętałam, swego rodzaju dystans, jakby lustro dla nas wszystkich, którzy uważaliśmy się za takich światowców, bo wyjeżdżaliśmy do domów na wsi, a latem na Paxos, i urządzaliśmy sobie party w bogatym londyńskim Chelsea. Byłam jedyną przyjaciółką Marnie, a ona była moją, i chociaż postąpiła źle, zawiodłam ją. Czułam coś więcej niż żal za swoje zachowanie, za lata, które mnie ominęły. Usiadła na jednej kanapie i wskazała mi drugą.

– Masz coś przeciwko temu, żebyśmy porozmawiały, zanim zaczniemy?

– Wręcz powinniśmy, to podstawa. Znałam Marnie. Mam namalować Marianne.

– Myślisz, że będą się różnić?

– Wiem, że będą się różnić.

Pokiwała w zamyśleniu głową. Pojawił się Johnson z tacą. Filiżanki, podstawki i dzbanek z kawą. Ptifurki. Był niski, smagły jak Hiszpan, marszczył brwi. Spod krótkich rękawów wyslizgiwał mu się na przedramię tatuaż węża. Marianne odczekała, aż pójdzie, i powiedziała:

– A zatem od czego chcesz zacząć?

Dużo myślałam, od czego chcę zacząć. Chciałam zacząć od przeprosin. Problem w tym, że podnoszenie tego tematu, tej łyżki dziegciu, nie należało do mnie.

– Opowiedz mi o sobie. O wszystkim, co się zdarzyło przez ostatnie dwadzieścia lat.

Powiedziałam to w możliwie najbardziej neutralny sposób. Mogła zacząć od tego, co było po szkole, albo od dnia, kiedy stało się tamto, jak wołała. Ja się dostosuję. Tak działa portrecista, wycofuje się za sztalugę i wywabia pozującego jak królika z nory.

Marianne zaczęła od tego, co było po szkole. Wspomniała przelotnie krótkie małżeństwo dziewiętnastolatki z autorem piosenek imieniem Rob i porażkę związku, kiedy mąż przespał się ze swoją keyboardzistką. Mówiła o samotnym macierzyństwie, o tym, jak zmusiło ją to do przyjęcia pierwszego z brzegu zajęcia, z początku jako jedyna dziewczyna w magazynie u Marksa i Spencera,

w świecie gwizdów i zaczepek, potem jako ekspedientka, jeszcze potem na stanowisku zaopatrzeniowca. Opowiedziała mi, jak starszy mężczyzna, dostawca, z którym była związana i który w nią wierzył, pożyczył jej pieniądze, żeby zaczęła na swoim.

– A co do reszty... – Pochyliła niby to skromnie głowę i wskazała gestem rozmiary pokoju.

Stopniowo, kiedy mówiła o swoim synu, który właśnie rozpoczął studia, o swoim terapeutycznym rzeźbieniu, kiedy umniejszała swój sukces, z Marianne robiła się Marnie, entuzjastyczna, rozmowna, głodna wiadomości o Edzie, Nell, Arthurze, Bristolu, ludziach, których malowałam. Prawie godzinę odpowiadała i zadawała pytania, nie wspominając o szkole. Pomyślałam, że chyba nadszedł czas, żeby zacząć.

– Jedna sprawa – powiedziałam. – Niedawno spotkałam przypadkiem Lucy Rennell. Dowiedziałam się od niej, że parę lat temu wpadła na ciebie w Londynie, a ty jej powiedziałaś, że nadal się widzimy. Zastanowiło mnie, dlaczego to zrobiłaś?

Twarz Marianne sfałdowała się w uśmiechu, jakbym powiedziała dowcip.

– Bez powodu.

– Bez powodu?

– Jechałyśmy razem taksówką. Strasznie nudziła o tych swoich dobroczynnych misjach i o szkole, i jak to widuje się z tymi wszystkimi ludźmi, których nawet nie pamiętam, więc powiedziałam, że widuję się z tobą.

– Wzruszyła ramionami. – Wielkie rzeczy.

– Ach tak. Okej. Po prostu byłam ciekawa.

– Mogę cię o coś zapytać, zanim zaczniemy?

– Strzelaj.

– Chodzi o tę sprawę sprzed paru dni: dlaczego policja zgarnęła ciebie i twojego męża w związku z zamordowaniem tej dziewczyny?

Powinłam była wiedzieć, że Marnie nie będzie się trzymać scenariusza. Błyskawicznie się pozbierałam i trzymając się linii obrony, wytłumaczyłam, że na przyjęciu u Pete'a Ed był wykończony i w nietypowy dla siebie sposób się spił, potem wrócił do Stokes Croft z Aramintą i paroma innymi osobami z Londynu, potem zmienił zdanie, ale nie było taksówek, a on zapomniał swojej komórki, więc musiał wejść do mieszkania, żeby zadzwonić po taryfę, potem wypił jeszcze jednego, poszedł w kimono i zanim wyszedł, naprawił jej kanalizację. A kwiaty wystarczyły, żeby policja zaczęła gonić króliczka.

– Dzwoniła wcześniej po hydraulika?

Odkąd tylko ją znam, Marnie nigdy nie zadała głupiego pytania. Przypomniałam sobie o tym w porę. Marianne Hever nie była mi winna lojalności. Marnie Latham tym bardziej. Chrissie Wright zadzwoniła wtedy rano, zaraz po tym, jak byłam w wiadomościach. Nagle dotarło do mnie, że zapewne nie był to przypadek.

– Nie mam pojęcia.

– Bo jeśli tak, a on z jakichś tam powodów się nie pojawił, to Ed jest całkowicie czysty. Warto sprawdzić, prawda?

Skrzyżowała nogi, te swoje eleganckie łydki. Oblizала suche wargi. Nie chciałam stawać na tym gruncie. Próbowalam odpowiadać zrelaksowanym tonem.

– O właśnie. Dobry pomysł.

– Chcesz powiedzieć, że nie zrobiłaś tego?

W jej głosie było niedowierzanie. Pokręciłam głową.

– Ale to trzeba było chyba zrobić na samym początku?

– Może policja to zrobiła. Ja nie. Ufam Edowi.

– Ja ufałam Robowi.

Do czasu gdy zagruntowałam płótno, rozumiałam, jak to się stało, że splamiona Marnie stała się wytworną Marianne. Zrozumiałam też, że mam problem z kompozycją. Jak miałam namalować Marianne Hever w jej domu, nie odnosząc się do prostej przestrzennej geometrii budynku, skoro mi powiedziała, że to jej własny projekt? Ale czy jakakolwiek konstrukcja geometryczna jest w stanie oddać dowcip, przenikliwość, zdrowy rozsądek, determinację, żywotność, ciekawość, wrażliwość i inteligencję kobiety, z którą właśnie rozmawiałam? Brutalna logika matematyki zaprzecza wyjątkowości jednostki (ile razy mówiłam to Edowi?), ale rzadko zdarzało mi się spotkać kogoś tak wyjątkowego jak Marianne. Wyśniła i wywalczyła, wymanipulowała i wyczarowała, wypracowała i wymyśliła drogę z prawie absolutnego dna na prawie sam szczyt, a zrobiła to, nie korzystając z wykształcenia, które uzyskała w szkole z internatem na południu kraju.

Podczas rozmowy wybrałam dla niej pozę. Będzie stała. Wymagała tego jej energia i zaangażowanie w sprawy zewnętrzne. Julie siedziała na tronie, bo była królową wszystkiego, co wokół siebie widziała, ale była to władza czysto ceremonialna i nie wychodziła poza cztery ściany Raya. Stanie jest męczące, ale Marianne da sobie radę. Twarda z niej laska, poświadcza to jej

historia. Ja przycupnę na stołku, z paletą i wózkiem z farbami pod ręką, i będę patrzeć w górę dosłownie i w przenośni, uznawać w niej kobietę, która trzyma w garści swój los. Postanowiłam wykorzystać pomarańczową abstrakcję w holu jako jedyny kolor na całym świecie poza tym białym tłem. Modelowi potrzebny jest punkt odniesienia, a co może być lepsze niż ten okrągły malunek? Ukłon pod adresem geometrii był niezbędny. Nie ze względu na dom, ale dlatego że matematyka to część tego, czym jest Marianne. Nie odnosi się takich sukcesów w biznesie bez euklidesowego wycucia liczb i arkuszy, tego wszystkiego, czego nigdy nie rozumiałam i nigdy nie chciałam zrozumieć. Zarazem będę musiała podważyć geometrię, jeśli zamierzam uchwycić jej człowieczeństwo. Musi unosić się w przestrzeni, odcięta od korzeni, ale nadal być źródłem energii obrazu. Ten rozbłysk pomarańczowego słońca ma uwydatniać Marianne, a nie ją przyćmiewać. Posłuży za ukryty kontrast, matematyczny motyw, obraz w obrazie.

Wybrała drogi, czarny kostium biznesmenki, „nie z któregoś z moich sklepów”. Spódnica ukazywała zarys uda. Nogi ma dobre. Nigdy nie sugerowałam, co pozujący ma na siebie włożyć i odmawiałam porady, kiedy o nią proszono. To ich wybór i jeden ze sposobów, w jaki się odstaniają. Tyrani nieuchronnie pojawiają się w dzinsach i podkoszulkach, samooszukiwanie się to podstawowy rys tyranii. Kostium Marianne był pierwszą szczeliną w jej zbroi. Powiedział mi, że chce być szanowana, może nawet potrzebuje szacunku. Może pragnie, żebym to ja ją szanowała? Spróbuję uchwycić tę nutkę wątpliwości.

Wycisnęłam krople koloru z tubek, karmin, ultramarynę i biel tytanową dla skóry, naturalną umbre, żeby złagodzić czarny jak smoła kostium. Potem naszkicowałam ołówkiem zarys. Zanim zacznę, muszę mieć pojęcie o całości, jak Jaś, który rzuca za siebie kamyczki w lesie. Do końca tej sesji zrobiłam postępy.

Drugi dzień nie zaczął się dobrze. Podczas kolacji Marianne pracowała, tak że znów musiałam jeść sama, nie przyszła na śniadanie i pojawiła się dopiero o dziesiątej, półtorej godziny po tym, jak miałyśmy zacząć. Nie przeproszała. Ja nic nie mówiłam. Obie wiedziałyśmy, że mamy cztery dni. Gdybyśmy nie skończyły, ostatnie pociągnięcia mogę dodać u siebie w pracowni, ale jako że wychodzi ona na zachód, będzie to miało oczywiste konsekwencje dla koloru i tonu. Nie byłby to pierwszy raz. Ileż to razy problem, z którym zmagalam się

bez końca przed modelem czy modelką, rozwiązywałam od razu, zaledwie znalazłam się w domu sama, wolna od ich pragnienia, by wpłynąć na wynik. Właśnie za takimi chwilami nagłych rozwiązań się goni, kiedy chmury się rozstępują i wyłania się zza nich słońce. Niemal wbrew Marianne malowanie nabrało wagi i mocy.

W porze lunchu znów mnie przeprosiła, powołując się na interesy. Czy ona w ogóle jada? Usiadłam samotnie w jadalni, skubiąc fileta z kurczaka w sosie chasseur, przyprawiony kuminem, i bób z ogródka warzywnego. Johnson był doskonałym kucharzem, ale nie chciało mi się jeść. Rzadko bywam głodna, kiedy pracuję. Ale wiedziałam, że jest w tym coś więcej. Chociaż portret posuwał się do przodu, miałam uczucie, że nie panuję nad sytuacją. Tak jakby Marianne jakoś mnie osłabiała. Pojadając kurczaka, nie potrafiłam ustalić, czy to uczucie odnosi się do niej, czy do jej portretu.

Pół godziny po tym, jak powinnyśmy wziąć się znowu do roboty, do pokoju wparowała Chrissie ubrana w swój kombinezon na upały, czerwone sztruksy, pikowany bezrękawnik i perły. Powiedziała, że Marianne musiała zabrać się do pracy. Przeprosin nie było. Zaczynałam się irytować. Chciałam malować. Chciałam spędzać czas z Marianne. Chciałam z nią jadać. Chciałam się w niej zanurzyć. Nie musiałam znowu stać się jej przyjaciółką, ale miałam tylko cztery dni i chciałam wykorzystać je do ostatniej sekundy. Portret był jej, praca moja. Siedząc w jasnej skorupie bawialni, trudno było nie poczuć, że za tą historią kryje się jakiś ruch, jakiś cel, którego tylko ja nie byłam świadoma.

Chrissie miała mnóstwo bezużytecznych propozycji. Czy jest coś, co chciałabym zrobić? Wszystko można zorganizować. Może chciałabym zwiedzić park? Pojeździć konno? Popływać łódką? Wybrać się do Manchesteru? Kierowca jest do dyspozycji.

– Dziękuję, popracuję nad tłem.

Zniknęła w niewidzialnych drzwiach, które wcześniej wzięłam za nagą ścianę, zostawiając mnie w pustym pokoju. Prawie wszystkie drzwi tutaj były ukryte w ścianie. Rozejrzałam się, czy może są jeszcze jakieś, które przeoczyłam, albo coś innego. W górnym kącie pokoju widniała mała srebrna kulka. Nie zauważyłam jej dotąd. Wykrywacz dymu? Kamera? Nie sposób było się domyślić. Czy byłam obserwowana przez Chrissie albo Johnsona, albo nawet przez Marianne? Skąd miałam wiedzieć, czy nie wybrała się do Manchesteru? Nie widziałam ani nie słyszałam, żeby wyjeżdżał jej samochód. O ile wiedziałam, nadal była w Bow House i przyglądała mi się. Stojąc tutaj, w jaskrawo białym pokoju, gdzie każdy kąt zalany był agresywnym słońcem,

czułam się obnażona jak w niedzielnym programie TV, gdzie opowiada się o romansie z celebrytą. I nagle zaczęłam się zastanawiać, czy cały projekt nie został celowo zorganizowany, żeby zniszczyć moją karierę z zemsty za to, co zdarzyło się wiele lat temu w internacie.

Nie bądź śmieszna! Nawet nie wspomniała o internacie. Marianne Hever prowadzi spółkę wartą wiele milionów funtów. Codziennie podejmuje tysiąc decyzji. Oczywiście, niektóre wymagają tego, żeby usiadła za biurkiem, a nie stała beczynnie i pozowała do portretu.

Może włożyła kostium biznesmenki, żeby w każdej chwili móc się wymknąć do pracy? Ale jeśli tak, to nie nosiła go dlatego, że „pragnęła” być szanowana czy że „pragnęła” konkretnie mojego szacunku. To zmieniałoby dynamikę portretu. Ale jak to oddać? Za tym pytaniem pojawiło się kolejne: czy nie doszłam zbyt szybko do zbyt wielu łatwych wniosków? Instynkt dał mi odpowiedź, której nie miałam ochoty zaakceptować. Wcześniej nigdy nie miałam z tym problemów. Nie mogło to być wyłącznie konsekwencją krótkiego czasu, jaki z nią spędziłam przed rozpoczęciem malowania, bo chociaż rzadko, ale jednak mi się to zdarzało. A skoro tak, to powód mógł być tylko jeden.

Bezradnie przyglądałam się portretowi. Miałam zamiar popracować po południu nad lewą stroną twarzy Marianne, ale teraz nie byłam tego pewna. Wstałam ze stołka i odeszłam dalej, żeby zyskać szerszą perspektywę. Coś było nie tak. Przyglądałam się wnikliwie. Musiałam zrozumieć, co mam zrobić, by stworzyć równowagę, która umożliwi mi zajęcie się jej lewą stroną. Może trzeba dokładniej określić czoło? Czy obojczyk nie wystaje za bardzo, czy szyja nie jest za szczupła? A może problem leży w fakturze? Czy nie jest za gorąca i za ciężka, jak na kogoś tak chłodnego jak Marianne? Płótno tkwiło na sztaludze, nieprzydatne. Marianne nie dawała wskazówek. Znów usiadłam. I po raz pierwszy w karierze malarki nie wiedziałam, co robić dalej.

16

Nie sądzisz, że wychowanie okaleczyło cię psychicznie?

Otwierający gambit Marianne na trzeci dzień rano. Byłam tak zaskoczona, że zdobyłam się tylko na burknięcie:

– Nie.

Odwróciłam się i wmieszałam odrobinę kadmowej czerwieni w kropelkę szarości na palecie, dając jasno do zrozumienia, że w tego rodzaju rozmowie nie mam ochoty uczestniczyć. Portrecista nie powinien pod żadnym pozorem stawać się tematem, bo wtedy jego praca na pewno pójdzie na marne. Zęby Marianne były ostre jak u gryzonia, chociaż mówiła łagodnym tonem.

– Wszystkie drogi prowadzą do Highlands.

Spojrzałam na szpachlę. Błękit miał smugi tlenku tytanu i alizarynowej purpury na jej oczu. Milczenie narastało.

– Dziwię się, że pamiętasz Highlands. Nie sądzę, żebyś tam kiedyś była.

– Nie byłam. Ale to było takie dziwne, że ich nie zapomniałam. Mama, która nie okazywała miłości. Tato, który umarł, ale za życia nigdy nie było go w domu. Brat, który był taki nieprzytomny, że uznał pójście na Oksford za wyrok więzienia. Siostra, która zagrzebała się w książkach i nigdy nie miała nic wspólnego z realnym życiem. No, ale nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek z twojej rodziny poza tobą miał coś wspólnego ze światem zewnętrznym. Byłaś ich jedynym łącznikiem z rzeczywistością. Inaczej byłoby to pięcioro ludzi pod jednym dachem, z których każde żyło osobnym życiem. Zawsze uważałam, że ten dom wariatów na wrzosowiskach, który opisywałaś, był doskonałą metaforą samotności.

Odłożyłam paletę na wózek. Pomimo wad mojej rodziny zawsze ją chroniałam – czasem miałam uczucie, że ja jedna staram się utrzymać ją w kupie – i wiedziałam, że nie mogę pozwolić, żeby Marianne mnie wkurzyła. Czy ona naprawdę próbowała mnie sprowokować, czy to ja robiłam się

paranoiczna? Spojrzałam na portret. Marianne na płótnie patrzyła na mnie z góry z wyższością w oczach. I pogardą? Trudno powiedzieć. Było tak, jakby wszystko – Marianne w internacie, moje życie, Ed, tamta kobieta, Philips, ten portret, nasza rodzina – zmieniło się w jedno malowane oskarżenie. Musiałam zmienić bieg tej rozmowy.

– Dlaczego mnie poprosiłaś, żebym przyjechała cię namalować?

Usta Marianne drgnęły leciutko, jakby z drwiną.

– Dlatego że chciałam mieć portret, a ty masz dobrą opinię.

– Daj spokój.

– I dlatego, że chciałam się z tobą zobaczyć.

– Mogłaś zadzwonić. Mogłyśmy pójść na lunch.

– Dlatego że chciałam, żebyś namalowała mój portret. Chciałam spędzić z tobą trochę więcej czasu.

Kusiło mnie, żeby powiedzieć, że spędziła ze mną tak mało czasu, jak tylko się dało, ale powiedziałam coś innego.

– Dlaczego teraz?

– Dlaczego nie teraz?

– Dlatego że nigdy nie byłaś osobą typu „dlaczego nie?”

Marianne przechyliła głowę, a nozdrza rozděły się jej jak lisowi wężącemu za śladem.

– Okej, no więc dlatego, że zawsze chciałam się z tobą skontaktować, tylko po prostu nie wiedziałam, kiedy to nastąpi. Zawsze zakładałam, że przyjdzie chwila, kiedy pocuję, że to właściwy czas. Nigdy nie chodziło mi o to, żeby ci pokazać, jaki to ze mnie człowiek sukcesu – mogłabym to zrobić wiele lat temu. Zresztą wiem, że to nie jest to, na czym ci w życiu zależy. I niedawno zobaczyłam cię w telewizji, jak wychodzisz z siebie przy tamtej dziennikarce i wiedziałam, że to właśnie ten moment. – Przybrała zrelaksowaną pozę. – Zaintrygowało mnie to. Bo Alice Tenterden, którą znałam, była zbyt opanowana, żeby tak wybuchnąć. Zaczęłam się zastanawiać. Stres różnie działa na ludzi. Ciągle to widzę w biznesie. Zastanowiło mnie, jaki to stres tak na ciebie wpłynął.

– Masz dzieci. Na pewno nie chciałabyś, żeby Jack zobaczył, że tak traktują jego matkę.

– Nie chciałabym. Ale dzieci to przetrzymają. Są silniejsze, niż nam się wydaje.

– Moje są jeszcze małe.

– Jasne, ale podrastają, stają się tym, kim są. Nastolatki są z grubsza

uformowane. Ich charaktery są już gotowe, ich siła, ich słabości. Szukają wzorców u rówieśników. Boże, kto jak kto, ale ja nie mogę o tym nie wiedzieć. Branża modniarska żyje z tego.

Mówiła mocnym głosem, ale była w nim nutka melancholii, pustki, która jest odmianą samotności. Poczułam ukłucie litości. Przeniosłam się w czasie do internatu, do chwili, kiedy jej wyniosły idealizm został zdradzony przez brutalną rzeczywistość. Ja zawsze miałam wybór, którego ona nie miała. Teraz można jej było zazdrościć, ale nie zamieniłabym swojego życia na jej.

– Tęsknisz za Jackiem?

– Każdy tęskni za swoją przeszłością.

– To dlatego chciałaś mieć swój portret?

– Zawsze chciałam mieć swój portret.

– Namalowany przez mnie?

– Tak.

– A teraz zostałam shańbiona...

– Właśnie.

– Pochlebiasz mi.

– I chciałam się z tobą zobaczyć. Zobaczyć, jaka teraz jesteś. Domyślam się, możesz to nazwać intuicją, że raczej nie masz bliskich przyjaciół, w każdym razie bardzo bliskich. W szkole nie miałaś, poza mną, a ja zawsze byłam odstępstwem od normy, rezultatem mojego pochodzenia i twojej godnej podziwu, chociaż trochę ironicznej niechęci do ludzi zepsutych. Nie jesteś z tych, co są blisko z innymi, i nietrudno się domyślić dlaczego. Jak już mówiłam, nigdy nie miałam do czynienia z rodziną, która byłaby taka niespójna. Podejrzewam, że Ed jest taki sam.

– Raczej nie.

– Chodzi mi o przyjaciół. Wiesz, mnóstwo razy się przekonałam, że ludzie wybierają sobie na małżonków typy bliskie na pewnym podprogowym poziomie. Pobierają się z postawami i ambicjami, które rozumieją. Wiem, że jego pochodzenie jest bliższe mojemu niż twojemu, ale on jest położnikiem, a ty portrecistką. To są powołania, nie zawody. Przenoszą człowieka w zamknięty świat, całkowicie oderwany od przeszłości. Prawdę mówiąc, kiedy dowiedziałam się, kim zostałaś, byłam pełna podziwu, że wybrałaś taki rodzaj pracy. Właśnie to bym ci poleciła, gdybym w ogóle o tym pomyślała.

– Dziękuję. – Nie próbowałam ukryć sarkazmu.

– To idealne dla kogoś, kto przyglądał się zza kanapy, jak rodzina się rozpada, ale wyszedł cało z katastrofy, żeby pójść do Cambridge, wyjść za

mąż za sławnego lekarza i zbudować sobie pełną sukcesów karierę.

– Właściwie to malowanie portretów nie jest w modzie. W każdym razie olejnych.

Marianne ironicznie się roześmiała.

– Ale robisz to, co chciałaś robić, a co ważniejsze, wierzysz w to. Pod tym względem nie zmieniłaś się. Bo Alice, którą znałam, zawsze chciała... zawsze musiała wierzyć. Więc kiedy puściły ci nerwy wtedy na ulicy, doszłam do wniosku, że coś jest nie tak. Oczywiście nie wiedziałam co, ale zawsze chciałam się z tobą spotkać i poczułam, że właśnie nadszedł czas.

– Jestem wzruszona.

– I chciałam sprawdzić, czy moje przeczucie się sprawdzi.

– Twoje przeczucie?

Marianne przerwała, jakby przez chwilę walczyła ze sobą, nie wiedząc, czy ma mówić dalej. Obie wiedziałyśmy, że tylko udaje.

– Że ty albo Ed, albo oboje, naprawdę macie coś wspólnego ze śmiercią tamtej dziewczyny.

Patrzyła na mnie jak nauczyciel chemii, który czeka, aż zacznie się reakcja. Odpowiedziałam jej spojrzeniem obojętnym jak pusta próbówka, ale Marianne tylko uniosła brwi. Pokręciłam głową w geście mówiącym: co za absurd.

– To śmieszne! Gdyby były jakieś wątpliwości, policja by nas nie puściła.

Marianne przekrzywiła głowę i popatrzyła na mnie sceptycznie. Musiałam posunąć sprawę do przodu.

– Możemy wrócić do portretu?

Przez chwilę wydawało mi się, że nie usłyszała, ale zaraz kiwnęła z wdziękiem głową i powiedziała:

– Oczywiście. – I wróciła do poprzedniej pozy. Było w niej coś kociego, psotnego i niebezpiecznego. Wycofałam się za sztalugę. Kiedy znów podniosłam wzrok, tylko po to, żeby zmierzyć ją grubym pędzlem i poprosić, żeby przechyliła głowę lekko w prawo. Przechyliła.

Milczenie trwało długo. Marianne podpałiła lont. Starłam się nie myśleć o oskarżeniu, które rzuciła, ale nie można było odłączyć go od postaci, którą malowałam. Musiałam mieć nadzieję, że będziemy potrafiły pójść naprzód, ale poranek upływał, a do mnie docierało, że jestem wyczerpana, wyczerpana do cna, że dryfuję po morzu bez wiosła, niezdolna ani się zatrzymać, ani popłynąć przed siebie. Ruch naprzód, czas sam w sobie wydawały się pogrzebane w przeszłości. Rozpaczliwie potrzebna mi była przerwa, ale wiedziałam, że nie jestem na tym etapie pracy, na którym powinnam być, co wynikało ze

zmarnowanego popołudnia, z pierwszego poranka spędzonego na gadaniu i z ciągłej nieobecności Marianne. Dziękowałam Bogu, że poza pomarańczową abstrakcją nie było w tle nic innego, bo to mogłam namalować u siebie w pracowni. Poprawiłam jej nos. Wydawał się niezwiązany z oczami, a do tego jakby nadawał ustom wyraz przebiegłości, której wyraźnie nie miała. Właśnie dodawałam pod dolną wargą odrobinę neapolitańskiej żółcieni, kiedy powiedziała:

– Co byś zrobiła, gdyby to był Ed?

Roztarłam palcem plamkę umbry na jej lewej brwi.

– To nie był Ed.

To tak, jakbym nic nie powiedziała.

– A gdyby, założmy, do czegoś między nimi doszło?

– Nie doszło.

Włożyłam pędzel poziomo do ust i trzymałam go między zębami, wybierając kolejny. To stara sztuczka, kiedy nie chce się odpowiadać. Uniosłam zagiętą dłoń, jak fryzjerka, pokazując, żeby odwróciła głowę trochę na lewo.

– Zresztą nie byłoby to nic wyjątkowego.

Zakneblowana pędzlem wybełkotałam kilka słów i muśnięciem dodałam plamkę zieleni w kącie jej ust.

– Mężczyzna w średnim wieku spotyka na przyjęciu młodą kobietę.

Pochlebia mu jej zainteresowanie. Upija się i zostaje na noc.

Wyjęłam pędzel z ust i zabełtałam nim w słoiczku z terpentyną.

– Został tylko dlatego, że nie było taksówki.

– Najstarsza wymówka pod słońcem.

– On nie jest tak mało subtelny.

– Truizmy mają swój sens.

Dodałam ździebełko kadmowej żółcieni do szarości.

– Marianne – starałam się, żeby zabrzmiało to możliwie najbadziej niefrasobliwie – do tego nie doszło. To niemożliwe.

– Ze względu na chronologię czy temperament?

Dodałam troszkę czerni do prawego ucha, żeby nadać większy ciężar tej stronie twarzy. Odrobinę pomarańczowego, żeby zmiękczyć czerną.

– Z obu tych powodów.

– Bo był wtedy z tobą?

Trochę różowego na ucho. Tyle że różowy wysysa kolor z oczu, a Marianne miała w oczach błysk. Jeśli to spapram, nic nie będzie z portretu.

– Bo był wtedy ze mną.

– Jak mogłam się tego nie domyślić?

Zignorowałam jej ton. Manganowy błękit do oczu.

– No więc hipotetycznie.

– Nawet hipotetycznie jest to niemożliwe. Zbyt nietypowe.

– No dobrze, wyobraźmy sobie, że to zrobił. Jesteś człowiekiem z wyobraźnią. Nietypowo upija się na przyjęciu. To nie podlega dyskusji. Dlaczego? Bo ciebie tam nie ma? Bo jest wykończony? Bo przystawia się do niego ładna dziewczyna?

Biały dysk słońca płonął w wielkich oknach, spalając dzień. Jezioro migotało, otoczone mgiełką. Zmusiłam się do spokoju, pozwoliłam sobie tylko na minimalny ton oburzenia w głosie.

– Mówisz poważnie?

– Wyobraźmy sobie... No więc wracają do niej do domu.

– Tam był nie tylko on. Był na przykład ten młody facet, którego aresztowali. I całe mnóstwo innych.

Marianne uśmiechnęła się leciutko.

– Okej, no więc wraca tam z całą armią. I co potem? Towarzystwo rozprasza się po kątach, ludzie wchodzi, wychodzą, zasypiają, kochają się czy co tam jeszcze, bo ja wiem, są młodzi i wolni, prawo tego nie zabrania, aż zostaje tylko on i ona, może zresztą i nie, ale hej, czy to ważne? Nikt go tu nie zna. Mówiłaś, że wszyscy byli z Londynu. A on już raz zachował się tego wieczoru nietypowo, czyli upił się, więc dlaczego miałby nie zachować się nietypowo drugi raz?

– To nie w jego stylu.

– Co nie jest w jego stylu? Wylądować po pijanemu w mieszkaniu z gromadą dwudziesto-trzydziestolatków?

– To też.

– Wychodzi na to, że spędził wieczór nie w swoim stylu.

– Marianne, jesteś gorsza od trolla!

Spokojnie przeciągnęła palcem po skroni, jakby to był komplement. Właśnie tak zbudowała swoje imperium handlowe: prac do przodu, nigdy nie przyjmując odmowy do wiadomości. Jakież to inne w porównaniu z ostrożną, pełną wątpliwości dziedziną twórczości artystycznej.

– Powiedzmy tak: wrócił do jej mieszkania, byli pijani, został na noc z tym drugim facetem, ona nie żyje, tamtego faceta puścili, policja myśli – albo myślała – że Ed jest w to jakoś zamieszany. Musieli mieć jakiś powód.

Popatrzyłam na portret na sztaludze. Czy to w ogóle możliwe, żeby oddać

jej brak skrupułów? Musiałam uznać to za żart. Nie było wyboru.

– Teraz wiem, że jesteś szurnięta!

– Nic nie wiesz.

Co innego mogłam powiedzieć? Że jestem zdumiona i przerażona zaciekłością jej intuicji? Nic dziwnego, że potrafiła przewidzieć, jakie kolory i style ludzie będą chcieli nosić za dwa lata. Nałożyłam punkcik zieleni Guigneta tam, gdzie jej żakiet odbijał światło. Musiałam się schować za sztalugą. Jej oczy na portrecie płonęły. Trzeba je było uspokoić. Potrzebna im była szarość.

– Właściwie to wiem jedno – powiedziałam stanowczo. – Wiem, jaki jest Ed. Wiem, co dla niego znaczą. Wiem, co znaczą dla niego dzieci. Może nigdy nie miałaś normalnego życia rodzinnego, ale rodzina to baza wszystkiego. Ja też widziałam obie strony. Znam Eda i wiem, że nigdy nie rzuciłby rodziny.

Na twarzy Marianne pojawił się uśmiezek triumfu, więc dodałam złośliwie:

– Rodziny nie da się zastąpić wielkim domem ani sukcesem w biznesie. Rodzina działa tylko wtedy, kiedy jest miłość. Skąd to wiem? Po prostu wiem.

Wróciłam do palety. Zaczynało mi brakować żółcieni. Skinęła głową, jakby akceptowała prawdę moich słów, ale zaraz wyprostowała się wyzywająco i powiedziała:

– Przeczucie jest potężniejsze od wiedzy.

Zacisnęłam zęby. Nic nie mogłam na to powiedzieć, nic nie mogłam zrobić. Byłam jakby przykuta do stołka. Kiedy zobaczyła, że nie mam zamiaru odpowiadać, zapytała cicho:.

– Chcesz wiedzieć, co myślę?

Odpowiedź była oczywista, ale nie miało sensu jej udzielać.

– Myślę, że on ją zabił.

Prosto i brutalnie. Obserwowała moją twarz, szukała reakcji. Starłam się wyglądać, jakbym jeszcze nie słyszała czegoś równie dziwnego, ale nagle straciłam zaufanie do własnego głosu. Jak długo można bronić pozycji nie do obrony?

– Nie zrozum mnie źle, nie mówię, że kłamiesz. Myślę, że pewnie byłaś z nim tam, gdzie, jak powiedziałaś, byliście, ale myślę też, że był przy jej śmierci.

Nie chciałam słuchać. W uszach miałam biały szum. Tak się czuje człowiek, kiedy mąż zostaje oskarżony o morderstwo. Zmusiłam się, żeby spojrzeć jej w oczy, żeby niedowierzająco pokręcić głową, żeby fałszywie, blado się

uśmiechnąć na absurdalność tego oskarżenia.

– I wiesz, ja nie mówię, że jest mordercą.

– Więc co mówisz? – spytałam ochryplym głosem. W tym spieczonym na biało pokoju nie było dokąd uciec.

– Mówię tylko, że cokolwiek tam się zdarzyło, bez względu na łańcuch wydarzeń, który do tego doprowadził, to on jest człowiekiem, którego szuka policja. – Przyglądała się pogodnie mojej twarzy. Zesztywniałam ze strachu. – Znam ludzi z Bristolu, mam sklep w Cabot, znam ludzi z Sotheby, robię tam biznes, i z tego, co wiem, Araminta Lyall była pochrzanioną panią, która miała oko na starszych mężczyzn. Myślę, że twój mąż zanadto się do niej zbliżył i potem, bo ja wiem, była szarpanina, a może wypadek, i nie mógł się przyznać, powiedzieć prawdy, bo nie potrafiłby udowodnić, że to nie było morderstwo.

Kręciłam głową przez cały czas, kiedy mówiła, ale z przerażenia byłam jak przymurowana do stołka. Marianne analizowała tę historię, rozumiała tamtą kobietę, szperała w jej przeszłości, zgłębiała jej motyw. Nie miałam wyboru. Musiałam ją powstrzymać.

– Marianne – powiedziałam. – Może to wszystko brzmi prawdopodobnie, ale nie zgadza się z przebiegiem wydarzeń. Na to wszystko nie ma strzępka dowodów. Wszystkie fakty świadczą odwrotnie: że on nie mógł tego zrobić.

– Wiesz, zawsze jestem ostrożna wobec ludzi, którzy mówią o faktach. Fakty nie istnieją. Istnieją interpretacje. Istnieją perspektywy. Istnieją motyw. Istnieje słabość. Co więcej, z miejsca, w którym jestem – zakładając, że policja ma rację i pan Trumble tego nie zrobił – widzę oczywiste wyjaśnienie, może nawet jedyne wyjaśnienie. To dlatego policja przyszła do ciebie tamtego dnia.

– Nie chwytam, co znaczy oczywiste.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że jeśli umieścisz pijanego czterdziestopięciolatka późną nocą w pokoju z paczką pijanych trzydziestolatków i zdarzy się coś złego, mądrze jest postawić na niepasujący element.

Westchnęłam melodramatycznie, grając na czas, ale pogrążyłam się. Przyjrzała się temu ze wszystkich stron. Nie popuszczała:

– Moim zdaniem za tym, że tak było, przemawiają dwa powody. Przyznaję, że są poszlakowe, ale właśnie dlatego tym bardziej do mnie przemawiają.

Przyjrzała mi się, szukając oznak słabości. Patrzyłam na nią tępo, niezdolna wypowiedzieć słowo.

– Po pierwsze, po tym wszystkim, co przeczytałam o Edzie i co mi mówiłaś, widzę go jako dżentelmena w starym stylu. A skoro tak, to musiałby coś powiedzieć, kiedy tamtego popołudnia osaczyli cię na ulicy. Nie było go wtedy przy tobie, więc broniłby cię później. Zdjąłby z ciebie presję i skierował uwagę na siebie. Nie zostawiłby cię na lodzie, tym bardziej że każdy widział, że to dla ciebie naprawdę coś okropnego.

Zrobiła kpiącą pauzę, ale mnie serce załomotało. Wreszcie miałam okazję, żeby powiedzieć prawdę i przekłuć balon jej pychy! Niemal krzyknęłam triumfalnie:

– Chciał to zrobić! Słowo daję, to właśnie chciał zrobić, zaproponował, że złoży w tej sprawie oświadczenie, ale ja odmówiłam. Powiedziałam, że to tylko podsyci pożar. W tej sprawie całkowicie się mylisz!

Przez chwilę Marianne wydawała się niemal ze mną zgadzać, ale zaledwie ten wyraz się pojawił, już go nie było.

– To dlaczego odmówiłaś?

– Bo...

– Właśnie. Dlaczego ktokolwiek miałby odmawiać po czymś takim? Chyba że...

– Chyba że co?

– Chyba że miałaś coś do ukrycia.

Gapiłam się na nią. Usta pewnie miałam otwarte.

– A drugi powód...

Jej milczenie długo się nawarstwiało, przez chwilę myślałam, że zapomniała, co chce powiedzieć. Musiała słyszeć, jak wali mi serce. W tamtej chwili wolałabym stać się czymkolwiek – słupem soli, kostką mydła – niż tkwić w pułapce oślepiającej jasności spojrzenia Marianne. Sztaluga odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni. Ona była myśliwym, ja zwierzyną.

– ...To ty.

Postanowiłam, że nie dam się wciągnąć, ale nie wytrzymałam i wyrzuciłam z siebie.

– Ja?

– Ty. Pierwszego dnia u mnie powiedziałaś, że chcesz pogadać, zanim zaczniemy, bo musisz poznać mnie na nowo, bo znałaś Marnie, a nie Marianne. Ale myliłaś się, prawda? Nie zmieniłam się, w każdym razie nie zasadniczo, a sądząc po tym, co o tobie czytałam, ty też się nie zmieniłaś. Wszystko, co przeczytałam, mówi mi, że kiedy prasa cię nie trolluje albo nie pomaga policji w śledztwie, jesteś tą samą opanowaną, pewną siebie Alice Tenterden,

którą byłaś w szkole, tak samo pewną swojego zdania na temat innych ludzi i artystów, na swój temat, na temat swojej pracy i swojego miejsca w świecie. Tylko że ni stąd, ni zowąd przestajesz taka być, prawda? Teraz, tutaj. Więc zadałam sobie pytanie, co się zmieniło. Co się stało od czasu, kiedy pisali o tobie w „Tatlerze” albo w „Harper’s”, czy gdzie to tam było, i mądrzyłaś się o „nędzy” – chyba tego słowa użyłaś – przeważającej części współczesnej sztuki, i obwieszczałaś własne połączenie sztuki figuralnej i abstrakcyjnej, twoją własną markę realizmu i prawdy? Tamta Alice była dokładnie tą Alice, którą zapamiętałam ze szkoły, która знаła swoje przekonania i nie bała się ich głosić, która nie kupowała żadnej bzdury. Na litość boską, to dlatego byliśmy przyjaciółkami! Tylko że tej Alice, która mnie maluje, nagle język się supła, kiedy dochodzi do rozmowy o jej mężu i jakiejś dziewczynie. Ta Alice, która mnie maluje, bazuje na „faktach” i „czasie” i myli „fakty” z prawdą, tak jak nigdy nie zrobiłaby w szkole, przynajmniej wtedy, kiedy się przyjaźniłyśmy. – Głos opadł jej do szeptu z kreskówki, jakby dopuszczała mnie do tajemnicy. – Alice, którą znałam w szkole, wierzyła w jakąś większą prawdę, ta, która mnie maluje, nie potrafi się zdobyć nawet na wiarę w siebie.

Spojrzałam na nią, próbując wzrokiem dać jej do zrozumienia, że po prostu nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo się myli. Ale Marianne już zaczęła. A jak raz zaczęła, nie przestanie, dopóki nie skończy. Zawsze tak było.

– I wiesz co? Zaczynam myśleć, że może wcale nie jestem taka niepoważna. Zaczynam myśleć, że ta Alice czegoś się boi i może to, czego się boi, to prawda. Oczywiście nie wiem, nawet nie mogę wiedzieć, ale jak się to wszystko poskłada, to wnioski się same nasuwają. Przynajmniej mnie. – Mrugnęła scenicznie. Pokręciłam głową i pogardliwie się roześmiałam, ale wypadło to krótko i płasko. – Ale nie martw się, kochana, nic nie powiem innym dziewczynom. Twoja tajemnica jest u mnie bezpieczna.

Patrzyłam na nią z nadzieją, że moje spojrzenie wyraża niedowierzanie, ale wiedziałam, że został mi tylko jeden sposób. Musiałam wykorzystać go maksymalnie. Zaczęłam więc powoli, z każdym wypowiedzianym zdaniem nabierając coraz większego przekonania:

– Ach, rozumiem, więc o to w tym chodzi. Chyba domyślałam się, do czego zmierzamy. – Marianne zmieniła pozę, w oczach pojawił się niebezpieczny błysk, ale nic nie powiedziała. – Specjalnie mnie tu zaprosiłaś, żeby robić te śmieszne zarzuty wobec Eda i spróbować dopieprzyć mi jako malarce, albo schrzanić moją reputację, żeby zemścić się za to, co się stało w szkole. Taka jest prawda, co?

Przemknęła w stronę sofy i przycupnęła na oparciu.

– Ach, szkoła. Ciekawa byłam, kiedy do tego wrócimy.

Mówiła lekkim tonem, rozbawionym, ale zarazem śmiertelnie poważnym. Wstałam. Patrzyłam na nią znad sztalugi.

– Bo mnie jest z tego powodu przykro, naprawdę. I było mi przykro od chwili, kiedy do tego doszło. Próbowałam cię wtedy przeprosić, ale mi nie pozwoliłaś. Rozumiem to. Wtedy też to rozumiałam. To był twój przywilej. Więc cię nie ściagałam. Ale niech ci się nie wydaje, że nie myślałam często o tobie i nie żałowałam, że stało się, jak się stało, i nie zastanawiałam się, jak ci się ułoży. I naprawdę miałam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

– Jakież to miłe.

W jej głosie była gorycz. Bez względu na sukces, jaki odniosła Marianne, obie wiedziałyśmy, że w dniu, w którym wyrzucono ją za kradzież, zamknęły się dla niej niezliczone możliwości. Musiała twardo walczyć o przetrwanie.

– Ale przynajmniej powiedziałam prawdę.

– Że ja byłam biedna, a ty byłaś bogata?

– To nie ma z tym nic wspólnego. Wiesz przecież.

– Chcesz powiedzieć, że gdyby to Alice ścisnęła w ręce dziesiątaka, też zaciągnęliby ją do dyrektorki, nawet nie pytając o jej wersję wydarzeń?

Marianne zacisnęła zęby, policzki jej pałały. W jej biografii nie było uniwersytetu, nie było wolnego czasu, nie było pobłażania sobie, nie było stopniowych osiągnięć w sztuce, nie było czasu, żeby obserwować, jak rośnie jej dziecko. Była praca, magazyn, samotne macierzyństwo, lada sklepu, arkusze obliczeniowe. Egzotyczny umysł w bezsłonecznym markecie. Młoda kobieta wyprasająca pożyczkę od starszego mężczyzny. Chłopczyk wychowywany przez babcię. Słońce namalowało na podłodze pomarańczowy klin światła. Marianne patrzyła na mnie intensywnie, jakby na tę chwilę czekała całe życie.

– Cóż, wobec tego powiedz, jaka jest twoja wersja wydarzeń?

– Byłam z Manchesteru.

– I co z tego?

– To, że tak czy owak, i tak by mi nie uwierzyli.

– Niemniej prawda była taka...

Marianne zrobiła poziomy ruch ręką, jak dyrygent uciszający orkiestrę. Słońce odbiło się w jej srebrnej bransoletce. Zamarłam, zdumiona jadem w wyrazie jej twarzy.

– Prawda była taka – prawda jest taka – że wróciłam do sypialni jakies pół

minuty przed tobą. Dziesięciofuntowy banknot leżał na podłodze przy schowku Annabel. Zobaczyłam go, kiedy szłam koło jej łóżka do swojego, i pomyślałam, że musi być jej. Więc go podniosłam, wysunęłam szufladę i już miałam go tam włożyć, kiedy weszłaś. Zobaczyłaś otwartą szufladę, pieniądze w mojej ręce i mimo że byłaś moją najlepszą przyjaciółką, natychmiast wyciągnęłaś mylny wniosek. Ale zanim zdążyłam wyjaśnić, jak było naprawdę, weszły inne i zapytały cię, co się dzieje, a ty, nawet nie pytając mnie o moją wersję wydarzeń, wypaliłaś, że kradnę. To był dla mnie koniec. – Wydała cichy dźwięk, imitujący trafiającą w cel strzałę. Minęło dwadzieścia lat. – Widzisz, wkładałam pieniądze do szuflady, a nie wyjmowałam. Ale jeśli wchodzisz w trakcie i nie wiesz, co się dzieje, i nawet się nie fatygujesz, żeby zapytać, no to oczywiście wygląda to tak samo.

Marianne siedziała bez ruchu, obserwując mnie. Odłożyłam pędzel. Kolory na płótnie były martwe. Sufit zawirował i opadł.

17

Siedziałam w wielkim fotelu w rogu kuchni, wychylona do przodu jak bokser na linach. Obok mnie leżała zamknięta *Franny i Zooey*. Nell była w swoim pokoju, esemesowała albo rozmawiała na Skypie, albo pisała na Facebooku, albo na Snapchacie, albo na Instagramie, albo na Tumblringu, albo na Whatsappiw, czy co tam robi całymi dniami, bo zwykle nie obejmuje to rozmów z nami. Arthur zabijał ludzi u Stana Reynoldsa na Sion Hill, mam nadzieję, że tylko na ekranie. To był pierwszy raz, kiedy poszedł tam sam. Mojej matce by się to nie spodobało, ale były okoliczności łagodzące. Te okoliczności łagodzące to ja.

Ed siedział na stołku przy wyspie, w szarym garniturze z wąskimi klapami. Miał go na sobie podczas przyjęcia u Pete'a. Jego wygląd był odwrotnością mojego samopoczucia: zdrowy, opalony, w dobrej formie. Kiedy ja byłam u Marianne, on grał w tenisa, szedł spacerem do pracy i jeździł z Arthurem na rowerze do Bath i z powrotem. Pływali w rzece, skakali z nieużywanego mostu kolejowego, machając rękami, z ustami zamarłymi w bezgłośnym krzyku. Blond włosy szesał z czoła, jakby brał udział w castingu na rolę w sztuce historycznej, a worki pod oczami zupełnie mu znikły.

Mimo aury dobrego samopoczucia Ed był wyraźnie wstrząśnięty, kiedy powiedziałam mu, dlaczego wróciłam do domu dzień wcześniej, niż zamierzałam, nawet jeśli próbował to ukryć. Wiedział, że tylko jakiś kryzys mógł sprawić, że odstąpię od malowania portretu – to była moja praca, moje życie – starał się więc przyjąć wiadomość spokojnie, w regularnych odstępach pomrukując „uhm”, „hm” oraz „okej” i starając się patrzeć na sprawę moimi oczami. W końcu poprosił mnie, żebym przyniosła niedokończony portret, którego nie pozwoliłam zabrać Marianne. „Na pamiątkę też nie?” – zagrychała, drąc ostentacyjnie czek, który zostawiłam, żeby pokryć jej depozyt. Ustawiłam portret przed nim, opierając go o półkę nad kominkiem. Z trudem

mogłam na niego patrzeć.

– Myślałem, że to dla ciebie artykuł wiary nigdy nie rezygnować z malowania.

Czułam się pusta w środku, pokonana.

– Tak było.

– Więc co się zmieniło?

– Wszystko.

Rozłożył ręce jak kapłan. Kiwałam się na krześle. Byłam winna Edowi wyjaśnienie, tak samo jak byłam je winna Marianne. W jej przypadku było to łatwiejsze. Nie była próżna i portret nigdy jej nie interesował. Interesowałam ją ja i Ed, i swego rodzaju odpłata za to, że ją zawiodłam – nie, więcej niż zawiodłam, za to, że odebrałam jej życiowe perspektywy. Portret był po prostu narzędziem do zyskania czasu i bliskości. Dostała, co chciała. Nic dziwnego, że miała gest i zwolniła mnie z kontraktu.

Kiedy Ed zobaczył, że nie mam zamiaru odpowiedzieć, wziął zdjęcie, które zrobiłam pozującej Marianne, pstryknął w jego róg i popatrzył na portret.

– Myślę, że jest bardzo dobry – powiedział. – Więcej, myślę, że jest... – pokręcił głową, szukał właściwego słowa – ...wspaniały. – Mimo wszystko prawie się uśmiechnęłam. Edowi zawsze można było zaufać, że wypowie swoje zdanie z minimum dramatyzmu. Nauczył się tego w pracy. – Oczywiście nigdy nie widziałem tej kobiety, ale sądząc po zdjęciu, portret trafia w dziesiątkę. Nie rozumiem, w czym problem.

– Bo to nie ona.

Podniósł zdjęcie i przytrzymał je obok portretu.

– Żartujesz. Na pewno żartujesz. Szczerze, nie rozróżniłbym, która z nich jest prawdziwa. Rozpoznałbym ją na ulicy.

Pokręciłam głową.

– Kochanie, powiedz, proszę, że to jakaś gra. Powiedz, że przywiozłaś portret, bo musisz go poprawić, popracować nad tłem, albo ona musiała wyjechać w interesach, albo był jakiś inny powód, żeby skończyć wcześniej. Powiedz, proszę, że tak naprawdę nie zrezygnowałaś z dalszej pracy. Bo według mnie to jest fantastyczne.

Przyglądałam się sękowi w drewnianej desce podłogi. Miał kształt klepsydry, jak w *Krzyku* Muncha. Wiedziałam, że nigdy tego nie zrozumie, ale byłam mu winna, żeby przynajmniej spróbować.

– Nie powinnam była tam jechać. To nie było właściwe miejsce, żeby to robić. Powinnam była o tym wiedzieć.

– Ale... co z nim jest nie tak? Popatrz na niego... Jest wspaniały.

Spojrzałam na portret jak przestępca zmuszony do skonfrontowania się z dowodami.

– Podobieństwo jest, ale to nie ona. To obrazek, nie portret. Nie ma w nim istoty Marianne. Nie uchwyciłam jej. Kompletnie mi się nie udało. I ja to wiem, i ona to wie. Nie było powrotu.

– Wydawało mi się, że mówiłaś, że zawsze jest możliwość powrotu, że można pracę poprawić, zdrapać farbę, zacząć od nowa, tak czy nie? Nie rozumiem, dlaczego teraz musiałaś zrezygnować. Nawet jeszcze nie zaczęłaś tła!

Ed wpatrywał się we mnie, czekając, że podam mu wyjaśnienie, które zrozumie, ale nie potrafiłam. Nie byłabym w stanie znowu znaleźć się w tym wielkim, nagim pokoju z szybami od podłogi po sufit, z jego bezlitosnym słońcem. Nie chciałam myśleć o Marianne w czarnej garsonce, o jej teoriach, o jej braku litości, o poczuciu, że jestem przesłuchiwana, zastraszana, analizowana, że się na mnie poluje i chwyta dla potomności.

– Bo to nie jest portret Marianne, to jest mój portret. W najlepszym wypadku to portret nas obu, wszystkiego, co się zdarzyło.

– Nie rozumiem. Zrozumiałe samo przez się, że to nie ty.

– To portret przedstawiający mnie w obecności Marianne. To studium mojej słabości, mojej pychy, nieumiejętności zrozumienia i w końcu – mojego upokorzenia. Możesz to zobaczyć w tym świdrującym spojrzeniu. Nie sądzę, żebyś to zobaczył, ale mówię ci, że tak właśnie jest. To nie jest portret Marianne. Nie potrafiłam go namalować. Nie byłam w stanie uchwycić jej istoty. Pomysł, że to ja malowałam jej portret, a nie odwrotnie, to jakiś żart.

Ed wpatrywał się w portret z determinacją, jakby przyglądając mu się wystarczająco uważnie, mógł wyłowić jakiś sens z moich słów. Był błądy. Nie rozumiał, ale inaczej nie potrafiłam tego wyjaśnić.

– To śmieszne! Nie ma w tym kompletnie nic z ciebie.

– Ed, słowo daję, że próbowałam. Może zaczęło się to jako jej portret, ale stało się portretem nas obu. Marianne i mnie, naszej relacji, naszej historii, a potem, jako że ona jest taka, jaka jest, skreśliło to w stronę moich stosunkach z tobą i tej kobiety, i wszystkiego, co się stało. Nie chciałam, żeby tak było, walczyłam, naprawdę walczyłam, ale ona... hm... ona grała na własnym boisku i była za silna. W końcu zrozumiałam, że nie potrafię namalować jej portretu, tak jak nie potrafię prowadzić jej biznesu.

Ed odwrócił zdjęcie do góry nogami, bokiem, zajął na odwrotną stronę,

kręcił w zakłopotaniu głową, usiłując – jakoś, jakkolwiek – sprawdzić, czy jest w stanie zrozumieć, o co mi chodzi. Patrzyłam na sęk w stylu Muncha w podłodze. Nie mogłam pomóc mu zrozumieć. Usłyszałam zgrzyt: Ed odepchnął stołek, podszedł do mnie, usiadł na poręczy fotela, ujął mnie pod brodę, unosząc głowę, aż nasze oczy się spotkały – moje niechętnie – i powiedział:

– Kochana, postaraj się zrozumieć, że to, co robimy, to najlepsze wyjście. Dla mnie – tak, oczywiście, to niewątpliwie jest dobre dla mnie – ale też dla ciebie i dla dzieci. Postaraj się to zrozumieć, a obiecuję ci, że wtedy wszystko stanie się znacznie łatwiejsze.

Często się mówi, że ludzie starsi pamiętają, gdzie byli, kiedy usłyszeli, że zamordowano JFK. Chyba to prawda, bo doskonale pamiętam, gdzie byłam, kiedy się dowiedziałam o śmierci księżnej Diany – równorzędny przykład sławnej w świecie osoby skoszonej za mojego życia. Jeśli zapytacie, byłam wtedy na JFK, chociaż zawsze wolałam pierwotną nazwę tego terminalu lotniczego: Idlewild, piękne słowo, które nie kojarzy się z brudem moralnym jaki towarzyszył Kennedym. Ale taki jest kraj wolności: błyszczący z zewnątrz, robaczywy w środku. Czekałam przy konwejerze z bagażami numer 7 razem z Robinem Seldonem, z którym po ukończeniu szkoły przemierzałam latem Stany, gdy nadeszła ta wiadomość. Zawsze uważałam, że śmierć Diany musiała być dla niej ulgą. Nie miała gdzie się podziać. Zaczynam rozumieć, co ona przeszła.

Wiadomość o Edzie usłyszałam w kuchni. Siedziałam przy wyspie i z martwym mózgiem, z palcami wczepionymi w kubek herbaty, kartkowałam bez celu egzemplarz „Hello!”, który Nell musiała gdzieś znaleźć. Priorytety pisma nie uległy zmianie. Simon był na motorówce z dwiema wymiennymi dziewczynami. Gwyneth pływała koło jachtu niedaleko Malibu. Blond dama, cała w wysokich butach, piersiach i botoksie, której, dam głowę, nigdy dotąd nie widziałam na oczy, zapraszała mnie do Surrey, do swojego domu stylizowanego na ranczo, żeby mi opowiedzieć, jak śmierć Jo (jej męża? jej córki? jej konia?) nauczyła ją cenić prywatność jeszcze bardziej niż dotąd.

Patrzyłam na jej tlenione włosy i chropawą cerę, na wyraz twarzy, mówiący o samotności, ale i niepoddawaniu się, i myślałam o wszystkich tych kamerach, światłach, mikrofonach, ludziach i kablach prowadzących przez oceany i lądy, przez plaże, ulice i klatki schodowe, zmieniających prawdziwe życie w pozory, dla przyjemności jakiegoś nieznanego, rozpartego w fotelu

człowieka. Myślałam o kamerach z czarnym okiem, które wpychali mi w twarz na ulicy, i o słynnej pierwszej linijce Isherwooda^[25], kiedy pojawił się Ed, przez chwilę jako widmowa sylwetka za szybą drzwi, potem we własnej osobie, postawny i godny zaufania. Był w garniturze, ale krawat miał poluzowany, a górny guzik rozpięty. W jego rozdętych nozdrzach był triumf. Rozejrzał się po pokoju, żeby sprawdzić, czy jestem sama, i powiedział:

– Słyszałaś wiadomości?

Głos miał podniecony, jak Nelly, kiedy mówi: „na peewno nie, tato”.

– Gwyneth jest w Malibu?

– Co? Nie...

– Zrób mi niespodziankę.

Jego twarz rozbłysła szerokim uśmiechem. Nie widziałam takiego uśmiechu, odkąd Plantageneci zasiadali na tronie.

– Odwołali.

– Co odwołali?

– Odwołali śledztwo w sprawie morderstwa. Policja. Odwołali pościg.

Twarz miał tak rozjaśnioną, tak rozjaśnioną, niczym u uczniaka, że zdobyłam się tylko na...

– Och, kochany!

...i poczułam, że ściany się wałą, a z oczu trysnęły mi łzy (radości? rozpacz? tego i tego?). Nie chciałam, żeby widział, jak płacę, więc przytuliłam głowę do jego piersi. Obejmowałam go mocno, po raz pierwszy od bardzo dawna, tak jakby zależało od tego moje życie, a powinnam to była robić przez cały czas w ciągu tych minionych tygodni.

– Dostałem maila od tego faceta, Pullena, który cię zabrał na komisariat. Ty też dostałaś. Jestem zaskoczony, że go nie czytałaś. – Milczałam. Nie musiał wiedzieć, że odkąd wróciłam od Marianne, ani razu nie zajrzałam do poczty. Na pewno nie było w niej żadnych dobrych wiadomości. – Napisał, że sprawdzili każdy trop, przeanalizowali wszystkie zeznania i do niczego ich to nie doprowadziło. Więc doszli do wniosku, że to był wypadek i zamierzają odłożyć dochodzenie na półkę, chyba że pojawi się coś nowego. Ładnie z ich strony, że nas powiadomili. Teraz myślą, że nie wzięła leków – podczas sekcji nie stwierdzono w jej ciele żadnego, a podobno powinny być, bo miała pozapisywane różne rzeczy... że pośliznęła się i upadła, i uderzyła się w głowę. Sprawa zamknięta. Albo raczej niezupełnie zamknięta, tylko włożona do teczki z napisem: „nie otwierać, dopóki nie pojawią się nowe dowody”.

Podniosłam głowę i wycisnęłam z siebie szczęście.

– Och, kochany, to cudowna wiadomość.

I może przez chwilę naprawdę tak myślałam, i że możemy się cofnąć do punktu, w którym byliśmy przed przyjęciem u Petera Spurlinga. Ale kiedy spojrzałam na twarz Eda, zdałam sobie sprawę, że nie słyszał moich słów, tak szczerze był spowity w triumf, ulgę i radość, i całe zadowolenie ze mnie wyciekło. Nie mogłam go winić, że ogarnęło go uniesienie, ale to uniesienie brało pod uwagę tylko to, co sam przeżył, a nie to, co nadal przeżywałam ja, ani to, co będzie nas oplątywać na zawsze. Ed zawsze patrzył przed siebie, ale jego nieskrywany zachwyt, jego oczywista głuchota mówiły bardzo wiele. Wszystko znowu było w porządku i świat według Edwarda Sheahana mógł po prostu toczyć się dalej. Nie było odrobiny wątpliwości, miejsca na sprawiedliwość, potrzeby prawdy. Nie było miejsca dla mnie.

– Pójdziemy na kolację? W jakieś szczególne miejsce. – W oczach miał blask, w głosie wylewność.

Wyplątałam się. Nie zniósłabym kolacji na mieście, we dwoje. Ale nie chciałam psuć mu przyjemności, więc rozważnym głosem, próbując ukryć rozpacz, powiedziałam:

– To chyba nie jest powód do świętowania, nawet jeśli to wspaniała wiadomość. Zrozum, ktoś przecież umarł.

Jakby ktoś wyłączył lampę. Po chwili odpowiedział cichym, ale stanowczym głosem.

– Kochana, nic nie może zmienić przeszłości. Ale zmieniła się przyszłość, nasza przyszłość.

– Przyszłość jej rodziców?

Wydał długie westchnienie, na twarzy miał wymalowane rozczarowanie, jak bankructwo.

– Kochanie, wypadki się zdarzają. Obejrzyj wiadomości, dowolnego dnia. Wojny, powodzie, susze, choroby, nędza, wszelkie rodzaje śmierci – to nas otacza na co dzień. W większości to nawet nie wypadek, tylko stały element życia. To, co się zdarzyło dzisiaj, nie położy kresu przemocy w Somalii i nie uratuje krajowej służby zdrowia, ale ratuje nas, a co ważniejsze – dzieci.

– Ratuje ciebie. – Starłam się, żeby zabrzmiało to ironicznie albo dowcipnie, ale po jego oczach poznałam, że mi się nie udało.

– Okej, tak. I ratuje mnie.

– No i bardzo dobrze.

I było dobrze. Wyciągnęłam ramiona i objęłam go za szyję. Nachylił się, żeby pocałować mnie w usta. Objął mnie i przygarnął. Poczułam miękkość

jego warg na moich i znów dopadło mnie poczucie winy. Ale przecież to nie był przypadek albo-albo. Wyniki binarne należą do świata matematyki. Tu chodziło o ludzi, realnych ludzi, którzy jedzą, piją, pocą się, klną, są chciwi, boją się. Nawet jeśli te wargi całowały tamtą kobietę, nawet jeśli to ciało spało z tamtą kobietą i nawet jeśli w bezpośredniej tego konsekwencji straciła życie, może naprawdę sama to na siebie ściągnęła?

Jak my wszyscy, czyż nie?

Ed śpiewał w wannie. Głos miał nie taki zły, chociaż i nie za dobry. Śpiewał *Odę do radości*, w przybliżeniu tylko markując brzmienie słów, bo nie znał niemieckiego. Można by powiedzieć, że nucił melodię, ale i tego nie robił. Tak naprawdę wydawał dźwięki przypominające *Odę do radości*, żeby powiedzieć światu, że wszystko jest w porządku, a on znowu jest zadowolony ze swojego miejsca w świecie.

Leżałam w sąsiednim pokoju na naszym łóżku i patrzyłam w zielonkawoniebieskie niebo. Stopniowo jego śpiew zaczął mi działać na nerwy. Nie powinien, bo przecież to całkowicie zrozumiałe, że Ed czuje się jak nowo narodzony, ale i tak działał. Co miałam powiedzieć? Ja nie czułam się jak nowo narodzona. Czułam się, jakbym leżała na polu czarnych tulipanów z pochylonymi główkami. Wszystko mnie swędziało, bolały mnie nogi. Mózg miałam jak w imadle. W wyobraźni widziałam moją pustą pracownię, zagruntowane płótna, czyste pędzle, świeżą farbę na palcie, ale jedyne, o czym potrafiłam myśleć, to że nie jestem w stanie pójść na górę i zabrać się do pracy, bo głos Eda blokował wszystko.

Musiałam wstać, wyjść, pójść gdzieś, żeby się stąd wyrwać, ale upał był obezwładniający, ręce i nogi miałam jak z ołowiu. Nie mogłam oddychać. Powietrze było nieruchome, zza otwartych okien nie dochodziły żadne dźwięki, tylko Ed wypełniał dom swoją radością. Zamknęłam oczy, zatkałam kciukami uszy i zacisnęłam nos palcami, ale on zaczął powtarzać w kółko na cały głos „Freude schöner...” Ten napastliwy, niepowstrzymany hałas – to nie był śpiew, nikt choć trochę muzykalny nie uznałby tego za śpiew – sprawił, że poczułam się jak Alex w *Mechanicznej pomarańczy*, przywiązana do fotela i doprowadzana do szału wciskany mi na siłę Beethovenem. Nie mogłam już tego znieść.

– Ed, zamknij się, proszę! – wrzasnęłam.

Śpiew urwał się w połowie słowa. Z wahaniem otworzyłam oczy. Arthur

patrzył na mnie z zatroskaną miną.

– Mamo, co ci jest?

– Nic... po prostu... śpiew taty... jest taki okropny. – Staralam się uśmiechnąć. – Zawsze był.

– Ale on śpiewał tylko dla siebie.

Zerwałam się z łóżka. Arthur pospiesznie się odsunął, zaskoczony moim nagłym ruchem. Nie wiem, co by się stało, gdybym została w domu jeszcze minutę. To, Ed, upał, wszystko mnie dławilo, osaczało, przywoływało od dawna zapomnianą klaustrofobię. Nie mówiąc do Arthura ani słowa (nie było nic, co mogłabym powiedzieć), wrzuciłam jakieś trampki i zbiegłam na dół. Minęłam Nell, która zamachała do mnie od kuchennego stołu gdzie piętrzyły się stosy podręczników ze sprawdzianami. O Boże! Zupełnie zapomniałam napisać jej rano SMS-a z życzeniami szczęścia na egzaminach. Zabrakło mi energii, żeby odpowiedzieć jej machnięciem.

Już za drzwiami, w połowie ścieżki, zdałam sobie sprawę, że nie wiem, dokąd iść. Przed siebie, w stronę rzeki czy na zachód, do wąwozu? Letni wieczór nad brzegiem rzeki to będzie orgia kolorów, parada psiarzy, skateboardzystów, rowerzystów, starszych par wdychających świeże powietrze, emerytów z balkonikami, pijaków na nabrzeżach majtających nogami nad wodą. W sam raz dla Seurata. Wioślarze będą się ślizgać po lśniącej wodzie, windsurferzy zmagać się z żaglami, fale wypisywać coś na kadłubie bristolskiego promu. Brzeg rzeki pomieści wiele, jak powiedziała by Whitman^[26].

To był problem. Mogłabym spotkać znajomych. Nie wiedziałam, czy policja wydała jakieś oświadczenie, ale jeśli tak, chyba nie wiedziałabym, co zrobić z ich przekonaniem, że mi ulżyło, albo z ich odzyskaną wiarą w naszą niewinność („Oczywiście, zawsze z Bobem wiedzieliśmy...”). Postanowiłam więc pójść w stronę Polygonu ocienioną drzewami dróżką prowadzącą od Cornwallis Crescent, zawsze ciemną, cichą i pustą. Nie dosięga jej żadne słońce ani żaden dźwięk. To miejsce z perspektywą i głębią.

Otworzyłam furtkę, a tam, tuż na nią, w nieoznakowanym bmw z opuszczonymi szybami siedział Philips. Nasze oczy się spotkały. Zawahałam się, niepewna, jak się zachować. Nie miałam zamiaru nic mówić, chyba że musiałabym, ale zanim zdecydowałam, co robić – oczywiście nie mogłam się wycofać do domu – powoli, znacząco skinął głową i uśmiechnął się jadowicie. Zadrżałam mimo upału. Przeszywający jak strzała wzrok Philipsa był wyrokiem śmierci. Nie mówiąc ani słowa, nie odwracając wzroku,

włączył zapłon i zerknąwszy w boczne lustro, ruszył i odjechał.

Przez kilka chwil stałam znieruchomiała, dopóki nie upewniłam się, że go nie ma. Moim pierwszym odruchem było wrócić i powiedzieć Edowi, że Philips nadal zajmuje się naszą sprawą, ale przypomniałam sobie łóżko i wannę, jego śpiew i moją pustą pracownię, i wiedziałam, że na razie nie będę w stanie wrócić.

Kompletnie skonana, ruszyłam w stronę wąwozu i Polygonu, osiedla w formie georgiańskiego półksiężycy o wytwornych proporcjach. Kiedy tam dotarłam, usiadłam na ławce i myślałam o Philipsie. Nie mogłam znieść myśli o jego triumfie, o jego świecącej twarzy i śmiesznych wąsach, o wzorku na jego absurdalnych kowbojkach, ale nie mogłam ścierpieć także status quo. Znalazłam się w płynnym świetle, gdzie nic nie było stałe, niczego nie można było postanowić. Ale wiedziałam, że oszaleję, jeśli nie zmuszę się do myślenia o sprawach niezwiązanych ani ze mną, ani z Edem, ani z Philipsem, ani ze sprawiedliwością, ani z wiadomościami w Internecie. Przywołałam więc w głowie serię *Ocean Park* Richarda Diebenkorna^[27] i myślałam o jego rzadkiej równowadze koloru i kreski. Ruszyłam obok Hope Square w górę Granby Hill, minęłam Avon Gorge Hotel i poszłam w stronę Christchurch Green, jego okazałych, ocienionych drzewami domów. Na Sion Hill leżały na trawie pary, tak jak ja leżałam, ale Ed nie leżał w dniu, kiedy zginęła tamta kobieta. Nikt na mnie nie patrzył, kiedy przechodziłam. Dla zabicia czasu przespacerowałam się przez Clifton Village do Victoria Square, gdzie usiadłam na niskim kamiennym murku i wystawiłam twarz do słońca. Patrzyłam, jak dwóch chłopaczków w jaskrawoczerwonych koszulkach gra w futbol, a ich matka albo opiekunka siedzi na kocu, czyta „Marie Claire” i pali papierosa.

W końcu wyżełam z Diebenkorna ostatnie krople, ale nadal nie miałam ochoty wracać do domu, spróbowałam więc sobie przypomnieć, jak na egzaminie z architektury, ozdobne detale budynków na Manhattanie. Zaczęłam od Chryslera, mojego ulubionego, na drugim miejscu był Flatiron, na trzecim – typowy dla Nowego Jorku budynek z czerwono-brunatnego piaskowca, w którym się kiedyś zatrzymałam, przy stacji metra Bowery. Byłam zdecydowana nie myśleć o Edzie i jego tajemnicy, która z jednej strony cudownie przestała istnieć, z drugiej strony jednak – nadal istniała. W końcu w ogóle przestałam myśleć i tylko patrzyłam, jak plac oddycha. Jakiś mężczyzna, siedząc na zadku, próbował bez powodzenia rozpalić jednorazowego grilla. Rozejrzał się ze złością, odsunął do góry słomkowy kapelusz, wytarł czoło i upił łyk piwa z

butelki. W jego ruchach był pośpiech, sugerujący podskórny gniew. Farbowana blondynka w poszarzałych czarnych dżinsach z cięciami na kolanach i w workowatym T-shircie z Homerem Simpsonem zrzuciła kopnięciem buty i leżała na plecach, za poduszkę mając grubą książkę w miękkiej okładce. Jej chłopak bawił się telefonem.

Wreszcie powoli ruszyłam do domu. Szłam i starałam się ominąć myślami fakt – tak, fakt, Marianne! – że o ile Philips nas nie dopadnie, będę musiała żyć z kłamstwem Eda na zawsze. Czy na zawsze wpłynie to na moją sztukę? Sztuka to poszukiwanie prawdy, każdy obraz to zestaw problemów, które należy uczciwie rozwiązać. Usiadłam na ławce na zeschniętej trawie Clifton Hill i wpatrywałam się w mgiełkę nad południowym Bristolem. Nie było rozwiązania. W końcu nie miałam wyboru, musiałam zejść ze wzgórza i ruszyć do domu.

Nie wiem dlaczego, zanim otworzyłam drzwi, zajrzałam przez okno do kuchni. Natychmiast tego pożałowałam. Ed, Arthur i Nell siedzieli wokół wyspy, jedząc pieczonego łososia z pesto, ulubione danie Nell, i śmiali się na całe gardło. Arthur dosłownie pokładał się ze śmiechu. Odsunął talerz i zgięty wpół wsparł czoło o krawędź blatu, a ramiona mu się trzęsły. Nell zanosila się radosnym rechotem, a ilekroć próbowała się opanować, chwyciła spojrzenie Eda i zaczynała na nowo. Wspierała się o niego, a on obejmował ją ramieniem. Nie wiem, co Ed powiedział, ale promieniał, jego miejsce w centrum rodziny znów było pewne i bezpieczne, bezwarunkowa miłość dzieci zapewniona. Stałam na zewnątrz ponad minutę i patrzyłam, jak śmieją się z jakiegoś ich prywatnego dowcipu.

Kiedy weszłam do kuchni, śmiech przeszedł w pełną zakłopotania ciszę. Nikt nie usłyszał otwierania drzwi wejściowych.

– Cześć. – Starałam się, żeby to wypadło na luzie, jakby fakt, że zarykiwali się ze śmiechu, gdy ja wypadłam z domu jak burza, w ogóle nic nie znaczył. – Widzę, że dobrze się bawicie.

Moja jowialność zabrzmiała pusto, bo też taka była. Rozległ się stłumiony chichot Nell. Arthur przyciągnął do siebie talerz. Odezwał się Ed.

– Mam nadzieję, że nie masz mi za złe. Tak długo cię nie było, że przyrządziłem łososia. Wybór Nell. – Zerknął na Nell, która znowu z trudem hamowała śmiech.

– Właśnie widzę. – Starałam się, żeby nie wyjść na zirytowaną.

– Przyjemny miałaś spacer?

Było oczywiste, że jest tylko uprzejmy, ale w głosie miał gorliwość. Chciał,

żeby wszystko było dla mnie równie dobre, jak było dla nich trojga, żeby zegar wrócił do czasu sprzed przyjęcia u Petera Spurlinga. Nie mogłam go za to winić. Ale czasu nie da się cofnąć.

– Świetny.

Moja przygaszona odpowiedź najwyraźniej wcale nie wpłynęła na jego nastrój.

– Nie zapomniałaś o czymś? – zapytał radośnie. Arthur uniósł brwi w stronę Nell i wydał krótkie finałowe parsknięcie. Ed promieniał zadowoleniem.

– Hm...?

– A klub książki?

Klub książki! Pierwszy raz od dnia, kiedy umarła tamta kobieta. Widziałam po jego minie, że tego nie kojarzy. Żeby powstrzymać się przed słowami, których mogłabym żałować, spojrzałam na kuchenny zegar. Dwadzieścia po ósmej.

– No właśnie. Dzwoniła Geraldine i pytała, co z tobą.

Przez sekundę zastanawiałam się, czy zdołam stanąć twarzą w twarz z członkami klubu, ale zarazem wiedziałam, że byłoby to lepsze dla tego pokoju, dla uciętego żartu, dla kolacji przerywanej moją obecnością.

– Boże, chyba lepiej pójde.

Rozejrzałam się za torbą.

– Na kanapie. I jest jakaś kartka do ciebie na stole.

Usłyszałam ulgę w jego głosie. Chwyciłam torbę i różową kopertę, wymamrotałam: „Dziękuję, do zobaczenia” – i ruszyłam do drzwi, w pełni świadoma, że zabieram ze sobą atmosferę, którą wprowadziłam. Milczenie trwało, dopóki nie zamknęłam drzwi. Wyobraziłam sobie wybuch śmiechu, który temu towarzyszył. Żeby oderwać się myślami od sceny, którą za sobą zostawiałam, otworzyłam kopertę i wyjęłam kartkę. Był na niej odręczny rysunek niemożliwych do zidentyfikowania kwiatów w wazonie. Miały jaskrawe kolory, tak jakby to była praca dziecka ze szkoły podstawowej. Na odwrocie, dużymi, ozdobnymi literami, było napisane:

Droga Alice, śpiewasz piękniej niż geniusz morza^[28]. Matt dużo mi opowiadał. Mam nadzieję, że się kiedyś spotkamy. Nigdy nie zdołam ci dostatecznie podziękować.

Pozdrawiam cię serdecznie – Jo.

18

Od czasu rozwodu Geraldine mieszkała samotnie w wiktoriańskim domku bez werandy, w Redland. Jej mąż, także internista, uciekł jakieś piętnaście lat temu z lekarką zatrudnioną w przychodni, którą prowadzili wspólnie z Geraldine. Zostawił ją z trójką nastoletnich dzieci. Miał pod pięćdziesiątkę, kiedy od niej odszedł, zmęczony kieratem hipoteki i czesnego, dwukrotnego urlopu w ciągu roku i brakiem jakichkolwiek oszczędności. Jakby jej to nie męczyło... Znalazł sobie kobietę, jak się okazało znacznie młodszą, która, jak powiedział, rozumie go i kocha za to, jaki jest, a nie za to, co jej może zapewnić. Jeden wytarty banał, sześć istnień przewróconych do góry nogami, dzieci skrzywdzone w jakiś fundamentalny, choć trudny do określenia sposób. Najstarsza córka Geraldine założyła rodzinę i sama już była matką, ale tamta pustka będzie równie trudna do wypełnienia, jak echo. Kiedy powiedziałam o tym Edowi, pokręcił głową i rzekł: „Jak można zrobić coś takiego własnym dzieciom?” To były dni, kiedy mógł – mogliśmy – pozwolić sobie sobie poczucie moralnej wyższości.

Klub książki, kiedy w końcu dotarłam na miejsce, rozbrzmiewał znajomymi pomrukami. Spotkanie prowadził John, jak zwykle. Diana była nieobecna bez wyjaśnień, jak zwykle. Peter pił za dużo, jak zwykle. Neil, jak zwykle, bazgrał zielonym atramentem uwagi na marginesach, chociaż przyłapałam go na tym, że dziwnie na mnie zerka. Fiona była jak zawsze uszczypliwa. Miała na sobie czarny strój z lycry z jaskrawożółtymi paskami bezpieczeństwa. Sarah milczała. Geraldine, pogdakując, nalewała australijskie chardonnay i chilijskiego merlota i kroїła grube pajdy domowego chleba do rybnego curry z mlekiem kokosowym, imbirem i chili.

– Myślałam o tobie. Miałam wpaść – powiedziała, otwierając drzwi, z tym swoim słabo już tylko wyczuwalnym akcentem z Morningside. – Ale pomyślałam, że to ostatnia rzecz, jakiej potrzebujesz

To mi przypomniało, że Ed i ja nadal jesteśmy dla wszystkich lokalnymi gwiazdami słynnej bristolskiej obławy na mordercę, nawet jeśli zredukowano ją do zwykłego ustalania, czy kobieta brała pigułki, czy nie. Nieoczekiwanie ścisnęło mnie w gardle i z trudem wydobyłam z siebie „dziękuję”.

Franny i Zoey – mój wybór – nie był wyborem popularnym. Wszyscy uważali, że Franny to zepsuty bachor, któremu potrzebny jest solidny klaps. Peter postawił kieliszek wina na dłoni i obracając nim kolistym ruchem, mówił:

– Było mi nawet żal tego głupka, z którym chodziła. Jak brzmiał ten rozkoszny kawałek, kiedy powiedziała, że trzeba być trupem albo należeć do bohemy, żeby zostać poetą? Albo być błaznem z kręconymi włosami? Uwielbiam to!

Nie miałam energii, żeby jej bronić, chociaż pokochałam tę książkę, odkąd ją przeczytałam jednym tchem na Didcot Parkway, kiedy czekałam na opóźniony pociąg do Oksfordu, żeby spotkać się z pewnym chłopakiem. Dla mnie Franny zawsze była idealistką, która pragnęła tylko tego, żeby świat był doskonały, i usiłowała zrozumieć, dlaczego tak nie może być, a to boli.

Wychodziliśmy pojedynczo albo w parach, pokrzykując „cześć”, „do widzenia” i jak to nie możemy się doczekać kolejnego spotkania. Kiedy zamknęły się za nami drzwi, znalazłam się na chodniku z Neilem. Wyjął paczkę papierosów i poczęstował mnie. Pokręciłam głową. Od lat nie paliłam. Gdybym znowu zaczęła robić to, co robię, za tydzień wypalałabym pięćdziesiąt dziennie. Błysnęła zapałka i poszliśmy w stronę samochodów. Obok nas chwiejnym krokiem przeszły dwie studentki w takich samych sportowych podkoszulkach, chichocząc i podtrzymując się wzajemnie, prosto z restauracji The Kensington. Kiedy przechodziły, Neil odsunął się, żeby się im dobrze przyjrzeć. Wydmuchał kółko dymu, które uniosło się, powiększyło i rozwiało, i spytał:

- Wszystko okej?
- Aha, dziękuję.
- A co z policją i w ogóle?
- Już po wszystkim. A właściwie to w ogóle niczego nie było.
- Tylko ty się trochę spóźniłaś. Na obiad.

Stałam jak wryta. Gdzie ja już słyszałam to słowo – obiad, pora obiadu, w sensie wieczornego posiłku? Nagle sobie przypomniałam i momentalnie się cofnęłam.

- O Boże! To byłeś ty, prawda?

– Ja? Niby co?

– To ty im powiedziałaś – wysyczałam.

– Komu co powiedziałem?

Popatrzył na mnie z ukosa.

– To ty powiedziałaś policji, że widziałeś Eda na Stokes Croft, wieczorem w dniu morderstwa, wypadku czy jak tam oni teraz o tym myślą, tego dnia, kiedy zginęła ta dziewczyna. To byłeś ty, prawda? W porze obiadu. Tak powiedziałeś.

Mikropauza. Popatrzył w górę, szukając odpowiedzi. Nie było odpowiedzi. Przyszpiliłam go.

– Ty pieprzony idioto! Dlaczego to zrobiłeś?

Neil cofnął się o krok. Najwyraźniej wyglądałam, jakbym była gotowa się na niego rzucić, i niewątpliwie byłam wkurzona, ale powstrzymał mnie jego ewidentny strach. Łagodniejszym, ale nadal natarczywym tonem mówiłam dalej:

– To ty zrobiłeś, prawda? – Nerwowo postukał palcem w papierosa, ale nic nie powiedział. Popiół upadł na asfalt. – Dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś, zamiast do nas przyjść? Bo moglibyśmy cię zabić? – Nie odpowiedział, patrzył tylko na drogę. – Na litość boską, i tak mieliśmy poważne kłopoty, a tu jeszcze pojawia się w sobotę po południu jakiś facet i próbuje wymusić ze mnie jakieś wyznanie, tylko dlatego, że powiedziałeś, że widziałeś Eda, chociaż go nie widziałeś!

Neil wyglądał, jakby toczyła się w nim jakaś wewnętrzna walka. Po dłuższej chwili odezwał się cicho:

– Naprawdę go widziałem.

– Nie mogłeś go widzieć.

– Dużo o tym myślałem. To na pewno był twój mąż.

– To niemożliwe. Zresztą ledwie wiesz, jak Ed wygląda.

– Widziałem go dwa razy, jak spotkanie klubu było u ciebie. Wyszukałem go w Google, jak was aresztowali. Jego zdjęcie było w gazecie.

– Dwa razy? I wyszukałeś w Google? No tak, to rozstrzyga sprawę. – Neil wyglądał na trochę zawstydzonego. – I nie aresztowali nas, tylko chcieli zadać parę pytań.

Ku memu zaskoczeniu Neil zaczął kręcić głową i popatrzył mi prosto w oczy. Jego odnowiona pewność siebie zdenerwowała mnie.

– To był on. Wiem.

– To nie mógł być on. – Musiałam załatwić to teraz.

– Dlaczego?

– Bo o szóstej byłam z nim na Brandon Hill.

Neil mimowolnie wydał triumfalny kwik.

– To dlaczego mi o tym nie wspomiałaś? Kiedy ci powiedziałem, że go widziałem, powinnaś była wyjaśnić, że nie mogłem go widzieć, bo byliście razem na Brandon Hill. Właśnie to, że o tym nie wspomiałaś, skłoniło mnie, żeby powiadomić policję, kiedy przeczytałem w gazecie, że Eda aresztowali. Pomyślałem, że to ważny dowód.

Mało mnie nie zatkało, ale teraz bardziej z gniewu niż ze strachu. Spod jakiego kamienia wypełził Neil? Ja też zachowałam się wobec Marnie jak Judasz, ale przynajmniej w oczy. Jak tylko mogłam zimno i nieśpiesznie wycedziłam:

– Bo powiedziałaś, że widziałeś go w „porze obiadu”. To dokładnie twoje słowa. Ale kiedy to mówiłaś, jedliśmy kolację u Sarah. Więc w oczywisty sposób założyłam, że użyłaś określenia „pora obiadu” w znaczeniu „pora lunchu”, a nie „pora kolacji”. Gdybym pomyślała, że mówiąc „pora obiadowa”, miałaś na myśli godzinę szóstą, to oczywiście powiedziałabym, że się mylisz.

Chwała Neila-tropiciela zbrodni rozwiązała się. Zastąpiło ją nieznaczne wzruszenie ramieniem i zgrzytnięcie zębami. Sherlock w okularach przeciwsłonecznych, ale bez czapki z dwoma daszkami. Rzucił papierosa na drogę, przydeptał, zmarszczył brwi, zacisnął zęby, ale nic nie powiedział.

– Więc następnym razem, kiedy zachce ci się oskarżać mojego męża czy kogokolwiek o zamordowanie kogoś, kto, jak się okazało, w rzeczywistości zmarł w wyniku wypadku, miej, proszę, chociaż trochę przyzwoitości, żeby powiedzieć mu to w twarz. Ludzie tacy jak ty budzą u mnie odruch wymiotny. Dobranoc.

Odwróciłam się plecami i odeszłam. Ale robiąc to, byłam pewna, że słyszę, jak Neil mówi, tak jakby chciał się w tym utwierdzić albo jakby powtarzał to do ukrytego mikrofonu na użytek kogoś, kto słuchał:

– Wiem, że to był on.

Siedziałam w samochodzie i myślałam o Neilu, bo nie chciałam wchodzić. Nie chciałam rozmawiać. Nie chciałam widzieć Eda. Nie chciałam przypominać sobie sceny z „pory kolacji”, tego przerywanego dowcipu. Więc zaparkowałam przed domem i po prostu siedziałam, patrząc na ciemniejące

zarysy koron drzew i światła na rzece.

O północy, żeby oderwać się od własnego nierozwiązalnego problemu, włączyłam wiadomości. Moje życie, ten problem były tak odległe od globalnej sceny. Gdzieś tam, w nierealnym świecie, jakiś bank osiągnął punkt, od którego nie było powrotu. Puścili fragment wypowiedzi prezesa, który zapewniał, że ma szansę na spłatę swoich długów, i prosił o czas na uporządkowanie finansów. Mówił jak twardy mężczyzna, który zrobi wszystko, co trzeba. Musiał zrobić wszystko, co trzeba, żeby zostać szefem w takim gnieździe szerszeni, kłębiącym się od ambicji i chciwości. I wziął, co był w stanie wziąć. Może dlatego rynek odbierał mu wszystko z powrotem. Albo po prostu mu nie ufał. Smutne. Bo jeśli od kogoś zależy egzystencja rodzin i dzieci, to trzeba temu komuś ufać.

Wtem kliknęły drzwi od strony pasażera. Przez jedną koszmarną chwilę myślałam, że to napad, ale w uchylonych drzwiczkach pojawiła się twarz Eda, blada i widmowa. Odgarnął opadającą mu na czoło grzywę włosów.

– Kochanie, co z tobą? Wszystko dobrze? – W jego głosie był prawdziwy niepokój.

– Tak. A ty co tu robisz?

Wsunął się na miejsce pasażera, zostawiając otwarte drzwiczki, lewa noga dyndała mu nad jezdnią jak dziecku na rowerze bez tylnych hamulców. Słyszałam jego oddech i jak stukot własnego serca czułam jego fizyczność obok siebie. W tej chwili wołałabym być gdziekolwiek na świecie niż w samochodzie z własnym mężem. Ed położył mi delikatnie rękę na ramieniu. Zesztywniałam. Nic nie mogłam na to poradzić. Wyczuł mój dyskomfort i ręka opadła mu na drążek zmiany biegów. Miał na sobie beżową koszulę z kieszeniami na piersi, którą sobie kupił, kiedy jechaliśmy na safari.

– Martwiłem się. Nie wiedziałam, gdzie się podziałaś. – Wychylił się do przodu i z ręką zawieszoną nad wyłącznikiem radia zapytał. – Mogę?

Wzruszyłam ramionami.

– Byłam w klubie książki. Wiedziałaś o tym.

– Ale nie aż tak długo. Martwiłem się.

Spojrzałam przez przednią szybę na tył stojącego przed nami samochodu. To było volvo kombi. Taka jest normalność.

– Kochana, proszę. Wiem, że jesteś zestresowana. To był dla ciebie bardzo ciężki czas, wiem o tym. Był ciężki dla nas obojga, i wierz mi, naprawdę bardzo mi przykro i naprawdę bardzo doceniam twoje wsparcie i wszystko, co zrobiłaś i co musiałaś znieść.

Długo nie odpowiadałam. Nie wiedziałam, jak powiedzieć prawdę. W końcu, żeby tego uniknąć, powiedziałam:

– Philips wie.

– Co to znaczy, Philips wie? Kto to jest Philips?

– Jeden z policjantów, którzy mnie przesłuchiwali. Ten, który przyszedł w tamtą sobotę, żeby mnie jeszcze raz odpytać. Siedział w samochodzie przed furtką, kiedy wychodziłam.

W świetle latarni Ed wyglądał bladziej niż zazwyczaj.

– Co mówił?

– Nic.

– Nic? To skąd wiesz, że on wie? To mógł być zbieg okoliczności.

Zagapiłam się na kierownicę.

– Wie. Czekał na mnie. Bóg jeden wie, jak długo tam siedział. Kiedy wyszłam, spojrzał tylko na mnie, kiwnął głową i odjechał. W praktyce powiedział, że chociaż oficjalnie odwołali śledztwo, to wie, że jesteśmy winni i nie ma zamiaru nam odpuścić. Chciał, żebym o tym wiedziała.

Ed myślał przez chwilę.

– Nie panikuj, kochanie, wystarczy, żebyśmy siedzieli cicho. Pomyśl: gdyby cokolwiek na nas mieli, nie odwołaliby śledztwa. On blefuje, słowo ci daję. Sprawdza, czy uda mu się zbić cię z tropu.

– Neil też wie.

– Neil?

– Z klubu książki. To ten, który widział cię na Stokes Croft wieczorem tego dnia, kiedy ona zginęła.

– Ale nie ma żadnego dowodu, inaczej poszedłby na policję.

– Poszedł. Dlatego Philips przyszedł w tamtą sobotę.

– A potem odwołali śledztwo. Bo nie mieli żadnej możliwości, żeby to udowodnić. Byliśmy na Brandon Hill. Kochana, musisz myśleć pozytywnie.

– Ale jeśli obaj wiedzą tak dużo, a Marnie sama do tego doszła, to kto jeszcze wie? Co my mamy z tym zrobić? Nie wiem, jak długo to wszystko wytrzymam.

– Nie ma żadnego „tego wszystkiego”, kochanie, oni nic nie mają.

– Nie wydaje mi się.

– Mimo że policja oficjalnie...

– Mimo że.

Zapadła cisza, tak długa, że pomyślałam, że może wysiadł z samochodu. Miły wietrzyk wpadł przez otwarte drzwi.

– Kochana moja, obiecuję ci, że wszystko będzie okej. Potrzebujesz po prostu trochę czasu, żeby to wszystko ogarnąć. Powinnaś na jakiś czas wyjechać, wyluzować się, odstresować.

– Wyjechać?

– Tak. Myślę, że dobrze by ci to zrobiło. Myślę, że potrzebujesz odpoczynku.

– Nie potrzebuję odpoczynku. Potrzebuję się uporać z tym... z tą sprawą, w taki czy inny sposób.

– Wiem. I myślę, że jeśli na jakiś czas się wyłączysz, to w jakiejś chwili dotrze do ciebie, że to naprawdę najlepsze dla nas wszystkich. Dla dzieci.

– Dokąd według ciebie miałabym pojechać?

Powiedziałam to obronnym tonem, chociaż nie zamierzałam.

– Dokąd chcesz. W jakieś przyjemne miejsce. Jeśli chcesz, zabierz dzieci. Jeśli nie chcesz, zostaw je. Pojedź ze znajomymi. Pojedź sama. Co tylko zechcesz. – Przerwał, żeby sprawdzić, czy się rozchmurzyłam. Nie rozchmurzyłam się. – Zapomnij o malowaniu, zapomnij o wszystkim, po prostu wyjedź i się rozerwij. Niech to będzie czas tylko dla ciebie. Zabierz ze sobą jakąś przyjaciółkę. Co tylko chcesz, moje kochanie. Sama się zdziwisz, jak dobrze ci to zrobi.

Jego profil był twardy, ale głos miękki, zachęcający. Nagle zapragnęłam go uścisnąć. Naprawdę rozumiał, co przeżywam, i starał się jak mógł, żeby mi ulżyć. Znowu spojrzałam na auto za przednią szybą.

– Z tobą?

Pokręcił głową.

– Lepiej nie.

Naprawdę rozumiał.

– Na jak długo?

– Jak długo zechcesz.

Ścisnęłam go za ramię.

– Dokąd mam pojechać?

– Dokąd tylko zechcesz.

– Europa?

– Gdzie chcesz.

Myślałam przez chwilę. Czy pojechać tam, gdzie czułam się najszcześniejsza, czy tam, gdzie jeszcze nigdy nie byłam? Gdzie byłam najszcześniejsza? Rozwinęła się szpula z obrazami. Góry za mgłą, zakurzone drogi. Turkusowe morze, cytrynowce, gaje oliwne. Najszcześniejsza byłam na

wakacjach z Edem, Nell i Arthurem. Nigdy nie lubiłam wakacji w stylu „wynajmij willę z jedenastoma innymi” – popisującymi się facetami, dziewczynami walczącymi o lepsze miejsce nad basenem. Matt, który też był tego zdania, powiedział kiedyś: „Zawsze znajdzie się ktoś, kogo nikt nie lubi, a jeśli nie potrafisz się domyślić, kto to jest, to tym kimś jesteś ty”. To prawdopodobnie mówi raczej o nim, niż o kimkolwiek innym, ale nigdy tego nie zapomniałam. Z kim powinnam pojechać? Na pewno nie z dziećmi. To one były przecież istotą całej tej sprawy. Z przyjaciółką? Którą? Marianne miała rację. Nie było nikogo, z kim mogłabym się tym podzielić.

Ed też miał rację. Musiałam wyjechać. To była nasza jedyna szansa. Musiałam za nim zatęsknić. Musiałam zrozumieć raz na zawsze, że nie potrafię bez niego żyć. Ale to była strategia ryzykowna, bo a nuż odkryję, że potrafię? Ed nie był mężczyzną skłonny do ryzyka. Skoro się na nie zdecydował, wystarczało mi to, żeby wiedzieć, co czuje.

I nagle zrozumiałam, dokąd pojedę. Pojadę sama. Pojadę w miejsce, które znam, gdzie wspomnienia mają odcień cydru, gdzie byłam, zanim poznałam Eda, miejsce przesycone wspomnieniami ścieżek, które nie zostały podjęte, oczywistych możliwości, innych perspektyw. Już w chwili, gdy o tym pomyślałam, wiedziałam, że nie będę w stanie wyjaśnić Edowi, dlaczego nagle zapragnęłam pojechać właśnie tam, a nie gdzie indziej. To było miejsce niedokończonych spraw, miejsce, w którym pierwotnie ulokowałam całą moją nadzieję i zaufanie do świata zewnętrznego. Musiałam odnowić śluby.

– Jadę do Highlands.

– Highlands? – Nawet Ed nie potrafił ukryć zaskoczenia. – Mówisz poważnie?

Kiwnęłam głową.

– Nie chcesz pojechać gdzieś indziej, w bardziej prestiżowe miejsce? Gdzieś, gdzie jest cieplej?

– Chcę pojechać do domu.

– Naprawdę? Nie w jakieś inne miejsce na świecie, gdzie nie będzie twojej mamy? Pieniądze nie stanowią problemu.

Nigdy jednak nie byłam równie pewna swojego, jak w tej chwili. Chciałam pojechać do domu, jedyne miejsce na świecie, gdzie zawsze czułam się sama, bez względu na to, ilu ludzi tam było. Chciałam mieć czas, żeby błąkać się po wrzosowiskach, pływać w zimnych jak lód strumieniach, wchodzić na głązy, wspinać się na skaliste granie, kupować kruszące się białe bułki w wiejskim sklepie, drzemać w zielonych kotlinach. Chciałam wrócić do

dzieciństwa, tego opustoszałego krajobrazu opowieści, gdzie emocjonowałam się historiami o zbiegłych więźniach i dzielnych, nieustraszonych dzieciach. To tam zostałam czytelniczką, a ponieważ zostałam czytelniczką, zostałam malarką portretów, bo czymże jest portret, jeśli nie ujawnieniem charakteru, fizyczną manifestacją historii czyjegoś życia?

19

Po długiej jeździe dotarłam do Highlands. Tam zawsze długo się jedzie, obojętne skąd, bo kiedy zjeżdża się z M5 i A30, trzeba piąć się w górę, przez wrzosowisko, gdzie drogi są bardziej kręte, mosty węższe, traktory cięższe, strumienie głębsze, brody szersze, kamienne murki układane bez zaprawy mniej przyjazne, mijanki rzadsze, a dla tych, którzy nie znają swojej trasy od urodzenia, znaki drogowe mniej oczywiste.

Kiedy mój stary golf wjechał na wrzosowisko, zaczęło mi się łatwiej oddychać. Z każdym kilometrem byłam dalej od Eda. Z każdym kilometrem byłam bliżej miejsca, które przywykłam nazywać domem. Nawet jeśli nie poczułam się ani trochę lepiej, kiedy opuściłam szybę i do samochodu napłynęło czyste powietrze z wrzosowiska, to przynajmniej poczułam maleńką iskierkę nadziei, która nie zgasła tak jak zwykle, gdy dotarłam do pokrytego mchem i porostami, zniszczonego przez pogodę słupka bramy z zardzewiałym napisem „Highlands”.

Dom był wiktoriański, szary, z łupkowym dachem, gotyckimi oknami, z mnóstwem kominów i pustych pokoi. Nawet jeśli człowiek jeszcze nie wie, jak ponuro może być w środku, architektura sygnalizuje to zawczasu. Z boku stała szopa ze starymi kosami i rdzewiejącymi częściami samochodowymi, które nigdy nie zostaną ponownie użyte. Pierwsze Prawo Architektury Alice Sheahan: „Dochodowość każdej farmy jest odwrotnie proporcjonalna do liczby niedających się zidentyfikować zardzewiałych obiektów wystających z ziemi”.

Matka, która mnie wypatrywała albo usłyszała samochód na resztkach żwiru, otworzyła boczne drzwi i przywołała mnie gestem, żebym tędy weszła. Nigdy nie witała mnie w drzwiach frontowych, nie zdarzyło mi się to przez całe życie, chociaż Matta zawsze witała od frontu, bez względu na to, w jakim był stanie – często kiedy wolałby wśliznąć się od tyłu. Nie żeby mi to

przeszkadzało. Jakie to ma znaczenie? Zresztą tylne wejście jest odpowiednie dla rękodzielniczki, portrecistki, poszukiwaczki rzeczywistości kryjącej się za malowaną fasadą. Nie znajdzie się jej, jeśli człowiek wchodzi przez drzwi frontowe albo zostaje wprowadzony do urządzonego ze smakiem holu, równie sztucznego jak teatralna dekoracja. Rembrandt nigdy nie korzystał z drzwi frontowych, szczególnie stary, zubożały Rembrandt, autor najwspanialszych autoportretów na świecie. Czy ktokolwiek dokonał tak brutalnej sekcji siebie i swoich porażek?

Otwarte drzwi boczne ujawniały znajomy atramentowy prostokąt. Tyle czasu spędziłam tu z moją nianią, Maud, że z zawiązanymi oczami mogłabym znaleźć drogę do kuchni. Zniszczony ceglany korytarz koło spiżarni się obniżał i w tym miejscu były trzy kamienne schodki prowadzące do kuchni, wygładzone aż do wklęsłości przez stopy pokoleń. W spiżarni był brzęczący wentylator, niebieskie jak w szpitalu światło pod drucianą siatką i zwisająca z sufitu muchołówka w oprawie z kartonu, wyprodukowana około roku 1970. To był chyba najnowszy gadżet w całym domu. Zakradałam się tam po powrocie ze szkoły i zanurzałam palec w cytrynowym twarożku, który robiła Maud, albo podnosiłam gazę przeciwko muchom ze zjedzonego do połowy jagnięcego udźca i odrywałam kawałek, żeby zanurzyć go w miętowej galaretkie, ostrożnie, żeby nie zostawić śladów. A w każdym razie robiłam to, dopóki nie przyłapała mnie matka. Kradzież nie była tolerowana. Od tamtej pory nigdy już nie jadłam cytrynowego twarożku.

Matka osłaniała oczy od słońca. Była jak zawsze wyprostowana, tweedowy żakiet był zbyt oficjalny i na pewno za ciepły, szyję otulał łososiowy szalik. Wyglądała na starszą i mniejszą, jej mocny, prosty nos, zdolny wywęszyć na sto metrów dziecięce grzeszki, nie był już tak ostro zarysowany, ale jej cienkie wargi nadal były gotowe do potępiania. Kiedy się uśmiechała, ukazywała ostre białe zęby. Zawsze była twardsza dla mnie niż dla Matta czy Bridgey, bo to ja stawiałam opór. Matt po prostu brał cięgi i wycofywał się jeszcze bardziej w głąb siebie. Bridgey nie wystawiała nosa z książki, tak że albo nie popadała w kłopoty, albo nie zdawała sobie sprawy, że w nie popadła. Ich ustępliwość czyniła mnie śmielszą. To było tak, jakby jedno z nas musiało bronić dzieciństwa. Ale dawało też siłę matce. Miała pulchniejszy podbródek, niż zapamiętałam, a włosy śnieżnobiałe, ale chociaż się uśmiechała, wcale nie było oczywiste, czy jestem mile widziana. Nigdy nie wyglądała jak mamusia.

Nie szkodzi. Chciałam tutaj być. Przyjemnie mi było ją zobaczyć. Nie przyjeżdżałam od Bożego Narodzenia. Poruszała ustami, jakby ćwiczyła

mowę, żeby sprawdzić, jak to jest – mówić. Zbyt długo mieszkała sama.

– Matko.

– Alice.

Uścisnęłyśmy się. Miała chłodną, pergaminową skórę. Odsunęła się chwilę za wcześniej, jakby dotyk człowieka był czymś obcym, i powiedziała:

– Może zanieś walizkę do siebie na górę, a potem zejdziesz na obiad.

– Myślałam, że może najpierw pójdę na spacer, jeśli tak będzie okej. Trochę rozprostowałabym nogi.

Skinęła głową i gestem zaprosiła mnie do środka. Umilkłyśmy. Nigdy nie była dobra w rozmowach na błahe tematy. Ruszyłam korytarzem, mijając wiklinowy kosz z poplamionymi od uderzeń piłki kijami do krykieta i raketami do tenisa w drewnianych osłonach. Za sobą słyszałam jej chwiejne kroki. Znajomy zapach jabłek mieszał się z wonią maty kokosowej. Kuchnia była pomalowana na tak wyblakły kolor, że nie sposób było go określić. Z sufitu zwisała drewniana suszarka do odzieży o czterech drążkach, opuszczanych za pomocą sznurka. Wisiała tam pewnie od czasu wojen burskich. Pośrodku stał stół Formica na cienkich nogach, zastawiony na dwie osoby. Bez obrusa. To przypomniało mi mojego chłopaka sprzed lat, Toma Carbine'a, i pytanie, które mi zadał po swojej pierwszej wizycie w Highlands, pytanie, które rozbrzmiewało mi później w głowie przez całe lata: „Dlaczego twoja mama chce mieszkać w Budapeszcie z lat pięćdziesiątych?”

Doszłyśmy do holu. Zatrzymałam się u podnóża schodów.

– O której chciałabyś jeść?

– Kwadrans po siódmej. Gdybyś chciała napić się cherry, za piętnaście siódma będę w bibliotece.

– A jest może trochę tego doskonałego miejscowego cydru?

– Nie.

Witamy w domu.

Nie miałam dużo czasu, poszłam więc prosto do miejsca, które nazywaliśmy „paprociowym strumieniem”, chociaż był to najszerszy odcinek rzeki płynącej przez nasze grunty. Miałam zamiar spędzić tu jutrzejszy dzień, jeśli będzie dobra pogoda, zrobić sobie piknik, pływać, czytać, uciąć sobie drzemkę, myśleć. Ale to później, w tej chwili chciałam po prostu znowu zobaczyć to miejsce, zanurzyć palce w wodzie, przyłożyć twarz do ziemi, poczuć wrzos pod stopami. Jeśli człowiek zaśnie nad zarosłym paprocią strumieniem i

obudzą go złoto-zielone promienie słońca, przebijające się przez listowie i igrające na powierzchni wody, może pomyśleć, że umarł i odrodził się w kolejnym wcieleniu jako Laurie Lee^[29]. To miejsce było mi najdroższe. Droższe niż moja sypialnia, w której nigdy nie czułam się bezpieczna, bo matka i Joy, ponura sprzątaczką, stale wchodziły i wychodziły; bardziej niż stary pokój zabaw, w którym siadywałam z Maud przy herbacie, dopóki nie znalazła nas matka i nie wynalazła dla nas jakichś zadań; droższe nawet niż domek na drzewie w lesie, który tak naprawdę wcale nie był domkiem na drzewie, tylko dziuplą w pniu wielkiego buka, a zresztą i tak było to przede wszystkim miejsce Matta. Zawsze było tam pełno jego fifek i fajek wodnych, i bibulek do papierosów, i narkotyków, przechowywanych w przezroczystych plastikowych torebkach, w których dostawał gotówkę od pana Sawtera, starego kierownika banku z wioski. Pan Sawter nigdy się nie domyślił, dlaczego Matt zawsze prosił o pieniądze w monetach.

Stara ścieżka, wydeptana przez nas przez pola, dawno zniknęła, pochłonięta przez przyrodę, ale nadal umiałam odnaleźć kierunek, znałam wszystkie głązy, drzewa i punkty orientacyjne. Szybko dotarłam do rzeki i zachwyciłam się wolnością i samotnością. Brzeg ocieniały dęby, wierzby i jesiony, przez które przebijało się wieczorne słońce, cętkując przejrzystą wodę. Na płyciźnie połyskiwała srebrno-czarna ryba. Gładkie kamyki lśniły na dnie rzeki. Pająk tkął sieć między paprociami. Znalazłam moje stare, zarosłe trawą zagłębienie niedaleko brzegu. Położyłam się i patrzyłam na niebo, z którego lało blask wieczorne słońce – akuszer planety. Ziemia była ciepła i dopasowywała się do mojego ciała, dokładnie tak, jak zapamiętałam. Jakbym była tutaj jeszcze wczoraj, jakbym miała ten sam kształt co nastolatka, którą wtedy byłam.

Leżałam jak podwórkowe kociątko, w głowie miałam cudowną pustkę. Wtem usłyszałam gwizdanie. Przywarłam do ziemi, modląc się, żeby ten ktoś, kto idzie, nie potknął się o mnie. Na tej części naszej posiadłości nie obowiązywało prawo do przejścia. To nie mógł być farmer Jim, bo zawsze szedł do domu z wybiciem piątej, chociaż nie nosił zegarka, a nikt inny by tutaj nie zaszedł, nie licząc może kłusownika. Przez chwilę poczułam strach o matkę. Czy wokół domu nie wałęsały się bandy, kiedy ona siedziała w bibliotece, rozwiązując krzyżówkę z „Timesa” i piastując w dłoni naparstek sherry?

Ze schyloną nisko głową przewróciłam się na brzuch. Na drugim brzegu szedł w stronę rzeki mężczyzna w brudnych dżinsach i obszarpanej bluzie. Nosił czarną czapkę Dodgersów ze złotą lamówką, daszek opuścił nisko na

czoło, przez ramię miał przewieszoną wędkę i płócienną torbę. Wyglądał na dwadzieścia parę lat, ale trudno to było rozpoznać pod daszkiem czapki i zarostem.

Spojrzałam na zegarek. Za dziesięć szósta. Za kwadrans będę musiała wracać, żeby przebrać się do obiadu i zastać matkę w bibliotece, co powinnam zrobić chociaż dziś, jeśli nie w pozostałe dni. Leżałam bez ruchu, a mężczyzna tymczasem rozstawiał stołek na trzech nogach i składał wędkę. Pracował sprawnie, wydajnie, znał się na swoim rzemiośle, czuł się dobrze w swoim prywatnym krajobrazie, naturalny człowiek w naturalnym świetle, łowiący ryby, tak jak łowili ludzie od tysiący lat. Poczułam, jak uchodzi ze mnie napięcie, tak jakbym mogła bez końca leżeć pogodnie w tej zielonej altance, patrząc po prostu, jak składa wędkę, rozstawia stołek, zakłada haczyk i przynętę, łapie rybę.

I nagle wiedziałam, co muszę zrobić. Muszę go namalować. Pomysł natychmiast mnie podekscytował, poczułam twórczy impuls, po raz pierwszy od wyznania Eda. Ten człowiek, kimkolwiek był, dawał mi ucieczkę od wszystkiego nienaturalnego, co się zdarzyło. Mógłby stać się moim pomostem do sztuki i do życia. Nie byłaby to praca psychologiczna, lecz portret zwyczajnego człowieka, zajętego swoimi zbieracko-łowickimi sprawami, zabijającego, żeby rzucić jedzenie na stół i nakarmić rodzinę. Robiącego to, co robi mężczyzna. Nie potrzebowałam żadnej Marnie ani Marianne, ani nawet Julie. Nie potrzebowałam kogoś, czyją psychologię musiałabym zgłębiać aż do ostatniego paznokcia. Potrzebny był mi tylko jakiś sposób, żeby przelać moją duszę w człowieka w pełni żywego, w krajobrazie, który kochałam. To było tak, jakbym natknęła się na jedyną szansę ponownego zjednoczenia z elementarną prawdą, która jest częścią nas wszystkich.

Kiedy zajmował się przynętą, naszkicowałam w myślach kompozycję. Namalowałabym go tutaj, w jego naturalnym otoczeniu, na stołku, z zarzuconą wędką. Malowanie go w pracowni albo z fotografii zniszczyłoby to, co sprawiało, że on to on, a miejsce to miejsce. Chciałam namalować czapkę Dodgersów. Chciałam namalować paprociowy strumień. Chciałam namalować szemrzące drzewa. Chciałam namalować moją samotność. Tytuł brzmiałby: *Tysiąc lat*.

Mężczyzna leniwym ruchem nadgarstka zarzucił wędkę, haczyk śmignął nad wodą. Wysoko na różowym niebie wisiał sokół. Powoli wstałam. Nie chciałam płoszyć ryb.

– Przepraszam pana! – zawołałam.

Podniósł wzrok, podniósł daszek czapki, mrużąc oczy popatrzył pod słońce, przez rzekę. Twarz miał brudną, policzki zapadnięte. Chwilę mu zajęło, zanim zorientował się w sytuacji.

– Przepraszam, że przeszkadzam...

Nie zareagował.

– ...ale czy mogłabym pana prosić o przysługę?

Wytarł rękę o rękaw.

– Może się to panu wydawać trochę dziwne...

Nie potrafiłam odczytać jego miny. Słyszałam tylko swój głos niosący się nad leniwą rzeką.

– ...ale pomyślałam sobie... czy mogłabym pana namalować? Pański portret?

Stał bez ruchu. Po czym, tak jakby słowo „portret” rozpętało jakiś prehistoryczny strach kłusownika przed identyfikacją, gwałtownie poruszył silnym, giętkim nadgarstkiem i wyciągnął haczyk z wody.

– Nie, proszę chwilkę zaczekać! Może pan łowić dalej.

Równie sprawnie i wydajnie, jak się rozpakował, nie spuszczał ze mnie wzroku, zwinął żyłkę, zdjął przynętę, rozłożył kij, złożył stołek i zaczął pakować haczyki i kołowrotek.

– Proszę, niech pan nie odchodzi. Może pan tu łowić. To żaden problem.

Na chwilę przerwał, po czym znów zaczął się pakować. Klęcząc, szybko upychał rzeczy w płócienną torbę. Och, dlaczego był po tamtej stronie tej pieprzonej rzeki? Dlaczego nie mogłam do niego podejść i pokazać, że nie chcę mu narobić kłopotów?

– Proszę posłuchać, naprawdę mi to nie przeszkadza. Może pan tu korzystać z prawa łowienia, kiedy tylko pan zechce.

Na chwilę znieruchomiał i popatrzył wprost na mnie, ale gdy to zrobił, zrozumiałam, że popełniłam błąd. Określiłam prawo własności. Byłam z klasy, która karze kłusowników. Płynnymi ruchami włożył kij od wędki do plastikowego rękawa.

– Proszę, niech pan ze mną porozmawia. Chcę pana tylko namalować, to wszystko. Nic panu nie zrobię. Proszę...

Kij zniknął w torbie. Prawie krzyczałam. Nieważne. W okolicy było pusto, nikt nie widział, że wyglądam jak wariatka, błagając kłusownika o łaskę.

– Proszę! Zapłacę panu.

Przerzucił płócienną torbę i kij przez ramię, podniósł plastikową torbę od Lidla, której nie zauważyłam. Rzucił mi finałowe lise spojrzenie, odwrócił

się i ruszył przez wrzosowiska. Bez namysłu wskoczyłam do rzeki i zaczęłam brnąć pod prąd, z trudem utrzymując równowagę na wypolerowanych kamieniach. Lodowata woda sięgała mi bioder. Zatrzymał się, obejrzał i pobiegł truchtem w stronę Okehampton. Przemoczona stanęłam pośrodku nurtu. Wiedziałam, że go nie złapię, skoro dzieliły nas jeszcze dwie trzecie szerokości rzeki. Nogi mi zlodowaciały. Rzeka sięgała mi już do pasa. Wiedziałam, jak śmiesznie muszę wyglądać, ale on się już nie obejrzał. Wkrótce zamienił się w odległą plamkę, unosząc ze sobą wędkę, pustą torbę i moją ostatnią nadzieję.

Pokój nazywany zieloną biblioteką pomalowany był na błękit Chelsea i nie było w nim książek. Stał tam mahoniowy sekretarzyk, gdzie matka pisała listy, szara jak jajko mewy kanapka z ciemną plamą po winie w kształcie Tahiti, która tam była dłużej, niż pamiętali najstarsi ludzie, komplet stolików z korkowymi podkładkami pod szklanki i dwa obite jedwabiem krzesła, a na ścianie wisiały dwa pejzaże z ołowianymi niebiosami, nieokreślonej jakości, nieczytelnie podpisane, brytyjskie z końcówki lat czterdziestych. Zawsze zdumiewałam się na myśl, że namalowano je, kiedy w Nowym Jorku eksplodował abstrakcyjny ekspresjonizm. Trudno o lepszy symbol naśladowczej, pozbawionej ambicji sztuki brytyjskiej. Wielodzielne okna wychodziły na strome wrzosowisko na tyłach domu.

Przyjęłam szklaneczkę sherry w przedwojennym naporstku z rżniętego szkła, wybielonego przez czas i zmywanie. Zapytałam o Bridgey i wizyty Matta. Dawno temu nauczyłam się, że nie ma sensu pytać wprost, jak miewa się matka, bo powiedziałyby po prostu, że świetnie, tak jakby pytanie było grubiaństwem z mojej strony. Jak każdy dyktator, to ona zadawała pytania. Bridgey zaczęła prowadzić zajęcia z literatury porównawczej na Uniwersytecie Middlesex, który matka uważała za „starą politechnikę”. Nie powiedziałam jej, że kiedy Matt wracał z Highlands, spotkałam się z nim w Temple Meads. On na pewno by jej o tym nie mówił. Powiedziała, że jego nowa firma nie najlepiej sobie radzi, ale nie napomknęła o prośbie o pieniądze ani o Jo. Dla matki wiedza zawsze była potęgą. W jej słowach nie było zbytniego optymizmu i chyba miała rację. Matt był wieloma ludźmi naraz, najlepszy w nim był czarujący, kruchy poeta, ale żaden był z niego biznesmen, a życie pokazało, że trudno mu utrzymać abstynencję. Tylko Jo stała pomiędzy nim a jego demonami.

Przeniosłyśmy się do kuchni, gdzie Diane zostawiła na gorącej płycie zapiekankę rybną, której wystarczyłoby dla sześciorga. Otworzyłam przywiezioną przeze mnie butelkę chablis. Podałam matce porcję zapiekanki i nalałam nam obu po dużym kieliszku wina. Na widok rozmiarów mojego kieliszka wykrzywiła w dół usta, ale picie było najlepszym sposobem, aby przetrwać kolację w Highlands. Matka nie pijała samotnie – „tylko alkoholicy” – ale piła na potęgę, kiedy miała towarzystwo, pewnie dlatego, że w roku 1952, czy kiedy to tam było, uważano to za „stosowne”. Jadłyśmy zapiekankę rybną z fioletowymi brokułami z ogrodzonego murkiem ogródka. Ziemniaczane purée było puszyste, a ryba w dużych kawałkach, delikatna i świeża. Złowił ją mąż Diane. Zapomniałam, jak smaczne może być proste jedzenie.

– Wszystko w porządku?

Widelec zatrzymał się w połowie drogi do moich ust, jak kolejka górską na silnym wietrze.

– Tak. Ed ma się dobrze, dzieci mają się dobrze. Nell jest pracowita, Arthur nie. Nic się tu nie zmieniło.

– Miałam na myśli policję.

Przeżułam kawałek zapiekanki. Była jedwabista, kremowa, czułam w niej makrele.

– A, to. Hm, w porządku.

– To musiało być okropne.

Lekko się roześmiałam, żeby pokazać, że stało się to rodzinnym żartem, opowieścią dla wnuków.

– Wspaniale nie było. Cóż, życie. Pomyłona tożsamość. Już załatwione.

– A ci fotoreporterzy na ulicy... Straszne.

– Widziałaś to?

O dziesiątej matka zawsze była w łóżku.

– Peggy Marshall pokazała mi to na swoim i-coś tam. Powiedziała, że Ed został na noc u tej dziewczyny i dlatego ciebie zabrali.

– Zgadza się.

– Więc to nie była pomyłona tożsamość.

Zjadłam kęs zapiekanki, żeby dać sobie czas na przegrupowanie myśli. Matka instynktownie natrafiła na trudne prawdy. Czy już zawsze będę musiała chodzić na paluszkach podczas rozmów?

– Cóż, niezupełnie. Chodziło o to, że Eda tam nie było, kiedy ona zmarła.

– Dlaczego Ed tam pojechał?

– Długa historia. To było po przyjęciu.

– A gdzie ty wtedy byłaś?

– Malowałam portret. W Suffolk. Teraz uznali, że nikogo tam nie było, kiedy ona umarła.

– To było samobójstwo?

Matka ledwie tknęła jedzenie. Ma apetyt komara, kiedy wbija zęby w temat, a częściej, w kogoś.

– Nie. Uważają, że nie zażyła lekarstw. Albo wzięła ich za dużo. Przyjmują, że upadła i uderzyła się w głowę.

– Na pewno zrobili sekcję?

Zanotowałam w pamięci, żeby się skupić. Matka nie straciła zmysłu wężu. W dzieciństwie zdarzało się, że sprawiała wrażenie, jakby za wszelką cenę chciała nas na czymś przyłapać, zarazem wykazując całkowitą obojętność wobec niemal wszystkiego, co działo się w naszym życiu.

– Zrobili. Nie wzięła pigułek.

Matka zrobiła powątpiewającą minę. Włosy jej zrzedły na czubku głowy, prześwitywała przez nie różowo-niebieska skóra.

– Czy przez to upadłaby na głowę?

– Nie mam pojęcia. Nie jestem lekarzem.

– Ale wyszłaś za lekarza.

– O tak, wyszłam.

Spojrzała na mnie ostro. Nie lubiła sarkazmu.

– I musiałaś omawiać z nim ten przypadek.

Przyjazd tutaj zaczynał wyglądać na pomyłkę. Mogłam siedzieć sobie wygodnie nad basenem w jakimś tokańskim hotelu na szczycie wzgórza, a tymczasem trzymałam w ręce kieliszek ciepłego białego wina i odpowiadałam na pytania dotyczące jedyne go tematu, o którym chciałam zapomnieć. Jak zwykle, znów czułam się przy niej jak mała dziewczynka.

Czy po to tu przyjechałam?

– Oczywiście że omawiałam. Tyle że policja, kiedy do nas przysła, nie powiedziała nam, jakich lekarstw zażywała. Pewnie dlatego, że uważali nas za winnych i nie chcieli dać nam czegoś, czego moglibyśmy się trzymać. – Matka spojrzała na mnie, próbując wykryć sarkazm w moim tonie. W końcu skinęła głową i wzięła na widelec odrobinę ziemniaków. – Ed nie mógł wiedzieć, czy nieprzyjmowanie leków mogło na to wpłynąć. – Matka kaszlnęła, ale jadła dalej. – A jak wiesz, on nie z tych, którzy wydają diagnozę, nie znając faktów.

– To zawsze był jego problem.

Matka często przechodziła jednym skokiem od poziomu mikro do makro. Maleńka niedoskonałość – zapomniało się kluczy, naniósł się błota do domu – stawała się objawem ogromnej deformacji charakteru. Była jak hollywoodzki thriller, w którym bohater, zwyczajny Joe, natyka się przypadkiem na morderstwo w sąsiedztwie i dowiaduje się, że CIA, FBI i Biały Dom zwały przeciw niemu szyki.

Nie uniosłam się. Napełniłam za to jej kieliszek, kiedy z celowym opóźnieniem udała, że odsuwa butelkę. Jadłyśmy w milczeniu, brzękając sztućcami, jakbyśmy były w prowincjonalnym pensjonacie ze śniadaniem. Po rybie były maliny z ogródka, matka wygrzebała też grudkę twardego jak kość cheddaru i jakieś stęchłe herbatniki. Pleśń obłaziła brzegi sera. Wypiłam jeszcze jeden kieliszek chablis i zaczęło mi się kręcić w głowie. Opowiedziałam jej o Nell i Arthurze oraz przedstawiłam krótką, stroniczą relację z wyprawy do Marianne, której matka nie pamiętała, o ile w ogóle jej o niej kiedykolwiek mówiłam. Zaległa cisza. Matka nie odbiła serwu.

– Dobrze ci tutaj? Nie czujesz się samotna?

Spojrzała na mnie czujnie. Może pomyślała, że to aluzja: ona ma się wyprowadzić, a my wprowadzić. To nie była aluzja. Chociaż kochałam to miejsce, nie wyobrażałam sobie, że mogłabym zamieszkać na szczycie Dartmoor. Owce to owce, a ludzie to ludzie i wiem, kogo wolę. Ale starzy ludzie mają powody do ostrożności. Czeka ich paskudna niespodzianka.

– Chodzi mi o to, czy dom nie jest za duży.

– Nie urósł ani trochę – powiedziała chłodno, wzięła nóż do sera i dźgnęła w trójkąt cheddaru.

– Ale ty nie młodniejesz.

Matka prychnęła pogardliwie.

– Przychodzi Diane, a Jim stale jest pod ręką. Joe nadal wpada we wtorki, chociaż nie robi niczego pożytecznego, tylko pije kawę i dłubie przy srebrach. Sprzątaniem zajmuje się teraz Helen.

– Helen?

– Bratanica Davida.

– Davida?

– Davida Seatona.

Miałam pustkę w głowie.

– David był drwalem, którego zatrudnialiśmy. Niestety był nieuczciwy. Twój ojciec za długo go trzymał. Obawiam się, że była to jedna z jego słabostek. Był zbyt uprzejmy dla ludzi, którzy na to nie zasługiwali. W końcu

zawsze za to płacił.

Matka z lekka się zarumieniła. Rzadko bywała taka rozmowna. Upiłam łyk wina i – ni z tego, ni z owego, bo matka nie prowadziła takich rozmów – zapytałam:

– Tęsknisz za tatą?

Podniosła serwetkę i w zamyśleniu, powoli otarła usta, jakby ta myśl przyszła jej do głowy po raz pierwszy od tak dawna, że zapomniała o jej istnieniu. Odwróciła się i spojrzała na kredens. Jej profil był mniej dramatyczny, brwi mniej boleśnie ściągnięte w wyrazie ceremonialności, niż zapamiętałam, zmarszczki na czole przypominały zarysy płycizny na starej mapie.

– Zawsze tęskniłam za twoim ojcem – powiedziała i położyła ręce na kolanach. Myślałam, że na tym skończy, i zamierzałam już zmienić temat rozmowy, kiedy dodała: – Nawet kiedy żył. Był dobrym człowiekiem. Po prostu sam o tym nie wiedział.

To była najbardziej intymna rzecz, jaką mi o nim powiedziała, trzydzieści lat po jego śmierci.

– Jak to?

Popatrzyła przez pusty padok na ciemniejące wzgórza. Trójkątny kawałek sera leżał nietknięty na jej talerzu, domowej roboty pikle Diane stały w nieotwartym słoiczku. Zapadła długa cisza, sięgająca wstecz trzydzieści lat.

– Nie rozumiał, że świat nie jest doskonały. Że to niemożliwe.

Myślałam, że powie coś więcej, ale jej usta otwierały się i zamykały jak u ryby. Nigdy nie widziałam matki w tak refleksyjnym nastroju. Może naprawdę zaczynała się czuć samotna. Może to Matt, który wyruszył na kolejną skazaną na niepowodzenie wyprawę – tym razem na wybrzeże Yorkshire, ale to mogło być dokądkolwiek, a koniec był zawsze taki sam – odblokował jej pamięć. Może to moja obecność w Highlands, bez membrany Nell i Arthura, którzy zmieniali wizytę w ćwiczenia z logistyki, pozbawiając ją naturalnych uczuć z krwi i kości. Bez względu na powód, czułam, że matka zrobiła się bardziej otwarta, może bardziej bezbronna, niż kiedy widywałam ją wcześniej. Nalałam jej wina. Może przed obiadem wypija więcej sherry niż powinna? Upiła łyk, jakby nie zauważyła, że kieliszek został napełniony po raz kolejny.

– Czy taki był, kiedy się poznaliście?

– Tak, chociaż to nie było tak oczywiste, jak później. – Zapadła długa cisza, jakby musiała poczekać, aż od dawna skrywane uczucia uformują się na nowo. – Z początku to była swego rodzaju wzniosłość, tęsknota do lepszego życia,

obojętność wobec świata takiego, jaki jest. Początkowo to było bardzo atrakcyjne, ta skazana na niepowodzenie młodzińcza, romantyczna wrażliwość, która chciała od życia więcej, niż mogło dać. To było nierealistyczne, prawda, ale bardzo atrakcyjne u młodego człowieka prosto z Oksfordu. I był przystojny.

Znów zapadła cisza, dłubała w serze, dłubała we wspomnieniach. Nic nie mówiłam. Złe by się skończyło, gdybym przerwała potok jej myśli. Mogłyby już nigdy nie wypłynąć na powierzchnię.

– Oczywiście, nigdy tego nie odnalazł. A poczucie porażki jakby go zahartowało. Zmieniło go na gorsze. Nigdy nie lubił City. Nie chciał tam pracować. W tamtych latach było wielu takich jak on, młodych ludzi, którzy nie chcieli iść w ślady swoich ojców, do rodzinnego interesu, do majątku, do City czy do wojska, ale szli, bo tak ich wychowano – żeby robili to, czego chce ojciec. Było inaczej niż teraz. Wtedy roiło się od nieszczęśliwych młodych ludzi. Byli najlepszymi partiami. Dziadek Tenterden zawsze osiągał to, czego chciał. Stąd twój ojciec czerpał nadzieję, tylko że nie miał odpowiedniej siły, żeby ją zaspokoić. Dziadek miał tę siłę. Tej lekcji próbowałam wyuczyć was troje: nadzieja zawsze jest pokarmem rozczarowania.

– Rzeczywiście, nauczyłaś nas tego.

– Bridgey to zrozumiała. Nie sądzę, żeby zrozumiał to Matthew albo ty.

Narzuciła się oczywista uwaga, że świat nie posuwałby się do przodu bez nadziei na coś lepszego, ale to nie był właściwy moment.

– Co powinien był wtedy zrobić?

– Nie wiem. Jakaś praca, inna niż ojca. Może coś związanego z teatrem. Zawsze uwielbiał teatr. Ale dziadek nigdy by na to nie pozwolił. Mógłby nawet być marynarzem. Zawsze uwielbiał morze. Pamiętasz tę jego łódkę w Brixham? Chociaż nigdy nią nie wypłynęliśmy, głównie dlatego, że nigdy go tu nie było, a mnie kompletnie nie interesowały łodzie. Ale potem pobraliśmy się i musiał zarabiać pieniądze na was troje i na utrzymanie domu.

Rozległ się głośny brzęk stali o porcelanę: nóż ześliznął się z trójkącika cheddaru. Przypomniał mi się Matt i Jo w Whitby, ich cudowna miłość i nieprawdopodobny biznes z sieciami rybackimi. Morze przyciąga outsiderów.

– I został bez wsparcia, kiedy dziadek umarł?

Matka pokiwała głową z rozmarzeniem.

– Uhm. Czasem żałuję, że mnie tam nie było. Kto wie? Może byłoby inaczej.

– Ale nie pojechałaś z nim do Londynu.

– Jeździłam. Z rzadka. Byłaś za mała, żeby pamiętać.

– W każdym razie nie chciałaś prowadzić samochodu w Londynie. Mówiłaś, że po to są taksówki i autobusy.

– Nie prowadziłam samochodu w Londynie? Co to ma wspólnego z całą sprawą?

Patrzyła na mnie, jakbym zwariowała, i w tej nanosekundzie zrozumiałam, że coś jest nie tak. To było coś więcej niż rozmowa o braku porozumienia. Na obrzeżach pola widzenia zaczęła mi się formować pewna myśl, jeszcze spowita ciemnością, ale w zasięgu ręki.

– No wiesz, nie usiadłabyś za kierownicą.

– Nie usiadłabym. Wiem.

– Więc co za różnica, czybyś tam pojechała?

– Bo...

Przerwała. Popatrzyła na mnie ze złością.

– Bo?

– Bo... och, nic! Alice, nudzi mnie to. Zmęczyłam się.

Pokręciłam głową. Coś dawno pogrzebanego wydobywało się na powierzchnię, stawało się oczywiste.

– Bo on nie zginął w wypadku samochodowym. – To nie było pytanie.

– To był wypadek.

Były w tym szczątki pychy – trzydzieści lat władzy – ale szybko niknęły. Skupiłam się na niej jak elektryczny promień.

– Ale to nie był wypadek samochodowy, prawda?

– Był.

– Co to było?

– To było... – Matce nigdy nie brakowało słów. Przez chwilę wyglądała na skonsternowaną, dziesięć lat starszą, wreszcie ramiona jej opadły.

– Matko, jak on zginął?

Milczenie. Zapatrzyła się w obrus. Mój wzrok przyciągnęła pomarańcza w drucianym koszyku na owoce. Czekałam. Miałam czas. Wreszcie matka powiedziała tak cicho, że ledwie usłyszałam.

– Samobójstwo.

Uderzenie klawisza w fortepianie. Samotna nuta poddania się i porażki.

– Samobójstwo?

Biblia i pistolet? Brzytwa i gorąca kąpiel? Whisky i pigułka? Lina i żyrandol? Otwarte okno i nieustępliwy chodnik?

Zawsze uwielbiał teatr.

– Ale dlaczego? Mnóstwo ludzi nie realizuje się w pracy. Dlaczego to zrobił?

Matka znów opuściła wzrok. W dwie minuty postarzała się o dwadzieścia lat. Nie wiedziałam, czy to zniosę.

– Bo był homoseksualistą.

Rzuciła mi gorzkie spojrzenie, jakby chciała powiedzieć, „sama pytałaś”. Prawda. Pytałam. Odgrzebałam cały ten brak szczęścia – i byłam zadowolona, że to zrobiłam. Po raz pierwszy widziałam wszystko jasno.

– Był gejem?

– Tak.

– Raczej bi.

– Jeśli robi to jakąś różnicę.

– Ale nikt nie zabija się tylko dlatego, że jest gejem. W każdym razie od lat pięćdziesiątych.

Ściągnęła wargi.

– I nie znalazł nic, co mogłoby go powstrzymać?

Pokręciła głową.

– Ani nikogo?

Znów pokręciła głową.

– A my?

– Cóż, jak wiesz, niewiele było z niego pożytku jako z ojca. Właściwie to myślę, że dla was trojga nie była to wielka różnica.

– Ale musiał być jakiś inny sposób. Więc on był gejem? Mógł sobie używać w Londynie, a w Devon być ojcem rodziny. Nie pojmuję, dlaczego musiał się zabić.

– Zaczęliby plotkować.

– No to co? To były lata osiemdziesiąte dwudziestego wieku, a nie dziewiętnastego. Poza tobą jedyną chyba osobą, która się liczyła, był dziadek. A on się nie przejmował plotkami. Nie sądzę, żeby w ogóle wiedział, gdzie jest Soho, czy cokolwiek poza City albo St. James's.

– Nie rozumiesz.

– Czego nie rozumiem?

– Aresztowali go. Miał iść pod sąd. Byłoby o tym we wszystkich gazetach.

– Za co go aresztowali?

– Nigdy nie powiedział mi o tym ze szczegółami. Nie chciałam wiedzieć. Młody człowiek... publiczna toaleta.

– Nie mów: policjant.

Drgnęła. Chciałam wyciągnąć ręce, objąć ją, ale odwróciła się. Matka z natury nie była skłonna do przyjmowania współczucia. Żaden rodzic nie wie, jak je przyjmować ani jak je okazywać. Żaden nie wie, jak się wzruszać. Nadgarstki miała jak gałązki, skórę cienką jak papier.

– Och, biedny, biedny tato. I ty biedna. Zostawił jakiś list czy coś?

Drżący palec o długich paznokciach skrobał stół, jakby rozdrapując starą ranę. Mikroskopijne skinienie głową.

– Nadal go masz?

Nie patrzyła na mnie, ale na kredens za mną. Słońce kryło się za pagórkami, zalewając kuchnię późnym światłem.

– Co napisał?

– Że przeprasza. Że kocha nas wszystkich. Że to jedyny sposób, żebyśmy nadal żyli tak jak dotąd. List nie był długi. Napisał go na pocztówce z widoczką Beachy Head¹³⁰. „Poznaj wspaniałe Beachy Head”, taki był napis.

– Odetchnęła i wypuściła z głośnym pfff powietrze, była w tym i złość, i smutek, i sarkazm. Złapałam się na tym, że myślę: ile w niej musi być chłodu, skoro przez tyle lat zatrzymała to wszystko dla siebie. – Znaleźli go w jego samochodzie.

– Wspominał o nas?

– Napisał, że kocha was wszystkich bardziej niż cokolwiek na świecie i ma nadzieję, że pewnego dnia zrozumiecie, dlaczego zrobił to, co zrobił, i znajdziecie jakiś sposób, żeby go pokochać. Miał nadzieję, że wasze życie ułoży się lepiej niż jego. To wszystko.

Biedny człowiek. Kłamstwo matki znaczyło, że nie było mu dane, żebyśmy zrozumieli jego ostatnie życzenie. Nie było akceptacji dla jego niespokojnego ducha. Popatrzyłam przez stół na jej przygarbioną postać, kołyszącą się z lekka na krześle. Jakim prawem odgrywała Boga, żeby kształtować po swojemu nasze życie, odgradzając nas od prawdy?

Biedny, biedny człowiek.

Co on musiał przejść. Na komisariacie, jak go tam zaciągnęli i powiedzieli, że go oskarżą i zniszczą mu życie. Homofobiczni gliniarze uśmiechali się złośliwie, wiedzieli, że złapali na haczyk rybkę nadającą się do mediów. Leżąc w łóżku, myślał o wstydzie, którego wszystkim przysporzył. Zastanawiał się, jak o tym powie dziadkowi T. i żonie. Tym dwojgu ludziom żaden człowiek nie chciałby się zwierzać.

– Jak to zrobił?

– Skoczył.

Mówiła tak cicho, że ledwie ją słyszałam. Nie chciałam wiedzieć, ale musiałam. Po wszystkich tych latach. To było także moje życie.

– Beachy Head?

Kiwnęła głową. Patrzyła posepnie na pleśń na boku sera.

– Pojechał na południowe wybrzeże aż z Londynu? Jak to, dwie godziny przebijania się przez Południowy Londyn, a potem dalsza jazda, ze świadomością, że popełni samobójstwo?

Wzruszyła ramionami. Musiała z tym żyć codziennie przez trzydzieści lat. Wyobraziłam sobie ojca w jego brązowym peugeocie, jak pełźnie w korku Południowego Londynu, chłonąc dźwięki i kolory, z wyłączonym radiem. Nie było wiadomości, których chciałby posłuchać. Pod jednym względem to, że siedział za kierownicą, polepszało sprawę. Nie popełniał błędów. To nie była nagła decyzja podjęta po złym dniu w biurze. W biurze każdy dzień był złym dniem. Wielka łza zebrała mi się w prawym oku. Zawsze tam się zaczynają. Próbowałam zatamować ją mruganiem.

Jak to musiało być, kiedy stał samotny na krawędzi urwiska, wiatr rozwiewał mu włosy, zimowe drzewa były nagie jak wieszaki na palta... Kiedy czuł, że zawiódł wszystkich tak bardzo, że nie ma już drogi powrotnej... Kiedy sądził, że na świecie nie ma już dla niego miłości? Otarłam twarz chusteczką. Splamiły ją łzy i makijaż. Nie było nikogo, z kim mógłby podzielić swój ból. Na pewno myślał, że tym jednym czynem wszystko odpokutuje, wszystko to, czemu był winien, i wszystko to, czemu nie był, że tym gestem, tą ofiarą z siebie sprawi, iż w życiu wszystkich pozostałych zostanie przywrócony ład. Był taki dumny. Musiał zdawać sobie sprawę, że kiedy się usunie, burza ucichnie i żona z dziećmi ocaleją. Honorowo skończył.

Wyobraziłam go sobie, jak stoi w czarnym płaszczu z tym eleganckim welwetowym kołnierzem, w koszuli w paski, takiej, jaką nosi się w City, w wąskim krawacie i w spinkach z herbem. Widziałam, jak zwraca blade oczy w stronę horyzontu, oczyszcza umysł ze wszystkiego i wszystkich, a jedyne, co słyszy, to szum fal uderzających w dole o skały. Na pewno nie spojrzął w dół, gdy zrobił krok w szum wiatru i pustą przyszłość.

– Dlaczego nas okłamałaś?

Przeniosłyśmy się do biblioteki. Powietrze było nieruchome. Matka, jakby zmaląła, siadła ciężko w rogu kanapy. Wiedziałam, że powinnam traktować ją łagodnie, ale pamiętałam czasy, kiedy wydawała się taka wysoka. Rozejrzała

się po pokoju, tak jakby w tych nudnych brytyjskich krajobrazach, niezgrabnych figuzynekach z porcelany, kubkach przedstawiających dickensowskie postacie w trójgraniastych kapeluszach można było znaleźć bezpieczeństwo. Bóg jeden wie, skąd i po co je mieliśmy. W końcu z wysiłkiem, tak jakby potrzebowała na to więcej siły, niż miała, odparła:

– Byliście za mali.

– Za mali, żeby poznać prawdę?

– Tak.

– Czy człowiek może być kiedykolwiek za mały, żeby poznać prawdę?

Popatrzyła na regały z książkami, jakby zastanawiała się, który z oprawionych w skórę tomów zawiera odpowiedź na to jedno z najważniejszych w życiu pytań.

– Może.

– Matt był za mały?

– Tak. Szczególnie Matt.

W jej głosie była stal. Nie podda się bez walki. Powinnam była wiedzieć. Miała czas, żeby usprawiedliwić przed sobą decyzję, którą podjęła, i potrafiła instynktownie wyczuć słabość.

– A kiedy byliśmy już wystarczająco duzi?

Znów długa cisza, rytm z innego czasu.

– Było za późno. Nie znalazł się odpowiedni czas.

– Za późno, żeby powiedzieć własnym dzieciom prawdę o ich ojcu? Nie kochalibyśmy go przez to mniej. Po prostu zrozumielibyśmy go, może trochę lepiej zrozumielibyśmy siebie nawzajem.

– Podjęłam decyzję, żeby nie mówić wam od razu, bo to, co się stało, prowokowało tyle pytań, że według mnie nie bylibyście w stanie tego zrozumieć, bo byliście za mali.

Wzięłam z wózka na drinki prawie pustą butelkę chablis i nalałam sobie wina. Została tylko odrobinka. Retorycznie przechyliłam szyjkę butelki w stronę matki, ale pokręciła głową. Wlałam resztę do swojego kieliszka. Czułam się tak samo, przechylona i pusta, z narracji mojego życia wysączyło się jego prawdziwe znaczenie.

– A skoro nie powiedziałam wam od razu, później było coraz trudniej to zrobić, nawet jeśli to, co powiedziałam, to było niewinne kłamstewko usprawiedliwione okolicznościami. – Odwróciła się, żeby nie spojrzeć mi w oczy. – Chyba myślałam, że w końcu czas to zasypie.

– Ale dlaczego nigdy nic nie wyculiśmy? Jeśli proces miał znaleźć się w

gazetach, to samobójstwo też tam musiało być? Jak to możliwe, że nikt nie zwrócił na to uwagi?

– Po jego śmierci było inaczej. Dziadek T. był wpływowym człowiekiem. Rząd dbał o swoich ludzi.

Pamiętałam, jak stałam obok otwartego grobu na cmentarzu Highgate, gdy opuszczali jego trumnę. Czterech krzepkich przedsiębiorców pogrzebowych, czarne cylindry na tle lśniącego błękitu styczniowego nieba, zielona darń ułożona w stosy, jaskrawa i nierealna jak w warzywniaku. Prawie nie śmiałam oddychać, żeby nie wpaść w dół.

– Alice, wierz mi, nie było dnia, jednego dnia, żebym nie myślała, jak wam o tym powiedzieć i jakich słów użyć. Teraz żałuję, że nie powiedziałam wam od razu. A gdyby czas się cofnął, powiedziałabym, oczywiście, że powiedziałabym, ale nie zrobiłam tego i musiałam – musieliśmy – z tym żyć. Życie nie jest doskonałe. Jest pogmatwane. Wszyscy popełniamy błędy. Nie znalazł się właściwy czas, a potem nagle byliście już starsi, Matthew był dorosły, Bridgey wyjechała do szkoły i byliście wszyscy gdzie indziej, mieliście inne życie, inne problemy, a to przychodziło z innej epoki, ze złych czasów, jaki był sens grzebać w przeszłości, skoro nikogo by to nie uszczęśliwiło? A potem Matthew zaczął mieć te wszystkie swoje problemy, ale wtedy zawsze było za późno...

– Mówienie prawdy nie jest „grzebaniem w przeszłości”. Może ta tajemnica dołożyła się do problemów Matta? Pomyślałaś o tym kiedy? Może nawet była ich źródłem? Może Matt usłyszał, jak ktoś o tym mówi, albo czuł, że nie powiedziano mu wszystkiego, ale musiał to zamknąć w sobie, bo nie miał z kim o tym porozmawiać? Może dlatego dopadły go wszystkie te kłopoty?

Pokręciła głową. Przerzedzone, siwe włosy.

– Problemy Matthew zaczęły się jeszcze przed śmiercią waszego ojca. Dzieci są odporne. Przyjmują świat taki, jaki jest. Wyrastają na takie, jakie są. Cokolwiek im się przydarza, wydaje się im normalne... jest dla nich normalne. Straciliście ojca i przeżyliście. – Zmieniła pozycję na kanapie. – Matthew stracił ojca i przeżył.

– Poniekąd.

Mój ton był ostry, zbyt krytyczny. Natychmiast zorientowałam się, że posunęłam się za daleko. Matka nie wytrzyma więcej. Wstała, wspierając się na oparciu fotela. Patrzyłam, jak idzie przez pokój. Zatrzymała się przy drzwiach, prawie obnażyła zęby i powiedziała szorstkim tonem, który tak dobrze znałam.

– Matthew żyje tak, jak zawsze chciał żyć.

20

Ed czekał w salonie. To najbardziej elegancki pokój w całym domu, jedyny okazały pokój w starym sensie tego słowa. Sufit wysoki, misterne gipsowe gzymsy, trzy strzeliste okna, ukazujące opleciony glicynią balkon z kutego żelaza z ołowianym daszkiem i panoramę dachów aż do Ashton Court. Dwie długie kanapy stoją naprzeciwko siebie przy niskim mahoniowym stoliku, który dostaliśmy jako prezent ślubny. Nad kominkiem wisi przyćmione lustro z Highlands w rzeźbionej połączanej ramie. Na przeciwległej ścianie wiszą trzy portrety – Eda, Matta i mój. Trzy moje najlepsze.

Z tego, co dotąd mówiłam, można by wywnioskować, że staram się unikać autoportretów, tego ostatecznego ujawniania siebie, ale jest inaczej. Choć autoportret ma większą zdolność zbliżania się do prawdy niż wszelkie inne dzieła sztuki, to jest przeznaczony do publicznej konsumpcji i nie wymaga od autora-modela, żeby się ujawniał przed innymi. Autoportret ma nawarstwioną historię, rozpoczynającą się od zubożałego artysty, którego nie stać na modela, ale rozpaczliwie pragnie zejść w milczące głębie człowieczeństwa. Niektóre z największych obrazów w historii sztuki to autoportrety – choćby Dürer, Velázquez, późny Rembrandt, szczególnie późny Rembrandt, nawet Samuel Palmer. Nic dziwnego. Malarz zna tego modela lepiej, niż pozna kiedykolwiek kogoś innego. Niektórzy krytycy upierają się, że każdy obraz, jak każda powieść czy film, bez względu na temat, to autoportret artysty, pisarza czy reżysera. Nie kupuję tego. Sztuka to sprawa obiektywizmu. Najważniejsze jest oddzielenie życia od pracy. Autoportret w salonie został namalowany wkrótce po tym, jak urodziła się Nell, i chociaż na oko jestem w radosnym transie, to widać to tylko po wierzchu. Jeśli spojrzeć głębiej, można dostrzec swego rodzaju smutek w nieznacznym wygięciu moich ust i jakąś nieuchwytność w oczach. Zdają się sugerować nieprzedstawione problemy, tak jakbym już wiedziała, że dla szczęścia dziecka matka musi zrezygnować ze wszystkiego.

Kiedy weszłam, Ed bawił się smartfonem. Ubrany był w czarny szlafrok w chińskie wzory, który dwa lata temu kupiłam mu w Torque na Westbourne Grove. Ed nie lubi wysiadywać do późna i kiedy zadzwoniłam z samochodu, obudziłam go i powiadomiłam, że jadę do domu i chcę z nim porozmawiać, odparł z naciskiem, że jutro czeka go ciężki dzień. Powiedział, że wyprawa do Highlands to od samego początku był zły pomysł i cokolwiek mam mu do powiedzenia, może poczekać do rana. Musiał wyczuć siłę w mojej odpowiedzi, bo więcej tego nie powtórzył. Uważał, że powinnam była zaszyć się toskańskim hotelu i wylegiwać w słońcu. Mylił się. Highlands to było właśnie to miejsce, do którego należało pojechać, nawet jeśli nie udało mi się tam zostać na całą noc. Ale on o tym nie wiedział, bo nie wiedział o decyzji, którą tam podjęłam. Nie wiedział, że ta decyzja uwolniła mnie od ciężaru, który ciągnął mnie w dół.

Kiedy weszłam, zmienił pozycję na kanapie i popatrzył na zegarek. Dwunasta czterdzieści pięć.

– Dobrze ci tam było? – Jego głos ociekał ironią.

– Tak, dziękuję.

Kiedy matka wyszła z biblioteki, pokręciłam się po kuchni i trochę posprzątałam, po czym poszłam do łóżka. Nie zniósłabym kolejnego spotkania z nią. Znałam jej pogardę dla słabości, wiedziałam, że potrafi ją namierzyć z odległości pięćdziesięciu metrów, i byłam zanadto zła i smutna, żeby zaufać sobie w jej obecności. Gdybym ją zobaczyła, zaczęłabym krzyczeć albo płakać, przede wszystkim z powodu ojca, ale też z powodu nas wszystkich, z powodu tego, co zrobiła, z powodu rodziny, która już nie istniała, o ile w ogóle kiedykolwiek istniała. Przypomniałam sobie słowa Marianne „nigdy nie miałam do czynienia z rodziną, która byłaby taka niespójna”. Czy to było dziedzictwo, które miałam pozostawić Nell i Arthurowi? To było takie inne niż prosta, radosna miłość, której Ed doznawał jako dziecko i którą dawał jako ojciec.

Żeby się więc upewnić, że matka poszła już do łóżka i nie włóczy się po korytarzu, przez kilka minut oglądałam ryciny kwiatów polnych z Dartmoor – napastrnicy, lnu, turzycy, orchidei – wiszących w korytarzu za holem. Były perfekcyjnie wykonane, perfekcyjnie oddane, ale brakowało im indywidualności. Czasem przychodziło mi do głowy, że to niezwykle, że wychowując się w Highlands, zostałam artystką. Matka nie interesowała się sztuką. Powiesiłaby Kandinsky’ego obok rozkładu jazdy pociągu z Tiverton Parkway. Moja żyłka artystyczna musiała pochodzić od taty, chociaż za krótko

zył, żeby się o tym dowiedzieć.

Weszłam na górę tylnymi schodami i, nie mając powodu innego niż to, że znalazłam się w tej części domu i że nie bywałam tam od lat, zajrzałam do starej sypialni Matta, „działki cementarnej”. Ku memu zaskoczeniu było tam dokładnie tak, jak przed dwudziestu laty, kiedy stąd wyjechał. Były plakaty *London Calling*^{BU} i *Mechanicznej pomarańczy*, stara ławka szkolna, zbiór płyt winylowych, zapadnięty fotel Matta, przeładowane półki na książki, stereo z wielkimi czarnymi głośnikami z drewna i wciąż podpiętymi słuchawkami. Zmieniło się tylko tyle, że zasłony były rozsunięte. Pomyślałam o swojej sypialni i sypialni Bridgey po drugiej stronie domu, które, odkąd ukończyłyśmy uniwersytet, stały się pokojami gościnnymi, gdzie nie pozostał po nas żaden ślad, i zrozumiałam, że na swój skostniały sposób matka zawsze kochała swojego syna i następcę.

Jakiś czas leżałam bezsennie w wolnym pokoju. Myślałam o Matcie i ojcu, o rozpaczliwej samotności jego końca – o jego jedwabnej chusteczce do nosa i delikatnych przegubach – i o tym, że matka ukradła nam prawdę i że przez to nigdy nie mogliśmy mu przebaczyć ani opłakać go jak należy. I wtedy zrozumiałam, że już nie mam wyboru. Dotarliśmy do punktu, do którego od dawna miałyśmy dojść. Highlands zrobiło swoje. Nie musiałam już przebywać z matką, a ona nie musiała przebywać ze mną. Wstałam z łóżka, usiadłam pod oknem i wdychając chłodne, wonne powietrze znad wrzosowisk, obracałam w myślach decyzję. Kiedy już byłam pewna, ubrałam się, spakowałam, zesłam ostrożnie na dół i na kuchennym stole zostawiłam liścik, że muszę jechać do domu. Matka zrozumie.

– Ed, musimy porozmawiać.

Lakonicznie uniósł brwi. Przecież dlatego prosiłam, żeby na mnie poczekał, tak? Jego spokój był godny podziwu, przecież o tej godzinie można było się po mnie spodziewać wyłącznie tego, że narobię kłopotów. Położył komórkę na oparciu kanapy i rozluźniony jak detektyw Drake sięgnął po szklankę z wodą, której nie zauważyłam na podłodze. Upił łyk, znów rozparł się na kanapie i założył nogę na nogę, wyluzowany na całego. Przysiadłam na poręczy przeciwległej kanapy i wychyliłam się do przodu, ledwie sięgając stopami podłogi.

– Strzelaj.

– Musimy to załatwić. Musimy powiedzieć dzieciom.

Zamknął oczy, jakby liczył do dziesięciu. Kiedy je otworzył, powiedział:

– Czy nie przerabialiśmy już tego?

– Ale nie doszliśmy do żadnych wniosków.

Zgrzytnął zębami, jednocześnie okazując zdenerwowanie, że temat nie zniknął, i zdecydowanie, by zachować spokój.

– Kochanie, to byłoby wobec nich całkowicie nie w porządku. Przecież wiesz. Będą musiały zachować tajemnicę, której wcale nie muszą poznać. W tym nie ma dla nich żadnych plusów.

– Poza tym, że nasz związek z nimi będzie uczciwy. To jednak plus.

– Nasz związek z nimi oparty jest na fakcie, że jesteśmy ich rodzicami i zawsze będziemy ich kochać i robić dla nich to, co najlepsze. To jest kontrakt między rodzicami a dziećmi. Niezmienny. I nie ma w nim nic, co by mówiło, że muszą wiedzieć wszystko o naszym życiu, tak jak my nie musimy wiedzieć wszystkiego o ich.

– Tak patrzyli na to moi rodzice. I patrz, do czego to nas doprowadziło.

Przez chwilę oglądał swoje paznokcie.

– Kochanie, naprawdę nie sędzę, że krążenie w kółko doprowadzi nas do czegokolwiek.

Poczułam ucisk w żołądku. Niespodziewanie zdenerwowałam się. Pod zasłoną leżała martwa mucha.

– I w tym jest problem, nie rozumiesz? Musimy do czegoś dojść, bo nie jestem w stanie dalej tak żyć, już na zawsze. Nie mogę pracować. Nie mogę oddychać.

– No dooobrze. – Mówił powoli, z namysłem. Takim tonem mówił, kiedy któreś z dzieci nie rozumiało, o co chodzi w tym, co ma zadane do domu, i musiał to wytłumaczyć w inny sposób. Zdjął nogę z nogi i wychylił się do przodu, w zamyśleniu postukując o siebie palcami złożonych rąk. – Więc jaka jest ta druga możliwość? Zniszczymy życie naszych dzieci, zdradzając im tajemnicę, która nie przyniesie im żadnego pożytku, a będzie od nich wymagała bardzo wiele wysiłku, żeby ją utrzymać?

Pokręciłam głową. Wydał usta i zmarszczył brwi, jakby kolejny raz miał wyjaśniać prostą sprawę komuś doprawdy bardzo głupiemu.

– Myślę, że siedzimy tutaj, bo twierdzisz, że nie możesz żyć z tajemnicą i musisz im powiedzieć. Mówisz, że nie dajesz sobie rady, nie możesz pracować i musisz mieć jakiś wentyl. Sądź, że im będzie lżej?

Znów pokręciłam głową. Nie rozumiał, o co mi chodzi.

– A więc?

Nie odpowiedziałam. Nie mogłam się zmusić, żeby to powiedzieć. Nie byłam w stanie zwerbalizować wniosków. Był moim mężem i dobrym

człowiekiem, i mimo wszystko nadal go kochałam. Ale to był inny rodzaj miłości. Życie weszło w paradę. Śmierć weszła w paradę. Zdrada weszła w paradę. Czekałam, aż zrozumie. Umysł mu krążył, krążył, aż wreszcie, powoli, zmrużył oczy w stylu Clinta Eastwooda i powoli pokręcił głową.

Równie powoli pokiwałam głową.

– O nie. – Nacisk padał na pierwszy, rozciągnięty człon. Nic nie powiedziałam. Nie chciałam przerywać toku jego myśli. Odchylił się na oparcie kanapy, jak pasujący pokerzysta. – Nie sędzę. – Nie odpowiedziałam, ale nie odwracałam od niego wzroku. – Nie. Nie ma mowy, kochana, tak nie będzie. Obiecałem. Zaraz na początku, w sypialni Arthura.

Skinęłam głową. W jego głosie pojawiły się twardsze tony.

– Nie mam zamiaru spieprzyć im życia, skoro nie muszę.

– Nie ma wyboru. O ile chcemy zostać razem, jako rodzina.

Głos mi się łamał. Próbowałam udawać, że się kontroluję, ale pod spodem bulgotałam jak zupa w mikrofali. Wiedziałam, że muszę zachować spokój. Inaczej rozbroi moje argumenty, rozmontuje mnie kawałek po kawałku. Starał się ukryć irytację, ale nie bardzo mu się udawało.

– Dlaczego nie ma? Są wszelkie alternatywy. Policja zrobiła, co do niej należy. Po sprawie. Jedyne, co musimy zrobić, to nigdy więcej o tym nie wspominać. Nigdy więcej nawet o tym nie pomyśleć.

Sięgnął w dół i podniósł szklanekę z wodą. Na pozór panował nad sobą, ale widziałam, że wargi ma suche. Żyła, która nabrzmiewała mu na czole, kiedy znajdował się pod presją, dorobiła się teraz dopływu. Ja też, tak jak on, nie miałam ochoty przez to przechodzić, ale wiedziałam, że jeśli miałam jeszcze kiedykolwiek wrócić do pracy, jeśli miałam znów zacząć oddychać, jeśli mieliśmy znów stać się prawdziwą rodziną, muszę się trzymać swego. Zostawić go, uciec, to żadne rozwiązanie. To nigdy nie jest rozwiązanie. Musimy załatwić sprawę dziś w nocy.

– „Jedyne, co musimy zrobić...” Nie do wiary, że możesz podchodzić do tego z takim dystansem. A tak w ogóle, cokolwiek zrobiłaby policja, nie ma to nic wspólnego z nami jako rodziną.

– To znaczy?

– To znaczy, że nie możemy dalej tak żyć, ukrywając to wszystko.

– Dlaczego? Już po wszystkim. Nic nie zostało do ukrycia.

– Wszystko zostało do ukrycia! Potrzebujemy uczciwości w naszym życiu. Nie mogę żyć z tym... z tym kłamstwem wiszącym nade mną. Dłużej nie potrafię tego znieść.

Przechylił głowę, jakby kalkulował siłę mojej woli. Poczułam chłodny powiew i dochodzący nie wiadomo skąd zapach gałki muszkatołowej.

– Więc idę do więzienia, Bóg wie na jak długo, a Nell i Arthur, jako dzieci zabójcy, będą już na zawsze chodzić z opuszczonymi głowami, bo tobie trudno pracować? Myślałem, że sztuka polega na tym, że rozwiązujesz problemy. Bierzesz życie takie, jakie jest, i przesączasz je w swoją pracę, dobro i zło, szpetotę i piękno.

Nie odpowiedziałam. Skorzystał z okazji.

– Pomyśl tylko, jak Nell i Arthur będą widzieli matkę w przyszłości? Jako kogoś, kto obronił ich dzieciństwo i niewinność, czy jako kogoś, kto im to odebrał?

– Ja nikogo nie zabiłam.

– Ja też nie. To był wypadek.

– Ja z nikim nie spałam.

– Jezu, Alice, bądź rozsądna, to była pomyłka. Przeprosiłem cię za to i nadal będę przepraszał. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłem, i nienawidzę się za to, i zrobię, co zechcesz, co tylko zdołam, żeby ci to wynagrodzić. Ale to nie jest jakiś projekt artystyczny. To jest prawdziwe życie i skrzywdzeni zostaną prawdziwi ludzie – ludzie, których kochamy najbardziej na świecie. Nie zamordowałem Araminty Lyall. Więc co takiego uczciwego będzie w tym, że pójdę do więzienia na piętnaście lat? Bo spałem z nią, kiedy byłem zbyt pijany, żeby to pamiętać? Naprawdę chcesz, żeby Nell i Arthur musieli z twojej winy przeżywać to wszystko, co ty przeżyłaś wtedy na ulicy? Wyobraź sobie tylko, jak to jest być dzieckiem mordercy. Może zmienicie nazwisko i przeprowadzicie się do Sussex. Może wyemigrujecie do Australii. Ale nawet wtedy nadal będą dziećmi mordercy, to się wyda, i już nigdy nie zobaczą swojego taty, a jeśli nawet, to na kwadrans, po pięciu godzinach jazdy do jakiegoś zapomnianego przez Boga i ludzi, ponurego, pełnego przeciągów, upiornego pokoju wizyt z podsłuchującym strażnikiem, który mówi, o czym nam wolno rozmawiać, a o czym nie wolno. Gdziekolwiek by się znalazły, całe życie będą się wypierały tego, kim są, a to znaczy, że przestaną być tym, kim są. Na litość boską, gdzie w tym jest uczciwość?

Rozejrzał się, jakby odpowiedź była ukryta w pokoju, jak czekoladowe jajko w deszczową Wielkanoc. Patrzyłam w podłogę, na słoje w kształcie deski surfingowej, i myślałam o tamtej kobiecie, o jego głowie na jej poduszce, o moim ojcu na Beachy Head, o tym, jak głęboko było w nim zakorzenione poczucie honoru. Popatrzyłam na Eda. To był człowiek, który

poprzez oddanie swojej pracy nauczył mnie, że nie ma znaczenia, czego się nie zrobiło, nie ma znaczenia, co się myślało, nie ma znaczenia, co się powiedziało. Liczy się tylko to, co się zrobiło.

– W najgorszym wypadku będzie to nieumyślne spowodowanie śmierci, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę świadectwa twojego charakteru, jakie uzyskasz, i dobro, które możesz wyświadczyć na wolności.

– Zakładam, że będę mógł cię zacytować? – W jego głosie nie było humoru.

– Wiesz, że tak będzie.

– Wiem, że policja uzna, że miałem motyw, że ich okłamałem, że ty też ich okłamałaś i dobiegłaś do nas. Dlaczego nie? Nagłośniona sprawa, lekarz szycha, żona portrecistka ludzi z towarzystwa – zobaczysz, jak prasa się na to rzuci, jak się rzuci sieć. Wiem też, że potem już nigdy nie będę pracować.

– Oczywiście, że będziesz.

Twarz Eda zajaśniała ponuro.

– Ilu znasz skazanych zabójców, którzy przeszli sprawdzian Publicznej Służby Zdrowia na uczciwość? – Przełknęłam ślinę. W ciszy zabrzmiało to jak uderzenie gromu. Miał zaciśniętą szczękę, mięśnie policzków napięte. – Ale jest inny sposób. Możemy żyć dalej i poskładać wszystko z powrotem, chyba że postanowisz – tak, Alice, chyba że ty postanowisz – wbić we mnie nóż, wbić nóż w dzieci i we wszystko, co zbudowaliśmy.

– Na tym jest rysa. Pęknięcie.

– Wszystkie sprawy na tej ziemi mają rysę. Taki jest świat.

– Nie musi taki być.

Parsknął pogardliwie.

– Na tym polega różnica między nami.

– Alice, proszę, przemyśl to, przemyśl to wszystko. Bo kiedy już to zrobisz, wymknie się to nam z rąk, rozrośnie się i przybierze obrót, którego pewnie się nie spodziewasz. Nie będzie powrotu. Zrozum, co będzie, jeśli aresztują cię za pomocnictwo po fakcie albo za krzywoprzysięstwo? A jeśli też pójdziesz do więzienia? Gdzie wtedy zamieszkają dzieci? Z Bridgey? Z twoją matką? Z Mattem?

Nie odpowiedziałam. To nie była kwestia logistyki. Tu chodziło o prawdę, o uczciwość wobec nas samych i wobec naszych dzieci. Nie było przyszłości dla nas jako małżeństwa, ani dla mnie jako dla artystki, a może nawet jako dla istoty ludzkiej, jeśli się z tym nie uporam. Osiągnęliśmy punkt, z którego nie ma powrotu. Nie sposób nieustannie żyć w kłamstwie. Musi być jakiś koniec. Tyle wiedziałam. Reszta to tylko słowa.

– Musimy zrobić to, co należy. Koniec końców to jedyny sposób, żeby dzieci nas szanowały.

– Och, do kurwy nędzy, posłuchaj, co mówisz! – Mówił z naciskiem, ale cichym, kontrolowanym głosem, straszniejszym, niż gdyby krzyczał i wydzierał się. – Od kiedy jesteś taka doskonała? Okej, no więc jesteś wielką artystką i zajmujesz się uniwersalnymi prawdami. Cóż, nie wszyscy do tego dorastamy. Niektórzy z nas są tylko ludźmi. Popołniamy błędy – tak, przyznaję, straszne błędy – i są przypadki, są sprawy, których nie możemy odwrócić i musimy nauczyć się z nimi żyć, często ze względu na innych ludzi. To jest jeden z takich przypadków. Chodzi o Nell i Arthura, tak samo jak o ciebie czy o mnie, a dzieci nie podziękują ci ani nie będą cię považać za to, że spieprzyłaś im dzieciństwo, spieprzyłaś im całe życie w imię jakichś śmiesznych artystycznych ideałów!

Przez chwilę wahałam się, myślałam o kształtach ich głów na poduszkach, Nell umyta jak kot łapą, lok zawinięty wokół ucha Arthura. Nie zasługiwały na to. Kto zasługiwał? Ale decyzja została podjęta w Highlands i w chwili, kiedy ją podjęłam, poczułam się wyzwolona, jakby ktoś otworzył okienko komórki, a ja wydostałam się przez nie na pusty kwadrat nieba. Szybowałam do Bristolu jak przesiąknięty heroiną saksofonista, wskaźnik tańczył wokół setki, koła ledwie dotykały drogi. Złość i frustracja Eda były nieuchronne, ale to tylko utwierdzało mnie w moim postanowieniu. A zresztą czyja to była wina?

– Dzieci przeżyją. Są odporne. Cokolwiek by się zdarzyło, stanie się normą. Żyją własnym życiem.

– Lepiej się czujesz dzięki temu?

– Lepiej, żeby nasze stosunki z nimi i między nami dwojgiem, i z wszystkimi, były zbudowane na kłamstwie? Tak, lepiej się czuję. Mają prawo wiedzieć i rozumieć.

– Zrozumieją, że ich dzieciństwo, może całe życie zostały zniszczone, bo ich mama była zbyt zapatrzona w siebie, żeby pomyśleć o nich i ich potrzebach. To ty robisz aferę. To, czy tak się stanie, zależy wyłącznie od ciebie. Nie żebyś musiała czy żeby one tego potrzebowały, ale dlatego, że chcesz. Nie ma innego powodu.

Wypuścił głośno powietrze i odwrócił się ze złością. Przez chwilę patrzył na swoje odbicie w czarnym jak atrament lustrze. Okropne było to wszystko, ale musiałam wytrzymać, żeby doprowadzić rzecz do końca. Jeśli się zawaham, będzie po wszystkim.

– Ed, chodzi o to, kim jesteśmy, jakimi ludźmi chcemy być, jakim mamy być

przykładem dla Nell i Arthura. Chodzi o nie, o to, żeby wiedziały, co jest dla nas ważne, w co wierzymy. Żeby poznały prawdę, zrozumiały narrację własnego życia. Naprawdę, nie ma innego sposobu.

– Oczywiście, że jest inny sposób. Tylko ty nie chcesz go zobaczyć. – Ze złością zgrzytnął zębami, jakby nagle zobaczył sprawę pod innym kątem, którego wcześniej nie zauważał. – A powód jest taki, że tu w ogóle nie chodzi o mnie, prawda? I o nasze dzieci też nie. Chodzi o ciebie. Zawsze chodziło o ciebie. Może we wszystkim.

Kręciłam głową, to było śmieszne, ale Ed mówił dalej, tonem desperackim i gorzkim, coraz mocniejszym i bardziej dobitnym.

– Nigdy nikt nie dorównywał mojej doskonałej żonie, bo zawsze była najpiękniejszą, najbardziej utalentowaną, najmiłszą, najbardziej przenikliwą, najmądrzejszą i najbardziej twórczą istotą w każdym salonie, i wszyscy mężczyźni nie widzieli nikogo poza nią. Ale teraz jej mąż przespał się z inną, młodszą, może równie piękną, może równie inteligentną, podobno równie utalentowaną, a może nawet bardziej. I mniejsza o to, co było potem, ale ona nie potrafi dać sobie z tym rady, bo nigdy nie musiała. Świat, który kręcił się tylko i wyłącznie wokół niej, nagle musiał się powiększyć, żeby objąć kogoś innego. Nic dziwnego, że wszelkie moje przeprosiny nie wystarczą. Powinienem wiedzieć, że nie wystarczą. Bo tu w ogóle nie chodzi o mnie, tu chodzi o ciebie.

Nie wierzyłam własnym uszom. Jak mógł tak przeinaczać prawdę?

– „Mniejsza o to, co było potem?” – Nie potrafiłam pozbyć się szyderczego tonu. – Doskonale! Gdyby „potem” nic się nie stało, nie byłoby tej rozmowy.

Ed wychylił się do przodu. Mówił gorzkim tonem, jego blade policzki płonęły.

– Owszem, byłaby. Od zawsze mieliśmy ją przeprowadzić któregoś dnia. Gdyby nie poszło o to, znalazłoby się coś innego.

Mało nie roześmiałam się na głos.

– Chcesz powiedzieć, „coś innego” niż przespanie się z kimś i zabicie tego kogoś?

Jakbym nic nie powiedziała. Szedł przed siebie jak burza.

– A powód, dla którego od zawsze kroїła się ta rozmowa, to że przez całe życie jesteś tak pioruńsko opętana sobą, że nie możesz znieść, kiedy w realnym świecie dzieje się coś, co wpływa na życie realnych ludzi, a nie chodzi o ciebie. Cóż, właśnie to się stało. Ja też tego nie chciałem, ale stało się i muszę dawać sobie z tym radę. Nie potrafię teoretyzować na ten temat. Nie potrafię

namalować tego pięknymi kolorami. Właśnie to się stało i w głębi duszy o tym wiesz.

Odwróciłam wzrok. Jak mu się udało przerzucić cały problem na mnie? Może ona miała rację i to, że się z nią przespał, to wyraz spraw, które podprogowo nam się nie układają? Kiedy stwierdził, że nie mam zamiaru odpowiadać, podjął:

– Och, chodzi nie tylko o ciebie. Chodzi o was wszystkich, o całą twoją rodzinę, być może od pokoleń. Spójrz na swojego tatę. Nie pasowało mu spędzanie czasu z rodziną, więc siedział w Londynie. Twoja mama? Co tak naprawdę zrobiła dla innych, w tym dla własnych dzieci? Szczególnie dla dzieci! Bridgey? Zawsze udawała, że życie rozgrywa się między kartkami książki. Matt? Właśnie... Matt? Proszę cię! Czy kiedykolwiek pomyślał o kimś innym niż on sam? Och, oczywiście, biedny, niezrozumiany Matt, zawsze zmagął się ze swoimi problemami i robił „swoje”. Tyle że to „swoje” okazało się niczym. Czy któreś z was kiedykolwiek kogoś kochało? Czy któreś z was zeszło kiedykolwiek z wysokiej wieży i wzięło za coś odpowiedzialność? Czy któreś z was żyło kiedykolwiek prawdziwym życiem?

Nawet nie próbowałam odpowiadać. Mogłam mu powiedzieć o Matcie i Jo, ale nie o nich tu chodziło i nie miałam zamiaru bronić siebie i swojej rodziny przed tym sądem kapturowym. Podjęłam już decyzję, a sposób, w jaki zareagował, prawie mnie uspokoił, a to znaczyło, że potrafię doprowadzić sprawę do końca. Mogłam tu siedzieć i przyjmować obelgi tak długo, ile potrzebował, żeby mi dokopać, i – nie zrozumcie mnie źle – wiedziałam, dlaczego potrzebował. Wiedziałam, dlaczego jest zgorzkniały. Ja też bym była, gdybym znalazła się na jego miejscu. Tym razem postanowiłam postąpić właściwie.

21

Kiedy dotarłam na komisariat, była za kwadrans czwarta, ale nie byłam zmęczona. Nic a nic. Poziom adrenaliny miałam tak wysoki, że mogłabym odgryźć sobie rękę i nic bym nie poczuła.

Za kontuarem nikogo nie było. Nacisnęłam dzwonek i czekałam. Bardziej się denerwowałam, niż kiedy przywieźli mnie tutaj na tylnym siedzeniu radiowozu. Wtedy była szansa, nadzieja, sprawa do rozegrania. Tamto już wygasło. Zastanawiałam się, jak to się potoczy. Czy zatrzymają mnie tutaj, kiedy pojedą po Eda? A co z dziećmi? Czy obudzą się i zobaczą w domu policjanta? Może powinnam była o tym wszystkim pomyśleć, ale wiedziałam, że muszę wyjść z domu i zrobić to, bo może mnie zawieść odwaga. Gdyby mieli mnie zatrzymać na noc, zawsze mogłam poprosić, żeby zadzwonili do Bei. Nie ma potrzeby ukrywać się teraz przed Radio Bea-for-Bristol. Rano świat będzie wyglądał zupełnie inaczej.

Jeszcze nie widziałam Eda tak rozgniewanego jak wtedy, kiedy nie chciałam ustąpić. Po prostu nie trafiało do niego, że muszę to zrobić dla nas wszystkich, że w końcu niepodobna, żebym – żebyśmy – już na zawsze żyli pod presją nieustającego kłamstwa, i dlatego podjęcie ryzyka rozstania jest jedynym sposobem, żebyśmy przetrwali jako rodzina. Przez chwilę rzeczywiście się zastanawiałam, czy nie ma ziarenka prawdy w jego oskarżeniach, że robię to z zazdrości o tę kobietę – młodszą wersję mnie! – i że powoduje mną zdrada małżeńska, a nie zabójstwo. Ale w głębi serca byłam pewna, że tak nie jest.

– A jeśli tam pójdziesz, a policja zatrzyma cię, bo właśnie był anonimowy telefon, że to ty zabiłaś Aramintę?

– Nie ma mowy.

Ed patrzył na mnie z niezmaconym spokojem.

– To nie byłby pierwszy raz. Żona zazdrosna o kochankę chce uratować małżeństwo. Jest motyw.

- Ed, proszę.
- O ile wiemy, nikt nie widział cię tamtego wieczoru na Sion Hill i na pewno nie zauważono cię na Brandon Hill.
- To jest totalnie śmieszne. Na tamtym etapie nawet o niej nie wiedziałam. Po prostu jakaś kobieta, właścicielka mieszkania, w którym przenocowałeś po przyjęciu. Miałeś jej nigdy więcej nie zobaczyć. Dlaczego miałabym się tym zajmować?
- Bo dowiedziałaś się, co było między nami? Domyśliłaś się. Kwiaty. Dziwny telefon. Niebieska wstążka. Zmiana hasła do mojej komórki. Tropów było wiele. W pewnym sensie jestem zdumiony, że wcześniej tego nie zauważyłaś.
- Ufałam ci.
- Ale powiedzmy, że się domyślałaś. Powiedzmy, że byłaś typową żoną, która zastanawiała się, dlaczego muszę jeździć na zagraniczne akcje dobroczynne i konferencje medyczne. Mnóstwo żon miałoby wątpliwości. Ty nie miałaś, dlatego że tak byłaś zapatrzona w siebie i swoją sztukę, że nigdy nie przyszło ci to do głowy. Ale powiedzmy, że przyszło. Powiedzmy, że odkryłaś to. Więc poszłaś do jej mieszkania, żeby się z nią skonfrontować, powiedzieć, żeby dała spokój twojemu mężowi, ale sprawy przybrały zły obrót, pokłóciłyście się, ona popchnęła ciebie, ty popchnęłaś ją, potknęła się... twoje słowo przeciwko trupowi.
- Nigdy nie byłam w tamtym domu.
- Trudno udowodnić, że tak nie było.
- Odciski palców.
- Rękawiczki.
- W maju?
- Zadbalaś, żeby niczego nie dotykać, wytarłaś tam, gdzie dotykałaś. – Poruszył palcami, robiąc znak cudzysłowu. – „Wyszłam z domu o szóstej, żeby posiedzieć na Sion Hill, a potem poszłam prosto do klubu książki”. Innymi słowy, brak alibi między szóstą a ósmą. Czas dokonania morderstwa? Między szóstą a ósmą. Czy ktoś cię widział? Co powiesz, wiedząc, że cokolwiek mówisz, zostanie zapisane i może być użyte przeciwko tobie?
- To śmieszne.
- Zdarzały się dziwniejsze rzeczy.
- Powiedziałabym prawdę.
- Czym jest prawda, jeśli nie da się jej udowodnić?
- Prawda zawsze wyjdzie na jaw.

– Nie kuś mnie. – Ed zacisnął zęby. – To nie jest śmieszniejsze od tego, co proponujesz. Wypuścisz dzina z butelki i nie wiadomo, co się stanie. Może byś o tym pomyślała?

Kłótnia toczyła się długo w noc, krok naprzód, pół kroku w tył, ale wynik już nie budził wątpliwości. Nie mógł ich budzić. Status quo był nie do obrony.

Na komisariacie wisiał plakat ostrzegający mnie, żebym uważała na swoje kosztowności. Przecież chyba właśnie tutaj mogą być bezpieczne? To musi być prawda, co mówią o sprzedajnych glinach. Musiałam dwa razy naciskać dzwonek. Bristolscy przestępcy mogą w nocy spać spokojnie w swoich łóżkach. W końcu pojawił się policjant. Miał pod sześćdziesiątkę, z rozmiarów i kształtów przypominał kanapkę big mac, cerę miał jak żółty ser Monterey Jack, a uszy jak skrzydłowy napastnik w rugby. Próbował bez powodzenia wyglądać tak, jakby fakt, że przed czwartą nad ranem z własnej woli pojawia się na komisariacie człowiek, był chlebem powszednim.

– Co takiego mogę dla pani zrobić?

Głowę miał łysą jak armatnia kula, tyle że dwa razy większą, ale oczy łagodne. Przecierał je wielkimi czerwonymi pięściami, jakby dopiero co się obudził. Za długo to trwało. Rozluźniony krawat przybrał formę litery Y pod szczęką rozmiarów ławki w parku, rękawy miał podwinięte powyżej łokci. Na chwilę opuściła mnie odwaga, kiedy wyciągnął spod kontuaru podkładkę na dokumenty i z nadzieją rozglądał się za długopisem. Czułam, że się trzęsę.

– Przyszłam w sprawie śmierci Araminty Lyall.

No. Zrobiłam to. Nie było odwrotu. Czułam się jak długodystansowy pływak, który zobaczył ląd. Ale Maca to nie brało. Nie wrzasnął: „Alleluja!” Chrząknął tylko, ściągnął brwi, zasapał przez nos i sprawiał wrażenie człowieka, który żałuje, że nie pojawiłam się na dyżurze kogoś innego. Zerknął na zegarek. Czy ktoś tu marnuje czas policji?

– Wiem, że to dziwna pora, żeby przychodzić. Ale tak się złożyło. Wiem, kto ją zabił.

Chrząknięcie i podejrzliwe ściągnięcie brwi. Mój głos brzmiał piskliwie. Dobrze tu znano miłośników sławy.

– A pani jest?

– Alice Sheahan.

Popatrzył na mnie, jakby gdzieś już słyszał to nazwisko, ale nie do końca kojarzył.

– No dobrze, proszę tędy przejść.

Big Mac poczłapał z trudem na drugi koniec kontuaru i podniósł opuszczany

blat. Schyliłam głowę i przeszłam, zerkając za siebie na pusty hol – gliniarska perspektywa człowieczeństwa w jego najniższych stanach. Policjant otworzył pchnięciem drzwi prowadzące do pomalowanego na kremowo korytarza z oliwkowymi drzwiami w regularnych odstępach po prawej stronie. Nie tym korytarzem prowadzono mnie na przesłuchanie. Należy się pomieszczenie lepszej klasy, kiedy policjanci myślą, że chcesz się im pomóc.

– Coś pani przynieść? Kawy? Herbaty? Wody?

– Szklanę wody?

– Tu nie ma szklanek. No to wejdźmy tutaj. – Otworzył pierwsze drzwi. – Proszę się rozgościć. Wrócę za minutę.

Pokoik był mały, kwadratowy, cegły na ścianach lśniły. Stał w nim drewniany stół i trzy drewniane krzesła. Od środka szyba w drzwiach była nieprzezroczysta, jednostronna. Proszę się rozgościć. Już to mówił. Usiadłam na krześle, które stało przodem do drzwi. Powinam być wyczerpana po rewelacjach usłyszanych od matki, długiej jeździe samochodem i kłótni z Edem, ale serce biło mi jak myśliwemu polującemu na grubego zwierza, kiedy zbliża się do celu.

Drzwi otworzyły się bez pukania. Big Mac odsunął się, żeby wpuścić szczupłego mężczyznę po trzydziestce. Włosy miał czarne jak lukrecja i egocentryczne baczki zwięzające się w szpic. Jego wełniany garnitur w subtelną kratkę Prince de Galles i eleganckie buty nie pasowały do miejsca i czasu, jakby wezwano go z toru wyścigowego, żeby zidentyfikował zmarłą ciocię. Był niemal komicznie pewien siebie. Wchodząc, zaszczycił Maca pełnym wyższości skinieniem głowy.

– Pani Sheahan?

Odsunęłam krzesło do tyłu. Mój spowiednik był młodszy ode mnie. Ciekawe, jak Ed by go zniósł.

– Tak.

– Proszę nie wstawać. Inspektor Sladden. Miło mi panią widzieć. Dziękuję, że pani przyszła. – Mówił energicznym, kompetentnym tonem. – Zazwyczaj nie ma mnie w pobliżu o... – Zerknął na zegarek i skrzywił się. Ważne, żebym zrozumiała, ile szczęścia miałam, że tutaj był, że nie musiałam rozmawiać z jakimś sierżantem na dyżurze. Czwarta nad ranem to czas, kiedy niższe szarże, Mac Donaldy policyjne, odbębiają swoje. – Posterunkowy Baker, którego pani poznała, mówi, że ma pani informacje dotyczące śmierci Araminty Lyall.

Przyciągnął do siebie jedno z krzeseł i usiadł, opierając kostkę o kolano. Nosił buty ze skóry węża. Spoza Sladdena wyłonił się Baker i podał mi

papierowy stożek z wodą. Zespół projektantów nie poprawił się od mojej ostatniej wizyty. Woda była ciepła, połknęłam ją jednym haustem. Baker usiadł ostrożnie na drugim krześle, jakby nie był pewien, czy utrzyma jego ciężar. Nie wspomniał o pianistym cappuccino, które pojawiło się w jego niedźwiedziej łapie.

– Zgadza się.

Sladden nachylił głowę. To był jego show. W tym biznesie nic go nie zadziwi.

– Niech pani strzela.

Naprawdę to powiedział? Strzeliłam.

– Mój mąż, Ed Sheahan, spał z Aramintą Lyall w sobotę przed jej śmiercią, a potem...

Sladden podniósł dłoń.

– Mogę pani przerwać w tym miejscu?

Zamilkłam, bardziej z zaskoczenia niż z posłuszeństwa. Niewielu policjantów przerywa ludziom, gdy coś wyznają. Normalnie ich długopisy skrobią tak długo, jak trzeba.

– Myślę, że panią przekonam: nie spał.

– Nie co?

– Nie spał z Aramintą Lyall.

– Zapewniam pana, że spał.

Sladden kręcił głową. Miał miękkie wargi i protekcyjne spojrzenie, które wahało się pomiędzy humorem a żalem.

– Może wysłuchalibyśmy, co pani ma do powiedzenia?

Sladden przestał na chwilę patrzeć na mnie i rzucił Bakerowi pogardliwe spojrzenie. Baker wystawił dolną wargę i sapnął, licząc dni do emerytury. Jego nazwisko widniało na każdej sprawie, jego serca tam nie było. Sladden znów zwrócił się do mnie.

– Może nie wszystko wiemy o śmierci Araminty Lyall – chociaż wystarcza nam świadomość, że to był wypadek i dlatego sprawa została zamknięta do pojawienia się nowych dowodów – ale wiemy na pewno, że w wieczór przyjęcia u Petera Spurlinga pani mąż nie spał ze zmarłą...

– Niech pan posłucha, przysięgam panu, że...

– ...bo wiemy, kto z nią spał.

Zatrzymałam się jak wryta. Nawet gdybym chciała coś powiedzieć, nie byłam w stanie. Nie ze względu na samozadowolenie Sladdena, że tylko po pysku prac, ale dlatego, że właśnie rozbił mój świat na kawałki. Rozparł się w

krześle, zadowolony z efektu swoich słów, panował nad całą sprawą. Wiedziałam, że nie wolno mi powiedzieć ani słowa, póki on wszystkiego mi nie wyjawia.

– Oczywiście, chyba że pani mąż to Johnny Trumble?

Pokręciłam głową. Ledwie byłam w stanie skupić się na jego słowach. Co chciał przez to powiedzieć, że Ed nie przespał się z tą kobietą? A co ważniejsze, co to oznacza, jeśli się z nią nie przespał? Nie było czasu, żeby znaleźć jakieś odpowiedzi, bo Sladden mówił dalej, gładko, jak po sznurku.

– Johnny Trumble, marszand, którego zatrzymaliśmy, po tym jak państwo oboje... – Przerwał, sprawdzał, czy nie mam zamiaru mu przerwać. Zdecydowanie nie miałam takiego zamiaru. – Miał alibi na wieczór, kiedy panna Lyall zmarła. Był w teatrze, w Young Vic, oglądał sztukę z przyjaciółmi. Ale powiedział nam wszystko o tym, co się działo w mieszkaniu panny Lyall w wieczór przyjęcia u doktora Spurlinga, kiedy on i pani mąż wrócili z nią na Montpelier.

– Wraz z innymi.

– Innymi?

– Myślę, że wróciło sześcioro, siedmioro.

Sladden kręcił głową.

– Nie. Była ich tylko trójka, pan Trumble nie miał co do tego wątpliwości. Pani mąż też.

Tego było za dużo jak dla mnie. Jeśli Ed nie spał z tamtą kobietą, to wszystko, co było potem, nie miało prawa się zdarzyć. Ale dlaczego powiedział, że pojechało ich tam sześcioro, siedmioro, skoro było ich tylko troje? Dwóch mężczyzn i jedna kobieta, co najmniej jedno z nich spite, to zupełnie inna dynamika grupy przypadkowo zebranych ludzi. Czy tych innych dodał dla mojego dobra? I dlaczego udawał, że nigdy nie słyszał o Johnnym Trumble’u, kiedy w *Wiadomościach o Dziesiątej* podano, że został aresztowany? Jeśli z tamtą kobietą wróciło ich tylko dwóch, to przecież rozpoznałby nazwisko.

– Okej – powiedziałam ostrożnie, bo nic innego nie byłam w stanie wymyślić i chciałam, żeby inspektor mówił dalej.

– Pan Trumble spał z panną Lyall tamtej nocy. Następnego dnia rano poszli na kawę do pobliskiej kawiarni Café Kino na Stokes Croft. Tam pan Trumble, według jego zeznań, miał powiedzieć, że to była okropna pomyłka, że ma dziewczynę, wypił za dużo, że jest mu bardzo przykro i to, co się zwykle mówi w takim wypadku, i że ich związek nie ma perspektyw. Wygląda na to, że pan

Trumble zagrał jej na nosie. To się zdarza między dorosłymi, którzy uprawiali seks za obopólną zgodą.

Milczałam, co wziął za zaproszenie do dalszych wyjaśnień. Dlaczego policjant, który powinien zadawać pytania, chce tylko udzielać odpowiedzi?

– Według pana Trumble’a pani mąż leżał zamroczony w łóżku, bo wypił znacznie więcej, niż mógł znieść. Podobno zwałił się na fotel niemal od razu. – Sladden dla efektu przerwał, znajdując przyjemność w tym, że może podłubać w życiu znanego położnika. – Duch wprawdzie ochoczy, ale ciało... Pan Trumble powiedział, że próbowali się go dobudzić, ale nie dało rady, więc panna Lyall wielkodusznie zaproponowała, że położą go w jej łóżku, bo było jeszcze jedno w pokoju gościnnym. Wygląda na to, że pan Trumble i panna Lyall zawlekli go na jej łóżko, a potem poszli razem do łóżka w pokoju gościnnym. Pani mąż nadal spał, kiedy pan Trumble i panna Lyall poszli na śniadanie. A ponieważ pan Trumble wsiadł na postoju do taksówki i pojechał prosto do Temple Meads, nie wie, co się później działo. Przypuszcza jednak, że pani mąż po prostu sam wyszedł z mieszkania. Z tego, jak opisał go pan Trumble, myślę, że całkowicie nieprawdopodobne jest, żeby on i panna Lyall... jak by to powiedzieć... mogli mieć... wie pani, o co mi chodzi.

– Rozumiem.

I rozumiałam. Widziałam teraz wszystko jak na dłoni. Nagle zyskałam sokoli wzrok, laserowe oko, dar jasnowidzenia, nazwijcie to jak chcecie. Miałam najostrzejszy wzrok na tej planecie. Widziałam wszystko jak na dłoni, bo przypominałam sobie, jak Ed mi mówił, że Pete Spurling powiedział, za późno, jak się okazało, że powinien uważać na tę kobietę, bo lubi starszych mężczyzn, zwłaszcza żonatych, i zdarzały się jej już takie akcje. Przespała się z Johnnym Trumble’em, on ją rzucił przy śniadaniu, a ona po powrocie do domu zastała w swoim łóżku śpiącego twardo Eda, atrakcyjnego, starszego żonatego lekarza, który nie mógł pamiętać, co się z nim działo w nocy. Więc położyła się przy nim i zaczęła twierdzić, że ją przeleciał. A czemu by nie? Miała trzydzieści dwa lata. Nie miała nic do stracenia. Ściganie go, przypieranie do ściany, okłamywanie, próby usidlenia go i rozwalenia jego rodziny mogły kosztować ją tydzień życia, ale kto nie ryzykuje... Tyle że się myliła. Miała coś do stracenia. Miała do stracenia swoje życie.

W tej chwili zrozumiałam, że Ed nie tylko nie jest mordercą, co wiedziałam zawsze, ale też że nie zdradził naszego małżeństwa. Co więcej, dotarło do mnie w przeraźliwym wybuchu samoświadomości, że mógł mieć rację w salonie, kiedy powiedział, że to seks był źdźbłem w moim oku, nie tylko

śmierć tamtej kobiety czy moja niezdolność do pracy. Musiałam stawić czoło także tej wersji. Bo jeśli było inaczej, to dlaczego nagle poczułam się tak lekko? Ale jeśli Ed z nią nie spał, to padł ofiarą mojej dumy w równym stopniu, jak oszustwa tamtej kobiety, może nawet ja zawiniłam bardziej. Jeśli nie zasługiwała na śmierć za nieuczciwość, to on na pewno nie zasługiwał, żebym go wykańczała. Ani zwyczajnemu poczuciu sprawiedliwości, ani naszej rodzinie nie wyjdzie na dobre, jeśli Eda zamkną w więzieniu.

To wszystko zapłonęło mi oczywiście w głowie w ułamku czasu potrzebnego, aby to sobie uświadomić, i poczułam wzbierające łzy, bo w jednej sekundzie rozumiałam, jak blisko było do tego, żeby mój mąż odcierpiał straszną niesprawiedliwość. Zdałam sobie sprawę, jak blisko byłam – i nadal jestem – zniszczenia wszystkiego. Moje pierwsze zadanie to zabrać się stąd do wszystkich diabłów, jak najdalej od oślizgłego inspektora Sladdena, i zrobić to tak szybko, jak tylko uprzejmość pozwala. Dzięki Bogu, nie było tu Philipa. Na pewno by nie pozwolił, żeby przesadna pewność siebie, poczucie władzy czy może zwykłe popisywanie się sprawiło, że gubi trop. Próbowалам wyglądać na speszoną.

– W takim razie, panie inspektorze, to wygląda na pomyłkę – powiedziałam.

Jeden przeciek, jeden fałszywy ruch... Chrząknął. Nie dawałam mu czasu, żeby nie powstała przerwa na myślenie albo na pytania.

– Albo może padłam ofiarą jakiegoś kawału. – Ze wszystkich sił próbowałam udawać spokojną. – Z Eda robi się dowcipniś, jak tylko zdejmie rękawice chirurgiczne. Lepiej pójdę do domu, żeby sprawdzić, o co w tym wszystkim dokładnie chodzi. Bardzo przepraszam, że zmarnowałam obu panom czas.

Odsunęłam krzesło i zaczęłam się podnosić. Sladden spojrział na Bakera, ale nie ruszył się, chociaż przyglądał mi się jak ochroniarz na lotnisku. Nagle uśmiechnął się i był to prawdziwy uśmiech.

– Nie ma sprawy. Po to jesteśmy.

– To bardzo wspaniałomyślne o tej porze.

Wzięłam torebkę. Sladden nadal się nie ruszał. Chciałam, żeby wstał. Póki się nie ruszy, nie będę mogła postawić następnego kroku, żeby nie wyglądało, że się za bardzo spieszę, wtedy wszystko mogło mnie wydać. Sladden zdjął jakiś pyłek z obcasa i nie podnosząc wzroku, powiedział:

– A potem?

Natychmiast domyśliłam się, o co mu chodzi, ale próbowałam wyglądać na zdziwioną.

– Słucham?

Patrzył na mnie spokojnie.

– A potem? Pani powiedziała, „a potem”.

– Powiedziała? Teraz?

– Nie. Na początku. Zanim opowiedziałem pani o Trumble’u. Powiedziała pani: „Mój mąż, Ed Sheahan spał z Aramintą Lyall w sobotę przed jej śmiercią, a potem...” Zastanowiło mnie, co było dalej.

O Boże.

– Nie przypominam sobie...

Przycisnęłam torebkę do biodra. Potrzebowałam jakiegoś kontaktu fizycznego, żeby skontrolować wirujące wokół mnie dezorientujące słowa. Nachylił się do przodu. Próbował udawać zrelaksowanego, ale wiedział, że przegapił szansę, bo mi przerwał. Baker rzucił mu spojrzenie w stylu „a nie mówiłem”, w którym było coś z prastarych lasów i chytryści wolnego chłopstwa.

– „A potem” co? – Próbował odzyskać utraconą pozycję. – A potem... wyznał jej dozgonną miłość? A potem... znów się z nią przespał, w niedzielę?

Pokręciłam głową, grałam na czas.

– Naprawdę przepraszam, nie pamiętam, co chciałam powiedzieć.

– Mój mąż, Ed Sheahan, spał z Aramintą Lyall w sobotę przed jej śmiercią, a potem... zabił ją?

– Nie! – moje oburzenie było szczere, ale nie tak szczere, jak strach.

– A potem... co? Proszę spróbować sobie przypomnieć, pani Sheahan.

Skoncentrowałam się na jego baczkach. Rosły mu w szpic na policzkach.

– Dobrze, spróbuję. Chyba... chyba chodziło o to, że mój mąż spał z Aramintą Lyall w sobotę przed jej śmiercią, a potem nic o tym nie mówił, aż do dzisiejszego wieczoru.

– Ale dzisiaj wieczorem przyznał się do przestępstwa, którego nie popełnił?

– Kłóciliśmy się. Najwyraźniej zrobił to, żeby mnie zdenerwować.

– Doprowadzić żonę do tego, że idzie na policję w sprawie przestępstwa, którego nie popełnił, ale przez które już go zatrzymano na przesłuchanie, tylko po to, żeby ją „zdenerwować”? Czy to jego normalne zachowanie?

Z każdą minutą spędzoną na komisariacie niebezpieczeństwo narastało. Och, dlaczego nie uwierzyłam Edowi? Miałam najuczciwszego męża pod słońcem i zawiodłam go. Próbowałam go zdradzić, chociaż wiedziałam, że jej nie zabił. W jakim świetle stawia to mnie i moje motywy? Oparłam się o stół, czując, jak brzeg wpija mi się w udo. Musiałam prześliznąć się przez lukę, którą

stworzyła buta Sladdena.

– Nie. Ale ten czas nie jest normalny. W każdym razie odkąd zabrano nas na przesłuchanie. Myślę, że każda kobieta, po tym jak jej męża zabrano na przesłuchanie w sprawie śmierci dziewczyny, w której mieszkaniu spędził noc, miałaby jakieś wątpliwości. Prawda? Jesteśmy ludźmi. Nie byłam w stanie skupić się na pracy. Wypisywano o nas jakieś okropne rzeczy w sieci i w gazetach. On myśli, że ja mu nie ufam, chociaż ufam mu, bez zastrzeżeń, ale pokłóciliśmy się, przyznaję. Więc nie, łatwo nie było, a dziś wieczór sprawy stanęły na ostrzu noża. Pokłóciliśmy się i wszystko wykopiało... i chyba... i chyba dlatego przyszedłam, przez to wszystko...

Zamilkłam. Zapomnijcie o amatorskim Footlights, to była moja Królewska Akademia Teatralna, Londyńska Akademia Muzyki i Sztuki Teatralnej, mój West End, mój Broadway i przesłuchanie do Hollywood w jednym! Sladden, rozparty na krześle, kiwał głową, oceniał, przetwarzał informację, obracał ją w tę i w tę stronę, szukając dziury w całym. Dostałam rolę? Minęła wieczność, serce waliło mi jak tam-tam (chyba nie słyszeli?), rzucił Macowi spojrzenie, które mówiło jasno, „co byś zrobił z tą zwariowaną babą?”, i wreszcie twarz mu złagodniała.

– Rozumiem. To musiało być trudne.

Chciałam skakać z radości jak zwycięzca na Wimbledonie, ale zachowałam powściągliwość. Mocno ścisnęłam torebkę w spoczonej ręce, ramiona miałam przygarbione, jak uczennica stęskniona w środku nocy za domem. Sladden przyglądał mi się jeszcze chwilę i powiedział:

– Cóż, mam nadzieję, że to panią uspokoiło. Jeśli tak, to przynajmniej miało to jakiś sens, chociaż wątpię, żeby warto było przychodzić w tej sprawie o czwartej nad ranem. – Spojrzał na Bakera. – Nie jest łatwo być żoną jednego z tych, którzy przyznają się do niepopołnionych przestępstw. Jak to się nazywa?

– Nie wiem.

– Zespół Munchausena – podpowiedziałam.

– Właśnie. – Sladden wstał.

Uśmiechnęłam się wspaniałomyślnie, zadowolona, że mogłam pomóc. Byłam gotowa, aby wyjść spod ostrego światła komisariatu i zapaść w aksamitne objęcia ciemności.

22

Wiedziałam, co mam zrobić. Wyszłam z pokoju bardzo powoli, powstrzymując się, żeby nie tańczyć, nie skakać i nie pokrzykiwać jak girlsa. Głośno cmoknęłam Bakera w wielki tłusty policzek. Podniósł klapę, żebym mogła przejść do pustej recepcji, i słodko życzył mi dobrej nocy. Wyłoniłam się po właściwej stronie prawa i zobaczyłam przyklejony do ściany portret pamięciowy mężczyzny poszukiwanego za napad z bronią w rękę. Wyglądał jak Ned Kelly we własnej roboty zbroi. Skąd oni biorą facetów, którzy potrafią to złożyć do kupy? Dwie minuty i mają kogoś, kto z grubsza przypomina ten portret pamięciowy, i już winny siedzi. Nie można tak wyglądać i nie mieć motywu. Ned-bandzior patrzył wściekle ze ściany, zdumiony, że udało mi się wyjść cało, chociaż w mojej sprawie było więcej dziur niż w jego zbroi. Zdażyłam jeszcze powiedzieć Bakerowi, że też mu życzę dobrej nocy, chociaż mój umysł szalał jak obluzowany ładunek podczas sztormu na morzu, a w ustach tak mi zaschło, że ledwie byłam w stanie wypowiedzieć słowo.

Ręce wciąż tak mi drżały, że z trudem nacisnęłam w golfie guzik „otwieranie”, a kiedy to robiłam, cały samochód rozświetlił się jak choinka, która chce sięgnąć na siebie uwagę.

Na szczęście zapalił od pierwszego razu. Nie chciałam, żeby coś przyciągnęło teraz uwagę do mnie. Chwilę później jechałam, nie dochodząc do pięćdziesięciu na godzinę, pustą ulicą w stronę centrum i z każdym metrem zbliżałam się do nowej, jaśniejszej przyszłości. Z początku zamierzałam pojechać do domu i obudzić Eda tą nowiną, ale kiedy dotarłam do ronda Jamesa Burtona, zdałam sobie sprawę, że mam niezakończoną sprawę, z którą najpierw muszę się uporać.

Zamiast więc pojechać Park Row, w stronę uniwersytetu i Clifton, skręciłam obok bloku 5102, cerbera strzegącego Stokes Croft, i potoczyłam się

na północ, w stronę Starej Powozowni. Opuszczone puby i kluby industrial były zamknięte, albo nigdy ich nie otwarto. Gigantyczne płótna dla artystów graffiti i miejskich aktywistów. Musnęłam hamulec, kiedy z St. Pauls wypłynął radiowóz. Był cichy jak rekin, błysk pogroźki dla smętnych postaci rysujących się na tle brudnych zakratowanych witryn sklepów monopolowych i nocnych spożywczaaków. Rozbłysła zapalka, pomarańczowy koniuszek papierosa zakolysał się w powietrzu. Żaden problem. Jezdnia należała teraz do mnie.

Podjechałam pełnym gazem i zaparkowałam pod znanym telewizji budynkiem o bizantyjskich łukach okien i stylizowanym obmurowaniu. Dłuższą chwilę siedziałam w samochodzie i patrzyłam przed siebie na pustą jezdnię, próbując wszystko wchłonąć. Motywy tamtej kobiety były jasne. Narracja miała sens.

Otworzyłam pchnięciem drzwiczki, które wydawały się ciężkie jak z ołowiu, i wysiadłam. Nogi miałam słabe, wciąż jeszcze mi się trzęsły. Powietrze było chłodne, po raz pierwszy od tygodni jesienne. W oddali przetoczył się przez noc werbel grzmotu. Niósł obietnicę oczyszczenia i odnowy. Zbyt długo było zbyt gorąco. Przeszłam na stronę pasażera i spojrzałam na budynek. Czuć było słaby zapach smoły, jakby tygodnie upału stopiły asfalt. Gwałtownie zapragnęłam zapalić papierosa. Budynek miał światła alarmowe (ale nie miał kamer!), za centralnym łukiem, na parterze, widniał pusty hol, okna były ciemne. Nie wiem, dlaczego spodziewałam się, że będą rozjarzone blaskiem, jak w domku-zabawce. Piętnaście metrów dalej drzemała przy krawężniku taksówka. Spojrzałam na trzy osławione okna na drugim piętrze – kłótnia, atak, wypadek – ale było w nich ciemno. Nie można było nawet stwierdzić, czy są w nich zasłony. Niebo było prehistoryczne. Miałam wrażenie, że przeżyłam tysiąc lat.

Wyjęłam z kieszeni komórkę.

Czy Ed leży bezsenne w naszym łóżku i patrząc na skrawek światła na suficie, czeka, że zatrzyma się radiowóz, zadzwoni dzwonek u drzwi? Czy chodzi po domu w ubraniu, strach kurczy mu żołądek, nozdrza płoną od poczucia porażki? Ed wiedział, jak terażniejszość tworzy przyszłość. Widział to codziennie w pracy. Już nie było ucieczki.

Będzie gotowy. Zawsze był. Będzie miał na sobie ten ciemnografitowy garnitur, świeżo wyprasowaną białą koszulę, krawat od Hermès, który dałam mu na urodziny. To jego najbardziej elegancki krawat. Ed nigdy nie traci godności ani wycucia miejsca. Będzie błąkać się po domu, zapisywać w pamięci monotonię codzienności, pisać pełne miłości listy z wyjaśnieniami dla

dzieci. Nie dla mnie. Nawet Ed nie napisze do żony, która nie potrafiła mu zaufać.

Włączyłam komórkę. Do Devon jej nie zabrałam, bo chciałam uciec od wszystkiego i od wszystkich. Dzieci, gdyby musiały, mogły zadzwonić do mnie pod numer babci T. Ekran rozświetlił się, wpisałam hasło. Chciałam tylko szepnąć „jesteś bezpieczny” i „przepraszam”, i „kocham cię”, ale wiedziałam, że głos mi się załame. Nie dlatego, żeby uczucie nie było prawdziwe, wręcz przeciwnie, dlatego że zbyt ostro je odczuwałam.

Czekał na mnie mail. Już miałam go zignorować i robić dalej to, co zamierzałam, ale otwarcie maila było łatwiejsze niż precyzyjne dobranie słów, które wypowiem do Eda. Kliknęłam na ikonkę. Pojawił się temat: „Niedziela, 1.45 nad ranem” i nadawca, Marianne Hever. Maila wysłano, kiedy byłam w Highlands. Marianne? Dlaczego niby miałyby do mnie pisać? Nie zamieniłyśmy słowa, odkąd wyszłam z Bow House i z opuszczonymi oczami, z płonąca pod bezlitosnym słońcem głową szłam śpiesznie do samochodu, a Marianne z niezmaconym spokojem patrzyła za mną z okna na piętrze. Towarzyszyło mi wtedy niewypowiedziane, ale nieodwracalne poczucie, że dotarliśmy do kresu i nigdy więcej nie będziemy ze sobą rozmawiały. Otworzyłam maila. Było tylko jedno zdanie. „Przecucie jest potężniejsze od wiedzy”. To wszystko. Bez podpisu. Wpatrywałam się w te słowa, nie rozumiejąc, dlaczego mi je przysłała i jaki mają związek z tytułem maila, póki nie dotarło do mnie, że poniżej jest załącznik. Kliknęłam w niego i niespokojnie czekałam, aż kółko przestanie się obracać i załącznik wreszcie się otworzy.

To było zdjęcie budynku – budynku, przed którym w tej chwili stałam. Co więcej, zrobiono je niemal dokładnie z miejsca, w którym wspierałam się o drzwi samochodu, po przeciwległej do budynku stronie ulicy.

Dlaczego Marianne przysłała mi zdjęcie Starej Powozowni? Badałam obrazek pod kątem jakiejś wskazówki. Nie, raczej nic nie ma. Była to bardzo ostra fotografia budynku, zrobiona kamerą dużej rozdzielczości, zapewne o pierwszej czterdzieści pięć w którąś z sobotnich nocy czy niedzielnych poranków.

To musiało mieć coś wspólnego z jej mieszkaniem. Powiększyłam obraz i namierzyłam trzy łukowate okna na drugim piętrze. Przyglądałam się każdemu po kolei, ale nie było tajemniczej postaci wyłaniającej się z mroku, błysku stali, ust zamarłych w milczącym krzyku, nikt nie cofał się ze skruchą w cień. Przewinęłam w dół, do drzwi frontowych i uważnie przeszukałam hol. Też był

pusty, jaskrawo oświetlony, ale wyraźnie pusty. Co u diabła ona próbuje mi powiedzieć? Przeklinałam fakt, że mam tylko komórkę, ale nie mogłam pojechać do domu, zanim nie zrozumieć, o co jej chodziło. Marianne nie zrobiłaby niczego bez powodu, a tym bardziej nie wysłałaby bez powodu jakiegoś zdjęcia kobiecie, której męża oskarżyła o morderstwo lub nieumyślne zabójstwo, a ta dopiero co odjechała, przerywając malowanie jej portretu.

Zmniejszyłam obraz, na ile tylko się dało, i przewinęłam od końca do końca. Był panoramiczny, rozciągał się od skrzyżowania Stokes Croft i Picton Street, przez Starą Powozownię, w stronę centrum miasta. Nie licząc kilku samochodów zaparkowanych po drugiej stronie, ulica była pusta jak niedzielny poranek na obrazie Edwarda Hoppera. Przyjrzałam się dokładnie chodnikowi i – hej! – owszem, była jakaś postać przechodząca przed Café Kino, gdzie kulista lampa nad bufetem, w stylu paryskiej knajpki, dawała tak niewiele światła, że ledwie można było coś rozpoznać. Postać, bez wątpienia mężczyzna, pochylała się do przodu, jakby uciekała od strony Starej Powozowni w kierunku Picton Street.

Namierzyłam tę postać. Jaka była data przy zdjęciu? Daty nie było. Nie mogło być wykonane w dniu wypadku. Miał miejsce wczesnym wieczorem, nie wcześniej nad ranem, w środę, a nie w niedzielę, i wykluczone było, żeby Ed wrócił w nocy jeszcze raz na miejsce zbrodni. Powiedziałby mi o tym. Nie mogła to być noc, kiedy odbywało się przyjęcie, bo choć rzeczywiście musiał tam wylądować około pierwszej czterdzieści pięć, to był przecież z Aramintą i Trumble'em i nie wychodził z mieszkania aż do rana. Obojętne czyją relację uznać za prawdziwą, niemożliwe było, żeby Eda wysłali po drinki albo papierosy, bo zanadto już był pijany. A poza tym jeśli czegoś potrzebowali, to czy nie zatrzymaliby taksówki po drodze, żeby się zaopatrzyć?

Dopiero kiedy przerobiłam te wszystkie pytania, gdy przyjrzałam się dokładnie prawdziwym oknom, próbując sobie wyobrazić to, co się działo w tym ciemnym mieszkaniu w ciągu tamtych dwóch nocy, i znów spojrzałam na zdjęcie, zrozumiałam, że postać na chodniku to nie Ed. Ktokolwiek to był, był za niski, odrobinę za krępy, a włosy na czubku głowy były za gęste. Nie, to nie mógł być Ed. Zakładałam, że to on, bo poza tym na zdjęciu nie było nikogo innego, a nie potrafiłam znaleźć innej przyczyny, dla której Marianne mi je przysłała. Znów bawiła się mną, tyle że tym razem z moją spostrzegawczością i oczekiwaniami. Jakby zachęcała mnie, portrecistkę, która nie potrafiła jej namalować, najlepszą przyjaciółkę, która zawiodła jej zaufanie, żebym patrzyła jak należy, żebym widziała. Ponownie przejrzałam resztę chodnika,

powoli przewijając zdjęcie z lewa na prawo, żeby sprawdzić, czy nie ma kogoś innego, kogoś, kogo mogłam nie zauważyć, ale ulica była pusta. Nikogo innego nie było.

I wtedy zrozumiałam. Jak mogłam być tak ślepa? Zobaczyłam to w chwili, kiedy skupiałam się na samochodach zaparkowanych w rzędzie na prawo od Starej Powozowni, ostatni nie dalej niż dziesięć metrów od wejścia.

Samochody, które uznałam za parkujące, nie były zwyczajnymi samochodami. To były taksówki, pięć taksówek. Marianne pokazywała mi, że Ed mógł bez trudu znaleźć taksówkę tamtego wieczoru, kiedy po przyjęciu u Pete'a trafił do Araminty, bo przed jej domem był postój, a o pierwszej czterdzieści pięć w przypadkową noc z soboty na niedzielę, stało na nim pięć taksówek. Co więcej, nawet w noc ze środy na czwartek o godzinie – spojrzałam na zegar w telefonie – czwartej trzydzieści siedem stała na nim jedna taksówka. Innymi słowy, Marianne mówiła mi, że Ed po przyjęciu u Pete'a wszedł do mieszkania Araminty, bo chciał, a nie dlatego, że musiał, aby wezwać taksówkę. Dwaj pijani mężczyźni i jedna pijana dziewczyna, którzy ledwie się znają, to inne zakończenie wieczoru, niż starszy mężczyzna z wahaniem dołączający do grupy znajomych.

I nagle ni z tego, ni z owego przypomniałam sobie, co powiedział Pete przez telefon nazajutrz po przyjęciu, kiedy zadzwoniłam, żeby zapytać, czy nie wie, gdzie jest Ed: „Ostatni raz widziałem go, jak rozmawiał z dziewczyną, która studiuje tu sztukę, Aramintą Lyall i z facetem, który jest marszandem w Londynie. Wyglądało, że bardzo są sobą zainteresowani”. Zupełnie nie zgadzało się to z twierdzeniem Eda, że nie wie, kim jest Johnny Trumble i tym, co mówił w łazience, że rozmawiał z nią dopiero kiedy był „zbyt pijany, żeby coś zapamiętać”.

Znów oparłam się o samochód. Byłam kompletnie wyczerpana, radość, którą czułam po wyjściu z komisariatu, zniknęła bez śladu. Jeśli było w tym coś pozytywnego, to że zgodnie z tym, co mówiła, nasza tajemnica była u niej bezpieczna. Ale czy mogłam jej ufać? Marianne nic mi nie była winna. Jeszcze nie poszła na policję, ale to nie znaczy, że kiedyś nie pójdzie. A Philips? Albo Neil? Na różne sposoby i mniej lub bardziej pewni swego, wszyscy oni wyczuwali prawdę. I nic nie mogłam z nimi zrobić. Marianne robi, co zechce. Zawsze tak postępowała. Może głupio myśleliśmy, że ujdzie nam to na sucho. Ktoś zawsze będzie musiał zapłacić.

Co mam z tym zrobić? Ona postawiła to pytanie. Zapominając na chwilę o Aramincie – „zapominając o wszystkim, co zdarzyło się potem” – Marianne

pytała mnie, co zrobię z mężem, dla którego przeszłam przez ogień, a on nie powiedział mi całej prawdy, więc nie mogę mu już ufać. Czy powiem mu o tym w oczy? Czy odejdę od niego, jak ona odeszła od Roba, a ja od niej w tamto popołudnie sprzed lat? Czy powinnam wrócić na policję i wyznać im całą prawdę, żeby ukarać go za jego nieuczciwość? Czy mam energię, żeby wrócić do domu i na nowo zadać wszystkie pytania, włożyć palec w krwawiącą ranę? Czy wtedy powiedziałaby prawdę i skąd miałabym wiedzieć, że jej nie mówi? Czy to w ogóle ma znaczenie, co myślał, kiedy się upił? Mało prawdopodobne, żeby w najbliższym czasie znów doprowadził się do takiego stanu. A może powinnam uznać, że cokolwiek myślał, kiedy przyjmował zaproszenie, żeby pojechać do Araminty, nie zrobił nic złego, a w naszym kraju na szczęście nie ma czegoś takiego jak myślozbrodnia. Gdyby rzucać każdego mężczyznę, który za dużo wypił na przyjęciu i miał ochotę na inną kobietę, ale nic z tym nie zrobił, to raczej niewiele małżeństw by się ostało?

Czy to ważne, żeby rozróżniać między „podołała mu się” a „podołała mu się i miał na nią ochotę” oraz „podołała mu się, miał na nią ochotę i przeleciałby ją, gdyby nie odpadł”? Trudno powiedzieć, a skoro nic się nie stało, to czy jest między tymi rzeczami jakakolwiek istotna różnica?

Czy fakt, że skłamał co do swoich motywów, kiedy poszedł do jej mieszkania za pierwszym razem, oznacza, że kłamał co do tego, co się naprawdę stało za drugim? Czy to znaczy, że kłamał w innych sprawach, nad którymi w ogóle się nie zastanawiałam?

Czy rzeczywiście pracował charytatywnie w Trzecim Świecie albo latał na superważne konferencje w Pierwszym?

Czy wrócił, bo czuł sekretną słabość do Trumble'a?

Wpadam w szaleństwo? Ale czy w ogóle coś o nim wiem?

Czy mogę mu ufać, nie wiedząc?

Czy mogę nadal być jego żoną lub wrócić kiedykolwiek do malowania, nie ufając mu?

Wsparta o samochód kontemplowałam budynek, maila Marianne i wybór, jaki mi pozostał. Zaczął padać lekki jak gaza deszczyk, tak drobny, ciepły i łagodny, że trudno było go skojarzyć z bezlitosną falą upału albo z gromami, które przetoczyły się nad miastem. Spadał mi lekko na czoło, na gołe ramiona, a kiedy przeciągnęłam ręką po włosach, znalazłam na nich wilgotne w dotyku babie lato. Stałam na Stokes Croft, patrząc na Starą Powozownię, i myślałam o wszystkim, co się stało, o pytaniach, na które nie ma odpowiedzi, o tym, jak prawda zmienia się w zależności od czyjejś perspektywy i jak jedne sprawy

przenikają w inne, jak przemieszczają się i oscylują wokół siebie. I właśnie wtedy dostrzegłam wreszcie wybór, jaki ukazywała mi Marianne.

Pracownię omywało pierwsze światło szarego świtu. Długo stałam w drzwiach, przyglądając się mieszaninie farb, pędzli i palet, jakbym widziała je po raz pierwszy. Płótno na sztaludze było zagruntowane, ale nagie. Nie byłam w stanie malować, odkąd wróciłam od Marianne. Nie potrafiłam się zmusić do analizy obiektu fizycznego, a tym bardziej istoty ludzkiej.

O ścianę wspierało się kilka płócien. To, które stało przodem do pokoju, było brunatno-fioletową abstrakcją, wyimaginowanym wrzosowiskiem, niewyraźnym i rozmytym. Za nim, przodem do ściany, stał samotnie porzucony portret Marianne. Nie wiedziałam, co z nim zrobić. Nie mogłam znieść jego widoku i nie mogłam go trzymać na zawsze, ale nie potrafiłam też zdobyć się na to, żeby go wyrzucić. To byłoby ostateczne przyznanie się do porażki, nie tylko co do tego portretu, ale także we wszystkich sprawach, w które tyle zainwestowałam. Nie byłam do końca gotowa na ten krok, chociaż nieraz mało brakowało, żebym go wywlokła na dwór i wrzuciła prosto do śmieci. Ale za każdym razem powstrzymywałam się, tak jakby ten obraz – jakby Marianne – rzuciła jakiś urok. Gdybym się go pozbyła, byłby to mój koniec jako artystki, odrzucenie wszystkiego, w co wierzyłam. Próbowałam to jakoś zrozumieć.

Popatrzyłam na tył beżowego płótna, przybitego do drewnianej ramy, na poziomą poprzeczkę z maleńkimi gwoździkami. Kiedy byłam gotowa, podniosłam obraz i zaniósłam go na stół, na którym zostawiam prace, żeby je przestudiować, ocenić albo po prostu popatrzeć na nie z innej perspektywy. Odwróciłam portret frontem do mnie i oparłam o ścianę. Przyniosłam krzesło i popchnęłam je po podłodze, aż znalazło się tuż przy stole. I ten jeden jedyny raz, siedząc wprost pod ostrym punktowym światłem, nie wiedząc, czego się spodziewać, podniosłam wzrok na Marianne.

Patrzyła na mnie z góry, jej chłodny, obojętny wzrok podkreślał skalę mojej porażki. W tej pewności siebie zobaczyłam zarys jej triumfu i mojej przegranej, naszą historię, moją słabość, jej siłę. Z którejkolwiek strony bym spojrzała, nie było wątpliwości, że Marianne pozostała dla mnie niedosiężna. Nie byłam w stanie ogarnąć jej ramionami. Nie znałam jej. Chciałam się odwrócić, ale zmusiłam się, żeby patrzeć na obraz i myśleć o Marianne tak, jak myślałam przed Starą Powozownią, gdzie po raz pierwszy zaświtał mi wybór, wobec którego stoję. I w końcu zrozumiałam.

Przecucie jest potężniejsze od wiedzy.

Nie maluj tego, co widzisz, maluj to, co czujesz.

Wróciłam myślą do tamtego popołudnia w internacie. Kurz tańczy w promieniach światła. Niesprawdzony błąd postrzegania, niezadane pytanie. Marianne zajęło ponad dwadzieścia lat, żeby zmusić mnie do przyjęcia odpowiedzialności za to, co zrobiłam, i pokazać mi, że myliłam się w absolutnie wszystkim, co wydawało mi się, że wiem. Trzy dni (i jeden mail) zajęło jej podkopanie piętnastu lat zaufania.

Długo siedziałam, wpatrując się w portret, wchłaniając w siebie Marianne, kontemplując realność mojej porażki i rozstaje dróg przede mną. Kiedy nie zostało już nic, co można by wchłonać, sięgnęłam po portret i położyłam go płasko na stole, frontem do góry. Odległy huk grzmotu wstrząsnął światem, zaczął padać deszcz, na szybie pojawiły się grube srebrne łzy. Przemierzyłam pokój i z pustej puszkii po zupie pomidorowej Campbella (ukłon pod adresem Warhola) wyjęłam czarny marker i wielkie, ostre nożyce dla artystów. W środkowej szufladzie szafki na dokumenty był rulon grubego szarego papieru i rolka folii bąbelkowej, z zabłąkaną na wierzchu pocztówką (Matisse, jedna z jego wycinanek, pełna energii ultramaryna). Odsunęłam na bok mistrza koloru i wyjęłam papier i folię, a z biblioteczki wzięłam pocztówkę z wydrukowanym na niej naszym adresem, mocną, przemysłową taśmę i kłębek sznurka. Zaniiosłam swój łup do stołu i rozłożyłam obok portretu.

Obraz był tak wielki, że musiałam pakować go etapami. Najpierw pod bąbelkami i papierem zniknęły smukłe nogi Marianne wraz z pobieżnym szkicem podstawy pomarańczowej abstrakcji. Potem opakowałam jej tors, od górnej części bioder po dół szyi, podziwiając jej szczupłą figurę w eleganckim czarnym kostiumie, jej zręczną pozę, wytrzymałość i pewność siebie, które przez nią przemawiały. Została tylko głowa. Odciełam ostatni kawałek folii zajrzałam jej w oczy, czarne jak diament dziury, których nigdy nie pojmem. Żeglowały po nieznanych morzach, maszerowały w takt własnej muzyki. Nie znałam Marianne, nie rozumiałam jej ani nie uchwyciłam na obrazie. Moją porażką było to, jak ją czułam, i tylko to było prawdą.

Kiedy opakowałam i zaadresowałam obraz – Marianne Hever, Bow House, Ashton-under-Lyne, OL6 – i porządnie związałam sznurkiem, sięgnęłam po pocztówkę leżącą wierzchem do dołu na stole i wyrównałam ją przed sobą. Wzięłam marker i bez chwili zastanowienia napisałam: „Skończone”. Nie było całusa. Nie było krzyżyka na drogę.

Kiedy wszystko było gotowe, oznakowałam przesyłkę i zostawiłam ją na półpiętrze, po czym przemknęłam cicho na dół. Celowo nie zajrzałam do Eda, bo gdyby się obudził, musielibyśmy zaliczyć kolejną daremną kłótnię. Wiedziałam, że go zdradzam, ale nie było innego wyjścia. Nie mogliśmy żyć, pracować i ufać sobie nawzajem z niekończącym się kłamstwem w tle. Nell i Arthur mogli to widzieć inaczej, ale to było ryzyko, które musiałam podjąć. Przynajmniej, kiedy dorosną, nie będą mogły powiedzieć mi, jak ja powiedziałam matce: „Dlaczego to przed nami zataiłaś?” Nawet jeśli zawiodłam ich pod każdym innym względem, nawet jeśli moja praca była ważniejsza niż one, nawet jeśli przestałam ufać ich ojcu, pod tym względem ich nie zawiodę. Jak powiedziałam Edowi w pracowni nazajutrz po tym, jak rzuciła się na mnie prasa, zawsze będę wiedziała, że zrobiłam, co mogłam.

Trasa była znajoma. Podmokłe zaułki Clifton, szereg domów zamieszkałych przez studentów, Queens Road i Union. Królewska Akademia Sztuki. Ostatni balangowicze wytaczający się z nocnych klubów bristolskiego „trójkąta bermudzkiego”. Wills Tower i budynki uniwersytetu, przypomnienie pieniędzy, które zbudowały Bristol, pola tytoniu, niewolnicy, portwajn. Park Row staczał się w dół topograficznie i społeczno-ekonomicznie, dalej szpital kliniczny z jego kolorowymi obręczami, sądy i stacja autobusów, metro, Tesco Express. Każda boczna uliczka kusiła mnie, żebym to jeszcze raz przemyślała, wszystkie uliczne światła oferowały przerwę na myślenie.

Ręce trzymałam przez cały czas na kierownicy. Rondo Jamesa Bartona zmywane w bezruchu świtu. Mogłam skręcić w lewo, w stronę Starej Powozowni i wpasować się między próżnujące tam taksówki. Na Cabot Circus skręciłam jednak w prawo, w stronę Temple Meads, potem poszybowałam rampą obok przejazdu podziemnego w stronę Kingswood. Budynki koloru herbatników. Lśnienie świeżego deszczu. Zmęczone miasto w bladym świetle wczesnego poranka.

Recepcja komisariatu była pusta, nie licząc, oczywiście, Neda. Patrzył ponuro w dół ze ściany, zaskoczony, że tak prędko znowu mnie widzi. Przez ułamek sekundy kusiło mnie, żeby dać nogę, ale to uczucie wyparowało równie szybko, jak się pojawiło. To była jedyna droga do przodu. Nie było wyjścia. Marianne wiedziała, Neil wiedział, Philips wiedział. Tama popękała. W końcu runie. To był jedyny sposób, żebym mogła zachować kontrolę i wymierzyć sprawiedliwość wszystkiemu, co się stało, i wszystkim, którym to się stało, i sprawić, że pewnego dnia znów będziemy rodziną. Linoleum zapiszczało pod moimi stopami. Już miałam nacisnąć dzwonek, żeby zwrócić

na siebie uwagę, kiedy w drzwiach za kontuarem pojawił się inspektor Sladden. Miał na sobie długi po kolana skórzany płaszcz i czarny kapelusz filcowy. Na mój widok zmarszczył brwi.

– Co znowu?

Nie próbował ukryć irytacji w głosie.

– Hm... – Mój głos zabrzmiał jednocześnie słabo i mocno w cichej recepcji. – Muszę panu coś powiedzieć.

Sladden westchnął i oparł się o ścianę. Wyglądał na człowieka, który nie może się doczekać, kiedy pójdzie do domu, tam, gdzie sprawy są takie, na jakie wyglądają, a ludzie zachowują się tak, jak powinni.

– Czy to nie może poczekać? Jest piąta rano, cholera, a ja tu byłem całą noc.

– Wiem. Przepraszam.

Zirytowany zgrzytnął zębami.

– Pani wie, że oskarżamy ludzi o marnowanie czasu policji?

Skinęłam głową. Nadal się nie ruszał, tylko patrzył na mnie sceptycznie spod kapelusza. Skinęłam głową w stronę drzwi prowadzących do pokojów przesłuchań, ale pokręcił głową.

– Tutaj?

– Tutaj.

Zrozumiałam. Kto nie chciałby pójść do domu? Wyczerpałam życzliwość wobec siebie. Nie zaproponowano mi kawy albo stożka z wodą, nie było Big Maca z małym długopisem w wielkiej łapie, żeby nad nami czuwać, wprowadzając odrobinę muskularnego humanizmu do bezdusznych procedur. Sladden włożył ręce do kieszeni. Patrzył na mnie uważnie z drugiej strony holu. Nie zdjął kapelusza, wyglądał, jakby zamierzał tu spędzić nie więcej niż minutę. Czułam się obnażona. Stałam pośrodku podłogi, w ostrym świetle padającym z sufitu, nie było krzesła ani stołu, żeby się wesprzeć, ale tym razem mi to nie przeszkadzało. Chciałam się obnażyć. Sladden otworzył paczkę gumy i włożył do ust kawałek w kształcie pastylki. Nie spodziewałam się, że mnie poczęstuje, i nie poczęstował.

– Pamięta pan, jak byłam tutaj wcześniej i powiedziałam. „Mój mąż spał z Aramintą Lyall w sobotę przed jej śmiercią, a potem...”?

Czekałam na odpowiedź, ale on tylko skinął głową.

– Ale pan powiedział mi, że nie spał?

Przerwałam, czekałam, że potwierdzi, ale on nadal nic nie mówił.

– A potem, pod koniec, kiedy pan zapytał o to niedokończone zdanie, wycofałam się, powiedziałam, że nie było żadnego „a potem”, że musiał się

pan pomylić?

Ziewnął i ostentacyjnie spojrzął na zegarek.

– I w końcu dał pan temu spokój?

Sladden chciał jasno pokazać, że jego próg znużenia jest niski, a ja go przekraczam.

– Cóż, było „a potem”.

Zrobił głęboki wdech przez nos.

– Powinnam była powiedzieć, że...

Popatrzyłam na podłogę, jakbym szukała tam wsparcia, a może prawdy, ale na brudnym linoleum nie było ani jednego, ani drugiego. Sladden nadal stał w znużonej pozie pod ścianą, nie okazując zainteresowania.

– Mój mąż spał z Aramintą Lyall w sobotę przed jej śmiercią, a potem...

Głos załamał mi się na chwilę. Sladden mimo woli pochylił się do przodu. Wargi miał wilgotne. Drżały nieznacznie.

– Zabiłam ją.

W celi była kamera, okratowana żarówka, stalowe drzwi z judaszem. Stół o gładkich brzegach był przymocowany do podłogi.

Siedziałam na krześle przodem do drzwi. Moją torebkę, naszyjnik i srebrną bransoletkę, którą Ed dał mi na rocznicę ślubu, zabrał policjant, który, sądząc po wieku, dopiero co ukończył szkołę. Zabrał także sznurowadła od balerinek. Prosząc o nie, wyglądał niemal na zawstydzonego. Ułatwiałam mu sprawę, jak mogłam. Byłam wyczerpana, a jednak, siedząc tutaj, czekając, aż zacznie się cały cyrk, miałam poczucie pełni i wolności, którego nie doznawałam, odkąd w burgerowni w Soho odkryłam tożsamość ML xxx. Czułam się, jakbym wreszcie skończyła lot i w końcu mogła się odprężyć. Wszędzie panował spokój, wszystko było nieruchome. Po wszystkich łzach, gadaniu, goryczy, krzykach i rozpaczach, cisza celi była jak ocean. Nie było nic, co mogłoby mnie zranić. Spłaciłam dług wobec Marianne. Już nigdy nie będę malować. Ani w więzieniu. Ani gdy kiedyś tam wyjdę. Nigdy. Był czas, kiedy mogło się to stać karą dożywocia, ale ten czas minął. Zbyt wiele to kosztowało. Nie mogę wciąż na nowo radzić sobie z porażką, którą musi być każdy portret, każdy obraz, każde dzieło sztuki. Z wciąż na nowo zdruzgotaną nadzieją. Już miałam swoją szansę.

Jak to powiedział Ed? „Czasem nie ma słuszne, niesłuszne. Czasem wynik nie może być doskonały”. On to rozumiał. Rozumiał od zawsze. Czy Nell i

Arthur rozumieją kiedyś, dlaczego wzięłam na siebie winę Eda? Czy zaakceptują to, że jedno z nas musiało się pogrążyć, że to był najlepszy wybór dla nas wszystkich, a wreszcie, że dla mnie to był wybór jedyny? Życie to nie tylko to, co widzisz tuż przed sobą. Rozgrywa się na marginesach, na liniach między kwadratami. One przetrwają. Nastolatki są bardziej wytrzymałe niż rodzice są w stanie uwierzyć. Znów zobaczyłam ich przez kuchenne okno, jak jedzą przy wyspie, Nell przechylona w stronę Eda, on opasuje ją ramieniem, Arthur wsparł czoło na drewnianym blacie i trzęsie się ze śmiechu – beztroska, niezależność, miłość.

Wyobraziłam sobie ojca samotnego na klifie, postać na tle horyzontu, światło odbite od wody, przejmujący wiatr, ryczące morze. Jak napisał na widokówce z Beachy Head? Że to jedyny sposób, żeby reszta z nas żyła dalej, żebyśmy mogli żyć tak, jak żyć musimy. Wziął na siebie odpowiedzialność, tak jak wziął i Matt na swój słabowity sposób. Oni zrozumieli miłość.

Ręce trzymałam na stole, dłońmi do góry. Która to linia życia, prowadząca do szczęścia? Tyle ich było, że nie wiedziałam. Dlaczego z gąsienic powstają motyle? Jak daleko może dobiec kobieta? To wszystko już nie miało znaczenia. Jedyna prawda to to, że kolory blakną. Ale w bezsilności jest ulga. Rozgrzesza z odpowiedzialności i dodaje skrzydeł wyobraźni. Odrzuca tragedię.

Trzasnęły drzwi. Z korytarza dobiegł gwar głosów, był coraz bliżej. Klucz obrócił się gładko w zamku. Sladden, bez kapelusza, ale nadal w swoim wytwornym płaszczu i butach z wężowej skóry wszedł do celi, a za nim policjantka z notatnikiem. Skinęłam ku niej głową, ale nie odpowiedziała. Sladden czekał przy drzwiach, patrząc na mnie bez słowa. Jakby chciał ująć w ramy tę ostatnią chwilę spokoju, twarz przestępczyni, zanim rozpocznie się karnawał. Odpowiedziałam mu spokojnym spojrzeniem, jakbym pozowała do portretu. Mogłam szczerze szafować swoim czasem. W końcu Sladden westchnął, przesunął dłonią po przylizanych włosach i powiedział:

– Proszę to udowodnić.

Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki oddech. W łagodnym mroku rozbłysły kolory: zimorodek uleciał.

Podziękowania

Wielu ludzi, świadomie albo i nie, złożyło się na napisanie Strażniczki kłamstwa. Wybija się wśród nich Susanna Wadeson z Transworld, która, co prawda, zrozpaczona zerknęła na zegarek, kiedy przedstawiłem się podczas przyjęcia, mówiąc „napisałem powieść”, ale potem okazała się cudowną, błyskotliwą wydawczynią i przewodniczką, z zaangażowaniem podchodzącą do postaci, narracji i języka. Jej asystentka, Lizzy Goudsmit, była równie wnikliwa, miała taką samą anielską cierpliwość i chłodne spojrzenie. Są częścią fantastycznego, pełnego entuzjazmu, utalentowanego zespołu wydawnictwa Transworld. Bez nich ta powieść nie byłaby tym, czym jest.

Chciałbym również podziękować wszystkim czytelnikom, zbyt licznym, aby wymienić ich z nazwiska, którzy czytali i krytykowali Strażniczkę kłamstwa na różnych etapach dezabilu, jak również wcześniejsze, nieopublikowane fragmenty. Wiecie, o kim mówię. Bez Waszej przenikliwości i przyjaźni ten statek pewnie nigdy nie postawiłby żagli.

Wreszcie chciałbym podziękować Emily, której wiara może się chwiać, ale wsparcie nigdy, a Martha, Madeleine i Louis dali mi więcej, niż się domyślają.

Przypisy

^[1] *Uneasy lies the head that wears that crown* – cytat z *Henryka IV* Szekspira (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). ^[2] Malarz amerykański (1882–1967). W swoich obrazach ukazywał pozbawiony charakteru, przygnębiający pejzaż miejski, z biurami, stacjami benzynowymi, kinami i zimnymi wnętrzami tanich hoteli i moteli. ^[3] Bohater powieści *Buszujący w zbożu* Salinger, nastolatek zbuntowany przeciwko światu dorosłych. ^[4] Park Narodowy Dartmoor – granitowe kopulaste wzniesienia na Półwyspie Kornwalijskim w Anglii, w hrabstwie Devon. ^[5] *Moje łóżko* (*My Bed*) – instalacja brytyjskiej artystki Tracey Emin, stworzona w 1998 roku, wystawiona w Tate Gallery w Londynie na przełomie lat 1999–2000. Artystka pozostawiła na prześcieradle plamy po różnych wydzielinach, a obok łóżka znajdowały się zużyte prezerwatywy, bielizna poplamiona krwią menstruacyjną, pusta butelka po wódce, kapcie, niedopalki papierosów itp. Według Tracey Emin w łóżku tym spędziła wiele dni pogrążona w ciężkiej depresji z powodu problemów w swoim związku. ^[6] Cy Twombly, właśc. Edwin Parker (1928–2011) – amerykański malarz abstrakcjonista, rzeźbiarz i fotograf. ^[7] Aleksander Calder (1898–1976) – amerykański rzeźbiarz, malarz, ilustrator i grafik, reprezentant tzw. sztuki kinetycznej. Tworzył m.in. słynne formy przestrzenne, przeważnie metalowe, najpierw statyczne – tzw. stabilne, potem ruchome – tzw. mobile, poruszane powiewem powietrza lub za pomocą silniczków. ^[8] Sfumato (z wł. *fumo* – dym) – w malarstwie olejnym technika polegająca na łagodnym przechodzeniu z partii ciemnych do jasnych, co daje efekt miękkości i zamglenia, stosowana szczególnie przez Rafaela i Leonarda da Vinci. ^[9] Harold Pinter (1930–2008) – angielski dramaturg i pisarz, laureat literackiej Nagrody Nobla, uważany jest za „mistrza pauzy”. ^[10] Lawrence Oates (1880–1912) – uczestnik wyprawy Scotta na biegun południowy. W czasie odwrotu, wiedząc, że z gangreną i licznymi odmrożeniami będzie spowalniał marsz, wyszedł z namiotu i ruszył w zamieć na pewną śmierć, aby zwiększyć szanse przeżycia towarzyszy. ^[11] Pisarz angielski (1879–1970).

^[12] Rakiety (ang. *rackets*) – gra przypominająca tenisa. ^[13] Bitwa pod Azincourt (1415) – jedna z najważniejszych bitew wojny stuletniej. Kluczową rolę odegrali w niej angielscy łucznicy, stanowiący trzon zwycięskiej armii. ^[14] Clifton Suspension Bridge – most wiszący nad rzeką Avon na granicy dzielnicy Bristolu Clifton (stąd nazwa) i hrabstwa Somerset, znany m.in. z licznych samobójstw (między rokiem 1974 a 1993 skoczyło z niego 127 osób). ^[15] Pasma wzgórz na południe od Bristolu, park krajobrazowy. ^[16] Amatorski teatr studencki na Uniwersytecie Cambridge, znany z dużej liczby członków, którzy zostawali później głośnymi artystami teatralnymi, telewizyjnymi i filmowymi. ^[17] *Droga ku śmierci w prochu* (ang. *the way to dusty death*) – cytat z *Makbeta*, który zarazem stał się tytułem znanej powieści Allistaira McLeana, w Polsce wydanej pod tytułem *Jedynym wyjściem jest śmierć*. ^[18] Jedno z kolegów

wchodzących w skład Uniwersytetu Oksfordzkiego. ^[19] Richard John Bingham (1934 – ?) – brytyjski arystokrata, domniemany zabójca opiekunki swoich dzieci, słynny z powodu swojego zniknięcia w 1974 r. ^[20] William Szekspir *Makbet*, akt I, scena 7, przeł. S. Barańczak. ^[21] Brytyjski malarz (1922–2011), wnuk Zygmunta Freuda. ^[22] Francuski artysta intermedialny (1928–1962), malarz i rzeźbiarz. Swój ulubiony malarski kolor – niezwykle intensywny, jaśniejący odcień błękitu, uzyskany według receptury, którą opracował samodzielnie – opatentował pod nazwą International Klein Blue. ^[23] Brytyjski malarz (1894–1982), przedstawiciel abstrakcji geometrycznej. ^[24] Dr David Livingstone (1813–1873) – brytyjski lekarz i podróżnik, badacz Afryki. W roku 1865 nie wrócił z kolejnej wyprawy w głąb Afryki i został uznany za zaginionego. Na pomoc wyruszyła ekspedycja Henry’ego Stanleya, która odnalazła go w 1871 roku w wiosce tubylców nad jeziorem Tanganika. „Doktor Livingstone, jak sądzę?” – odezwał się uprzejmie wiktoriański dżentelmen Stanley na widok odnalezonego, choć jego tożsamość była oczywista, jako że w promieniu wielu kilometrów nie było tam żadnego innego Europejczyka. ^[25] Christopher Isherwood (1904–1986) – pisarz anglojęzyczny, autor m.in. *Pożegnania z Berlinem*, na bazie którego powstał słynny film *Kabaret*. Pierwsze zdanie książki brzmi: „Jestem kamerą z otwartą migawką”. ^[26] Nawiązanie do wiersza Walta Whitmana (1819–1892) *Pieśń o sobie*, w którym poeta mówi: „Jestem wielki, pomieszczę wiele”. ^[27] Amerykański malarz abstrakcjonista (1922–1993); jego seria obrazów *Ocean Park* zyskała światowy rozgłos. ^[28] Parafraza pierwszej linijki wiersza *Idea porządku w Key West* amerykańskiego poety Wallace’ego Stevensa (1879–1955). ^[29] Laurence „Laurie” Lee (1914–1997) – angielski poeta i pisarz, pochodzący z wioski Slad w hrabstwie Gloucester, gdzie osiedlił się ponownie pod koniec życia. ^[30] Kredowe urwisko klifowe u południowych wybrzeży Wielkiej Brytanii, mierzące 164 m. ^[31] Album brytyjskiego zespołu punkowego The Clash.

Table of Contents

[Okładka](#)

[Tytułowa](#)

[Redakcyjna](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)